



39

ZUSIA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

W TRZECH CZĘŚCIACH

PRZEZ

TEODORA TOMASZA JEŻA.

INSTYTUT
BADAŃ LITERARNYCH PAN

Biblioteka

ul. ~~Nowy Świat~~ N. 72

00-230 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

LWÓW.

Jakubowski i Zadurówicz.

1895.

<http://rcin.org.pl>



1270

I.

Dziwić się potrzeba niektórym współziomkom naszym, uciekającym z kraju. Dlaczego się wyprowadzają? Zapytania im tego się nie zadaje; lecz mimowolnie przychodzi ono na myśl, gdy się widzi ludzi, mieszkających ciasno chodzących piechotą, doznających niedostatku gdy mogliby na własnych śmieciach żyć, jak u Pana Boga za drzwiami. Co ich z kraju wyprowadziło? Jestto zagadka do rozwiązania dla nich samych najtrudniejsza.

Coś ich wyprowadziło.

Coś wyprowadziło państwa Alfredostwa Pieckich z Gajów do Wiednia.

Niedostatku oni doznawać nie mogli, majątkowo bowiem stali świetnie.

Gaje, stolica dóbr. obejmujących duży w podolskiej glebie obszar, były rezydencja państwa. Ciążyło ku nim folwarków dziesiątek, nie tylko niosących dochody donośne, ale zapewniających właścicielowi onych to po-

ważanie, jakim się cieszą śmiertelnicy, w których kieszeni bliźni czują pieniądze.

Poważanie bliźnich, mieszkanie dogodne, dostatek we wszystkim taki, że tylko mleka brakło ptasiego, wszystko to opuścili dla miasta.

I z jakiej racji?

Możnaby za odgadnięcie racji grube oznaczyć premium, będąc pewnym, że nikt nie odgadnie.

Dla resursów umysłowych, jakich dostarczają miejskie zakłady naukowe i artystyczne? — dla towarzystwa? — dla komfortu?

Jako żywo! Komfort w Gajach nie nie pozostawia do życzenia. Towarzystwo składało się z sąsiedztwa, w którym dobrać sobie można było osobników płci obojej, odpowiadających pojęciom, temperamentowi i humorowi pana Alfreda i pani Alfredowej, jak w orkiestrze wtóry odpowiadają prymom. Co się zaś resursów umysłowych tyczy, te dla obojga państwa były literą prawie martwą. Oboje państwo Pieccy byli to sobie „simplices servi Dei,” którzy się na naukach i sztukach wcale nie znali. Pan Alfred kończył wprawdzie Theresianum i nie najgorzej się uczył, ale mu z głowy wszystko wywietrzało, wszystko tak dalece, że nie wiedział, czego się w tej sławnej szkole uczył. Pani Alfredowa na pobycie na pensji znakomitej, tak samo wyszła. Małżeństwo pod tym było względem zgodne, że do

nauk najmniejszej nie czuło inklinacji, uważając je za rodzaj zajęcia fachowego, za rzemiosło, od imania się którego uwalniał ich majątek. W takim samym mniej więcej stosunku stali oni do sztuk plastycznych i wszelakich innych. Nie przemawiały one do nich. Odwiedzali galerje i muzea, bywali na koncertach i w teatrze, ale dla tego, ażeby się nie wyróżniać od ludzi. Obojętnie oglądali malowidła i rzeźby; obojętnie słuchali muzyki i śpiewu.

Więc — dla czegoż mieszkali w Wiedniu?

Dla czego?

Sami oni nie wiedzieli.

Zamieszkiwali, i już.

Cóż tam robili?

Co inni. Lato spędzali gdzieś u wód; resztę zaś roku przebywali w stolicy, w charakterze konsumentów, spożywających strawę, jaką im podawano.

Ulokowali się wygodnie, wystawnie, nawet przy pomocy tapicerów, którzy im urządzili salony i saloniki, buduary, salę jadalną, gabinety i pokoje sypialne z szykiem wielkopańskim. Pan i pani nieznali się na tem, zostawili im przeto wolną rękę, a ci, radząc się mody, stworzyli caeko istne, przedstawiające się pod postacią kombinacji mebli i ozdób dobranych wedle kształtów i barw.

— Fiuu! — odezwał się hrabia Karol Brzęcki, brat starszy hrabiny Pieckiej, gdy ją po raz pierwszy w Wiedniu odwiedził. — Szyk.. szyk.. Podejrzewam Alfreda o nieczyste zamiary.

— O jakież nieczyste zamiary podejrzewaś go można? odparła hrabina.

— O jakie!.. Niechno ja się z nim rozmówię.

Rozmówienie się nastąpiło wnet, pan Alfred bowiem zjawił się niby na zawołanie.

— Karol cię o nieczyste podejrzewa zamiary... zainterpelowała go żona.

— Naprzykład? . — zapytał.

— Kroisz na ministra.. — odpowiedział pan Karol.

-- Z czegoż to miarkujesz?..

-- Ze wszystkiego, co tu oglądam.. Co za przepych!

— I.. przepych: zkad znów! zaprotestował pan Alfred.

— Podobne stoły, fotele, dywany, franki, znajdziesz u Rotszylda chyba.

— Rotszyld przecie nie minister.

— Zapewne... Jemu o to nie chodzi, i dla tego też nie jego, ale ciebie podejrzewam.. Takie meble!

— Czyż to dla mebli ministrem zostać można?

— Jeżeli Suerberg za takie samo umeblowanie salonu, z którym się na wystawie popisał, dostał złoty medal, to ty, nie będąc tapicerem, ale hrabią galicyjskim, nie o złoty medal, lecz się chyba o tekę ministerjalną ubiegasz.

— Hm... — mruknął pan Alfred, uśmiechając się.

— A co!.. zawołał pan Karol. — Trafiliem, co?

— Trafiliś, mój kochany, jak kulą w płot... Ani o tem myślę...

— Przecie?..

— Gdyby mi nawet tekę ofiarowano, kto wie, czy bym nie odmówił..

— Czemużeś się tak okazańie instalował?

— Czemu?.. Trzeba się było urządzić jakoś... Zgłosiłem się do Suerberga; on mnie i Milci zapytał, rozpytywał, znudził nas i zdaliśmy się na niego...

Pan Karol głową kręcił, okiem znawcy po sprzętach powodził i odezwał się po chwili:

— Więc zamierzacie na stałe w Wiedniu się osiedlić?

— To jest.. — odrzekł pan Alfred. — To od Milci zależy.

— Od Milci?.. — . pochwyciła hrabina.

— Mój pan przyznać nie chce, że mu żoną posłuszną i uległą... Jego wola jest mi prawem...

— Ktoś-by pomyśleć gotów, że to prawda
— zaprotestował mąż.

Słowa jednego i drugiego brzmiały akcentem żartu.

— Koniec końcem — zaczął pan Karol
— czyjaś wola się stała, żeście się państwo z Gajów do Wiednia przenieśli?

— Milci.. — odpowiedział mąż.

— Fredzia... — odpowiedziała żona.

— Albo się przyznać nie chcecie, albo sami nie wiecie.

Sami nie wiedzieli. Świadczyło to o zgodności ich małżeńskiej. Jakoż w rzeczy samej, w wyższych i najwyższych, w średnich, w najniższych warstwach społecznych trudno by znaleźć małżeństwo zgodniejsze. Kochali się? Ij — nie koniecznie. Pobrali się przed laty kilku dla tego, że tak wypadło. Hrabiemu Pieckiemu wypadło się ożenić; więc się zeszli zbliżyli, porozumieli, trochę ludzie zapośredniczyli i skleeiło się małżeństwo. Młoda para odbyła podróż poślubną: w rok z czemś później, urodziło się im dzieciątko płci niewieściej; stosunek ich wzajemny wzmocnił się ciaśniejszym węzłkiem, ale nie sprowadził pomiędzy nich ciepła, odmiennego od tego, z jakim jedno do drugiego odnosiło się przed ślubem. Było to dobrane do temperamentu dozgonne stowaszyszenie, składające się z dwojga członków płci odmienniej. Spółka zy-

ciowa ułożyła się dla nich sama przez się. Mąż istniał dla siebie, żona istniała dla siebie; schodzili się na wspólnym gruncie i na gruncie tym nie znajdowali nic, co by ich dzielić albo też łączyć inaczej, niż byli złączeni, mogło. Dobrali się. to jest, w tej, sferze, w której harmonia małżeńska bywa dosyć rzadką, przystali do siebie.

Zamieszkali w Wiedniu, pomimo że nie wiedzieli, które z nich pierwsze pomysł ten powzięło, ani też, z kąd się on wziął.

Tego rodzaju ekspatryjowanie się nie jest u nas rzadkością. Domów polskich sporo mieszka w Paryżu bez żadnej słusznej racji. Rodzin polskich niemało wyniosło się czasu onego do Drezna i tam pozostało, pozostawiając po sobie potomstwo, dla którego obcą już jest mowa rodzinna; „Niemców” podobnych i w Wiedniu nie brak. Przodkowie ich zgoła nie wiedzieli, dlaczego gniazda swoje nad modrym pozakładali Dunajem.

Do takiego rodzaju przesiedleńców należeli hrabstwo Pieccy.

Nie było im w Gajach źle. Zachciało się im do Wiednia.

Hrabia Karol Brzdęcki podejrzewał szwagra o jakieś daleko sięgające zamiary. Podejrzewali go i inni, wszyscy prawie, co go znali — „prawie” dlatego, że się znajdowały wyjątki

które jasno sobie sprawę z pobudek tego państwa Piececkich „exodu“ zdawały. Do wyjątków między innymi należał pan Kaniowski, rządcą dóbr hrabiego. Ale o tem potem. Tymczasem zaznaczyć należy fakt podejrzenia, mającego swoją rację.

Pan Alfred uchodził za człowieka z głową, za mędrca „in partibus“, stojącego ponad stronniectwami i przekonaniem. Nie był ani stańczykiem ani demokratą, ani dzikiem ani polakiem, ani austriakiem, ani bezwyznaniowcem, ani klerykałem, ani socjalistą. lubo-ć był tem wszystkim potroszę, ganiąc i chwając jednakowo wszystkie partje i wyznania, znajdując we wszystkim strony złe i dobre, ujemne i dodatnie, i ręki do żadnej nie przykładając czynności. Gdy go ciągnięto i namawiano „ażeby przecie...“ odpowiadał:

— Nadejdzie pora... nadejdzie...

Owoż, owe do Wiednia przynosiny wzięto powszechnie za nadejście pory.

— Pan Alfred jakaś wytnie sztukę... — powiadano. Zwąchać musiał pismo nosem...

— Owa!.. — powiadał na stronie pan Kaniowski. — Jeżeli co zwąchał, to wiedenki chyba... Ale i to..

I w tym względzie wątpliwość wyrażał, z uwagi na temperament hrabiny zwłaszcza.

Gdyby hrabina uczuwała w sobie potrzebę „upadania z gracją“, tę potrzebę, którą studja psychiczne francuskie podniosły do wysokości enoty, wzbijającej się na szczyty na skrzydłach grzechu, zapewne by to cokolwiek na pana Alfreda oddziało. Hrabina wiedziała o tych psychicznych potrzebach i o przywiązanych do nich urokach, czytywała bowiem dosyć pilnie, co się o tem pisze. Ale czytywała dla przyjemności własnej, dla przepędzenia czasu. Sprawiało jej to satysfakcję, gdy się dowiadywała o doskonałej istocie, ulegającej słabościom natury ludzkiej, raz z tym, to znów z owym. Nie stosowała jednak tego do siebie nie odczuwając tych słabości w sobie. Dla niej, bohaterki najslawniejszych romansów, były tem, czem dla widzów w cyrkach akrobacji. Publiczność zręcznością ich interesuje się i bawi, ale komuż na myśl przychodzi: na linie tańczyć i koziołki wywracać? W ogromnej większości czytelnicy, wobec przykładów, jakie, w romansach znajdują, są jak widzowie wobec akrobatów cyrkowych. Wyjątkowo ten i ów skuś się i pociągnąć da. Bez tego, rodzaj akrobacyjny by zginął. Ogół atoli na przedstawienia chodzi, „seht der Fratze zu,“ płaci i bawi się. Tak się bawiła hrabina wzorami psychicznymi, co świadczyło, że ciałem i duszą należała do tego ogółu szarego i pospolitego, który nie

ezuje w sobie wyższych połotów. Nie stanowiła wyjątku, pomimo, że do zwyjątkowania się posiadała prawo i podniet nie mało.

Przedewszystkiem majątek. Jakie on prawa daje i jak za podnietę służy, o tem rozpisywać się nie trzeba.

Następnie — tytuł. O ileż urok upadku hrabiny wyższym jest od upadku pokojówki! W gruncie rzeczy jest to jedno i toż samo; w psychicznem jednak oświeteniu, jeden schodzi w dół, drugi wznosi się na szczyty heroizmu.

Dalej — młodość. Hrabina Piecka, w momencie zamieszkania w Wiedniu, liczyła lat dwadzieścia sześć skończonych.

Wreszcie — piękność. Pani Amelia nie mogła wprawdzie iść o lepsze, pod względem wdzięków z wiedenkami — raczej z typem kobiecym, jaki Wiedeń produkuje. Nie gasła jednak. Była ona przedstawicielką typu odmiennego: słusna, szykowna, rysów twarzy regularnych, szafirooka szatynka, w wyrazie oblicza i uśmiechu miała słodycz ujmującą. Podobać się mogła i podobiała się niejednemu. Mogłaby nawet temu i o wemu głowę zawrócić; na to jednak potrzeba było, ażeby się trochę postarała -- ona zaś nie starała się wcale. Przy tych stosunkach towarzyskich, jakie w salonach naszych panują, kobieta, co się o intrygę miłosną nie stara, nie zawróci głowy ani jednemu z amatorów wdzięków

niewieścich, chociażby podobną była do Afrodyty w chwili, kiedy ta niewierna Wulkana małżonka z piany morskiej wyszła. Piękność bez kokieteryj, jest obrazkiem. Obrazek się podoba, nawet zachwyty wzbudzić może; ale zachwyty tego rodzaju żadnych za sobą nie pociągają następstw. I piękność pani Amelji następstw za sobą nie pociągała. Jaśniała ona w Wiedniu, jak gwiazda; patrzano na nią, jak na gwiazdę. Szło od niej światło, nie ciepło; ku niej też również z ciepłem się nie zwracano

— Piękna hrabina Piecka ..

— O, piękna!...

W teatrze ku jej łożu zwracano binokle; na balach podziwiano jej postawę.

Wszyscy uznawali jej piękność. Nikt do niej nie przymykał.

Hrabinie o to nie chodziło, nie dla tego, żeby uczuwać miała wstręt do psychicznych eksperymentów, nie przez pruderyję żadną, ale raczej przez lenistwo ducha, pochodzące z temperamentu. Zadawała się tem, co jest; nie szukała wrażeń osobliwych, bo jej nic, żadna ducha i ciała potrzeba ku poszukiwaniom tym nie pociągała. Neuropatja, choroba taka w sferze, w której się obracała, pospolita, jej się nie czepiła. Jeżeli jeździła do wód i kąpiel, to dla tego, żeby się od innych nie różnić. Dla tej samej racji, może by się z jakim księciem,

albo z podlejszego gatunku przedstawicielem wielkiego miasta zahazardowała, gdyby w niej jaki chociażby najcieńszy nerw ku hazardom wysoko romansowym kiedy zadrgał. We względzie tym w organizmie jej panował spokój, spokój zupełny, absolutny, niczem niezamącony i zamącić się nie dający, usposabiający ją do utycia z czasem.

Spokój ten oddziaływał na pana Alfreda. Żona drogi mężowi nie wskazywała i mąż postawał na tem, co miał w domu. Po za domem nie gonił za rozkoszami dorywczezi. Uregulował sobie życie, niby zegarek i spychał godzinę po godzinie, wliczając w to i te godziny, w których się setnie nudził. Potrąciwszy bowiem spanie, śniadanie, obiad, wieczerzę, klub, porę ubierania się i rozbierania, wreszcie przechadzkę, przejażdżkę, bywanie w izbie, na manewrach, w teatrze, przyjmowanie u siebie, zawsze pozostawało sporo czasu, z którym nie wiadomo było, co robić. Przywykł jednak do tego. W Gajach się nie nudził, ale -- co tam! Znał przysłowie: „Co było, a nie jest“... i znośił z rezygnacją ciężar tych godzin paru, które w oczach jego nabierały znaczenia ofiary, pomimo, że idea ofiary, jeżeli go nie przejmowała wstrętem, to była dla niego najzupełniej obojętną. Z innego jeszcze punktu widzenia wychodząc, uważał nudy za chorobę w rodzaju

kataru, od którego w pewnej roku porze wykrecić się nie sposób.

Gdy go choroba ta napadała, próbował zażegnawać ją myśleniem.

Myślał — niekiedy o niebieskich marzył migdałach.

— Gdybym miał miliard majątku, miałbym pół miliona dochodu rocznego co czyni tysiąc czterysta dziennie... Co bym z tem robił?

Rozmyślanie w tej materji zajmowało go nieraz tak żywo, że godziny nudów upływały, jak jedna chwilka.

Niekiedy zwracał się myślą do Gajów, i majątkowe swoje analizował interesy.

Interesy jego stały dobrze. Majątek na czysto niósł trzydzieści pięć tysięcy złotych reńskich, które pozwalały mu żyć. Musiał jednak żyć skromnie. Temu przypisywał nudy i dlatego roił o miliardzie, jako o cyfrze, normalnej dostatek.

— To dopiero fortuna rzeczywista. — powiedział sobie.

Fortuny takiej z Gajów wyrubować nie sposób. Dałoby się jednak coś po nad trzydzieści pięć tysięcy wyciągnąć.

— Co?... i jak?...

Na tem polu zrajdował się na gruncie pozytywnym, zaprowadzał oszczędności w administracyjnych wydatkach, podnosił czynsze dzier-

żawne od folwarków i młynów, urządzał w lasach wyręby, zarybiał stawy. bytła opasowego liczbę powiększał, pisywał o tem wszystkim do Kaniowskiego i odczytywał jego odpowiedzi, wykazujące, co robić można, czego robić nie można i co wymaga nakładu, któryby się zapewne znalazł, gdyby „państwo hrabiostwo“ mieszkali nie w Wiedniu, tylko w Gajach.

— Jaki on mądry... — mówił do siebie pan Alfred — Nakład by się nie na jedne znalazł, gdybym Kaniowskiego oddalił i sam u siebie za rządęcę stanął..

Wydawało się mu to tak potwornem że analizowania interesów majątkowych na czas jakiś zaniechał: wołał o niebieskich marzyć migdałach — uważał to za przyjemniejsze i korzystniejsze... w stosunku do nudów.

Choroba ta napadała i panią, ale nie tak często i nie z takim naciskiem. miała bowiem na nią lekarstwo w czytaniu, do którego pan czuł wstręt nieprzezwyjęzony. Sam widok książki na nerwy mu działał, pomimo, że nerwowym wcale nie był. Akceptowało gazety i to u-miarkowanie o tyle, ażeby nie uchodzić za ignoranta w oczach ludzkich. Za to pani czytała, i czytaniem zabijała nudy, które zresztą odwracały niej od zajęcia, jakim się dama światowa oddawać musi. Śród zajęć tych, na

pierwszem miejscu stały stroje. Pozycja ich w budżecie była poważna, nie taka atoli, jak w budżecie dam, mogących się nie liczyć z wydatkami. Sześć tysięcy florenów — cóż to znaczy? Księżna Quiepsek za jedną riwierę zapłaciła dwa razy tyle, a hrabia Łopaciński na bal polski do mazura któremu się, niby sztukom akrobatycznym, przypatrywać mieli książęta, sprawił sobie żupan, przy którym każdy guzik kosztował pięć tysięcy złotych reńskich. Wedle tego miarę biorąc, pani Alfredowa miała o czem myśleć w dniu każdym od jednego do drugiego Nowego Roku. Okrywać siebie — a dziecko? Hrabstwo przyjechali z hrabianeczką dwuletnią. Tej także okrywanie się należało z każdym rokiem kosztowniejsze.

Obok okrywania szło wychowanie.

To ostatnie interesowało hrabiostwo pod względem nie tyle treści co wydatków. Wydatki na ten cel inaczej się przedstawiały w Wiedniu, inaczej w Gajach. Z Gajów oddaną by została dziewczynka Siostrom, czy to we Lwowie, czy w Jazłowcu i rodzice by nie wielkim stosunkowo kosztem spełnili swój obowiązek. Nie mieli by się o co troszczyć. W Wiedniu zaś, obok tego, że ów stosunkowo nie wielki koszt stawał się kosztem dotkliwym, wyłom znaczny czyniącym, nie wypadło dla Galicji

Żusia.

2

pomijać zakładów, protegowanych przez osoby stości najwyższe. Cóż by za sens miało przeniesienie się z Gajów do Wiednia?

Nad tą kwestją państwo Alfredostwo głęboko się zastanawiali i często ją na stół w chwilach swobodnych wytaczali.

— Gdybyśmy Żusię do Lwowa lub do Jazłowca odwieźli, co by na to ludzie powiedzieli?...

— Dawajcie jej edukację domową... — odezwał się hrabia Karol, przy którym razu pewnego kwestja ta się wytoczyła.

— Koszty straszliwe... — rzekła pani Alfredowa.

— Wcale nie... Zalczą one od gatunku metrów i guwernantek, za których przed nikim sprawy zdawać nie jesteśmy obowiązani... Metrowie jedni biorą po dziesięć reńskich, drudzy po pięćdziesiąt centów za godzinę... Weźcie do domu bonę francuskę, albo angielską za reńskich paręset; skombinujecie dla Żusi lekcje, do których się znajdują studenci na kiwnięcie palcem. metr, lub nauczycielka muzyki również się znajdzie; w końcu, przy tylu zakładach, troszczyć się nie ma co — i edukacja świetna wyszykuje się sama przez się... Księżna Lindenstein nie inaczej swoją córkę wychowywała..

— Księżna Lindenstein!... — wtrąciła hrabina tonem przekąsu.

— Że rozgaduje... bo dziwaczka, w czerwona się bawi... Ale jest w Wiedniu niemało dam *du haut parage*, co się tego chwytają sposobu... Zakłady wysoko protegowane zalewają żydóweczki, rychtujące się na księżny...

— Tak... tak... — potwierdził hrabia Alfred.

— Nie ma rady... W wieku przemysłu żyjemy i do przemysłu stosować się należy: za pomocą jak najmniejszych nakładów osiągać rezultaty jak największe... Moja rada: nie klasztory, nie pensjony nie szkoły wysoko protegowane, ale bona i reszta, jak mówiłem...

— Cóż ty na to, Fredziu?... — zapytała pani.

— A ty na to co?... — zapytał pan.

— Ja się z Karolem zgadzam...

— I ja zgadzam...

— Zusia, jak się zdaje, wyrośnie na niebrzydką istotkę... To coś znaczy, jako grunt edukacyjny.. Można być głupiuteńką, jak sroka i mieć powodzenie.

— A!... — zaprotestowała bez uniesienia hrabina.

— Zusi nie życzę być głupiuteńką.. — pochwycił pan Karol. Chciałem jeno przez to porównanie wskazać, że bez tej nawet cennej zalety, droga w Wiedniu dla istot niebrzydkich, bez względu na wychowanie ściele się sama... Czy

nie bywa u was który z tuzów?... — zapytał, patrząc na siostrę.

— Nie ubiegamy się o to... — odpowiedział pan Alfred.

Panu Karolowi chodziło o odpowiedź nie szwagra, ale siostry. Ta milczała; odpowiedź atoli czytać się dała na jej obliczu, gdyż przyjęła zapytanie z takim spokojem, że hrabia Karol wątpić nie mógł o nieistnieniu żadnej pomiędzy jego siostrą, a którym z najdosjowniejszych członków towarzystwa, styczności.

— To zaszczyt za kosztowny... — dodał hrabia Alfred.

— Korzystny jednak niekiedy...

— Naprzykład?...

— Czy nie chcesz stanowczo kierować się na ministra?..

— Na jakiego?...

— Chociażby Galicji...

— Ani mi to w głowie...

— Na twojem miejscu, pchałbym się do jakiejś ambasady...

— Ba... toby mi się podobało... Paryż...

— Nie odrazu... — pochwycił pan Karol.

— Przejść byś musiał pierwej przez Marok, Bukareszt..

— Zgodziłbym się i na to...

— Zgodziłbym się... Czemuż się nie starasz?.. Pieczone gołąbki nie spadają same do

gąbki... To się tylko żydom zdarzyło z kuro-
patwami; ale też żydzi są na wyjątkowych
u Pana Boga prawach... Ty byś się musiał po-
starać, a byłby z ciebie ambasador świetny...
Dyplomatyczny zawód w sam raz dla ciebie...
Stworzonyś na dyplomate...

Staraj się jeno...

— A jak?...

— Starajcie się oboje...

— Jak?.. powtórzył pan Alfred zapytanie.

Pani Alfredowa, która w milczeniu i jak
się zdawało, z uwagą słuchała powyższej pomiędzy
bratem, a mężem rozmowy, skorzystawszy
z chwil przerwy, jaka po ostatniem mężowskiem
zapytaniu nastąpiła, zapytała:

— Cóżby się stało z Justyną?...

— Z jaką Justyną?... — odparł pan

Karł.

— No.. z Justyną. niańką Żusi...

— Cóżby ona w Maroko, naprzykład, ro-
biła?...

— W jakim Maroko?...

— W przypuszczeniu, iżby tam Alfred
ambasadorem został...

-- Nic nie wiem o tem....

- Wszak o tem była mowa...

— Jam myślała o bonie francuzce, przy
którejby Justyna była może zbyteczną...

— Małe nieporozumienie... — roześmiał się pan Karol. — Justyna i bona w kąć idą w obec ambasady... Cóżbyś, kochana siostró, na ambasadę powiedziała?..

— Nic; chyba tylko, iżby był kłopot z przenosinami..

— To prawda... — rzekł pan Alfred. — Kaniowski mnie mocno piłuje, a piłuje za przeniesienie się z Gajów do Wiednia: o, tożby piłował, gdybyśmy się dalej jeszcze przenosili!.. I to właśnie teraz, kiedy propinacja zagrożona!..

Hrabia Karol zlekka ramionami ruszył; hrabia Alfred zapytał:

— Cóż tam z tą propinacją?

— Co!... Rozciągają ją, ci prawo, ci w lewo, chłopstwo pije i ratyfikuje ogłoszenie karczmę za świętą.

— To mu się udało... -- wtrącił pan Alfred.

— Udało się. Ukanonizował karczmę; dowód, że u nas wyrazy odpowiednie wynajdować umieją tylko nasi stańczycy...

— Nasi?... Nie nasi, bo nie moi: ja się do nich nie przyznaję...

— Ty się i do demokratów nie przyznajesz..

— No... nie...

— Tyś, kochany mój Alfredzie, urodził się

na dyplomate... Dlatego m ci ambasadę podsunął...

— Gdyby nie przenosiny .. — odezwała się hrabina.

— Prawdziwy sęk.. — dodał hrabia.

— Ej, co tam!... — zareplikował pan Karol. — Z przenosinami możnaby się załatwić...

— A Kaniowski?...

— I Kaniowskiego ugłaskać by się dało... Rzecz w tem, że się wam, moi państwo, trochę starania dołożyć nie chce...

— Starania?...

— Wszystko od Kaniowskiego zależy... — odezwał się pan Alfred. — Kaniosię nam brykać nie daje...

— Cóż znów z tym Kaniosiem!... Oddalście się mu w niewolę, czy co?...

— My jemu, on nam..

Hrabina g stem podkreśliła odpowiedź męzowską i zmieniła materję rozmowy. Zwróciła ją na Kaniowskiego. Czy zrobiła to niechcący, czyli też był to pretekst, którego się chwyciła skwapliwie? — pytanie. Rozwodziła się nad tem, że to człowiek uczciwy i na interesach się znający.

— Ale nieszczęśliwy... — westchnęła.

— W czem-że go losy prześladują?... — zapytał pan Karol z lekkiego przekąsu akcentem...

— W pożyciu domowem...

-- Jejmość figluje?... zbytki mu płaata?...

— Nic to... A! pani Rozalii nic nie ma do zarzucenia...

— Pamiętam ją... Głowy zawracała i nieprzystępną była ..

— Ale — ciągnęła hrabina — dzieci im umierają.. Rodzą się na to, ażeby świat witał i żegnać... Tak było z trojgiem...

Dochowali się chłopca jednego, i to, zdaje się kaleki...

Znów rozmowę na dyplomatyczną karierę szwagra nakręcił pan Karol. Pan Alfred zapytał w końcu:

— Cóż ci tak chodzi o to, ażebyś się na wielkiego wykierował człowieka?..

— Gdybyś znalazł na drodze brylant, czybyś go do szkatułki schował, czyli też kazał oprawić na spinkę, pierścionek lub fermuar dla żony?...

— Więc niby to maie do brylanta przyrównywasz?...

-- Oczywiście.. Chciałbym cię oprawić...

— Oprawiaj.. — odparł pan Alfred, śmiejąc się. — Jeżeli mi ofiarują ambasadę.. przyjmę, czemu nie, ale nie byle jaką.. Marokańską, na przykład, odmówiłbym. Do Paryża bym pojechał z ochotą.

Zeszła gawędka na ton żartobliwy. Pan Karol nie żartem chciał szwagra promować.

Zachcenie to wyrobiły pobudki osobiste.

Hrabia Karol Brzdęcki — złoty, w latach młodych młodzieniec, w latach owych „zadawał szyku“. Ponieważ doniosłemi rozporządzał dochodami, więc w sferze swojej pełnił funkcję prowodyra. Młodzież go otaczała, pochlebey się do niego cisnęli, panny na wydaniu tkliwe na niego zwracały wejrzenia. Lecz on swobodę cenil i siebie cenil wysoko. Od małżeństwa nie uchylał się; owszem, chciał pojąć za małżonkę, jeżeli nie Sapieżankę, to Sanguzskównę Potocką, Lubomirską, Zamojską. Strzelał wysoko; ufając swojej postawie i swemu tytułowi, dwóm zaletom, które się opierały o rezerwę kilku folwarków, pozwalających mu prezentować się szykownie na każdym miejscu i pod każdym względem. Podróżował, występował, bawił się. Gdzie go nie było? Wiedeń znał na wylot, Paryż również, odwiedzał i Warszawę. Tu, tam, wszędzie; we Lwowie nawet, protegował sztuki piękne w najpiękniejszej onych przedstawicielstwa sferze: w osobach aktorek, śpiewaczek, tancerek i w ogóle posiadaczek ponęt niewieścich, przystępnych dla tych, co się na tem znają i z groszem się nie liczą. Tą drogą, wytkniętą, przytem przegranemi tu w bakara, ówdzie w ruletę, dobijał się ręki i na tej drodze spotkał go pierwszy zawód.

Dostał odkosza.

Dostał odkosza, zanim się oświadczył.

Jedna z księżnych, czy hrabin (wymienić nazwiska do rzeczy nie należy), mających trzy córki na wydaniu dom mu wymówiła.

— Przepraszam pana — mówiła słodkim głosem, ale ja jako matka, oświadczyć panu muszę, że pan nas kompromitujesz. Na to pozwolić nie mogę. Przepraszam pana, bardzo przepraszam.

Gdyby go ścigały Furje za jakąś zbrodnię, krzyki ich nie wydałyby mu się wstrętniejsze.

— Bodajes się wściekła, babo przekłeta! — wyraził się o matce.

Wyrazy te z tem większym wypowiedział naciskiem, że chodziło mu nietylko o skojarzenie się węzłem małżeńskim, ale oraz o oczyszczenie folwarków z długów, jakie na nich skutkiem hojnego protegowania sztuki zaciążyły. A był tak pewny, że to nastąpi. Pewność czerpał w tem, że w protegowaniu sztuki, reprezentowanej przez arcytwory natury w połączeniu z wyrobami modniarek i jubilerów, spółzawodniczył z rodzonym ojcem tej, o którą chciał się oświadczyć.

Spotkał go jednak zawód.

Zawód ów byłby go o rozpacz przypawił, gdyby nie siła ducha, która mu wskazała drogę wyjścia z kłopotliwego położenia.

Siła owa wskazała mu: dzieweczki teutoń-

skie grzane w parze kotłów fabrycznych, wyrabiających miliony właścicielom onych fabryk i ojcom owych dziewczek; szlachcianeczki, córki ojców dowcipnych, co się od ruiny uchronić i sporo jeszcze dorobić potrafil; żydóweczki wreszcie anioły opiekuńcze, którym rodzice „z krydkiem i ołówkiem“ skrzydła anielskie u ramię upięli. Rzucił się pomiędzy nie młodzieniec; przerzucił się od dziewczek teutońskich do szlachcianeczek, od tych do żydóweczek i po kilkuletniej pracy syzyfowej, od ojca jednej z tych ostatnich, męża wielce szanownego, następujące usłyszał wyrazy :

— Pan golec... całkowity golec... Ja to panu mówię po przyjacielsku.. Jabym panu córkę dał, ale pieniędzy bym nie dał... Ze ona pana niby to kocha, niech kocha... na zdrowie jej. niech za pana idzie, kiedy taka głupia.

— Bodajeś zdechł, żydzie przekłety! powiedział sobie na pocieszenie.

Było to na tej drodze niepowodzenie ostatnie. Dziwiło ono hrabiego Karola tak samo; jak dziwiło pierwsze. Zkąd poszło pierwsze, zkąd ostatnie? Myślał nad tem i dla żyda znalazł usprawiedliwienie w tem, że się ostatecznie zaszargał.

— Musiał huncwot śledztwo zarządzić i doszedł. Przed żydami podobne rzeczy nie ukryją się wtajemnicy. Ale księżna? Księżniczka okazywała gotowość pochylenia się mi w ra-

miona. Księżę mi sprzyjał.. Dlaczegoż księżna? Czyż i ona śledztwo zarządziła?

Pan Karol o jednej nie wiedział, a raczej nie myślał rzeczy, o tem mianowicie, że kategoria hrabiów w Galicji dzieli się na trzy gatunki: gatunek dobry, gatunek niezły i gatunek podły. Pierwszy trzyma się zwłaszcza sztywnie względem ostatniego i osobliwego trzeba nacisku okoliczności nieprzyjaznych, ażeby pierwszy gatunek spokrewnił się z trzecim, złożonym z wnuków, niekiedy z synów wychrztów, handlarzy, ekonomów, kucharzy i t. p. Do tej właśnie kategorii wchodziło hrabstwo pana Karola. Księżę, co w nim w uprawianiu sztuk pięknych spółzawodniczył, nie miał córek na zbyciu Rekuza przeto z tej strony, pomijając wszelkie względy majątkowe, hrabiego Brzdęckiego spotkać musiała. Hrabia z niej sobie sprawy zdać nie umiał. Posadzał księżnę o śledztwo. Księżna do żadnego śledztwa uciekać się nie potrzebowała, od pierwszego bowiem przedstawienia się jej młodego i świetnego hrabiego uprzedzoną była przez spółzawodniczego z nim księcia, że nazwisko jego nie figuruje w żadnym ze starych herbarzy. Tego było dosyć, ażeby mu odmówić ręki księżniczki posażnej. Lubo odmowy tej wytłómaczyć sobie nie umiał, bardziej go jednak bolała odmowa ręki dziewczycy, której prababki siadywały nad brzegami rzek babilońskich i słu-

chały wiatrów, wiejących w lutnie zawieszono na wierzbach. Ten wypadek go irytował.

— Luby — szeptała mu przy okazji każdej — kocham ciebie...

— Luba — odpowiadał.

A ona mu na to:

— O, mój aniele! pójdziem połączeni przez świat ten zimny, przez życie bez celu..

— Bez celu? niekoniecznie — myślał sobie, obliczając swoje długi na mniej więcej czterekroć sto tysięcy złotych reńskich, a jej posag na pewnych pięćkroć sto tysięcy... srebrnych.

Miał rzecz za zupełnie pewną.

Aż tu — trzask!

Spostrzegł się że budował chatkę na lodzie.

Miał ją za gmach wspaniały, a to była chałupa. Spotkał ją też los tej, którą dziad i baba zbudowali również na lodzie.

Rozpacz go ogarnęła. Ale siła ducha podtrzymała.

Przyjął wyrok losu i rozpoczął żyć psim swędem.

Znajomości i stosunki dawniejsze ułatwiały mu przewijanie się wśród ludzi, którym, dzięki nabyciu pewnych kwalifikacyj, umiał się stawać potrzebnym niekiedy. Przy rozprawach honorowych, naprzykład, przy zakładach na wyścigach, interwencja jego bywała poszukiwana. Na wy-

ścigach dosiadał koni, gdy w programie zaznaczonem było jeżdżenie „samyh panów“, a któremu z panów zabrakło determinacji, zwłaszcza przy skakaniu przez przeszkody. Przy kartach również jego obecność i udział miały swoje znaczenie, a znaczenie podnosiła do wysokiej potęgi sprawa o uczyniony hrabiemu Karolowi w Wiedniu, w „Joekey-klubie“ zarzut, skutkiem którego odbył się sąd honorowy i hrabia wyszedł czysty, jak brylant. Mimo to jednak, brylantowości tej gatunek budził wątpliwości i podejrzenia nawet.

— Gra szczęśliwie — powiadano.

— Kombinuje — odpowiadali jedni.

— Hm... hm...? — pomrukiwali inni.

Ponieważ z dawniejszych folwarków pozostały mu dwie wioski, więc, lubo cały dochód takowych szedł na opłacanie należytości, hrabia uchodził za posiadacza ziemskiego i używał wszystkich, przywiązanych do tego stanowiska społecznych, praw. Chciał z praw tych korzystać. Podawał się na kandydata do sejmu i do rady państwa z większych i mniejszych posiadłości, jako też z miast. Za każdym razem jednak przepadał. We względzie tym wszelako doświadczenie do jednego ciekawego doprowadziło go odkrycia: sam przepadał, ile razy z kandydaturą własną występował, ale każdego popieranego przez siebie kandydata przeprowadzał.

Jako agitator wyborczy okazał się nieocenionym. Umiał zalecić polakom, rusinom, żydom stańczyka, demokratę, urzędowca, dzikiego mameluka, klerykała, bezwyznaniowca, każdego, co się do niego o pomoc zgłosił. Przy wyborach powszechnych, gdyby mógł być wszechobecnym, przeprowadził by wszędzie kandydatów swoich. Ponieważ to było rzeczą niemożliwą, poparcia jego skuteczność musiała być ograniczoną i istotna jej korzyść okazywała się gdy następowały wybory dodatkowe. Wówczas otrzymywał listy: „Mości Hrabio,“ albo, „Kochany Hrabio,“ albo, „Jaśnie Wielmożny Hrabio,“ albo, „Jaśnie Owiecony Panie,“ listy, których treść w następujących zawierała się wyrazach „Czy mogę liczyć na ciebie?“

„Możesz, — odpisywał — ale bez nakładu pieniężnego pomoc moja nie na wiele by się przydała. Kto smaruje, ten jedzie.“

Tłómaczył następnie, że powodzenie zależy od rozumnego zużytkowania nakładu.

No, i rzecz się robiła.

I hrabia Karol, nie orząc ani siejąc, żył jak ptaki niebieskie, ubierał się jak się ubierają lilje polne. Umiał się stawać potrzebnym tym i owym. Tych i owych promował.

Naleganie przeto na szwagra, ażeby się o zajęcie stanowiska urzędowego starał, pochodziło

w części z nawyku promowania ludzi, w części z pobudek; mających na celu widoki osobiste.

Życie psim swędem dobrem było jako okaz siły ducha nie upadającego ani pod ciężarem rekuzy książęcej, ani pod ciosem odkosza żydowskiego. Ale nie nadawało się ono na długą metę:

Wszystko kończy śmierć. Rzecz to wiadoma, nawet bez politycznych księdza Baki dowodów. Stanowi ona metę ostateczną, do której dochodzić potrzeba po drodze bądź wyboistej, bądź gładkiej. Hrabia Karol, któremu już czterdziestka w oczy zaglądała, żyjąc jak ptacy niebiescy, a strojąc się jak lilje wodne, myślał jeszcze, że obok tego byłoby dobrze mieć grunt pod nogami. Nastręczały mu się wprawdzie synekury, ale liche — przy bankach, przy kasach, przy towarzystwach dobroczynności, lub nawracania murzynów afrykańskich, przy akademji — albowiem i licho płatne (parę tysięcy reńskich np.: cóż to za płaca!...) i ubezwładniające na polu działalności obywatelskiej (na posadzie np. archiwisty, nie mógłby brać udziału w wyborach, dodatkowych zwłaszcza), i wywołujące prawie krzyki ze strony głupiej tromtadracji, nie uznającej potrzeby, ani pożytku płacenia za nic, zrujnowanym hrabiom.

Z tych przeto powodów, promocja szwagra, który ponieważ był do niczego, był przeto do

wszystkiego: do teki ministerjalnej, do naczelnej komendy armji, do ambasady jakiej, do przewodniczenia robotom publicznym, do kierowania oświatą, do infuły biskupiej. O tem ostatniem jeno myśleć dla niego nie można było. Młoda a do tego ładna żona, stała w tym względzie na przeszkodzie. Zatem, ponieważ to rzecz niemożliwa, niechby przynajmniej Alfred na ambasadora wyszedł... „Byłby on ambasadorem tytularnym, ja rzeczywistym.. Ej pani siostra, gdyby ona jeno zechciała.“

Z panią siostrą jednak trudna była sprawa. Czy udawała, że nie rozumie, czy też rzeczywiście nie rozumiała poddawiań brata: poddawiania jego albo mimo uszów puszczała, albo też okazywała im oporność chłodnego, flegmatycznego temperamentu, nie lubiącego schodzić z drogi bitej na ścieżki ze słyszenia jeno znane. Woląta o ścieżkach tych opowiadania słuchać, aniżeli samej się na nie puszczać. Najmniejszej w sobie do tego ochoty nie czuła, pomimo, że okazja nastęrczała się jej nieraz.

Była piękną.

Piękność posiada własność zwracania na siebie uwagi.

Ileż razy do słuchu jej dochodziły szepty z ust męzkich i us niewieścich! Pierwsze objawiały uwielbienie, drugie rozmaite uczucia, niezawsze przychylne. Pierwsze wołały: O, ty

Żusia.

3

piękna! Drugie wołały: Po co taka piękna? Przechodziła śród jednych i drugich, jakby tych szeptów nie słyszała.

Przed balem polskim, o którym gadaniny stolicę gwarem huczącym napępniały i do którego się państwo Alfredostwo, jak zwykle szykowali, przyjeżdża do nich hrabia Łopaciński na przewodnika tańców jednogłośnie przez spółrodaków wyznaczono: y — fikalski nad fikalskimi — for-tancerz na całą Europę słynny, przyjeżdża i natychmiast po przekroczeniu proga woła:

— Nie z wizytą do hrabstwa dobrodziejstwa!.. nie z wizytą, tylko z interesem!.. Hrabia mi wybacz!.. Hrabina — skłonił się z akcentem, któryby oceanczyk wziął za symboliczny wstęp do zaklinań czarnoksiężkich — mi wybacz!..

Hrabia i hrabina zaręczyli, że wybaczą

— Interes zwraca się wprost i wyłącznie do hrabiny.

— O cóż chodzi? — zapytała.

Hrabia Łopaciński przybrał minę poważną i ta zaczął:

— Na balu naszym.. — odechrząknął. — Balowi naszemu... — znów odechrząknął. — Bal nasz... hm... obecnością swoją księżę zaszczyścić raczy... Księżę i księżna i księżniczka i arcy.. i arcy.. i arcy..

Nie mógł się zatrzymać na „arcech“, aż odetchnął z głębi piersi i po odetchnieniu ciągnął dalej:

Owóż na balu naszym, ażeby pokazać naszego mazura, tak niby przyzwolicie, w świętości całej, więc ja... ja ośmielam się zainwitować hrabinę dobrodziejkę do pierwszego mazura, w pierwszej parze..

— Proszę pana... — odrzekła pół protekcji tonem.

— Hrabina mi nie odmówi... — prosił

— Czyż nie ma kogo innego?..

— Ależ... bo to... niby to jest ale niby nie ma.. A trzeba się niby pokazać... Księżę, księżna, księżniczka... Ten mazur, pani hrabino, o!... ten mazur... — tu głos zniżył i półgłosem prawił:

— Hrabia Taafe, hrabia Kalnoky, Potocki, Ziemiałkowski sam o... Pani hrabina ze mną w pierwszej parze.. Czy mogę liczyć na to?..

— Jeżeli to panu ma przyjemność sprawić..

— Mnie tylko?.. O, nietylko mnie... Europa, że tak rzeknę, cała Europa niby... Dziękuję, dziękuję!..

Poprosił o karnet, zapisał swoje nazwisko i pożegnał, spiesząc się z załatwieniem mnóstwa przedbalowych interesów.

Pani Alfredowa na balu prowadziła sławnego mazura wespół z najstawniejszym na

*

Europę, Azję Afrykę etc. fortencerem. Sprawiała wrażenie ogromne. Widzowie gapili się na nią. Prześlicznie bo wyglądała w białej powiewnej sukni, w djademie na głowie, słuszna, polotna majestatyczna, obok hrabiego Łopacińskiego.

Taniec ją ożywił, oblicze się uśmiechem oblało. oczy zajaśniały, pierś szybszym wzniosła się oddechem, a wejrzenia zwracała w stronę to jedną to drugą jakby kogoś szukała, czy wzywała.

Po tańcu też, jakby na wezwanie, stawił się przed nią, prowadzony z oznakami uszanowania przez pana Karola, młody człowiek w mundurze

— Mam zaszczyt przedstawić waszej księżęcej mości hrabinę Amelię Piecką — przemówił pan i arol z ukłonem i usunął się.

Młody człowiek obok hrabiny usiadł. Ona się wachlowała i tak achlarzem manewrowała. że nim sobie oblicze i gębs zasłaniała. Księżę coś cedzonym sposobem łamaną prawil francuszczyzną. Pani Alfredowa: „tak...” „zapewwie” — odpowiadała.

II.

Teraz, to z wizytą i z podziękowaniem mówił hrabia Łopaciński, zasiadając na fotelu, w salonie państwa Alfredostwa, pomiędzy panią po jednej, a panem po drugiej stronie, nieopodal od kominka monumentalnego, na którym, osłonięty ekranem ażurowym, suty gorzał ogień.

Z podziękowaniem — powtórzył dobitnie, kiwnąwszy głową zamasyżycie z góry na dół ku hrabinie.

— O, panie — odparła.

— A, ba . — zaczął, nadając minie akcent uroczysty. — Nasz bal. Wiedziałem ja, co robię, zamawiając sobie panią do pierwszego mazura, w pierwszej parze. . „Łopaciński Łopaciński“ gadają sobie, „fortancerz“, a tymczasem ten fortancerz ma na karku głowę, nie dla propereji tylko ..

Zatrzymał się i wasy pogładził, jakby czekając, aż przejdzie wrażenie słów jego ostatnich.

Hrabia i hrabina na głowę jego spojrzeli.

W rzeczy samej, na spojrzenie a nawet na zatrzymanie na niej wzroku na dłuższą nieco chwilę, zasługiwała ona. Był to bowiem łeb mający familijne niejakię ze łbem byczym podobieństwo. Czoło niewysokie, czupryna nisko ostrzyżona. Wąsy duże, mało co mniejsze od siwołkowskich na świat cały sławionych broda w wachlarz. Wszystko to osadzone na tułowiu silnie związanym i nieco nad wysokość i miarę średnią przechodzącym, oto, jak sławny fortancerz wyglądał

Po wyczekaniu przeto, odsapnął i tak dalej powiedział:

-- Głowa?... Wiedzieć potrzeba, że co się rozumu tyczy, mieści się on w głowie, naprzód nie tam, gdzie ludzie myślą, nie tu, (palcem sobie w czoło stuknął), tylko gdzie indziej. a potem, rozechodzi się po całym organizmie ludzkim. (ręce wyciągnął i korpusem ruch wykonał) i wchodzi w nogi... Rozum w nogach taki dobry, jak w głowie, to pewne, a dowodem na to nasz mazur. Pani dobrodziejko! — zwrócił się do hrabiny.

— O, panie! -- odparła hrabina.

— Nasz — powtórzył z naciskiem — nasz to jest: pani dobrodziejki i mój

— Ja . cóż? — zaprotestowała.

— Proszę się jeno nie wymawiać, nasz to jest: pani dobrodziejki i mój. Natura moja taka, że żadnej zalety ani zasługi tylko sobie przyznać

nie lubię. Co nie, to nie. Zasluga spada na mnie i na panią.

— Jakaż zasługa? — zapytała.

— Jaka? odparł zdziwiony. — Jaka? Toście państwo chyba gazet nie czytali?

Zapytanie tyczyło się hrabiego Alfreda.

Hrabia odrzekł:

— No tak... przeglądałem..

— Gazety w bęben biją... w taraban. To, to niby nie? co? Mazur, mazur, panie. Oho, to nie nie. Na cały świat to idzie. A tu? Czy uważała pani. jakim to ja przed księciem księżną, księżniczką i arcy... o! manewrował? Uważała to pani?

— Wyznam panu — zaczęła, niewiedząc, jaką dać odpowiedź — mnie się ów mazur wydał.. jak mazur zwyczajny.

— Co? A! Pani tak mówi przez skromność. Był to mazur nie zwyczajny, ale nadzwyczajny, fakt... fakt faktyczny polityczny, dyplomatyczny ekonomiczny, organiczny, mytyczny i socjalistyczny.

Hrabina przy wyrazie ostatnim wyraziła zdziwienie.

— Tak, tak — z zapałem hrabia Łopaciński przy swoim obstawał. Socjalistyczny... Mazura rozum głównie w nogach. Socjalistów zaś rozum, w czym? Czy także nie w nogach? Trzeba ich widzieć, gdy burdę zrobią, a policja

się pokazuje. jak oni natenczas cały rozum pakuja w nogi; jak nogami przerabiaja; jakie wycinaja susy, antrszaty, holubce nawet! To tez mazur, biorac rzecz ministerjalnie, do wszystkiego sie przystosuje i jest faktem faktycznym, politycznym dyplomatycznym. organicznym, ekonomicznym, mytycznym i socjalistycznym. Miala zreszta pani dowod. Ksiazę Manfred, jakos tylko pani po mazurze przysiadla, natychmiast do pani sie zblizył i rozmawiac z pania raczył. Nie zbliżal sie i nie rozmawial z nikim, tylko dla mazura.. O, czy to nie? Co? Czy to nie bedzie malo konsekwencyj szeroko i daleko idacych? Co? Wiedzialem ja, co robie, inwitujac pania Ministrowie, poslowie, żaden proszę państwa, ani Ziemiłkowski, ani Potocki, ani Goluchowski, ani Grocholski, ani Smolka, żaden, a dlaczego?

— Dlaczego? — powtorzyła hrabina, widzac, że gość na odpowiedź zdaje się czeka

— Dlatego, że to głowy, tylko głowy, bez rozumu w nogach. Ot, co. O atrzność zesłała fortancerza na wykazanie, na czem polega rozum istotny. Mówię to, nie dla tego, ażeby się chwalić. Ja się chwalić nie lubię ani przyznać sobie jakichś zasług wyłącznych. O, nie! Ale co prawda, to prawda. Wiedzialem co robie, zamawiając sobie pania. Jam to sprawił, że ksiazę Manfred

z panią rozmawiać raczył. O czym? jeśli zapytać wolno?

— Przyznam się panu — odpowiedziała hrabina, tonem zakłopotania — Przyznam się, że... że..

— Śmiało! — odezwał się hrabia Łopaciński.

— Nie pamiętam...

— Wszelki duch Pana Boga chwali! zawołał, a w tonie wykrzyku tego brzmiało zdumienie.

— Coś on mówił, ale...

— Po niemiecku?

— Bardzo złą francuszczyzną. Mocno kaleczył i może dlatego, z pamięci mi słowa jego wypadły. Możem go nawet nie rozumiała

Hrabia Łopaciński wyglądał, jak człowiek, co dokonał wielkiej i bardzo trudnej pracy i, po dokonaniu takowej, spostrzegł się, że się trudził nadaremnie.

— Przepraszam pana.

— Ah! pani — odparł trąc sobie dłonią czuprynę na ciemieniu — Ha, no! Nie ma co. W klubie podszedł do mnie, czego nigdy nie robił, generał von Schaubube i mówił mi, że, dzięki pani jego wysokość stał się zamysłonym. Cóż mu pani powiedziała?

— Nic.

— Panie hrabio, co pan na to? zwrócił się do pana Alfreda.

— Nie wiem. Nie uznaję się za kompetentnego w tej materji sędzięgo.

— Masz, hrabio, rację. W materji tej sędzięgo, sądu, trybunału potrzeba. Pozywam panią — rzekł, wstając i nadając wyrazom swoim akcent żartobliwy — przed trybunał potomności.

Uściskawszy panu Alfredowi dłoń, powiedział mu: „Dowidzyska w klubie.

Ta wizyta, a raczej, to, co gość w ciągu niej nagadał, nie sprawiło na hrabstwu Pieckich wrażenia, jakieby na kimś innym było sprawiło zapewne.

Po odejściu pana, Łopacińskiego, przybyło kilka płeć obojej osób z wizytami. Przez cały wizytowej pory ciąg, goście gości zmieniali i o czem innym, tylko o balu, rozmowy nie było. Tkliwość dam dzwoniła tonem podniesionym. Pytania dotyczące się rozmowy z księciem Manfredem, powtarzały się jedno po drugim, jednakie we względzie treści różne co do formy. Niektóre z pań powtarzały krążące o rozmowie owej podania winszując „kochanej hrabinie“ trafności odpowiedzi.

— Kto inny na miejscu „drogiej“ pani, nie potrafiłby znaleźć tak odpowiedniego wyrazu — mówiła jedna.

— Kochana hrabino — mówiła druga — pozyskałaś wdzięczność publiczną.

Pani Alfredowa, po rozmowie z hrabią Ło-

pacińskim, miała się na baczności. Do nieświa-
domości we względzie tego, co powszechna cie-
kawość prawła, nie przyznała się; na zapytania
dawała odpowiedzi wymijające, na insynuacji
odpowiadała bądź gestem bez znaczenia, bądź
uśmiechem dwuznacznym.

— Co to znaczy? — zapytała męża, gdy
najście wizytowe przewaliło się przez salon jak
lawina przewala się przez łąkę górską.

— H... zachciałaś.. — odrzekł. — Nie
mają ludzie czego lepszego do czynienia, więc
strzępią sobie na czym bądź języki. Czy w rze-
czy samej nie pamiętasz?

— Nie a nie. Coś tam brzęczało za wa-
chlarzem, alem na to nie zważała... Zmęczył
mnie Lopaciński, odpoczywałam..

Następnie, mowy o tem między małżeństwem
nie było. Pan Alfred poszedł na pap erosy; pani
zaś, którą w karnawale oczekiwano jeszcze parę
na salonach balowych wystąpień, zajęła się
studyowaniem toalet w dziennikach mód. Ważna
sprawa. Zajęciu temu oddają się z jednakim
nałmem wszystkie niewiasty.

Hrabina Piecka miała się zawsze na bacz-
ności ażeby, broń Boże, nie przecholować w ra-
chunkach z krawcami i modniarkami. Czyniła
to nie dla jakichś względów ekonomicznych, ani
przez żadne poświęcenie, ani też przez skąp-

stwo, ale ulegając bezwiednie zaczynowi harmonji, tkwiącemu w jej duszy

Zaczyn ów w tym, nie w innym, przejawiał się kierunku. Gdyby się przejawiał w innym kowie, coby z niej było. Tak zaś, ograniczył się na sferę pożycia małżeńskiego, w odniesieniu do której przestrzegała harmonii, nie wywołując scen domowych, nie szukając sposobności przyprowadzenia mężowi rogów i nie narażając go na wydatki, bez którychby się obejść można.

Może co do strojów, inna jeszcze działała podnieta. Przypuszczać nie można, ażeby pani Alfredowa o piękności swej nie wiedziała. Jeżeli wiedziała, to może wiedziała i o tem, że piękność zdobi sama przez się i do uwydatnienia jej zupełnie zbytecznymi są drogie materje, klejnoty i różne kosztowne dodatki. Może o tem wiedziała. Bądź co bądź, studja nad dziennikami mód, którym się oddawała, miały na celu regulowanie w kierunku tym wydatków tak, ażeby nie przekraczały sześciu tysięcy zł rocznie. I było ubogo, ale chędogo, nawet wytwornie, krawcowe bowiem i modniarki, przekonawszy się, że hrabina Piecka „skąpi“, nie prowadziły jej na pokuszenie i w interesie własnym piękną kobietę stroiły gustownie. Dobrzeby na tem wyszły, gdyby się dowiedziano, że szkaradna suknia damy, z którą ksiązę Manfred rozmawiał, wyszła z tej a tej pracowni krawieckiej! Pani Alfredowa,

mimo rzekome swoje „skapstwo“ służyła im za reklamę.

Tak to się nieraz dziwnie sprawy ludzkie układają.

Trafiła się żona, co męża na troje nie rujnowała i pracownie strojów jej w tem pomagały

Dziwne to — bardzo dziwne!

Zdarzają się bowiem kobiety :kape co na wszystkim oszczędzają: ważą kromki chleba do stołu, lieżą krupy, z praczkami się kłóca. służbę głodzą, ale mężowskiej kieszeni nie żalują na polu spółzawodnictwa, na którem o lepsze idą spódnice, staniki, narzutki, kapelusze, bufy, puffy, kolje, bransolety, riwiery, chustki do nosa etc.

Hrabina Piecka nie spółzawodniczyła na tem polu. Nos sobie wycierała w chusteczkę batystową wprawdzie, ale tego gatunku, którego tuzin kosztuje 60 razy mniej, aniżeli 600 florenów. Mimo to, ludzie kształt zewnętrzny odmierzając, na chusteczkę najmniejszej nie zwracali uwagi. Mogłaby być nie batystowa, nie lniana, ale bawełniana, jeszczeby uwagi nie zwrócili. Uwagę absorbował nos hrabiny, troszyneczkę zadarty, co jej nadawało minę impertyneucką i zarazem imponującą. „Noli me tangere!“ biło od niej, powstrzymując w oddaleniu przyzwoitem wielbicieli. Admirowano ją — z jednego mianowicie punktu widzenia, jako model. Modelem

wdzięku wrodzonego, w kształty wcielonego, przedstawiała się ona publiczności wiedeńskiej w ogóle; w szczególności jednak, jako model, służyła przemysłowi trudniącemu się wytwórczością modniarską, któremu czyniła reklamę.

Działo się to jej strony nieświadomie. Jej chodziło oto jeno, ażeby wydatki na stroje i w ogóle na odzież, trzymały się ściśle w granicach 6 000 zł., o nie więcej. Wytwórcom zaś i wytwórczyniom modnych okazów chodziło o to ażeby o każdej części odzienia, o każdej ozdóbie figurującej na hrabinie Pieckiej, mówiono; „To z pracowni Y.“ „to z magazynu Y,“ „to roboty Z.“ Wytwórcy i wytwórczynie do tego stopnia mówienie podobne cenili, że się dopuszczali względem publiczności podstępów takich, dzięki którym hrabina Piecka w jednej i tej samej sukni występować mogła razy kilka, i żaden z najbieglejszych elegantów domyśleć się tego przeciwko regułom przyzwoitości straszliwego wykroczenia, nie był w stanie. Nie domyślono się naprzykład, że suknia, w której hrabina zwróciła na siebie uwagę młodzietkiego księcia Manfreda, osłaniała jej postać po raz — o zgrozo drugi.

Gdyby się coś podobnego komu przyśniło, o, toż by w towarzystwie powstał okrzyk oburzenia! Tajemnica w tajemnicy utonęła, i z niej takie wynikło następstwo, że pracownia, z któ-

rej ta po raz trzeci przerobiona wyszła suknią. zarzuconą została zamówieniami przez wszystkie najmocniej szanujące się damy z najwyższych sfer towarzystwa stolicy naddunajskiej.

Przed wnijsciem do tej pracowni od dziesiątej mniej więcej rano do 6 wieczór stały szeregi karet, przy których policja utrzymać musiała a które przedstawiały kolekcję wielkich koni, wielkich nazwisk. książąt, hrabiów, baronów egzotycznych i domorosłych. starych i nowych, rodowych i finansowych, urzędowych i prywatyzujących. W liczbie ich znajdowały się pojazdy wysokich dygnitarzy, jako też potentatów bankowych, wywodzących ród swój od Jakóba syna Izaaka. Pracownia w formalnem była obleżeniu, w obleżeniu tem drażliwszem, że wódz onej, wielki wódz smaku modnego, uczeń wielkiego Wertha, artysta od korsarzów, talji. fatdów, tiurbiur i ogonów, ulotnił się.

Inaczej mówiąc uciekł

Uciekł wódz, mistrz, artysta.

Uciekł — nie przed obleżeniem . jednak, ale dla obleżenia.

W momencie, w którym załoga jego składająca się z bardzo szykownych panien, umiejących wysoką klientelę miłemi ujmować słówkami. wykladała interesantkom, każdej z osobna, estetyczną doniosłość kokardek, szlarczyk, węzełków, marszczeń i t. p., w zastosowaniu ich

postaci, w momencie tym mistrz zakochał się do apartamentu hrabstwa Pieckich.

— — Hrabina?.. — zapytał i dodał, kartę swoją wręczając: — Interes pilny...

Bez tego dodatku nie zostałby może wpuszczony z powodu zajęcia, jakiemu się hrabina pilnie oddawała.

Siedząc nad dziennikiem mód, wybierała dla siebie suknię balową, jak najtańszą i jak najgustowniejszą. Co do warunku pierwszego, z tym się ułatwiła jako tako. Wyrachowała, iżby mogła mieć suknię za mniej więcej sto zł. Z drugim atoli, rady sobie dać nie mogła. Wybierać miała w czem — zdecydować się nie umiała.

Wierzyła w modę, jak w przykazanie Boże, lecz nie znajdowała w niej tej, co w tych ostatnich, jedności. Rozmaitość przedstawiająca się pod postacią form i barw, deseni i dodatków różnych bałamuciła ją. Zakłopotana srodze, wpatrywała się w rysunki i nie wiedziała, co począć. Już się miała zaryzykować i na chybił trafił, wziąć pierwszy lepszy wzór, gdy jej oznajmiono przyjście mistrza z interesem.

— Ach!... — odetchnęła, jakby jej z piersi ciężar spadł.

Mistrz wszedł pospiesznie.

— Jakżem panu rada! — odezwała się — pomożesz mi...

— W czem? — zapytał.

— W wybraniu sukni balowej..

— Mam już dla pani wybraną.

— O? — zdziwiła się.

— Nie pozbyła się pani sukni blado-kanarkowej?

— Blado kanarkowej — zapytała,

— Tej... pamięta pani? — przypominał.

— Przerabianej dwukrotnie?

— Tej samej...

— No? więc?

— Przerobimy ją raz jeszcze, podkładając spódnice niteczkami złotymi, które będą wyglądały jak haft pajęczynowy. Nadamy przeto spódnicy lustr o efekcie cudownym. Gdy zaś do niej dodamy szarą ukośną, przewiniętą girlandą półukrytą w fałdach, będzie to coś... coś... o czem Wiedeń będzie miał długo do mówienia.

— Ależ to będzie kosztowało — wtrąciła hrabina.

— Nie panią... nie panią — z protestującymi gestami odparł mistrz.

— Nie mnie?

W zapytaniu tem czuć się zdawało zdziwienie, skutkiem którego mistrz odpowiedział z lekkim zakłopotaniem w głosie.

— To jest.. pani zapłaci... ale, ale nie tyle, co byś pani za nową suknię zapłacić musiała. Przeróbka liczy się mniej.

— Ile naprzykład?

Żusia.

— Nie wiem na pewno.

— Mniej więcej?

— No tak — pomyślał chwilę: — trzydzieści do czterdziestu florenów.

— Dobrze... w każdym razie, nie więcej jak czterdzieści.

— Nie więcej.

— Na pewno?

— Niechże się pani ze mną nie targuje! — odezwał się z akcentem niecierpliwości i z naciskiem na wyraz „ze mną“, chcąc zapewne dać przez to do poznania hrabinie, że on należy do potentatów, nakładających haracz dowolnie i niecierpiących we względzie tym objecki najmniejszych.

Wnet jednak akcent zmienił i dodał:

— Daję pani na to słowo honoru..

— Kiedy tak, więc.. Ale — zaczęła, jakby sobie coś nagle przypomniała. — Przeróbka! Gdyby to komu w oczy wpadło, byłabym zgubiona.

Mistrz się uśmiechnął i palcem o dekę piersiową lekko się stukając, odparł:

— Ja... ja biorę na siebie, że to w oczy nie wpadnie nikomu.

— Czy nie może się z panien która w pracowni wygadać?

— Żadna się nie wygada, bo żadna nie będzie wiedziała. Mnie o to bardziej, aniżeli pani

chodzi. Niechże się pani hrabina na mnie zda i mnie zaufa co do fasonu, kroju i gustu, a także i co do tajemnicy, którą zachować musimy nawet wobec hrabiego.

— Czy tak?

— O, tak! Mężczyźni niestety długie miewają języki.

— Tę wadę przypisują głównie kobietom.

— Niesłusznie. Ja w obronie płci pięknej stoję ze stanowczością całą, opartą na doświadczeniu. Mężczyzn się wystrzegać należy, mężczyzn szczególnie.

— A pan? cóż? nie mężczyzna?

Mistrz dłonie zacisnął, uśmiechnął się, głowę przechylił i odpowiedział:

— Trafnem jest zapytanie pani hrabiny. Tak; mężczyzną jestem, ale gatunku odmiennego. Kapłana mody zobowiązują śluby, śluby zakonne tyczące się wyłącznie tajemnic damskich. Tajemnice wszystkie są mi wiadome i wiadomemi być muszą, inaczej bowiem, nie zdołałbym maskować ich wobec świata. Na masowaniu tajemnic damskich w obec świata szkoła moja, moje kapłaństwo polega.

— Czyż są tam tajemnice jakie?

— Ah! pani hrabino. Ileż dam mógłbym w opinji towarzystwa zgubić, gdybym cząstkę jeno wiadomych mi ich tajemnic odkrył. Ale z dna studni wrzucony przedmiot wydobyć można,

ze mnie żadna potęga tajemnicy damskiej nie wydobędzie. O, nie.

— Więc? — zapytała.

— Niech mi pani hrabina zaufa i o nie się nie troszczy.

— Pod warunkiem? — zaczęła.

— Że zaufanie pani nie przeniesie złotych reńskich czterdziestu — podchwycił. — Ale do dał — i ja ze swojej strony waruneczki podam.

— Proszę.

— Pani hrabina wysokość kosztu fasonu dla własnej zachowa wiadomości

— To się rozumie.

— Dla tem pewniejszego zaś zachowania rzeczy całej w tajemnicy, przerobienie sukni nastąpić powinno tak, ażeby o tem służba nie wiedziała.

— Cóż to trudnego?

— Nie byłoby to trudnem, gdybym nie potrzebował obejrzeć jej na pani.

W rzeczy samej, było to rzeczą nie łatwą. Hrabinie wypadło się przebrać, przebrać się w pokoju toaletowym, pozostającym, równie jak i szafy z odzieżą, pod dozorem i zarządem panny służącej, istoty należącej do rodzaju stworzeń obdarzonych od natury językami długości nadzwyczajnej. Mogłaż ona tajemnicy nie zdradzić? Było to rzeczą nieprzypuszczalną. Kapłan mody jednak znalazł na to sposób:

— Wyślij ją pani gdzie daleko...

— Prawda, odrzekła hrabina.

Panna służąca została wyprawiona, i oględziny starej sukni odbyły się w jej nieobecności. Ze jednak włożenie jej i zdjęcie nie mogło odbyć się bez pomocy, pannę służącą przeto zastąpiła kobieta, której widok zdziwił nieco mistrza.

Była to bowiem kobieta nie tutejsza. Od wiedenek i od niewiast z okolicy pochodzących różniła ją przedewszystkiem odzież. Biust osłaniała koszula lniana, pod szyją wstążeczką związana i w wyszywaniach na piersiach i ramionach przyozdobiona. Na piersi zwisało jej z szyi sznurów kilka paciorków i koralik, z pomiędzy których wyglądał medalik srebrny. Głowę otaczała chustka na podobieństwo turbana, a na spódnicy w ciemno żółte pasy, przewijały się ciemnego kwiecista girlandy. Spódnicę podtrzymywał w biodrach pas czerwony, a z pod niej u spodu wyglądały nogi bosc. Te ostatnie stanowiły osobliwość w Wiedniu. Bose nogi w stolicy, rywalizującej z Paryżem? Bose nogi w grodzie, o którym prorocтва głoszą, że będzie stolicą świata? Bose nogi na dworze kobiety, co nietylko do składu towarzystwa wyborowego należy, ale w składzie tym zajmuje stanowisko gwiazdy? Wprawilo to w głę-

bokie zdumienie mistrza, którego fach polegał na złoceniu gwiazdom promieni. Przeniósł z nóg kobiety na jej oblicze wejrzenie i powiedział sobie w duchu: „Nie tutejsza“.

Oblicze jej znamionowało pochodzenie odrębne wśród międzynarodowego tłumu zapelniającego stolicę wielonarodowego państwa.

W Wiedniu, wskutek mieszania krwi, urobił się typ brukowy, który, gdyby zanalizowanie onego było możebnem, wykazałby pierwiastki najróżnorodniejsze. Złożyły się na takowe: wschód i zachód, północ i południe. W Wiedeń-czyku rzetelnym znajdzie się po odrobinie: włoch, niemiec, węgier, turek, hiszpan, rumun, słowianin etc. Słowiański pierwiastek czysty bardzo jest rzadkim, a przytem i on dzieli się na gatunki, których okazy rzucają się w oczy w świeżych przybyszach z za Karpat, z nad Dunaju, z gór Illirskich, z gór Bałkańskich, Rhodopskich, z nad wybrzeży morza Siniego, lub Czerwonego, z nad Dniestru, Wisły, Wełtawy.

Rzucają się one woczy i zastanawiają. Coś w nich uderza, jakaś osobliwość w kształtach postaci, jakiś szczególny akcent w ruchach, jakiś rys charakterystyczny, nadający wyraz obliczu.

Ten to wyraz zafrasował mistrza od mody, gdy od nóg bosych kobiety, na jej fizjgnomię wzrok przeniósł.

— Nie tutejsza. . — rzekł do siebie.

Że zaś nie był etnografem, ale krawcem, na tem więc poprzestał. Gdyby krawiectwo pozostawało w jakiej z rzeźbiarstwem styczności, przypuszczać należy, iż by zatrzymał dłużej uwagę na niektórych uwagi godnych szczegółach pomiędzy głową a nogami. Szczegóły te tyczyły się budowy szykownej i silnej — szykownej pomimo, że, wedle wzorów sądząc, kobieta liczyła lat około pięćdziesięciu. Mimo to była szykowna, co przy wzroście bardziej aniżeli średnim, kwalifikować ją mogło na model. Krawca to jednak nie obchodziło zgoła. Zdumiały go bose nogi; na oblicze spojrzął; uwagę przelotnie — że nie tutejsza — uczynił, i zajął się modelem swego fachu, brzemiennym reklamą.

Ubrana w suknię koronkowa, hrabina obracała się przodem i stroną odwrotną przed mistrzem, a ten myślał, miarkował, notował, znać, to się zbliżał, to oddalał, rzucał wyrazy oderwane, niekiedy dłuższymi okresami wypowiadał głębokie myśli, osnute bądź około karkady, bądź fałdu, bądź wycięcia gorsu, bądź ujęcia w pasie, bądź tiurnury, bądź gipiury, bądź innej jakiej tym podobnej ważnej rzeczy.

Hrabina od czasu do czasu swoje wygłaszała zdanie, zazwyczaj przez ministra milczeniem pomijane. Udało się jej jednak coś takiego powiedzieć, co go z cierpliwości wyprowadziło,

zwłaszcza, że właśnie obmyślał z falistej tkaniny na lewem biodrze ułożenie, nadające kibici akcent. Ona mu szyk myśli zburzyła.

— Ach! — zawołał. — Nie troszcz się, hrabino, o nic, nie myśl o niczem, ja wszystko obmyślę, wszystko zrobię!... Wszystko zrobię i nawet ubiorę ciebie!

Nic się bardziej pani Pieckiej podobać, nie jej bardziej dogodzić nie mogło. Całego odrazu zbyła się kłopotu. Podziękowała mistrzowi swemu. Ten suknię zawinął i z sobą do fiakra zabrał.

Po odejściu artysty, hrabina do kobiety bosej rzekła :

— No, chwała Bogu...

— Chwała Bogu — powtórzyła kobieta.

— Ależ ten niemiec paniusię moją namęczył... namęczył!...

— Cóż robić, Justyno. Gdybyś na mojem była miejscu, i ty byś się tak męczyć dała...

— Gdybym na paniusi miejscu była, w Gajach bym sobie siedziała, jak królowa jaka...

— Tak .. zapewne.. Gaje co innego, Wiedeń co innego.

— O, tak — westchnęła — że co innego, to co innego...

— Poukładaj-że w szafie porządnie, żeby Liza (imię panny służącej), gdy wróci, nie spostrzegła się, że tu przewracane było. Nie po-

trzeba, ażeby wiedziała, że suknia kanarkowa do krawca poszła.

— Co ją to obchodzi? — odrzeła Justyna, zawieszając w szafie pozdejmowane z kołków przedmioty.

— A Żusia? — zapytała hrabina.

-- Ceruje...

— O?...

— Napierała się, żebym ją cerowania uczyła... no... i, gdy mnie paniusia zawołała, wetknęłam jej w rączki pończochę pokazałam i dziecko moje siedzi nad nią..

— Przeprowadź ją..

Po chwili w buduarze, do którego się hrabina po konferencji z krawcem udała, pojawiła się dziewczynka, wykazująca sobą nie więcej nad pięć do 7 lat wieku. Z nią razem weszła i Justyna, pełniąca przy niej funkcję niańki. Dziewczynka szła przodem, ona za nią — szła i patrzyła na dziecko w sposób, do którego by się zastosować dało dokonane przoz Ujejskiego tłumaczenie z Chopina: „Oj, patrzy stara matka na swego pieszczocha; oj, tylko jedna matka tak patrzy i kocha!“

Kochanie macierzyńskie biło z oczu kobiety, którą z hrabiną łączyły stosunki służebne wprawdzie, ale ściśle i poufne, a sięgające czasów przyjścia hrabiny na świat. Justyna ją mamczyła, następnie we dworze została, aż córka

jej mleczna za mąż wyszła i ją z sobą zabrała. Stanowiła ona żywy dworski inwentarz, do osoby hrabiny przywiązany. Pomiedzy dwiema temi kobietami zadzierżgnął się węzeł serdeczny, nierozzerwalny.

Ze strony Justyny węzeł ów wzmacniała wdzięczność.

Na dworze hrabstwa Brzdęckich znalazła ona nie samą tylko służbę: znalazła ona ucieczkę, tę ucieczkę, co od rozpaczy broni. Położenie jej, lat temu dwadzieścia kilka, było jednym z tych co wyjścia nie pozostawia. Odepchnięta przez rodzinę, wzgardą okryta wobec mieszkańców wsi, myślała o zakończeniu zgryzot jednym rzutem w toni stawu, w którym się przeglądały wierzby.

Przenikała więc ją boleść sroga, a tem większa, że wydała na świat dziecię nieżywe. Znikąd pociechy.

Do uszu, do serca biednej kobiety szturmowały zewsząd potępienia i złorzeczenia. Ucieczkę przed tym szturmem ofiarował jej dwór, który nietylko ją zasłonił, nietylko dobrem słowem spotkał, ale dał jej w ręce jeszcze dzieciątko malusie, takie samo jak to, co jej z rąk wydarto. W tem dzieciątku odzyskała stracone. Pokochała je, jak własne, karmiła, nosiła, polubiła; w jej oczach rosło, na pannę wyrosło, panna za mąż wyszła, matką została – dziecię jej dla Justyny miało znaczenie wnuczęcia.

Wrosła w rodzinę.

Matkę mameczyła; córkę niańczyła.

Żusia była jej oczkiem w głowie. Ona ją najpierwsza na rękę wzięła, następnie nie odstępowała od niej. Mianowała ją naszą, jakby w wydaniu jej na świat, pomiędzy, nią (Justyną), a hrabiną zachodziła wspólność. Uważała siebie za babkę dziewczynki jasnowłosej, przez którą spotęgowało się wrośnięcie jej w rodzinę hrabstwa Pieckich, życie się z nią.

Nie wpłynęło to jednak na przystosowanie się do niej takie, ażeby nie zatarty się cechy, charakteryzujące sferę społeczną, z której wyszła.

Nie — bynajmniej.

Justyna Justyną była, i Justyną pozostawała na pańskich posadzkach.

Po posadzkach deptała bosą nogą,

Czyniono jej z tego powodu uwagi, spotykały ją przekąsy, służba ją wyśmiewała. Ona na to nie zważała. Zrozumieć nie mogła, dla czegooby miała wkładać na nogi pończochy i trzewiki na pokojach zaopatrzonych w podłogi gładkie, kiedy obchodziła się bez takowych na grudzie, na ściernisku, na bruzdach, latem i zimą.

Trzewiki? — pończochy?

Wydawały się jej one zbytciem grzesznym.

Zobowiązywały ją bowiem, jakby śluby, zwyczaje, wśród których wzrosła — może wspo-

mnienia drogie rozkosznych na bosaka z miłym wycieczek.

W wiekach średnich, jak wiadomo, mityczne do sukienki przywiązywano znaczenie Wierzenia i przesady ludowe, są to zabytki do niepoznania niekiedy zmienione, w gruncie jednak wypływające ze źródła bijącego w odległej przestrzeni. Być przeto może, że Justyna nieświadomie ze źródła tego zaczerpnęła wstręt do pończoch i trzewików, jakoteż przywiązanie do odzieży włościańskiej. Mogła była wykierować się na „pannę”. Nie uczyniła tego.

Przywiązanie do swojszczyzny było u niej silniejsze nad wszystko i obejmowało nie tylko odzież, ale całą sferę życiową, do której odnosiło się jej dzieciństwo, w której jaśniały dla niej wspomnienia świetlane lat dziecinnych i uroków kochania, zamroczonych w końcu smutkami i rozpaczą. Z przywiązaniem tem wiązało się ściśle przywiązanie do dwóch dziewczynek pańskich, co je na ręku swoim wynosiła, i z których jedna wyrosła, druga rosła na wielką panią.

A ona je — płoszki — hodowała mleczem istoty własnej, karmiła je ducha swego treścią, — treścią, którą hrabina przetworzyła po swojemu, która w hrabiankę wsiąkała do przetworzenia się w przyszłości, stosownie do współdziałania pierwiastków i wpływów tak przycho-

dzących z zewnątrz, jakoteż wydzielających się z tego duchowego wnętrza. na którego podstawie formują się skłonności, powołania, temperamenty charaktery indywidualne.

Któżby zbadać potrafił te pierwiastki, te wpływy, ten temperament, jaki się za sprawą wzajemnego czynników zewnętrznych ra wewnątrz i na odwrót oddziaływania w duszy człowieczej odbywa?...

Chemia psychiczna jest zaledwie przeczuwaną, przebijającą się z trudem wielkim przez psycho-fizyologię, pełną zagadek i znaków zapytania

Że hrabina miała coś w sobie z Justyny, co ją wykarmiła i do snu jej śpiewała, to rzecz pewna. To „coś” atoli tkwiło w głębi, a przy tem nie posiadała przymiotów materiału budowlanego w takim stopniu, jaki nabyła później. Justyna była wówczas jeszcze za młodą. To, czego mlecznej córce swojej udzielić mogła, nie skonsolidowało się w niej samej dostatecznie. Pod wpływem smutku, z jakim do dworu przyszła, chwiała się nakształt brzoźki wyrosłej wypadkiem zdała od brzozowego lasku, wśród drzew innego rodzaju. Chwiała się, cienia nie dawała, soku nie puszczała. Potrzeba było dla niej czasu na przystosowanie się do gruntu, z zachowaniem na grządkach pałacowych natury własnej. Nastąpiło to z latami.

Do hrabianki Pieckiej Justyna przystąpiła z zasobem materiału dojrzałego. Mogła się wychowawce malusiej udzielać swobodnie, dzięki zaufaniu, jakim ją matka obdarzała, jakoteż, dzięki dystrakcji, jaką hrabinie sprawiało życie w wielkiem świecie, od czasu zwłaszcza przeniesienia się z Gajów do Wiednia.

Z Gajów Justyna niechętnie się wyprawiała.

— Do czego to, jasna pani?.. Na co nam ten Wiedeń?... — pozwalała sobie czynić uwagi, gdy przenosiny postanowione zostały.

— Tak trzeba, tak wypada.. tłumaczyła jasna pani.

Tłómaczenia lepszego, hrabina udzielić nie mogła, albowiem sama nie wiedziała dobrze co ją i męża do stolicy państwa prowadzi.

Zrazu powstał był zamiar przeniesienia się do Lwowa, do stolicy kraju. Nie wiadomo, któremu z nich przyszło na myśl:

— Nie lepiej-że do Wiednia, zamiast do Lwowa?

Następnie do zapytania tego przyłgnęły uwagi: „Co Wiedeń, to nie Lwów.“ „Co stolica państwa, to nie stolica kraju.“ „Wszystko jedno, wisieć za jedną, czy za dwie nogi“.

Nie słuszniejszego, niż uwagi powyższe. Rozstrzygnęły one kwestję i zneutralizowały epo-

życję Justyny której szczególnie do przekonania trafiła ostatnia.

— To prawda — rzekła. — Kiedy wisieć. to wisieć wisieć.. no, ale ja od Zusi nie odstąpię...

I nie odstępowała od niej.

Dziecinny pokój w Wiedniu, wyglądał jak w Gajach. Ta sama kołyska, takie same sprzęty te same piosenki i przemówki i żarty i powiastki i zabawki. Dziecina zasypiała przy cichej melodji, napełniającej jej słuch szmerem łagodnym, gdy zaś najpierwsze brzaski pojęć w głowinie jej świecić poczynały, słuchała opowiadań o dziadzie, co w czerwonych butach stał we wrotach i spotykał powracające kozy, które rozpytywał, czy jadły one, czy piły; albo o kozie co miała pół boku obdartego, nóżkami tupiała, rożkami podrzucała i ogonkiem zamiatała. Bez liku podobnych opowiadań snuła z siebie Justyna, zrazu o dziadach i kozach, dalej babach, czarownicach, rycerzach, dziewicach, smokach, latawcach o gwiazdach rozkochujących się w dziewczętach, o wężach porywających księżniczki, o kozakach odjeżdżających za Dunaj etc. Końca temu nie było. Coraz znajdywała coś nowego, co przypuszczać kazało, że Justyna częścią powtarzała rzeczy zapamiętane, częścią nadrabiała własną wyobraźnią i z niej pełną garścią czerpała.

Ciekawe wypadały komentarze. Zusia

zwracała niekiedy szczególną bądź na jakąś osobistość wydatną, w opowiadaniu odgrywającą rolę, uwagę, i zapytywała naprzykład razu pewnego o kozę.

— Nie widziałas kozy?... odparła Justyna.

— Ptaszek?

— Ale gdzie tam!... Ptaszek przecie nie ma czterech nóg...

— Nie ma?

— I nie ma rogów...

— Nie ma?

— Ani brody..

— Ani brody?..

— A mleko, czy daje?..

— Ptaszek mleka nie daje — odpowiedziała dziewczynka.

— Otóż widzisz, koza ma cztery nogi, ma rogi, ma bródkę i mleko daje.

— Jak krowa?..

— Niby tak, jak krowa, niby nie tak... Krowa wielka, koza mała. Kiedyś ja tobie kozę pokażę.

Wychodząc na spacer, oglądała się Justyna za zwierzęciem, które chciała dać wychowance swojej poznać. Długo się nie trafiała okazja potemu. Aż się dostała do ogrodu zoologicznego. Kiedy się tam raz znalazła, doznała sama wrażenia podziwu w obec okazów królestwa zwierząt. W milczeniu przechodziła od kraty do

kraty, prowadząc Żusię za rączkę i otwierając szeroko oczy na strusie, żyrafy, antylopy, jeleń, łosie i inne stworzenia o kształtach niezwykłych. Milczała, zapytań dziecka nie słyszała i w duchu sobie powiadała:

— Mój Boże, Boże!... a ja tego nigdy nie widziałam.

Nagle krzyknęła:

— Aha! o!...

Pochwyciła Żusię na ręce, a wskazując jej, mówiła:

— Widzisz? patrz!

— Co? — odezwało się dziecko zdziwione.

— Nie widzisz? Toć to nasza... nasza...

— Co?...

— Cóż, jak nie koza! Widzisz? Patrz...

Przypatrz się dobrze.

Dziewczynka oczęta wlepiła. Justyna objaśniała:

— O, widzisz: cztery nogi, dwa różki, bródka, ogonek... Ogonek zawsze nosi do góry i mleko daje.

— Tylko ją o to poprosić...

— O co?

— Ażeby mleka dała?

— Eh, nie — odparła Justyna. Kozę się doi tak, jak krowę. Obok niej się przysiąda i doi. Kiedyś to zobaczysz.

Justyna westchnęła i rzekła:

Żusia.

— Kiedyś przecie wrócimy do Gajów.

— I tam są kozy ?

— Są, mówię tobie...

— Takie same ?

— Takusieńkie same. To nasza, prawdziwa nasza U nas tego boża wola. Najwięcej kóz trzymają żydzi, ale i u chrześcijan ich nie brak, u ludzi biednych. Przypatrz się dobrze tej — palcem wskazała.

Żusia się przypatrywała.

— Bo to nasza powtarzała Justyna — Wiesz, u Niemców kóz nie ma, kiedy tę tu na pokaz trzymają...

Poszły dalej. Justyna znów krzyknęła :

— O! Dalibóg, że i to nasza!

Okrzyk ten odnosił się do owcy.

O owcy się pomiędzy niańką a dzieckiem ga wędka zawiązała. Justyna opowiadała o usługach, jakie owca ludziom oddaje, o wełnie, o przędzy wełnianej, o tkaninach, podnosząc te usługi do jak największego znaczenia. Według niej, owca dobrodziejstwuje Niemców, Węgrów, Francuzów, Arabów nawet. Te cztery narodowości wymieniła i dodała :

— I wszystkich ludzi chrzczonych i niechrzczonych, jacy tylko są na świecie.

— Owca nasza — powtórzyło dziecko.

— Nasza.. nasza prawdziwa ..

Odtąd, ile razy w ogrodzie zoologicznym

z małą hrabianką była, nie omieszkiwała uwagę jej na znajdujące się w kraju naszym zwierzęta domowe zwracać i znaczenie podnosić. Z kolei odszukała wołu, konia, psa, odszukała drób: kury, kaczki, gęsi, indyki, gołębie. Natrafiła na zwierzęta dzikie. Niektóre z nich, jak: wilka, lisa, jastrzębia, wronę, klątwami obarczała; nad niektórymi z pochwałami się rozwodziła. Względy jej szczególnie posiadała sroka, zapowiadająca gości.

— Słyszysz, jak skrzeczy? Otóż ona u nas nie skrzeczy tak daremnie, jak tu... Przylata na podwórze i jeżeli na płocie zaskrzeczy, pewnością goście przyjadą.

Opowiadania te, był to niejako zrab edukacji hrabianki Dziecko przejmowało od niańki najpierwsze wyobrażenia, najpierwsze pojęcia, które je wprowadzały w świat fantastyczny, odniesiony do gniazda rodzinnego. Żusia się rozwijała; mieszkała w Wiedniu, przebywała w Gajach, opromienionych światłem uroczem, bijącym od wytworów wyobraźni, zaczerpniętych ze skarbnicy skazek, baśni, podań, klechd.

W Gajach przebywała myślą dziecinną; za myślą szło serce — serduszko, uderzające w takt pierwszych owych poczuć egoistycznych, znamionujących uczucia dziecinne. Żusia widziała siebie w Gajach w roli tej, mniej więcej, jaką odegrywa Goplana w Balladynie. Wystawiała się

bie w otoczeniu Chochlików, Skierek, Sylfów, pozostających na jej usługach, bawiących ją, pomagających jej, pomagających we wszystkim, naprzykład w cerowaniu pończoch.

Gdy do matki, po jej z krawcem konferencji, z pończochą w ręku weszła i obok niej na dywanie miejsce zajęła, po głowinie jej snuły się dziwy rozmaite, mające styczność z kazką, której opowiadanie Justyna, przez hrabinę zawołana, przerwać musiała. Zusia historję snuła dalej sama. Wezwanie do matki przerwało tę czynność. Weszła do buduaru hrabiny z odmętem w główce, podniosła oczęta na matkę — uśmiechnęła się; przeniosła wejrzenie na niańkę i jęła igłą w zasnowie cerowniczej dłubać. Justyna patrzyła na nią z dumą, niby na swoje arcydzieło.

— Cóż Zusiu... cóż mi powiesz?... odezwiała się hrabina.

-- Nic, mamó...

— Przecie?

Zamiast odpowiedzi, dziewczynka poważnie wyciągnęła z zasnowy igłę.

— Cerujesz? — zagadnęła hrabina, biorąc jej z rąk pończochę i przypatrując się robocie. Dobrze, bardzo dobrze... To Justyna ciebie nauczyła?..

Zusia na niańkę z uśmiechem spojrzała

— To bardzo dobrze — ciągnęła hrabina.

Nauczyłaś się cerować.. Czy wiesz, że będziesz się i czego innego uczyła?

— Czego, mamó? — zapytała dziewczynka zaciekawiona.

— Różnych rzeczy, naprzód czytać i pisać, potem grać, potem malować, a przytem mówić językami obcemi..

— Po niemiecku?

— Po niemiecku, po francusku, po angielsku, po włosku..

Justynie się oblicze przeciągnęło; w oczach zaświeciło niezadowolenie, które ustąpiło miejsca wyrazowi aprobacyjnemu, gdy o słuch jej obły się następujące dziewczynki wyrazy:

— Ja nie chcę po niemiecku..

— Czemu? zapytała hrabina.

— Dlatego, proszę mamy, że Niemcy szwargoczą..

Hrabina na Justynę spojrziała, palcem jej dobrotliwie pogroziła i rzekła:

— Toś ty jej to powiedziała..

— A ja, proszę jasnej pani.. Alboż to nie prawda? Szwargoczą i ani dojść, czego oni chcą.

— Nie powtarzaj tylko tego ludziom..

— Ta co ja mam komu powtarzać! Jabym tylko chciała, żeby do naszej Żusi nie stanęła taka madmozela, jak ta, co jasną panią męczyła.. Pamiętam, ah! nieraz mi się płakać chciało..

— Jakoś to tam będzie odrzekła hrabina.

III.

Suknia owa, która po raz trzeci przeróbce podległa, stała się wypadkiem epokowym. Gdy wypadek ów zajął stanowisko czynu dokonanego, artysta od strojów damskich przedstawił się hrabinie z ogromnym w ręku bukietem, który jej w hołdzie złożył.

— Niech on będzie wyrazem mojej głębokiej i do śmierci niewygastej wdzięczności.

— Toć chyba jam panu dziękować powinna.

— O! pani... Jesteś sprawczynią mojej sławy, fundatorką przyszłości...

— Tyleś pań pan odział i wszystkie świetnie...

— Zapewne... Żadna jednak tak chlubnie pracowni mojej nie przedstawiła, jak pani.

— Nie miałam tej intencji...

— Wiem o tem, i właśnie brak ze strony pani intencji to sprawia, żeś arcymodelem... Worth w Paryżu, ofiarowałby ci, hrabino milion

w prezencie. Ja na taki prezent zdobyć się nie mogę; mimo to, ośmielam się o łaskę cię prosić.

— Ależ panie — odparła hrabina — o cóż chodzi?

— Chodzi o to, ażebyś się pani hrabina, ubierała w mojej pracowni

— Nie czynięż tego od czasu, jak mieszkam w Wiedniu?

— I — ciągnął mistrz dalej — ażebyś mi wskazówek nie dawała, ani mnie o cenę nie pytała. Zostaw pani to wszystko mnie, a ja ciebie w niczem nie zawiodę. Bądźmy otwarci: karty na stół! Pani mi czynisz reklamę, któraby mnie krocie kosztowała, gdybym jej na innej szukał drodze. Czy to nie jasne?

Hrabina, niebiegła w arkanach handlowych, nie domyślała się, jaką pełni funkcję. Wzmianka o cenie, na drogę jej nie naprowadzała. Zainteresowała ją atoli ze względu na ograniczone środki, jakimi rozporządzała, odparła przeto:

— To dobrze. Bylebym przepłacać nie potrzebowała.

— O !... — zaczął mistrz.

Lecz ona go do słowa nie dopuściła.

— Bo to teraz takie ciężkie czasy — ciągnęła — i jeszcze cięższe nadchodzą... Córka nam podраста...

— Rozumiem to, pani hrabino. Niech pani będzie spokojną... Żadnej sukni, droższej nad

pięćdziesiąt, nie wydam pani z mojej pracowni i żadna z dam wielkiego świata nie będzie lepiej od pani ubrana... Przyjmuje pani taki układ?

— Przyjmuje... — odpowiedziała bez namysłu.

— Na jak długo?

— Dopóki pan zechcesz...

— Dobrze podchwycił krawiec, zadowolony przyjęciem warunku, w którym zawierał się podstęp.

Hrabina podstępu, polegającego na zobowiązaniu się warunkowem nie dopatrzyła. Trudnoby to zresztą było. Któraż piękna i młoda kobieta światowa przewiduje, że młodość minie, piękność zgaśnie, nim zaś to nastąpi, nadejdzie epoka przekwitania, wymagająca sztucznych podpór i ogromnych nakładów?

Mogłaz przewidzieć, że będzie kiedyś musiała stroje drogo opłacać? Tem trudniejszym przewidywanie takie było dla hrabiny Pieckiej w momencie, kiedy pozostawała pod wrażeniem wielkiego tryumfu, jaki osiągnęła na balu dworskim, dzięki sukni po raz trzeci przerobionej. Chłodny jej temperament moderował uniesienia. Głowa jej nie zawróciła się do tego stopnia, ażeby się fali porwać dała. Niemniej przeto hołdy zadowolenie jej sprawiały i zarazem poruszały żółć w łonie współzawodniczek, uważających się za powołane do grania roli dwoistej:

planet około których krążą satelici, i satelitek, krążących około planet Zależy to od gruntu, odbijającego się w stosunkach towarzyskich.

Grunt wiedeński jak grut berliński, tą się odznacza osobliwością że się na nim znajduje większa, aniżeli w innych stolicach obfitość osobistości, zajmujących stanowiska wydatne planetarne rozmaitego rodzaju. Śród rodzajów jeden szczególnie na zaznaczenie zasługuje, jako archeologiczny zabytek W wiekach średnich to rodów wykierowało się było na pestki zarodkowe, przeznaczone na wydanie pni i konarów, w cieniu których rozkwitać miały mocarstwa, które przez nie ocienianemi być miały. A choć wiele z nich bądź pozostało w stanie zarodków, bądź też zeszło do zera, nie mniej jednak nie przestają one wydawać płonek, z których każda niemal ogromne daje nadzieje -- nadzieje niebotyczne, niszczące się zazwyczaj.

Jedną z tego rodzaju płonek był Manfred.

Budził on nadzieje ogromne dla powodów wielu, a naprzód dla tego. że posiadał dolną wargę dużą i nie trzymającą się górnej. Znamionowało to rasę, a zaznaczało się tem, że mu język wyłaził. Hojna matka przyroda obdarzyła go językiem za długim i za grubym. Mówiąc bełkotał i trudno się zrozumieć dawał; dlatego zapewne wolał odzywać się mało i rzadko. Milczał i myślał. Ze zaś rezultat myślenia wyra-

ził się pod postacią wynalazku, mającego z rzemiosłem wojskowym niejaką styczność, przypisywano mu przeto w kierunku tym uzdolnienia, mające go wyprowadzić wysoko, na czoło armji. „Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze“, etc.

Manfred łba hydrze nie urwał i nie był dzieckiem w kolebce, liczył bowiem lat jedenaście z czemś, kiedy odkrył sposób rozstrzeliwania much. Wieść o tem zaintrygowała sfery wysokie. Zadecydowano, że się w milczącym młodzieniaszku objawiło powołanie. Dodano mu z jednej strony, biegłego w rzeczach pokoju duszy nauczyciela księdza, z drugiej, biegłego w rzemiośle wojskowym, barona von Schaubube.

Pod dyрекcją dwóch tych wielce szanownych mężów, młody na bochatera kandydat rósł i rozwijał się, rozstrzeliwując muchy tak długo, aż mu się zastosowanie do praktyki genialnego wynalazku znudziło. Znudziło mu się to, a na na miejsce wynalazku nie przychodziło nic innego. Czy się genjusz wysilił? Dyrektorowie nie przypuszczali tego, owszem, wedle zamyślenia się i przerywanego niekiedy bełkotem milczenia najdostojuńskiego pupila sądząc, podejrzewali go o głębokość, ukrywającą w sobie skarby pomysłów wielkich.

— To latorośl, która się rozwinie — powiedział nauczyciel.

— To młodzieniec piękne budzący nadzieje,
— mówił baron.

Podjeżenia te opierały się na głębokości milczącej a dumającej, która, zaniechawszy wojennych operacji przeciwko muchom, milczała i dumiała dalej. Z tego powodu w kółku poufnem, zatytułowano młodzieńca: „jego głębokością“.

Z kółka poufnego tytuł ten wymknął się na zewnątrz, i wywołał zainteresowanie się wydzielające tę „latorośl“ z pośrodku mnóstwa „latorośli“ tegoż rodzaju. Obserwowano ją z ciekawością, gdy podrasiała. Ciekawość potęgowała się w miarę, jak się kształtowała. Obserwacja odnosiła się do wszystkich szczegółów, składających się na osobnikowość młodego człowieka badaną z punktu planetarnego. Oddawała się temu szczególnie płeć piękna

Głębokość jego głębokości nie przestawała zajmować księdza i barona, którzy, każdy ze swego punktu, zbadać ją usiłował. Jeden i drugi równocześnie prawie, dostrzegli wydobywające się z niej promyki niby. Nastąpiło to w czasie, dy „latorośl“ liściem się już okryła.

— A... — zaturbował się ksiądz, składając ręce i pochylając głowę. — Byle się szatan nie wmięszał i ku bramie zatracenia go nie pociągnął...

— O... — zaturbował się baron i chrząk-

nał chrząknięciem rycerskiem — byle się nie zaszłapał.

Jego głębokość bywała na łowach, recepcjach, balach, prowadziła się poprawnie i poważnie, i wydzielala z siebie promyki, których studjowanie specjalnie przypadło w udziale baronowi, powołanemu z natury funkcji swojej do asystowania publicznie jego głębokości.

Studyowanie to zajęło lat parę ezasu i doprowadziło barona von Schaubube do rezultatu nie nader pocieszającego. Spostrzegł, że promyki wydzielają się w jednakowej ilości w obec każdej spódnicy i spódniczki, w jednakowej tak dalece, że nie czyni we względzie tym wyjątku spódnica starej nawet księżnej Lindestein, nie zasługującej na promyki, nie tylko dlatego że stara, ale i dla tego jeszcze, że była to księżna czerwona. Dostojny mąż nie umiał sobie fenomenu tego wytłumaczyć.

— Miałoby to znaczyć, że dla jego głębokości wszystko jedno?

Nadaremnie uciekłyby się do sposobów rozmaitych, mogących obserwację uzupełnić.

— „Donnerwetter!... — kłął sędziwy baron, łamiąc głową nad sposobami. Nicraz mu się ten wykrzyknik wyrывał z ust w towarzystwie. Niejednokrotnie zafrasowanie postrzegano na poważnem obliczu męża, czuwającego nad latoroślą.

Nauczyciel bo się nie frasował. — Przejdzie

to samo — myślał sobie bogobojny człowiek — nie przyszło pod postacią szatana. To szczęście że księżna Lindastein taka stara i brzydka. Księżnej lękać się nie należy.

Baron medytował nad sposobami, frasował się, klątwy ciskał, wreszcie, pychę z serca zdejmując, jał się za sprzymierzeńcami oglądać.

Poszukiwał takowych w niewieścich szeregach, w niewieścich przedewszystkiem, raz dlatego, że promyki ku niewiastom się zwracały, powtóre dla tej naturalnej racji, że w szeregach niewieścich posiadał istotę, na którą liczyć miał niejakię prawo.

Siostrzenica jego, Włoszka z ojca, wyszła za Węgra niby — niby nie Węgra, Guiepska, zajmowała stanowisko wydatne i była kobiecina, jedną z tych, co słyszą jak trawa rośnie. Pięknością się osobliwą nie odznaczała, miała jednak w sobie to, co często więcej aniżeli piękność waży: spryt. Niewielka śniadawa brunetka, zaopatrzona w oczki świdrujące, w czoło niskie i duże usta, wyglądała na istotę, co się wszędzie wświdrować i wszystkiego dopiąć potrafi, w potrzebie zaś, uderzy i ugryzie. Z jej oblicza o rysach nieregularnych, biło coś ponętne, pomimo że liczyła lat trzydzieści z okładem. Chciało się być przez nią ugryzionym i uderzonym. Pochodziło to może ztąd, że obok małżonka, dostojnego księcia

Guiepska, chłopca rosnącego i ciężkiego wyglądała na ofiarę.

Z wujaszkiem, baronem von Schaubube na jak najlepszej pozostawała stopie.

Baron się też do niej przedewszystkiem zwrócił.

— „Hucwotka“... — powiedział sobie w duchu. Zawróciła głowy dwom ministrom i jednemu bankierowi. Bankiera mam jej za złe Żyd, kto to widział.. Ale — a!... Kobiety miewają nieraz gusta niepojęte. Ze jednak ludziom głowy zawraca więc przydać się może.

Zawiązał z nią przeto, w jej buduarze rozmowę następującą :

— Juljo !..

— Wujaszeczku!..

— Dwa słowa.

— Chociażby i więcej...

— Weź ty w opiekę swoją Jego Głębokosc ..

— W opiekę gubernerską ?

— Taak...

— Młodzieniec oporny ?

— Niedomyślny...

— A .. to dobrze... Postaramy się domyślnosc w nim rozbudzić i rozwinać. *Je m'en charge*, wujaszeczku ..

— Kochane dziecko -- odrzekł baron,

zastępując temi wyrazami wyrazy podziękowania.

Podziękowanie jednak na wiatr poszło.

„Kochane dziecko“ nadaremnie rozwinęło całą taktykę formalnego obłężenia, napróżno się wysilało na podstępny uroczy; bezskutecznie działało za pomocą zaprowadzonego do subtelności flirtu: taktyka, podstępny flirt, na marne poszły — nie wywołały promyka ani jednego więcej.

Sędziwego męża przyprawiło to o rozpacz niemal. Okrzyk: „Donnerwetter!“ coraz to częściej i dosadniej z ust mu się wyrwał.

Raz, gdy grał w klubie w bakarata, mając za partnera hrabiego Karola Brzdędzkiego okrzyk ten wyrwał się mu z ust, w ciągu jednej partji, razy mało że nie dwadzieścia. Co moment brwi marszczył, wąsy rozglądał i klątwą ciskał. Że zaś wygrywał, takie przeto powtarczenie klątwy zdziwiło i zastanowiło hrabiego. Na barona spoglądał i nie mógł frasunku na obliczu jego nie dostrzedz.

Po grze przy jednym stoliku do wieczerzy zasiadali. Baron jadt z zawziętością, a bez namaszczenia gastronomicznego; wypił duszkiem — wino, niby wodę: brwi marszczył, usta wykrzywił, przez nos czmychał, widoczna chmura frasunku okrywała szlachetne jego' czoło. Otaczała je aureola frasunku. Hrabia Karol spoglą-

dał na aureolę tę pilnie i w oczach jego widać było, że medytował nad nią.

„Czy nie dymisja dostojnemu mężowi zagraża?... Czy się nie zgrał?... Czy pupil jego nie spletał zbytku, którego końców w wodzie utopić nie sposób? Czy się on sam nie potknął? Czy nie to, czy nie owo? Może mu jezuita kurtę skroił?...

— Baronie -- odezwał się wreszcie.

— Aha!.. — odparł tenże jakby przebudzony.

— Ciebie coś gryzie...

— O! tak... Gryzie mnie coś... Wydaje się mi, że kością w zębach psa głodnego...

— I zaradzić temu nie sposób?

— Gdyby kto sposób wynalazł... bah!..

— Ano?... z akcentem zapytania odpowiedział hrabia.

— Czyś ty widział kiedy, hrabio, cygana, któryby nie ukradł podsuwanej słoniny?

Hrabia się zamyślił i po chwili odrzekł:

— Może widziałem...

— Może widziałem...

— Jeżeliś widział, to wynajdziesz sposób...

Rzekłszy to, opowiedział w krótkości, po żołniersku, sytuację, jaka się wytworzyła w skutek promyków, wydzielających się z Jego Głębokości.

— Nie brałaś się do niego która?... — zapy-

tał hrabia tonem, jakim lekarz pyta o recepty, zapisywane choremu, do którego wzywają go.

— Brała...

-- Naprzykład ?...

— Księżna Guiepssek...

— A ? .. Ano... w razie takim, zaaplikować mu należy kontrast... impetyczkę zamienić na apatyczkę...

— To idea !... wykrzyknął baron — ale z kąd apatyczkę wziąć ?

-- O tem... pomyślimy...

— Trzeba jednak, żeby to było coś smakowitego...

— Naturalnie.

— I... No... Ale... Hrabio, na ciebie się zdaję z ufnością całkowitą... — rzekł, wstając i na zegarek spoglądając. — Wszak się jeszcze spotkamy.

-- W klubie...

— No, tak... Z ciebie człowiek doświadczony, praktyk.

-- Potroszę...

— Rozstali się. Upiętyło dni kilka. Przez ten czas, hrabia Karol hrabstwa Pieckich nastrajał, i kiedy się znów z baronem von Schaubube zeszedł, oświadczył mu :

— Mam osobę potrzebną...

— O ! doskonale !... No ?

To ostatnie zapytanie tyczyło się manewro-
Żusia.

wania. Hrabia Karol zrozumiał to doskonale i odpowiedział:

— Niech książę bal obecnością swoją zaszczyca...

— Uhm? — zastanowił się baron i, po chwili zastanowienia, odrzekł: — Zresztą, co tam... Dobrze. Wszelako musi to przejść przez instancje i jeżeli na jakim progu ugrzęźnie... *adio...*! A zatem... panie hrabio... w panu nadzieja...

Nadzieja w podwójnym wyraziła się kształcie: w jednym dla barona, w drugim dla pana Karola. Ten ostatni zaczął ją o krescytywę szwagra, któremu w perspektywie ukazywał ambasadę i starał się go do takowych zasoskomić. Wiedział, że nie przyjdzie to z łatwością. Leniwego ducha, pan Alfred nie dawał się popychać. Ale szedł w parze z żoną, gdzie ona, tam i on. Hrabia Karol na to liczył, wiedząc, że siostra była we względzie parzystości sobowtórem męża. Gdzie on, tam i ona. Hrabia Karol na to liczył, wiedząc, że siostra była we względzie parzystości sobowtórem męża. Gdzie on tam i ona. Kobiecość atoli pani Alfredowej dodawała mu otuchy, nie przepuszczał bowiem, ażeby się oprzeć zdawała pokusie, której siła abstrakcyjna tkwiła w próżności.

„Książę... o... — rozważał. — Kto inny nie mówię... Apatyczna Milci natura oparła by się

Apolinowi samemu, nie oprze się satysfakcji ubrania męża w rogi za sprawą księcia. To rzecz wprost niemożliwa, tem bardziej, że pomiędzy Alfredostwem doboru nie było i nie ma. Pobrali się, i tyle. Ona zaledwie się domyśla, że on mąż, on, że ona żona. Nie sposób ażeby nie doznała zadowolenia, na myśl o złotych zazdrości, gdy te obleją serca spółzawodniczek.

„Ta myśl sama przez się przyjdzie, jeżeli nasunie się jej nakształt robaczka, osłaniającego wędkę. Bądź co bądź, ona kobieta, a luboć nie wie, po co za mąż wyszła, po co z Gajów się wyniosła, po co w Wiedniu zamieszkała. próżności się nie obroni. Z innej zaś wychodząc beczi: jak nie wie po co za mąż wyszła, po co z Gajów się wyniosła, po co w Wiedniu zamieszkała, tak wiedzieć nie będzie, po co, dlaczego i jak w awanturę się wdała. Chodzi o to jeno, ażeby się nie spłoszyła. To nie trudno urządzić się da“.

Tak rozmyślał hrabia Karol przed bale, upamiętnionym mazurem, odtanńczonym pod przewodnictwem fortancerza, pełniącego funkcję swoją z przekonaniem męża stanu. Hrabia Łopaciński głęboko w to wierzył, że wykonał niesłychanie subtelny i ogromnie doniosły manewr dyplomatyczny nogami

— A co — mówił do barona von Schaubube w klubie — a co, nasz mazur!...

— *Famos...* — odpowiedział baron.

-- Co to *famos!*.. On nie tylko *famos!*...
Zobaczycie następstwa... Koniec dzieło chwali.

Baron z zagadkowym w oczach wyrazem na niego spojrział i zapytał:

— Czyś mówił z hrabią Pr?... Prd?... Prsz?... Pro?... *Teufel!*... Z nazwiskami waszemi językowi człowieczemu do końca trafić nie sposób..

— O kim myślisz, baronie?

— Wiem, o kim myślę, ale do nazwania go potrzebowałbym gębę nabić kartaczami i wystrzelić.

— Chrząszczewski -- odpowiedział hrabia Łopaciński.

— Jak? jak?

— Chrzą-szczew-ski... — powtórzył, rozkładając wyraz na sylaby.

Baron uważnie wysłuchał i odrzekł:

— Nie, nie to..

— Grąbczewski..

-- Nie..

— Krzycki...

— Jeszcze nie.

— Któż-by to Przeczki chyba..

— Otóż to? — podchwycił generał. — On sam!.. Jak go, hrabio, nazywasz?

— Przezecki — wygłosił hrabia Łopaciński do bitnie.

- Pr... Ps.. — począł baron próbować.
- Przcz... — poprawiał hrabia
- Psc...
- Nie: Przcz. . p. r, z, prz, p, r, z, c, z.

przcz...

- Pisc...
- Nie, nie tak...
- Napisz-no mi tu, koniec końcem bowiem nauczyć się muszę wymawiać to nazwisko sakramenckie...

Zadzwoił na lokaja i kazał mu przybory do pisania podać.

Dyplomata-fortancerz wyłaligrafował wyraz: Przczeki.

Baron wyrazowi temu przypatrzył się; wąsy rozgładził, jakby na to ażeby nie przeszkadzały dźwiękom do wychodzenia z ust i zaczął nazwisko kaleczyć. Hrabia Łopaciński na próżno go poprawiał, dokładając cierpliwości; dokazał jeno tego, że baron płynnie wygłaszał: prrr; -- po prrr atoli. przez dołączanie z, wychodziła potworność coraz to dobitniejsza. Barona to w końcu znudziło. Zaklął i rzekł:

— Nie!... to darmo... Czemu się polacy nie nazywają, jak ty, hrabio?... Lopasinksa... idzie samo, płynie, jest nawet śpiewne... nieprawdaż?

— O, tak — potwierdził hrabia.

— To człowiek taki światowy. elegancki,

szarmancki, model dżentlemana, nie gasnący na salonach najarystokratniejszych.

W ciągu powyższej barona tyrady, hrabiemu Łopacińskiemu twarz się przedłużyła, oczy szeroko, usta mniej szeroko się otworzyły, oblicze przybrało wyraz zdziwienia.

-- Tak się nazywać!.. Czy to się godzi? Prrr... Prrr.. Prrrst.. — jał znów baron odczytywać.

— Ależ — zainterpelował go hrabia, rękę wznosząc.

— Mimo wszelkie kwalifikacje ministerjalne ..

-- Jakie kwalifikacje?... Co za kwalifikacje...

— Dżentleman, wygadany, człowiek gładki...

Pan go znasz zresztą...

— Znam... Dziwi mnie jednak, że go znasz baron.

— Jakżebym znać nie miał!.. W klubie z nim ledwie, że nie codziennie w bakara grywam.

— Ty, baronie? z nim? W klubie... Noga jego w klubie nie postąta...

Zdziwienie przeszło na barona.

— No — zaczął.

— Przecież, to sobie taki, tak zwany fi-kalski.. „das heisst“ — wytłómaczył znaczenie tego przez Bałuckiego wynalezionego przezwiska, chłopiec zgrabny, mazurzysta, obiecujący, ale co

się ministerjalnych kwalifikacji tyczy... a!... zkąd... uhm!. -- ramionami rzucił.

— Nieporozumienie — zauważył baron.

— Co do nazwisk... tak... — zaczął hrabia.

Wielką i głęboką wyrzekł prawdę, prawdę na wskrós dyplomatyczną, prawdę niebotyczną, niezbitą... prawdę, tak.. Nazwisko Łopaciński, naprzykład...

Był to wstęp do jakiegoś dyplomatycznego wywodu, któryby się zapewne przeciągał, gdyby nie przeszkoda. Spadła ona niespodzianie i przerwała, rozmowę, a zjawiała się pod postacią hrabiego Karola Brzdęckiego. Jak skoro baron zobaczył go wchodzącego do salonu, wnet zawołał:

— Owóż i on!...

Wymówiwszy te wyrazy, wstał i na spotkanie hrabiego Karola poszedł. Spotkali się na środku salonu. Baron ujął rękę hrabiego pod ramię i rzekł:

— Idzie..

— Tak?.. — odrzekł hrabia.

— Wczoraj cztery razy pytał o nazwisko hrabiny .. Cztery razy!... Jest to coś nadzwyczajnego .. Nigdy się jeszcze nic podobnego nie zdarzyło...

— Hrabina wrażenie sprawiła?

— Jakie? Widocznie, ma nią myśl zaprzątniętą, od czasu do czasu bowiem zaświecają mu oczy jak karbunkuły...

— A?...

— Cóż dalej?...

— Dalej?... Sprawę posuwać naprzód... Kuć żelazo, póki gorące... co?...

— Byłoby to dobrze, gdyby nie apatyczność strony przeciwnej... Postępować potrzeba powoli i ostrożnie — odrzekł hrabia.

— Ostygnie...

— Ponieważ na wrażenie zbierało się długo, to i ostygnięcie nierychło nastąpi..

— Tak. hrabio, myślisz?...

— Tak wypada z porządku rzeczy...

W milczeniu dwaj panowie usiedli na kanapie, baron się zadumał i po niejakimś czasie milczenia przerwał:

— Trzeba przecie działać... — odezwał się.

— Niezawodnie... — potwierdził hrabia

Karol.

— Jak? no?...

— Uprawiać stosunek z hrabią Pieckim...

— Co to za jeden?...

— Mój szwagier... mąż tej damy...

— Ah! prawda -- zawołał baron. -- Hrabina Piecka... Tak. Jej mąż przeto?...

— Bywa w klubie...

— Grywa?...

— Jakże!... Ale w winta tylko...

— Nie znam go...

— Najłatwiej się poznać... Chcesz baronie?

Dwaj panowie stali i przechodzili z salonu do salonu, zatrzymując się tu i ówdzie dla zamienienia po parę słów ze spotykanymi znajomymi. Przegląd ten nie sprowadził pożądanego rezultatu. Pana Alfreda nie było ani przy żadnym ze stolików gry, ani w czytelni, ani w sali jadalnej, nigdzie słowem

— Chyba się do teatru wybrał... zauważył hrabia Karol. — Może jednak nadejdzie jeszcze...

Baron nie na to nie odpowiedział i szedł dalej obok pana Karola z powrotem do salonu, z którego na przechadzkę wyruszyli i jakiejś odgrzewanej anegdoty opowiadanie rozpoczął, jednej z tych anegdot, których starzy wojskowi seciny w zapasie mają — korzennej, a nieciekawej. Hrabia jednym słuchał uchem, oczyma zaś rewidował salony i znalazł wreszcie, czego szukał.

— Pewny byłem, że nadejdzie...

Hrabia Alfred siedział naprzeciwko hrabiego Łopacińskiego. Ten ostatni z ożywieniem, gestykulując, mówił głośno i po polsku, więc baron nie rozumiał, ale panu Karolowi w słuch wpadły wyrazy następujące:

— Powiadam ci, panie Alfredzie, to wielka prawda, kolosalna prawda. . . Gdyby nie nasze nazwiska, od których niemcom nagniotki na język nabiegają, wszystkie dykasterje, biura, dy-

rekcyę, wszystkie ministerja byłyby przez Polaków obsadzone... Dlatego my dwaj mamy szanse wielkie... Pan Piecki, ja. Łopaciński... Nazwisko pańskie i nazwisko moje idą tak: fiuuu... niby woda płynie Trzeba jeno, żebyśmy się starali.

— Starali?... odparł pan Alfred.

— Chodzili, deptali, kołtali. .

— Ij... daj mi czysty pokój!...

— Nie dla siebie, nie dla siebie... Mój Boże! czy to mnie o to chodzi, ażebym ministrem zostałem?.. Nie chodzi mi o to bynajmniej... ale gdybyś pan, panie Alfredzie, był ministrem sprawiedliwości, ja finansów...

— Nie wieszowałbym panu ministerswa finansów.

— Czemu?...

— Zawikłane...

— Poradziłbym na to...

— Ciekaw-em, jak?..

— Zdusiłbym żydów, niechby na mnie szli na skargę do pana, gdybyś był ministrem sprawiedliwości. Żydowi, co by do ciebie ze skargą przyszedł.. w kark... za drzwi... i byłaby sprawiedliwość. co?... he?..

— Ph! — pyknął hrabia Alfred.

— A jużbym ja z nich wydusił bebechy...

Pięść zaciśniętą pokazał.

W tym momencie hrabia Piecki hrabiego

Brzdęckiego przed sobą w towarzystwie sędziwego barona spostrzegł.

— A... — zaczął.

Hrabia Brzdęcki, w pół maskując się baronem, dokonał wedle form etykiety przedstawienia tego ostatniego.

Hrabia Piecki wstał i dłoń do uścisku nowemu znajomemu podał.

— Miło mi... Zaszczyt prawdziwy...

— Oddawna — odparł baron pragnieniem mojem było poznać człowieka tak dystyngowanego, jak pan, „Herr Graf von Pieska“.

— Ah!.. i ja, co do pana, panie baronie męża tak znakomitego, to samo czułem pragnienie... Proszę mi wierzyć, że.. że szczęście zaszczyt...

Przy zamianie frazesów powyższych. panowie pozajmywali miejsca przy stoliku złożonym, świecącym politurą na fladrze palisandrowym. Ten sam stolik rozłożony przybierał formę kwadratową i przedstawiał się z powierzchnością zieloną, ujętą w politurowane ramy. Do rozłożenia potrzebnym był rozkaz jednego z członków klubu. Po rozkaz zapewne z'awił się lokaj, lecz odszedł. nikt bowiem na niego uwagi nie zwrócił. Członków zajmowała rozmowa.

— Muszę — mówił baron do pana Alfreda powinszować panu. .

— Czego, baronie?

— Tryumfu na balu polskim żony pańskiej, „von Gräfin von Pieska ..”

Hrabia Łopaciński, na wzmiankę o balu i tryumfie, grubo odchrząknął, mocno się zmarszczył, chciał coś powiedzieć, lecz nie powiedział, pomyślał sobie jeno.

Pomyślawszy westchnął i odsapnął. Nie od razu uwagę na to, co się mówiło, zwrócił; gdy zaś zwrócił, nie zaciekała go zgoła rozmowa, która się toczyła około wybryku czyjegoś konia. Konie mało hrabiego Łopacińskiego obchodziły. Nie była to jego specjalność. Niewielką wagę przywiązywał do wyścigów nawet — krytykował je niekiedy surowo. Polityka, a właściwie dyplomacja: oto pole, na którym czuł się mocnym. Nie wiedział i nie rozumiał coby na polu tem konie do czynienia miały, i dlatego nie interesowały go one.

Co innego bale. Bale uznawał za czynnik potężny, a tem potężniejszy, że się posługiwał płcią piękną, pełniącą funkcję czótenka tkackiego w snuciu działalności dyplomatycznej. Kobiety przeto w wielkiej u niego były cenie, a ostatni bal wysoko w jego oczach podniósł hrabinę Piecką. Wysoko ją w oczach jego podniósł, liczył na nią; w głowie jego układała się jakaś, na rachubie tej uparta, głęboka kombinacja, gdy pan von Schabube do głowy mu wsunął kwestję nazwisk. połączoną z perspektywą

tek ministerjalnych. Stało się to dla niego objawieniem, upomnieniem.

Po mózgu mu deptać poczęły nazwiska, modyfikowane stosownie do ministerjalnej kwalifikacji: Lopasinksa, Pieska... Długi szereg nazwisk po tych dwóch następował, aż trafił na nazwisko Smolka.

„O! — pomyślał. — Gdyby się on, zamiast Smolka, nazywał Smorzczka, nigdy by się wysokiego nie dochrapał stanowiska, nigdy by, mimo jego wasy i inne zalety, takie zaszczyty i takie łaski na niego nie spłynęły! Nazwisko dyplomatyczne: Smolka — Lopasinksa. O!...

Cóż go, w obec takich kombinacji ważnych obchodzić mogło bryknięcie jakiegoś tam konia!

Przerwałby tę rozmowę, gdyby przerwanie podobne nie gwałciło reguł przyzwoitości. Z jego strony dosyć już było nieprzyzwoitości, że w takowej udziału nie brał. Dosyć już było nieprzyzwoitości, że się nadałaniu oprzeć nie mógł. Nadał się i słuchał, pomyśliwając od czasu do czasu:

„Kiedyż się to nareszcie skończy?“

Tymczasem baron, który był w werwie opowiadania, przypomniał sobie zdarzenie, które miało miejsce, kiedy był wypuszczonym świeżo z Theresianum podporucznikiem w dragonach.

-- Byłem młody, lat dwadzieścia prawit. — Pułkiem dowodził graf von Gruben, który umarł

feldzeigmeistrem, a miał wówczas lat sześćdziesiąt z górą. Pułkownikowa nie liczyła więcej, jak trzydzieści. Pojmujecie panowie, jakiem być musiało położenie kobiety młodej i pięknej, o, tak pięknej, że gdy ją z dzisiejszemi porównywał pięknościami, jedna tylko hrabina von Pieska porównanie z nią wytrzymuje.

To zainteresowało hrabiego Łopacińskiego, z racji kombinacji, do której hrabinę wkluczał. Nastawił słuch. Sędziwy mąż, na którego oblicze wspomnienia młodości wywołały rozjaśnienie ciągnął dalej:

— Pojmujecie panowie, jakiem było położenie takiej kobiety, przyklejonej do starego niedołęgi. Nieboszczyk feldzeigmeister von Gruben był znakomitym jenerałem, ale przytem niedołągą, co jedno drugiemu nie przeszkadza ..

Tu się baron roześmiał, słuchacze mu zawtórowali.

— W młodości, zaczął po śmiechu, inaczej było. Miał do kobiet szalone szczęście. Gdy został pułkownikiem, ożenił się. Powiadano, że się ożenił nie dla siebie. Wziął kobietę młodą, piękną, bardzo piękną i cnotliwą. Pojmujecie panowie, jakiem było jej położenie w pułku pośród zgrai młodych oficerów, połujących na cnotę niewieścią. Pojmujecie panowie?... — zapytał.

Hrabia Piecki głowę potakująco skłonił; hrabia Brzdęcki „parbleu!“ z ust wyrzucił, hrabia Łopaciński wąsami ruszył, oczekując z niecierpliwością końca opowiadania.

Baron jednak cierpliwowość jego na torturach rozciągał.

— Tu mąż niedołęga. tu zgraja młodych oficerów. „Fichtre!“ Forteca w oblężeniu, szturm po szturmie.

— Śród szturmujących najzawzięciej, podchwycił pan Karol — byłeś ty, baronie.

— Nie — odparł baron z przyciskiem. — Obserwowałem z boku, studjując sztukę oblężniczą.

— Któraś aplikował później.

— No, tak... pod Komornem przykopy prowadziłem.

— To sztuka inna — bąknął pan Karol.

— Inna, nie inna. Wierzcie mi, moi panowie, pomiędzy fortecą, a cnotą niewieścią zachodzi identyczność. W Komornie na bramie namalowana dziewczyna pokazuje figę, a z ust jej wychodzą wyrazy: „Komm, morgen“. Dlatego się ta forteca Komorn nazywa. To identyczne, całkowicie identyczne, przekonałem się, studjując szaniec, mury, podmurowania. Postrzegłem, że koledzy szturmują rozsypką. Jeden drugiemu przeszkadza. Przeszkadzali też jeden drugiemu dragoni i... pojedynkowali się. Pojedynki na

szpady, na pałasze, na pistolety, wywiązywały się jeden po drugim, sprowadzając rany, które się goiły, kalectwa, które pozostawały i do dymisji zmuszały i śmierci, które z rejestru wykreślały.

— Kompromitowało to pułkownikową — zauważył pan Karol.

— Bynajmniej. Adwersarze przecie nie publikowali istotnej wyznań przyczyny. Służył ku temu lada pretekst, nieporozumienie przy grze w karty, słówko jakieś nieznaczące, spojrzenie flirtujące cokolwiek. Preteksty nie osłaniały przyczyny istotnej, znano ją powszechnie, znał ją nawet pułkownik, który się uśmiechał jeno, ile razy się do niego o pozwolenie na pojedynek zwracano. „Schön, gut“, powiadał i pozwolenia udzielał. Dyplomata O, hrabia von Gruben był to wojskowy dyplomacją podszyty.

— Hm — odchrząknął hrabia Łopaciński, którego opowiadanie coraz to bardziej zajmować zaczynało a wzmianka O dyplomacji stanowczo zaciekawiała.

— Dyplomacją podszyty — powtórzył baron.

— Zobaczycie to panowie przy końcu... Oficerowie tedy, jak-em mówił, operowali rozsypką, otaczając pułkownikową gromadnie wszędzie, na wizytach, na balach, na rautach, koncertach, w teatrze, na wycieczkach. Patrzyłem na to

i myślałem sobie: „Taka operacja obłąnicza psu na buty się nie przyda“ Za najbardziej chybioną uważałem wycieczki, spacery. Od czasu do czasu, nad wieczorem, pułkownikowa miała zwyczaj czynić przyjażdżki konne. Oficerowie jej towarzyszyli. Pamiętam te przejażdżki, tu się sędziwy baron uśmiechnął — pamiętam: ona przodem, my za nią. Bywało nas po dwunastu, piętnastu, dwudziestu... „Donnerwetter!...“ Cóż to było!..

Westchnął stary i przerwał opowiadanie na chwilę. Korzystając z pauzy, hrabia Łopaciński wsunął:

— Sytuacja dyplomatyczna.

— O, tak — odparł baron, i jam się tego najpierwszy domyślił. Dyplomacja nasza, to jest oficerów młodych na tem polegała, ażeby wyśrubować się na adjutanta pułkownikowej. O to spółubiegano się usilnie.

— „Gdzie tu dyplomacja? — pomyślał hrabia Łopaciński. — Ale, czekajmy. Będzie tu jakieś meister-stück.“

Jakoż nie zawiódł się.

— Galopując przy odwrotnej stronie — słowa jenerała w dalszym ciągu — podziwiałem „echt“ estetyczne kształty, wyrastające z siodła w postaci posągu wychodzącego z pod dłuta Praksytelesa. Zachwycaly mnie one. Do ocenięcia należycie piękności kobiecej, potrzeba ją

Żusia

tak badać. Badałem więc. Rekognoskowałem i... czegoż doszedłem?... Oto, hrabina von Gruben, ile razy pogoda sprzyjała, odbywała konno samotną przejażdżkę. A — pomyślałem — to już coś.. Posuwałem rekognoskowanie dalej, gromadząc wiadomości i wskazówki w widokach szturm. Wypadek rozwiązanie sprowadził. Koń bryknął i fortecę zdobyłem..

— Jakże się to odbyło? — zapytał hrabia Piecki, najmniej pomiędzy słuchaczami ciekawy

— A oto, jak: Rekognoskując, znalazłem się pewnego majowego poranka na drodze, którą spodziewałem się, że pułkownikowa przejeżdżać będzie. Drogą przechodziła u stóp góry lasem porosłej, wzdłuż strumienia z szumem po kamieniach biegnącego. Poranek był prześliczny, pełen woni kwiatów i szczebiotania ptasząt słowik kończył swoje nokturny.

— Jak to baron poetycznie opowiada — wtrącił pan Karol.

— Bo też się rzecz ułożyła poetycznie. Zeszedłem nad strumień i kiedym dla obserwacji na drogę wracał, wynurzyłem się z gąszczu w chwili, gdy pułkownikowa nadjechała. Może nagle ukazanie się, przestraszyło konia: bryknął i jeźdźcy przez łeb mu się zwała. Zrobiło się to w jednym oka mgnieniu. Zdobyłem się na tyle przytomności i zręczności, że hrabinę

w powietrzu pochwycił. Zemdloną odniosłem nad strumień.

— I zdobyłeś fortecę... — dodał pan hrabia Karol.

— Gdybym był w warunkach takich nie zdobył, byłbym się ze wstydu pod ziemię schował.

— I koniec? — hrabia Łopaciński tonem człowieka w oczekiwaniu zawiedzionego zapytał:

— Nie koniec, ale początek. Zdobycie fortecy było przełamaniem lodów. Cnota na lodach odplynęła i nie powróciła, aż na starość, a nieobecność jej spowodowała pośpiech, z jakim następnie awansował hrabia von Gruben, w którego domu wysokie figury często gościć lubiły.

— Mojem zdaniem — zaczął hrabia Łopaciński — ta dyplomacja mojem zdaniem... mojem zdaniem...

— A mojem zdaniem — przerwał hrabia Karol — dobrzebyśmy zrobili, gdybyśmy partijkę zegrali.

Propozycja została przyjęta. Lokaj klubowy rozłożył stolik, podał karty, kredki, szcotteczki i czterej panowie oddali się zajęciu, będącemu dla umysłu, czem są dyby dla nóg.

IV.

Z łatwością domyśleć się można, że opowiadanie o hrabinie von Gruben, była to inwytacja wysłana pod adresem hrabiego Alfreda. Apatyczność jego żony podchodziła pod ten sam mianownik, co cnotliwość pułkownikowej. Tej ostatniej przełamanie lodów, świetne dla jej małżonka sprowadziło rezultaty. Są jednak małżonkowie i małżonkowie. Jedni, wzorem nieboszczyka von Gruben, ku świetnym rezultatom podążają, innym nie chodzi o takowe.

Pan Alfred marzył wprowadzić niekiedy o miliardzie; ale naprzód marzył o takowym wówczas, kiedy się nudził, powtóre, nie myślał zgoła starać się o dojście do takiej ogromnej fortuny; potrzecie, wiedział, że do fortuny, jeżeli prowadzi teka ministerjalna, to nie sama przez się ale, przy pomocy zabiegliwości, do której nie czuł w sobie ochoty najmniejszej.

Nie miał ochoty, nie zaś uzdolnienia, co się bowiem uzdolnienia tyczy, nie rozumiał, w ja

kim względzie, w jakim kierunku, na jakiej drodze zabraknąćby mu go mogło. Wyobrażenie miał o sobie weale dobre. Miał się, krótko powiedziawszy, za geniusz, nie zapoznany, ale taki, co się dać poznać nie raczy. Dlatego, gdyby mu co ofiarowano przyjąłby a -- kto wie, możeby i nie przyjął.

O zajęcie stanowiska wysokiego chodziło nie jemu, ale dwom ludziom: panu Karolowi, chcącemu się za pomocą szwagra podreparować i hrabiemu Łopacińskiemu, któremu ćwiekiem w łeb dyplomacya wlaża i, skutkiem rozmowy o nazwiskach polskich z baronem Schaubube, ukazała się pod postacią nową a jasną i ponętą. „Teka ministerjalna — phi!” Ponętmem to było, odkrywało bowiem perspektywę ważnych następstw, przedewszystkiem zaś „duszenia żydów.“ Wymagało jednak ofiary: zmodyfikowania Łopaciński na Lopasinska i Piecki na Pieska.

Wybrał Pieckiego na towarzysza dla siebie z racji hrabiny. Kobiety w dyplomacji tyle znaczą! Hrabinę mazur wyprowadził na dyplomatyczną drogę. Był to powód aż nadto dostateczny, ażeby małżonkowi jej dać stanowisko w gabinecie. Było to koniecznem. Na drodze stała przeszkoda: potrzeba zmodyfikowania nazwiska.

„Piecki -- Pieska?... — powtarzał sobie

hrabia Łopaciński w myśli. A nuż szlachcica mucha ukąsi i zmodyfikować nie zechce! Bo to nasza szlachta taka: muchom się powodować daje... muchom! ... To nieszczęście!.. Uprze ci się szlachcie, jak osiołi ani rusz naprzód, trzeba go za ogon w tył ciągnąć. Już ja Pieckiego pociągnę, o!...

Ufał sobie i w wyobraźni własnej kreślił obraz, który go w zachwyt wprawiał. Widział siebie, ministra finansów, w mazurze, w pierwszej parze z hrabiną Piecką, panią ministrową sprawiedliwości. Zachwycało go to, naprzód jako obraz, ale bez porównania bardziej i mocniej jako krok dyplomatyczny.

Minister w mazurze! minister fortancerz!
Co za wrażenie na Europę, na cały świat!
Minister finansów!

Układał sobie, że zmieni guzy. Myślał o tem dawniej, ale zadłużył się na guzy po 5,000 zł. sztuka, i nie mógł zdobyć się na ponowienie wydatku o wiele znaczniejszego. Obliczył, że koszt guza przyzwoitego, guza należytego, odpowiedniego godności szanującego siebie człowieka, koszt takiego guza wynosić powinien 25 do 30 tysięcy zł. Wydatek taki przedstawiał się mu pod postacią zadania nierozwiązalnego. Mnożenie dawało w rezultacie 360 tysięcy. Pożyczyłby — na to był zdecydowany, ale na u-

dziczenie pożyczki, zdecydować by nie zdołał żadnego żyda w żaden żywy sposób.

Sposób i decyzja znalazłyby się, gdyby został ministrem finansów.

„Hunewoty! — z pożyczkami by mi się napraszali.“

Bardzo mu więc chodziło o zdobycie teki dla siebie i dla hrabiego Pieckiego.

Po balu polskim nadchodził bal dworski. Hrabia Łopaciński nie ubiegał się o udział w takowym; winogrona za wysoko dla niego wisiały, uważał je przeto za kwaśne, tłumacząc, komu należy: że na salonach dworskich mazur zbyt podrzędną odegrywa rolę. Etykieta go przygniata i obniża. Przytem fraki są „de riguer“ on zaś do fraka nie miał, jak się wyrażał, „przychapienia“. Guzy przy fraku — gdzie je przyłepić?

— Głupstwo — powiadał.

Powiadał to samo i hrabia Piecki, ale zaproszenie otrzymał. Zaproszenie dla siebie i dla hrabiny.

Odmówić nie wypadało

Nie wiedział, z kąd na niego spadł ten zaszczyt.

— Widzisz — rzekł do żony.

— Widzę — odrzekła.

— Cóż ty na to?

— A cóż!...

Rozmówili się.

Że jednak panu Alfredowi chodziło o źródło zaszczytu, bez któregoby zaszczyt nie mógł się obejść, napadał więc tych, których o sprawadzenie takowego podejrzewał.

— Toś ty mi, panie Leopoldzie, szpasika tęgiego urządził.

„Leopold” było to hrabiego Łopacińskiego imię chrzestne

— Ja!?... — zaprotestował. — Wszelki duch!...

-- Któż?

-- Czy ja wiem! Ale...

Zamyślił się.

— Co? - zapytał pan Alfred.

— Słuchaj no... Tu idzie nie o kpiny.

— Wiem mniej więcej, o co idzie.

— Wiesz mniej, aniżeli więcej.

— Naprzykład?

— Zgłoś się na bal nie jako graf Piecki, ale jako, graf von Pieska.

— To jest... niby: graf z pieska ..

— Nie to, ale bo widzisz.

— Ja się na taką kombinację nie piszę

— Nie chodzi o to, ażeby się pisać na to, lub na owo, ale o to, ażeby tekę ministerjalną uchwycić.

— Kpisz, czy o drogę pytasz? zareplikował hrabia Alfred

— Posłuchaj-no mnie panie Alfredzie. To nie kpiny. Kpinami szlachta nasza wszystko zbywać lubi. Nie mówię tego do ciebie, broń Boże; ale tak, w ogóle. Pora jednak pozbyć się tej słabości, tego występku tej zbrodni.

— Z wysoka bierzesz — wtrącił pan Alfred.

— Tej zbrodni! — wykrzyknął pan Leopold; po chwili dodał głosem perswazji, i wziął się w kupę.

— W kupę, hm...

— Inaczej nie dojdziemy do celu

— To prawda.

— A więc, kochany panie Alfredzie, nie graf von Piecki, ale graf von Pieska.

— Co to, to nie.

— Czemuż? zapytał hrabia Łopaciński tonem proźbą nabrzmiałym.

— Ośmieszylbym się.

— Ale byś został ministrem.

— Niech mnie ministrem zrobią, nie niemam przeciwko temu, ale nie wstąpię do gabinetu z wygląającym z pod półfraka ministerjalnego lisim ogonem.

— Ha! Na innej trzeba będzie kołatać drodze.

— Wymawiam sobie jeno ażeby, podchwycił hrabia Alfred, — kołatanie się bezemnie odbywało. Chodzi mi o to tem bardziej, że twoja, kochany

hrabio, nieczłoność, wróży bardzo dobrze. Minister sprawiedliwości będzie z ciebie znakomity. Będziesz żydów grzmocił, co się wlezie. Ja będę dusił, ty grzmocił. Zrobimy porządek. „Addio!”

Rozmowa powyższa miała miejsce w gabinecie hrabiego Alfreda, w gabinecie zaopatrzonym w sprzęty ministerjalne. Biura szerokie sukniem zielonem obite, posiadające szuflady, szufladki pułeczki, pulpity, było to najszlachetniejsze „bureaux” ministerjalne, szafy i pułki nosiły techniczną nazwę „bibliothèque-ministre”; fotele krzesła, kanapy pod tę nazwę podchodziły, niemniej jak przybory do pisania wytworne i eleganckie, ułożone porządnie i symetrycznie. Ułożenie nie było dziełem tapicera.

Hrabia się do tego nie wtrącał, tylko następnie przestrzegał nienaruszalności układu pierwotnego. Nie wolno było przestawiać, ani posuwać.

Lokaj, co sprzątał i prochy ścierał, powinien był wszystko na swoim kłaść miejscu, nie wypróżniając stojącego obok kosza, aż się napełni. Owóz kosz ów od lat trzech, jak hrabstwo w Wiedniu zamieszkali, napełnił się kopertami zaledwie do połowy. Świadczyło to o niewielkiej rozległości korespondencyjnej. Hrabia mało pisywał, rzadko też listy otrzymywał.

Biuro jego przechowywało pierwotną, nadaną mu przez tapicera dziewiczość. Taką

samą dziewiczość zachowywała biblioteka, świecąca nieobecnością książek. Za to nie brakło biustów ustawionych dla ozdoby, przedstawiających wielkich mężów: Tacyta i Cycerona w togach, Goethego i Schillera w perukach, Napoleona I i cesarza Aleksandra I w mundurach, orangutana i goryla w stroju natury. Te dwa ostatnie służyły do urozmaicenia perspektywy. Perspektywicznym wymaganiom czyniły zadość jak wszystko, co się w gabinecie włościciela Gajów znajdowało. W szafach nawet perspektywy nie brakło: nie zasłaniały jej książki, których brak panu Alfredowi bynajmniej nie zawadzał, albowiem uczuwać się nie dawał.

Po odejściu hrabiego Leopolda, czas jakiś hrabia Alfred pozostawał w absolutnym ducha spokoju. Nie myślał o niczem — zapewne wypoczywał — po rozmowie dyplomatycznej. Powoli, stopniowo, nakształt powracającej fali, myślenie zaczęło mu do głowy napływać i wpłynęło pod postacią zapytania:

— Ki djabeł mi tę inwitację sprokurował?

Podejrzywałem Łopacińskiego dla tego, że mu dyplomacja we łbie pokutuje; ale nie: byłby się przyznał. Czy nie Karol?

Wraz ze sformułowaniem się zapytania tego, lokaj wszedł i podał kartę wizytową.

— Prosić — rzekł hrabia, nie ruszając się z kanapy, na której wpół leżał.

— Do salonu?

— Nie, do mnie.

W chwili później zjawił się pan Karol, który po przywitaniu się ze szwagrem i zajęciu miejsca na fotelu, rozpoczął rozmowę od zapytania:

— Jakże ci się podobał stary von Schau-bube?

— Ot, niemiezysko

— Zachwycony tobą.

— Jest bo czem. Czemu go zachwycić mogłem?

— Hm?.. Ot — podobałeś się staremu i kwita.

— Ale, ale: słyzałem dostaliście inwitaację

— Toż nie twoja sprawa?

— Zkąd-że!...

— No, widzisz. A ja mam być przekonany, żeś to ty nam ten zaszczyt sporządził. Podejrzewałem dyplomatę, a mam mocniej podejrzewał ciebie.

— Niesłusznie

— Zkąd-że się to wzięło?

— Widocznie w górze mają dla ciebie widoki.

— Nie gadaj!

— Jeżeliś się o inicjatywę nie starał, to

niczego innego domyślać się nie można. Wieloński dla usankcjonowania swego świeżo nabytego hrabstwa i ciężkim trudem wykołatanego szambelaństwa, tłucze się po Wiedniu, jak Marek po piekle, pcha się z audjencji na audjencję. Ziemiałkowskiego po rękach całował i... inwitacyi nie dostał.

— A nazywa się Wieloński.

— Więc cóż z tego?

— Gdybym się przezwał Pieska, wnet bym ministrem został.

— Mógłbyś zostać i bez i bez tego.

— Chyba. — I Łopaciński się w końcu na to zgodził.

— Cóż on?

— Ano, on i ty uwzięliście się na wypchanie mnie na stanowisko wysokie. Pchajcie!

— Dasz się pchać? — z uśmiechem zapytał pan Karol.

— Cóż mam począć! Uwzięliście się na mnie. Mnie satysfakcję sprawia patrzenie na wasze zabiegi

Pan Alfred nie pytał szwagra, czy będzie na owym balu, o który się tak ubijano.

Nie potraçał tej materji przez delikatność. Od czasu niehonorowej sprawy w klubie, z której pan Karol wyszedł z honorem, niemożliwem się stało pokazywanie go w zbyt widnych miejscach. Zrobił się z niego gość żenujący. On to sam ro-

zumiał i nie narzucał się, wybierając te jeno drogi i ścieżki, na których zużytkować mógł zdolności swoje i maskując manewry, któremi się posługiwał. Zaproszenie hrabiostwa Alfredostwa było jego dziełem. Wykombinował je do spółki z baronem von Schaubube na rzecz promyków, jakie widok hrabiny Amelii wywoływał w oczach księcia Manfreda, w którym podejrzewaną genialność potrzeba było koniecznie poruszyć. Genialność ta bowiem ugrzęzła, niby wóz w błocie. „Latorośl” tyle obiecującą rozpromienił nieco widok pani Alfredowej, a stosunek jej do pana Karola wprowadził w styczność z nim „latorośli” tej piastuna.

Oto źródło, z którego inwitacja wypłynęła. Hrabia Alfred, dzięki mądrości, jaką sam sobie przyznawał, źródła dojść nie był w stanie. Zaciekawilo go ono. Rozmówił się z żoną, zapytał hrabiego Ł. pacińskiego, pogadał z panem Karolem; spostrzegłszy jednak, że dochodzenie wymagałoby starań szczególnych, dał temu pokój.

Na balu hrabina wystąpiła w sukni, podszytej tajemnicami, znanemi jeno jej i krawcowi. Krawiec w tym wypadku bodaj czy nie stanął na równi z Fidiaszem. Gdyby spytać tych, co dzieło jego na posadzkach salonów, przy blasku światła ulewnych, na tle zwierciadeł, złoczeń, barw oglądali, kto wie, ażaliby mu nie przyznali nad Fidiaszem wyższości. „Te” zwłaszcza, to jest,

damy, zdanie to wyrażały wyrazem podziwu. roziskrzonego oprawianą w uśmiechy urocze zawicią. Utworów Fidiasza żadna by tak nie podziwiała i żadna by się w obec nich tak nie uśmiechała.

Może się niejednej żółć rozlała i na żółto oblicze zabarwiła, ale barwa ta, acz patriotyczna w Wiedniu, przez blansz i róż przebić się nie mogła. Tryumf krawca był zupełny.

Tryumf krawca był zupełny, ale nie jedyny.

Wraz z nim tryumfowała hrabina Piecka.

Tryumfowała nietylko jako manekin służący do wykazania doskonałości pracowni krawieckiej, ale sama przez się. Ściśle rzecz biorąc, nie była ona najpiękniejszą wśród okazów wdzięków niewieścich, jakich dostarczył Wiedeń do spółki z prowincją i zagranicą. Piękniejszych od niej snuło się sporo.

Ona atoli miała w sobie coś swego własnego, coś co ją wyodrębniało, co jej cechę indywidualną nadawało: jakiś akcent szczególny. Było-li to tem, co pan Karol „apatycznością“ nazywał? Może. Apatyczność wśród niewiast, którym ubrana w formy światowe zalotność nadawała cechę wspólną, które jedna drugą przedrzeźniały, posługując się w jednym duchu krygami, flirtażem i wszelkimi sposobami, mającemi na celu usidlanie osobników płci odmiennej, a-

patyczność wśród niewiast tego rodzaju odbijać musiała. Musiała się wydawać osobliwością. Osobliwość każda uderza

Bez szukania przeto przyczyn nadzwyczajnych, w tej osobliwości że hrabina Piecka w tłumie istot, ubranych w suknie powłoczyste, zajętych usidlaniem istot we frakach i mundurach zachowywała istotną, z natury jej płynącą obojętność, w tej osobliwości przyczyny jej tryumfu szukać należy.

Oglądano ją zdaleka i zbliżka

W gronach formujących się przypadkowo, mówi no o niej i we wszystkich językach powtarzano: „Piękna“

Młodzi i starzy, żonaci i żonatymi być mający dostojnicy kazali ją sobie przedstawić i, do niej się przysiadając, prawili jej łaskawie komplementy

Z ust do ust podawano sobie wiadomość: „Mała hrabina“,

Oznaczało to, że ta, uderzająca osobliwością jakąś pięknosć, jest małżonką drażkowego hrabiego, że z nią zatem sprawa nie może być trudną.

W tym sensie wiadomość przyjmowały figury wysokie jako też bogacze, którzy patrząc na nią, oczy przymrużali, od stóp do głowy wzrokiem ją mierzyli i zachwycali się.

Zachwycił się i ksiązę Manfred.

Zachwycał się i emokał.

Dostojnicy chodzili z „małą hrabiną“ w tancie. Zaszczyt ten spotkał ją trzy razy. Zamierzał i on zaszczyt ten jej wyświadczyć, ale zdecydować się nie był w stanie, czuł bowiem, iżby zemdłał, gdyby ją w polce, czy w walcu w pół objął. Zemdłałby na pewno. Poprzestać więc musiał na admiracji zdaleka, co barona von Schaubube napełniało radością niewysłowioną.

— To pójdzie — mówił do siebie — to się stanie ostrogą, od której młodzieniec, jak koń arabski, naprzód ruszy.

Uznawał przytem przestrożę pana Karola, który radził nie naglić, ale systematycznie posuwać rzecz dalej i dalej, ograniczając posuwanie na dostarczaniu sposobności,

„*Der Kerl* (t. j. pan Karol) doświadczonym jest w rzemiośle“.

Rzemiosła nie nazywał, musiałby bowiem i do siebie zastosować to miano (*der Kerl*) wzgardliwe.

Hrabiostwo, z balu wracając, znaleźli się w karecie jedno obok drugiego.

— No, Bogu dzięki — odezwał się hrabia, dając przez to do zrozumienia, że rad jest powrotowi do domu.

— Bogu dzięki — zawtórowała hrabina.

— Tyś się jednak nie nudziła, jak ja. Parę razy, o mało-m nie zasnął, siedząc.

Żusia

8

— Mnie się nie podobnego nie przytrafiło.

— Nie przytrafiłoby się i mnie, gdybym był tak, jak ty, chwywany. Nie opuściłaś tańca chyba ani jednego

— Zdaje się — odrzekła od niechcenia i, nie żenując się męża, ziewnęła należycie i głośno. Otóż będę spała — dodała.

— Nie zaśnij jeno nim dojedziemy — tonem przestrogi rzekł pan Alfred. — Byłby kłopot z przeniesieniem cię do łóżka.

Kłopot ten nie nastąpił. Przenosiny z karety do łóżka uskuteczniła pani Amelia przy pomocy nóg własnych-

Gdy się do sypialni swojej dostała, doznała uczucia zadowolenia na widok łóżka.

— Prędeż, prędeż nagliła pannę służącą, co się do rozbierania jej z szat balowych stawiała.

Nie zrobiła tego nawet, czego nie zaniedbuje żadna z powracających z balu kobieta: nie dokonała ostatniego w zwierciadle rzutu oka na postać swoją. Dopuściła się występku. Wiedziała, jak wyglądała przed balem, nie obeszło jej zgoła, jak wyglądała po balu.

— Prędeż, nagliła służąca.

I ta pospiesznie odpinała, zdejmowała, ścigała, rozsznurowywała, rozcinała, aż hrabinę rozebrała ze wszystkich obłon. Nie pozostawiła jej atoli w stroju Ewy. Koszulę dzienną zasta-

piła co rychlej nocną i pani Alfredowa do łóżka się już kwapiła, gdy Liza rzekła:

— A włosy?

— Ah! — odrzekła hrabina z akcentem niechęci i usiadła na krześle, zalecając służącej, ażeby nie marudziła.

Gdyby nie to, byłaby spać poszła w koafurze balowej.

Służąca się spieszyła, mimo to jednak, nie mogła rozplatać warkoczów, czesać i związać włosów z pośpiechem takim, ażeby zapobiegła ziewaniu, które panią Amelię opanowało, i uprzedziło klejenie się powiek, które się same zlepiały. Wreszcie włożyła jej na głowę czepeczek. Senna weszła do łóżka i nim głowę na poduszce złożyła, już spała.

Jakaż dama światowa zdobyłaby się na coś podobnego?

Któraż po powrocie z balu najprzód by się uważnie nie obejrzała, następnie godzin paru nie spędziła na odtwarzaniu w pamięci zdarzeń, dotyczących szczegółów i szczegółików chwil, spędzonej na arenie publicznej?

Bal dla kobiety jest popisem, z którego stanowiący o powodzeniu stopień otacza zagadkowość. Na balu rozpoznać się on nie daje: przeszkadza temu, jeżeli nie upojenie, to samo roz-targnienie. Odgadywaniu oddać się można dopiero w osamotnieniu, w ciszy, w obec zwier-

ciadła, służącego do sprawdzania domysłów i przypuszczeń.

Następnie to zwykle po rozmowie z panną służącą, zadającą zapytania i czyniącą spostrzeżenia i po odejściu jej trwa, — trwałoby bez końca, gdyby nie znużenie, które nakoniec uczestniczkę balu przemocą prowadzi do łóżka, nie na to atoli, ażeby zasnęła, ale ażeby w dalszym ciągu snuła odgadywania aż do wprawienia nerwów w rozdrażnienie gorączkowe. Wówczas doza morfiny, udzielona przez jednego z oddanych na usługi dam światowych lekarza, nerwy uspokaja i sen sprowadza. Wynikają ztąd następstwa smutne, te atoli nie należą tu do rzeczy.

Pani Alfredowa po dworskim balu zasnęła tak, jak zasypiają dziewczęta wiejskie po zżęciu kopy na łanie. Głowa do poduszki, i już. Liza musiała jej kołdrę na ramiona naciągnąć. Spała snem twardym, kamiennym, poświstywała zlekka przez nos i spała do dziesiątej nazajutrz jednym ciągiem. O dziesiątej obudziła się. Było to obudzenie się przedwstępne. Byłaby sobie jeszcze pospała, ale jej przeszkodziła Justyna.

Justyna z Zusią na kolanach siedziała pod oknem i, jak skoro ziewnięcie hrabiny usłyszała, wnet się odezwała:

— Dzień dobry paniusi!.. Paniusia spi, a to już dziad z za dziesiątej przyszedł góry.

— Aaa, ha — ziewnęła hrabina na ostateczne rozbudzenie. Któraż to?

— Południe niedaleko. Na dworze taka szaruga, że niech Pan Bóg jedyny broni. Przychodziliśmy już dwa razy do paniusi na dzień dobry z Żusią.

Dziewczynka podeszła do matki do łóżka, ta ją ucałowała, obok siebie posadziła i Justynie odpowiedziała:

— Późno-śmy przyjechali... zmęczyłam się.. a!..

— Paniusia dużo, musi być, tańcowała.

— Tańcowałam, ale mnie nie tyle zmęczyły tańce, które szły z rejestru.

— Z rejestru? tańce? — podchwyciła zdziwiona Justyna. — Któż to widział takie tańce!...

— Taki zwyczaj.

— O, już to te zwyczaje wiedeńskie. Bodaj ten z piekła nie wylazł, co Wiedeń wymyślił!... Prawda, że się tu człowiek na dziwa napatrzy, jak te żyrafy naprzykład z temiszyjami długimi na parę chłopów, albo te słonie z trąbami zamiast nosów, albo te krokodyle, októrych powiadają, że ludzi połykają, ale wolę ja nasze Gaje bez żyraf, słoniów, krokodyłów. Gdzieżby kto w Gajach przy tańcowaniu o rejestrze pomyślał! Tańcuje sobie, kto zechce i już. Te rejestry to niemieckie wymysły. I pa-

niúncia — zapytała w końcu — wedle rejestru hop?

— Coś tak, moja Justyno.

— A toć ja, dalibóg, uciekłabym od takich tańców na kraj świata, do jakiego lasu.

Wszczynała kwestję, przedebatowaną już nie raz i nie sto razy. Może dlatego, ażeby tej kwestji nie wznawiać, hrabina się odezwała:

— Nie wiesz, czy pan hrabia już nie spi?...

— Ot, nie wiem. Jak-em tu szła, cicho było po tamtej stronie.

— Dowiedz-że się.

Po odejściu jej, hrabina przygarnęła dziecko do siebie, a gładząc jej czołko, zapytała:

— Żusia była grzeczna?

— Tak, mamó.

— Nie słyszałaś, jak mama przyjechała?

— Nie słyszałam... Alem ja wiedziała?

— O czem?

— Że mama i papa pojechali, ale powrócą...

— Chybaż przypuszczać niemogłaś, iżbyśmy nie powrócili?.. co?..

— Ja nie wiem.

— Iżbyśmy nie powrócili do Żusi?

— Justyna opowiadała o matce, co odjechała i nie powróciła.

— Opowiadała ci o takiej matce? To była chyba matka bardzo zła.

Rozmowę matki z córką przerwało wejście Justyny.

— Jasny pan śpi — odezwała się głośno.

Hrabina spojrzała na zegarek i pocisnęła za dzwonek. Zjawiła się Liza z po za portjery.

— Co pani rozkaże?

— Kąpiel.

Panna służąca znikła, a po chwili słyszeć się dał szum wody, lejącej się z kranów do wanny w łazience oddzielonej od pokoju sypialnego dwiema izbami.

Gdy szum ustał, panna służąca powróciła.

— Gotowa — rzekła.

Hrabina kołdry odrzuciła i z łóżka się zsunęła, wsuwając nogi bosc w ciepłe, miękką flanelę wyłożone, a z wierzchu w hafty przyozdobione pantofelki. Cudne to były nogi i piękne pantofelki. Przysłonił je długi, ciepły szlafrok, który okrył postać kobiety o kształtach posagowych. W chwilę później kształty te w całej wystąpiły świetności. Harmonia linii, urok zaokrągłych, życiem dysząca karnacja, barwa skóry, ton całości pełnej ruchu w nieruchomości, wszystko to na jeden króciutki momencik przedstawiło się oczom Lizy. Szkoda, że na miejscu Lizy nie znalazł się jaki Apelles, albo Praksyteles!

Ten króciutki momencik stareżyłby mu na-

zaopatrzenie się w natchnienie na długo — na życie całe. Tak zaś, pozostało to bez następstw. Hrabina w wannę się zagłębiła, a Liza za nią stanęła i na głowie jej czepeczek nocny na czepeczek kauczukowy zmieniła.

Kąpiel wzmocniła panią Amelię i oczyściła jej ciało z mikroskopijnych przylepek, napęliających sale balowe zarazkami, które obsiadają gors, ramiona, oblicze, nogi. uda kobiece i przy usługach spówdziałaniu potu, szczepią choroby straszliwe.

W wonnej wodzie płuskała się, myła, mydła nie oszczędzała; gąbkami się wycierała; wreszcie, nad nią Liza prześcieradło rozpostarła i ona się w nie zawinęła.

— A, jak to dobrze! — rzekła.

Te słowa wielką w sobie higieniczną zawierają prawdę.

Po balu się wyspała należycie i oczyściła z tych rozkoszy balowych których wyrazem są zarazki

Zdaje, się że hrabina Piecka, acz higieniczny czyn na sobie spełniła spełniła takowy nie dlatego, ażeby o higienie pojęcie miała i do jej przepisów się stosowała, ale dlatego, że ją instynkt prowadził i zachcenia budził, a środki pozwalały zachceniom dogadzać. Dogodziła więc takowym. Wykąpała się należycie.

Z łazienki przeszła do izby toaletowej

i tam powierzyła się Lizie, która ją czesaała, w bieliznę świeżą przyodziewaała, pończochy wkładała, w gorset sznurowaała, stroiła i wystroiła.

Strój był to poranny. W ubraniu takim dama wielkoświatowa pozwala sobie jeno podglądać profanom nienależącym bądź do otoczenia jej najbliższego, bądź do wybrańców, którym wolno więcej, niż ogółowi śmiertelników. Tym ostatnim wolno oglądać, tamtym podglądać. Pani Amelia — zaznaczyć to należy — nie troszczyła się ani o tych, ani o tamtych, z tej prostej przyczyny, że nie wytworzyła sobie koła wielbicieli faworyzowanych. Nie starała się o to. Zatem, gdy ją Liza wystroiła i do przejrzienia się w zwierciadło wezwaała — obejrzała się i rzekła.

— Dobrze.

Rzuciła jednak wyraz ten tak obojętnie, że Liza usta sobie przygryzła

— Możeby tę wstążeczkę czerwoną na błękitną zmienić? — zapytała, wskazując kokardkę na rękawie.

— Jak chcesz — odpowiedziała. Mn e się zdaje, że i czerwona ujdzie.

— Jeżeli ujdzie, niech zostanie.

Liza, panna służąca wysokiej sfery, należąca do arystokracji służbowej, dlatego się jeno hrabiostwa Pieckich trzymaała, że była dobrze

i regularnie płatną, i dlatego starannie około hrabiny chodziła, że fach swój szanowała. Inaczej, czuła się na cudzym niby gruncie. Brakowało jej ze strony pani sprawozdań z życia salonowego i zwierzeń z sercowych inklinacyj; brakowało jej tych gawędek poufnych, przy których kamerjery odegrywają rolę powiernic i powierzycielek. Raziła ją ta dama wielkoświatowa, co powracając z balu dworskiego rozespiana, nie ma przy rozbieraniu się do powiedzenia nic innego, jak tylko: „Prędzej, prędzej“, — następnie, jakby się w niej paliło, do łóżka włazi i chrapie. Co to za dama taka! Liza bardzo lichy miała o hrabinie wyobrażenie; posądzała ją nawet o pochodzenie podejrzanę; trzymała się jej atoli ze względów pozytywnych i służyła jej poprawnie.

Poprawnie ją też ubrała. Kwestji wstążeczki dotknęła w duchu szykany. Wiedziała z góry, jak ją rozstrzygnie hrabina, która w rzeczach gustu nie posiadała zdania własnego. Przy poruszeniu kwestji przez Lizę, przemówił w niej nie gust, ale głód. Odezwała się:

— Ciekawa-m, czy hrabia już wstał, pójdź, dowiedz się.

Rzekłszy to, udała się do buduaru, dokąd Liza przyniosła jej wiadomość, że hrabia już wstał, że się ubiera i naznacza hrabinie schadzki w jadalnym pokoju.

Schadzka nastąpiła niebawem. Hrabiostwo spotkali się w obec stołu, na którym samowar szumiał i serwis śniadaniowy w komplecie oczekiwiał na użytek odpowiedni. Hrabina podała mężowi czoło, ten ją w czoło i w rękę od niechcienia pocałował, a zajmując przy stole miejsce, zapytał:

— Dobrze spałaś?

— Jak zabita. A ty?

— Jak kamień... Nie przeszkodziło mi bynajmniej, że-m się zdrzemnął trochę na salonach. Ha! — westchnął. — Powiem prawdę, nie życzyłbym sobie być drugi raz do tej pańszczyzny wezwanym.

— Ani ja — rzekła pani Amelia.

— Tyś się nudziła przynajmniej.

— Tak... zapewne; ale, bodaj, czy bym się nie wolała, aniżeli za przerzucaną z rąk do rąk piłkę ludziom służyć. Nie sprawia to przyjemności. Kto wie, jakie ręce kobietę obejmują?

— Hu, hu, — grubo się zaśmiał hrabia i dodał: Przecież to wszystko tacy eleganci, galantomy... phii.

— Tak, o! tak... Jednakże..

Hrabinie brakło tego smaku wybrednego, co się w wielkim urabia świecie. Nie znaczyło to, iżby się ona zabawić i potaćzyć nie lubiła, ale inaczej, w innych warunkach. W Wiedniu, wszedłszy między wrony, musiała krakać jak

i one, wołałaby jednak zabawę szczerą, otwartą, nie mierzoną na tempa, nie krępowaną przez etykietę.

Wołałaby taką zabawę, ale bezwiednie, sama sobie preferencji własnej wytłumaczyć nie umiała. Wydawało się jej, że jak jest, tak być powinno i szła za innymi, a gdyby jej zapytać, dokąd dąży, odpowiedziećby musiała słowami które biskup Krasiecki w usta cieleńcu włożył: „Ja nie wiem, lecz przedemną biegnie innych wiele“.

Luboć przyrównanie pięknej i t k jak hrabina Alfredowa, w wielkim świecie zaznaczonej kobiety, do cieleńca, wydać się komu może niesmacznem, nikomu się atoli nietrafnem nie wyda. Natura hrabinę w szeregu istot za innymi bż zdania sobie sprawy, podążającymi umieściła. Więc ona podążała pomimo, że zadowolenia w tem niedoznawała.

Tej samej reguły i mąż jej się trzymał.

Dobrane to małżeństwo z jeduakiem z balu powróciło uczuciem i nie miało sobie dużo do mówienia. Pani Alfredowa w męskiej towarzysztwa połowie, widziała mieszające się fraki i mundury, jak się w kalejdoskopie kolory mieszają, w żeńskiej zaś, zauważyła kilka trenów osobliwych, kilka dekoltoowań przesadnych i kilka jeszcze do ubrania odnoszących się szczegółów, mających wielkie, w oczach kobiecych znacze-

nie. Hrabia mniej na te szczegóły zważał. Spostrzeżenia jego zwracały się ku osobistościom i wyrażały się w sposób następujący:

— Nie wiesz ty, pytał żony -- co to była za jedna w sukni morągowej z guziczkami z tyłu.

— Która? zapytała pani Amelia.

— Ah! ta. . ta... Girlandę z różyczek ma-lutkich na ukos przez suknię przewinęła.

— Suknia morągowa? Girlanda z różyczek? — przypominała sobie hrabina, wiedząc, co to różyczki, ale nie wiedząc, co to właściwie za kolor morągowaty.

Tańczyła z oficerem w wielkich epoletach nie uważałaś chyba.

— Brunetka? . . blondynka?...

— Nie wiem, ale fain kobiecina, o! . fain. Założyłbym się, że się do dragala ma. Winszuję dragalowi. Dwa razy taki, jak ona, mógłby ją sobie do kieszeni schować. I zapewne to zrobi, jeżeli ją wykraść zechce... fain babina!...

— Któż on taki?

— Licho go wie

— Może wykraść nie będzie potrzebował.

— Może. . Przesunęli się mimo mnie raz i drugi; zauważyłem czułą tę parę i obserwo-wałem ją zdaleka. Oho — pomyślałem sposobisz ty rogi dla szczęśliwca, co jest małżonkiem twoim.

— Czy się nie mylisz?

— Przysięgać nie będę, ale nie chciałbym być mężem tej damy. Tak czule patrzyła!...

— Tańcząc, trzebaż przecie na tancerza patrzeć.

— Patrzeć i patrzeć, to dwa. Też samą damę obserwowałem, gdy tańczyła z innymi. Patrzyła, ale nie tak. Co za różnica!... Satisfakcję mi sprawiało porównywanie tej różnicy. A zapytał, nie zauważyłaś damy w białej sukni, pod spodem różowa, na głowie wianeczek zielony, prążkami djamentowemi przetkany?

— Mocno dekoltowana?

— Tak, czy wiesz, co to za jedna?

— Nie wiem..

— Baronowa Sielberg.

— Bankierowa?...

— Bankierowa lat pięćdziesiąt z okładem, uwa dorosłych synów i córki zamężne.

— Nie widać po niej, żeby była młodą, ale się wystroiła, jak osóбка młodziotka.

— A brzydka!...

— Nie piękna...

— Tańca nie opuściła ani jednego. Ciągłe ją brano Ile razy się mimo mnie w rozpędzie walcowym, czy polkowym przesuwiała, ochota mnie zbierała nogę jej podstawić.

— Zbytki ci się po głowie kręca, zauważyła hrabina

— Niechby się baba była rozciągnęła.

— Także satysfakcja ! .

— Satysfakcja, jak każda inna. Babie się podobało starą torbę potrząsać i grys z niej sy-
pać, mnieby się podobało oglądać tę torbę roz-
ciągniętą na podłodze. I gdybym był jej nogę
podstawił.

— Dajże pokój — upominała go hrabina.
Nie mów nawet o czemś podobnem

— Ciekawym, czemu nawet mówić nie
można. Mówi się, bo się mówi. Przecież nie
przypuszczasz, żeby tancerkom na balach nogi
chciał podstawiać.

— Ale ludzie. co słyszą, powtarzają.

— Ależ ja mówiłem nie przed ludźmi, tylko
przed tobą.

Na tym punkcie małżeństwo się posprze-
czało przy śniadaniu, którego spożywanie świad-
czyło, że sprzeczka najmniejszego na apetyt
nie wywarła wpływu. Apetyt służył jednemu
i drugiemu do końca, przy końcu zaś, po niepo-
rozumieniu śladu nie pozostało. Harmonja powró-
ciła sama przez się, a wyraziła się w sposób na-
stępujący :

— Dziś bym wizytom nie była rada, ode-
zwała się hrabina.

— I ja bym rad nie był — zawtórował
hrabia.

-- Nie przyjmujemy więc nikogo?

-- Nikogo.

— Ani Karola, ani Łopacińskiego, z których nie jeden, to drugi, a może jeden i drugi stawia się niechybnie, celem dowiedzenia się, jak tam poszło. Łopaciński wietrzy dyplomację; Karol zaś... uhm? .. coś on wietrzy także. Ten i ten napastują mnie: jeden teką ministerjalną, drugi ambasadę wpechnąć-by by mi chciał. Hm... niech próbują. Co mi tam!.. Ale dziś ich nie przyjmujemy.

Przycisnął dzwonek, lokaj się stawił; pan Alfred dał mu stosowny w ogóle rozkaz, dodając szczególne polecenie dotyczące się panów Karola i Łopacińskiego.

— Powiedz im, żeśmy się pomęczyli i w łózkach leżymy.

Gdy lokaj odszedł:

— Hm.. — odrzekł na dworze plucha, a miałbym ochotę przejść się. Wieczorem chciałbym do klubu zajść dla tego niemczyska, który się do mnie jak klajster szewski lepi.

— Dla jakiego niemczyska? — zapytała hrabina.

— A dla tego barona Schaubube. Licho wie, zkąd przyszło temu dziadowi, raptem się we mnie rozmiłować. W klubie mnie nie odstępuje i parę już razy dał mi do poznania, że chciał-by się tobie przedstawić.

— Jam go chyba nigdy nie widziała

— Stary, łysy, z ogromnemi siwemi wąsi-

skami, ochmistrzuje księciu Manfredowi, temu... pamiętasz? co się do ciebie przysiadł i coś mówił, a tyś niewiedziała, co.

— Łopacińskiego to srodze zgorszyło. O ileżby się bardziej zgorszył. gdyby się dowiedział, że nie a nie nie wiem, co na balu dworskim do mnie kto mówił. W uszach mi raz po raz coś brzęczało, a jam się za tobą oglądała, chcąc ci dać znak do odjazdu. Gdzieżeś się schował?

— Ten stary mnie przy sobie posadził i bawił komplementami pod twoim adresem.

— O?.. — zdziwiła się. Zdobyłam w nim sobie admiratora.

— Który kiedyś u stóp twoich hołd powinny złożyć; tylko nie dziś. Gdyby przyszedł znajdzie drzwi zamknięte.

Hrabina skinieniem głowy zaaprobowała słowa męża.

V.

Dużo ludzi odwiedzało państwa Pieckich po halu; dużo wizyt hrabiostwo oddawać musieli. Karetą ich w ustawicznym znajdowała się ruchu i zatrzymywała się często przy rezydencjach wysokich dostojników, którzy im w ostatnich czasach szczególne okazywali względy.

Względy przybierały pozory wielkiej serdeczności i daleko posuwanej otwartości; otwartości takiej, że ministrowie zasięgali rady pana Alfreda.

— Gdybyś hrabia, na mojem był miejscu, co byś zrobił w razie (minister finansów to mówi) deficytu.

— Schowałbym deficyt pod sukno — bez namysłu odpowiedział hrabia.

— Dobra myśl, świetna myśl.

Innym znów razem wynurzył się przed nim minister sprawiedliwości.

— Jestem w kłopotcie, dostojny hrabio...

Gazety paplą, paplą za dużo, istne przekupki!... A nie można im zakazać pisać, konstytucja tego zabrania

— A czy zabrania ona zakazać czytania gazet? — odparł pan Alfred.

Na ministrze te słowa wrażenie sprawiły. Oczy szeroko otworzył, hrabiemu w oczy popatrzył i odrzekł:

— W konstytucji wprowadzie nie ma paragrafu odpowiedniego ..

— Skoro nie ma, tem lepiej, zakaz czytania z tem większą przyjmie się łatwością. Miaruję po sobie. Czytają, bo czytają inni, ale to im przyjemności nie sprawia żadnej. Gdyby mi zakano, na gazetę, na książkę, anibym popatrzył.

— Masz rację, hrabio... Co to znaczy umysł bystry.

Tęgo rodzaju uznania, pochodzące od osobistości takich poważnych, mogłyby pana Alfreda w dumę wbijać, gdyby dobre mniemanie, jakie miał o sobie, wbijania podobnego potrzebowało.

Uznania przeto owe przyjmował, jako rzecz naturalnie mu należną. Ani się im dziwił, ani na nich, co budował.

We względzie tym przebijały się w nim rysy charakterystyczne słynnego w swoim czasie marszałka Szumlańskiego, który był przeko-

nany, że Meternichowi udziela rad przyjacielskich, a z cesarzem Franciszkiem pozostaje na stopie poufalej Mało go ministerjalne komplimenty obchodziły, a raczej nie obchodziły wcale. Jednem uchem go przyjmował, drugim puszczał, nie zastanawiając się nad niemi.

Tak samo odnosił się do barona von Schaubube, który się w salonie jego pojawiał dcsyć często i odgrywał wobec niego i w obec pani Amelji, rolę pocziwą żołnierza starego pokroju, rycerza „sans peur ni reproche“, stosującego się do nowszych sztuki wojennejwymagań. Znakomity strategik, wielki taktyk, posiadacz wąsów ogromnych i łysiny świetnej, iście gołębiemi zalecał się przymiotami. Wujaszek księżnej Guicpsek, pełnił funkcję wujaszka całego damskiego świata, w którym księżna raz satelitowała. znów planetowała.

Harmonia jak najdoskonalsza panowała pomiędzy nim, a wszystkiemi paniami, z wyjątkiem jednej księżnej Lindenstein. Ta go po niemiecku „der alte Fuchs“, po francusku „le vieux renard,“ po czesku (czeszką bowiem z pochodzenia i z uczuć była) „stary lis“ nazywała. Ale słowa jej brzmiały w próżni. Księżna wyrobiła sobie reputację kobiety weredyczki, takiej, co to naprawdę mówi, prawdę, którą się uznaje, ale się ją mimo uszów puszcza dla różnych względów i względzików, nie mających

z prawdą styczności, ani bezpośredniej, ani pośredniej.

Uchodziła za czerwoną. Należała jednak do „fine fleur” feudalizmu, do tego feudalizmu, co myślał o sobie wedle tej formy królewskiej: „Dieu, et mon droit”; należała do tej warstwy z rodu i z przekonania — z przekonania, które nakazywało jej arystokrację uważać za klasę przez samego Pana Boga powołaną do przewodniczenia i do służenia społeczeństwu za wzór.

Stosownie do tego zrobiła sobie ideał i do ideału tego stosowała się w ten sposób, że się okazywała łaskawą i pobłażliwą względem niższych, hardą z równymi, a uległą względem wyższych. Wszakże, co się tych ostatnich tyczy, nznaniem jej cieszyła się jedna tylko w austriacko-węgierskiem państwie rodzina, cesarska. Ją jedną miała za wyższą, i za taką, którą obowiązana była czcić, kochać, jej służyć, widzieć w niej wcielenie doskonałości wszelakich, a nie widzieć ułomności żadnych,

Gdy który z jej członków zrobił coś, co niedobrze lub niepięknie wyglądało, w mniemaniu jej winien był nie on, ale ktoś z otoczenia jego. Uchodziła tedy za czerwoną, za ogromnie czerwoną, a tem czerwieńszą, że była czerwoną na obliczu. Czerwoną i nie powabną.

Powiadano, że w młodości swojej posiadała pewien urok, że była jeśli nie piękną, to hożą

i rumianą. Urok ów atoli lata starły z oblicza i z postaci, zastępując go wyrazem ogólnym, nadającym się do kuchni. Księżna Lindenstein wyglądała na pokojach i salonach, jak za wielką damę przebrana kucharka. Nietylko tak wyglądała, ale się tak zachowywała. I posługiwała się językiem odpowiednim. Do tych, których za niższych uważała, do rzemieślników, kupców, bankierów, do świeżo kreowanych baronów i hrabiów, jakoteż do najwyższych dostojników, nie wziętych z tej warstwy społecznej, do której siebie zaliczała, przemawiała „per du“.

— „Du, alter Fuchs“ — inaczej nie interpelowała Schaubube.

W intonacji jej głosu brzmiała dobroć, baron przeto za wyrazy się nie gniewał, przeciwnie, odpowiadał na nie uśmiechem, ukłonem i rozglądaniem wasów.

„Czerwona księżna“

Był to jej przydomek, o którym wiedziała, i którym się chlubiła.

— „O, ja“ ja czerwona... „ganz“ czerwona, na wszystkich szwach czerwona.

Przymierze ścisłe, pomiędzy dawnym porządkiem a nowym, było zajączkiem, którego dostojna księżna w głowie swojej budowała i na którym kombinacje polityczne zasnuwała. Uplanaowała sobie skojarzenie socjalistów z polakami przeciwko arystokracji mieszczańskiej i wyszty-

ftowanie w osobie księcia Manfreda bohatera w guście Eugenjusza Sabaudzkiego. Zamierzała z Beblem, Liebknechtem skojarzyć hrabiów galicyjskich. Gdy przeto do jej uszu doszły pogłoski o dyplomatycznych zabiegach hrabiego Łopacińskiego, o kierowaniu na męża stanu hr. Pieckiego wzięła to za wodę na swój młyn. Było to właśnie dla niej: polityka pochłaniała ją całkowicie.

Z tego powodu jedni mieli ją za warjatkę; w mniemaniu innych uchodziła za kobietę obdarowaną rozumem głębokim.

Kombinacja jej nie mogła nie dojść do wiadomości hrabiego Łopacińskiego i nie mogła go nie zafrapować.

— A co!... — zawołał.

Wnet w umyśle jego sformowało się zestawienie dwóch kombinacji i skojarzenie ich w jedną. To, czego się dowiedział od barona i to, czego się dowiedział od księżnej, pod jeden doprowadził mianownik i ujrzał przed sobą pole do działania, trudnościami dyplomatycznymi najeżone, ale wdzięczne.

Czuprynę sobie dłonią pocierał i myślał, i kombinował:

— „Robota się zaczęła: mam Alfreda, jestem ja; no... Co? Przecież by oni nie byli tacy głupi, żeby przyjąć nie mieli tek, gdyby się im je dało na półmisku“...

Myślał, kombinował.

Wiadomość o kombinacji księżny wpadła mu w uszy z wieczora i tak go zajęła, że jadał wieczerzę z podwójnym apetytem i poszedł nie na winta, ale do siebie.

Mieszkał w hotelu, zajmował apartament kawalerski: salon, pokój sypialny i przedpokój dla służącego. Trzymał lokaja własnego, który był wierną kopią famulusów, figurujących w komedjach moljerowskich: niepoń, próżniak, znający swego „jasnego“ pana na wylot i wyzyskujący go bez miłosierdzia.

— Walenty! krzyknął pan Leopold, zamknawszy za sobą drzwi wchodowe i znalazłszy się w ciemnościach.

Na wołanie to nie odpowiedziało echo nawet.

— Walenty! — powtórzył. — Gałganie!

I to nie pomogło.

— Nie ma huncwota — rzekł sam do siebie. A huncwot!... Wypędzę!... Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie wypędzę!

Zadzwoił na numerową i stanął we drzwiach.

— „Herr Graf“ -- odezwał się głosik srebrzysty, wychodzący z ust, będących składową częścią wcale ponętnej postaci.

Numerowe w Wiedniu są w ogóle bardzo ponętne.

— Dobry wieczór, Lino ..

— Dobry wieczór — odpowiedziała.

— Nie mam pojęcia, co się stało z moim Walentym.

— Czy go nie ma?

— Ano, jak widzisz... Gdyby był, nie śmiałbym ciebie fatygować i prosić, ażebyś mi świecę zapaliła.

— Co to za fatyga! — odrzekła.

Hrabia się usunął. Ona weszła i tuż za progiem dostała się w objęcia. W ciemności słyszeć się dały szepty i pocałunki. Wkrótce potem w saloniku błysło światło zapałki, a na dwóch świecach na kominku pojawiły się płomyki, od których się jasno zrobiło. Jasność oświeciła sprzęty hotelowe porozstawiane symetrycznie, a na środku, hrabiego w kapeluszu na głowie, z marszem na brwiach, spoglądającego wyraziście na usuwającą się z przed kominka dziewczynę.

Usunęła się i zapytała:

— Czy pan graf co rozkaże?...

— Żebyś mnie pocałowała.

— To nie mój fach — odparła.

— Ja przecie całuję ciebie.

— Widać, że panu grafowi przyjemność to sprawia.

— A tobie?

— Mnieby może sprawiało, gdyby fachem moim było.

— Bodajże cię!.. Jakaś cięta.

— Co pan rozkaże?

— Napiłbym się herbaty.

— Dobrze.

Rzekłszy to, ku drzwiom posunęła. Hrabia za nią posłał wyrazy:

— Ale przynieś sama!..

Coś z za proga odrzekła i znikła.

— Dziewczyna — odezwał się, bez temperamentu! Niby drewniana, czy gutaperkowa... Ciekawym, czy przyniesie herbatę.

Zaspokojenie ciekawości nastąpiło niebawem. Nie numerowa, ale garson herbatę podał. Wprawiło to hrabiego w zły humor. Odchrząknął, odsapnął i zapytał:

— Nie wiesz, co się z moim Walentym stało?

— Nie jest mi to wiadomem — panie krabio...

— Huncwot! gałgan! wypędzę...

Garson w milczeniu nakrywał stół, ustawiał naczynia herbaciane, a kiedy wszystko urządził, o rozkazy zapytał.

— Nie potrzeba mi niczego więcej... odburknął hrabia.

Garson odszedł.

Przy herbacie, którą, paląc fajkę, popijał, miał zamiar — po to do siebie przyszedł, kom-

binację spokojnie i w sposób wyczerpujący obmyśleć. Byłby to uczynił gdyby nie przeszkody, z którymi się na wstępie spotkał. Walenty go zgنیwał, numerowa zirytowała. W gniewie i irytacji, zamiast, o kombinacji, myślał, to o lokaju, którego postępek porównywał do opuszczenia stanowiska przez sztyldwacha na warcie postawionego, to o Linie, której konduita dziwną mu się wydawała.

„Nie ma czasu — mówił sam do siebie. — Niby to czasu wiele potrzeba?... Głupia, o, głupia... Co? Czyby jej z głowy korona spadła? Niemka. Z Niemkami tak. Już ja im, panie dobrodzieju!...”

Nitkę kombinacji chwycił i wnet puszczał. Wydierało mu ją z myślowych palców wspomnienie Liny, która się ścisnąć, całować dawała. Porównywał ją do drzewa, do kauczuku, czuł atoli i uznawał, że porównanie to nie jest trafnem. Irytował się. Pociągał z cybucha tak silnie, że w fajce tytoń skwierczał.

— Ten Walenty... Huncwot powinien kołkiem siedzieć. Gdzie się on podziewa? O huncwot!... Wypędzę... wypędzę.. nie ma co!.. Największej cierpliwości miarka przebiera się w końcu.

Miał Walentemu za złe to szczególnie, że go naraził na dystrakcję, jaką mu sprawiła Lina. Gniew w nim kipiał. Cóż bowiem? --- Skompro-

mitował się w obec posługaczki hotelowej! Przez kogo? — Przez lokaja. Oburzało go to.

„Najniegodziwszą klasą, są sługi — powiedział. Takie zepsucie, taka demoralizacja. I na to nie ma rady... Ale gdzież się Walenty podziewa? Gdzie tak długo siedzi?“

Spojrzał na zegarek. Jedynasta dochodziła.

W tej chwili drzwi otwały się i w przedpokoju słyszeć się dał ruch.

„Przyszedł huncwot“ — pomyślał i zawołać chciał, ale się powstrzymał. Przybrał postawę poważną i czekał.

Nie czekał długo.

Walenty się na progu zjawił. Miał szczękę podwiązaną i dłoń do policzka lewego przyłożoną.

— Oh! — stęknął.

Hrabia surowo na niego spojrzał.

— Jasny pan przyszedł — zabełkotał.

Pan Leopold chrząknął.

— Gdybym się był tego spodziewał, byłbym zginął, a nie wyszedł.

— Gdzieżeś był? Pobijeś się, he?

— Ale gdzież tam!... o...

Dłoń nieco odchylił i gębę otworzył.

— Co? — zapytał hrabia, nie widząc nic innego, tylko gębę szeroko otwartą.

— Ząb, proszę jaśnie pana.. ząb trzonowy. Jak mnie raptem schwycił, jak zaczął boleć,

małom się nie skręcił. Wybiegłem na momencik.

— Piękny mi momencik. O ósmej przyszedłem... już jedynasta.

— Kiedy boli, człek się z czasem pomiar-kować nie może. Ah... eh... -- stękał.

Pana Leopolda to rozbroiło.

— Idź — rzekł.

Walenty nie wychodził.

— Czegóż stoisz?

— Chciałem powiedzieć, że nawet, gdyby nie ząb, jasny pan byłby mnie dziś nie zastał o ósmej.

— Toż znów co?

— To jaśnie panie, że byłbym skoczył do panny Pauliny.

— Po co?

— Czy ja wiem, po co!... Ja nie wiem, proszę jaśnie pana.

— Dlaczegoż byś skoczył?

— Dlatego, że ona... jakoś.. niby.. coś...

— No? nalegał hrabia.

— Była tu...

— Ona?

— Ona, proszę jaśnie pana...

— Po co?

— Czy ja wiedzieć mogę!... Coś gadała. czy wiem, co!... Wpadła, nagadała i poszła

— Rozgniewana?

— To bo to, że zdaje się, rozgniewana...

Toć ja dlatego, żeby jaśnie panu opowiedzieć, co ją sprowadziło, chciałem do niej skoczyć i powiedzieć jej, że jasny pan w domu około północy .. Ale ten ząb... trzonowy...

Znów do policzka dłoń przycisnął.

— Wyrwałeś go przecie...

— To jest... tak... cyrulik wyrwał...

-- Więc cię już nie boli...

— Rwał obcęgami... ot, takimi...

Złożył w kształcie obcęgów dłonie.

-- Ot, takimi, dalibóg...

— Więc cię już nie boli — powtórzył hrabia.

— To jest, niby nie boli. Ale co krwi upłynęło, jak, z przeproszeniem jaśnie pana, z wieprza... I dlatego... panny Pauliny... zapóźno już było...

Hrabia odsapnął, chwilkę milczał, wreszcie wstał i, rozebrawszy się przy pomocy Walentego, na spoczynek legł.

W łóżku dopiero zmaćcone przeszkodami myśli porządkować się mu w głowie zaczęły. Przyszła jednak nowa przeszkoda: sen. Donnienmany minister finansów chrapnął i nie obudził się, aż około dziewiątej.

Kombinacja do głowy mu zajrzała, gdy się golił. Księżna Lindenstein, Bebel, Liebknecht, an Alfred, pani Alfredowa, baron von Schaubube, księżę Manfred, po myśli mu się snuli

przez cały czas, jak brzytwą ze szczęk, brody i podbródka zarost zcinał. Snuli mu się jeszcze gdy się umywał. Nagle wszyscy naraz pierzchli. Wygnała ich Paulina nie w osobie własnej, ale w ustach Walentego, który hrabiemu posługując, od niechcienia o niej wspomniał.

— Możesz dziś do niej pójść, odezwał się.

— I!.. proszę jaśnie pana, nie ma po co, odrzekł.

— Dowiesz się, co ją wczoraj do mnie sprowadziło.

— Kiedy ją djabli wzięli.

— Jakto? — zapytał hrabia zdziwiony.

— Ślad po niej zastygł.

-- Przychodziła tu wczoraj przecie.

— Przychodziła?... Mówiłem, że przychodziła...

— Nacóżeś zełgał?

— Dla dobra jaśnie pana. O, bo ja dla dobra jaśnie pana gotów na wszystko. Gdyby mi jaśnie pan kazał kraść dla swojej przyjemności, kradłbym jak mi Bóg miły, a nie dopiero łgał.

— Nie kazałem ci — wtrącił hrabia.

— Jam się domyślił. Czy to mi się domyślić trudno było? Jaśnie pana przyjemność dla mnie pierwsza rzecz...

— Nie bardzoś mnie uradował wiadomością, że przychodziła...

— A dlaczego — podchwycił Walenty — jam tę wiadomość jaśnie panu wczoraj podał?

— Dlaczego?...

— No... dlaczego?...

— Cóż? kpisz ze mnie! — krzyknął hrabia.

— A gdzież tam! Czyżbym śmiał? Jasny pan-bo zaraz się gniewa. A skoro się zagniewa, to mi w ten moment zimno się robi.

— Więc dlaczego?

— Dlatego, żeby jaśnie panu przyjemność przyjemniejszą się wydawała. Ta makolągwa znudziła jaśnie pana, toć ja wiedziałem, że gdybym był... tak... prosto z mostu powiedział: „licho ją zabrało,“ byłoby jaśnie panu przyjemnie, ale nie tak, jak, na ten przykład, teraz... Teraz, to dopiero jaśnie pan myśli sobie: „baba z woza, koniom lżej i droga mi się sama do ministerstwa ściele...“

Hrabia wiązał sobie krawat przed zwierciadłem. Gdy wyrazy ostatnie usłyszał, zachnął się, zwrócił i zapytał:

— A... a... ty zkąd wiesz o tem?

— Jabym wiedzieć nie miał — odparł Walenty, sprzątając odzież poranną hrabiego.

— Zkąd jednak?

— Od ludzi, proszę jaśnie pana.

— Gadają o tem... co?

— Jużci... gadają... Nie dawniej jak dziś rano gadali.

— Kto?

— Lina...

Hrabia oniemiał. Osłupiałym wzrokiem patrzył na Walentego, układającego w szafie bieliznę. Czekał, ażali on czego więcej nie powie. Ale on milczał i spokojnie swoje robił. Hrabia czekał, wreszcie się odezwał:

— Cóż wiesz?

— A cóż!... Powiada, że gdy jaśnie pan ministrem się zrobi. ona jeżeli zechce, zostanie ministrową.

— Głupia...

— I ja tak myślę; ale ona... bo, bo... kluger dziewczka... i nieszpeta — dalibóg, nieszpeta...

— Ale głupia.

— Nie mówię, żeby głupią była. Ale co nieszpeta, to nieszpeta.

— Są ładniejsze od niej — rzekł hrabia, zwracając się do zwierciadła celem dokończenia wiązania krawatki.

— Nie mówię, żeby nie było. Od ładniejszej znajdzie się jeszcze ładniejsza. Jaśnie pan, gdy się ministrem zrobi, nie będzie się mógł od najładniejszych opędzić Hej, toż to dopiero będzie uciecha...

Hrabia się nadał, patrząc w zwierciadło. Walenty, krzątając się, prawil dalej niby do siebie.

— Natenczas i ta żydóweczka, którą nam huzar z przed nosa zdmuchnął, do nas przylgnie, i ta rumunka z oczami, jak węgle, co nam figę pokazała, przyłasi się jak kotka, i ta węgierka, co wołała kaprawego żyda z Bochni, aniżeli jasnie pana, do nas się wróci, i...

— Cicho bądź tam — odezwał się hrabia.

— Będę już cicho — westchnął Walenty.

— Nie mów: hoc póki nie przeskoczysz.

— Już hoc mówić można, bo, jak amen w pacierzu, jasny pan ministrem będzie.

— No, no... zobaczymy.

— Już ja widzę, dalibóg, widzę. Widzą wszyscy, Lina nawet.

— Powiedz Linie, ażeby głupią nie była. Daj mi surdut czarny.

— Wizytowy? — zapytał Walenty?

— Wizytowy..

— E... no... — prawil Walenty, rozkładając sudut i oczyszczając go zlekka szczotką. — Ja jej powiem, niech jasny pan będzie spokojny. Wybije jej ministerstwo z głowy. Bo do czego to podobne? Zkąd ona do tego przyszła; chyba jasny pan coś jej szepnął, o czymś napomknął, coś obiecał i ona miarkę przebrała. Może jasny pan przed nią przysięgał... i ona.

— No, no -- upomnienia tonem odezwał się hrabia, wkładając ręce w rękawy surduta,

który Walenty nań wkładał. — Zadużo trochę gadasz.

-- Ta co ja gadam. Ja jej powiem.

— Co powiesz?

— To, co jasny pan kazał: nie bądź głupią i nie drap się na koronację, bo do koronacji będą się pchały lepsze od ciebie, z głowami włochatemi i z dzióbkami otwartemi. Hej!... co to będzie. Dopiero jasny pan sobie guzy zawali. Dopiero będzie...

Hrabia milczał i obracał się dla zamaskowania przed Walentym uśmiechów, które mu na oblicze wybiegały. Włożył surdut, włożył następnie paltot, kapelusz, rękawiczki i zapytał:

— Jaka tam pogoda?

— Niczego. Słońko świeci, grzeje, na ulicach sucho.

— Parasola brać nie trzeba?

-- I.. nie...

— Daj mi laskę A nie wychodź...

— Gdyby kto przyszedł? — zapytał Walenty.

— Powiedz że-m wyszedł na cały dzień... że wieczorem będę w klubie, że... — zamyślił się i po chwili dodał: Gdyby zajrzał hrabia Brzdęcki, powiedz mu, że około trzeciej będę u hrabiostwa Pieckich.

— Słucham, jasnie panie. Pogadam przytem z Liną.

*

Hrabia był już we drzwiach. Drzwi za sobą zamknął z głośnem chrząknięciem, a chrząknięcie ztąd pochodziło, że zoczył Linę w postawie wyczekującej odgłosu dzwonka, wzywającego do jednego z numerów na powierzonej jej pieczy korytarzu.

— Lino! — odezwał się.

— „Befehlen?“ — zapytała.

— „Gut morgen“...

— „Gut morgen, Herr Graf“ — wygłosiła srebrzyście.

— „Huncwotka“ — myślał sobie hrabia, poprawiwszy kapelusz na głowie i zstępując powoli po schodach.

Gdy się przed hotelem znalazł, nie wiedział, w którą stronę zwrócić swoje kroki. Miał na głowie interesów tyle, interesów takich!... Mnogość i ważność interesów nakazywała zastanowić się i plan ułożyć. W tym właśnie celu wczoraj klub w trąbę puścił i byłby plan ułożył, gdyby nie przeszkody niepodzielane ze strony numerowej i ze strony lokaja. Następnie, przeszkodził sen; następnie znów się Walenty wtrącił i narzucał mu do głowy różnych różności, pomiędzy którymi jedna, tycząca się „vox populi“, uważającego już hrabiego Łopacińskiego jako ministra, miała znaczenie tych słów, które wyrzekł Cezar, po przekroczeniu Rubikonu.

„Alea jacta est.“ O, tak, mówił do

siębie Gałanie ludzkie, na wiatr nie idzie, jak szczekanie psie O, tak. Kiedy nawet Lina... Głupia ona Trzeba jednak będzie dla niej coś zrobić.. tak, trzeba będzie coś zrobić. — Ale co?

Z zapytaniem tem w głowie stał przed hotelem i wahał się. Niewiedział, w którą zwrócić się stronę, ażeby znaleźć ustronie zaciszne do rozmyślania się nadające. Ciągnęło go na szpagatówkę. Gdy tam jednak wpadnie, z pewnością z kimś się spotka i zabałamuci? Potrzebował ustronia. Po wahaniu się przeto, które chwilkę czasu zabrało, raptem się zdecydował. Uda się do ogrodu zoologicznego. Tam z pewnością ze znajomych nie spotka nikogo, raz dla wczesnej pory dnia, powtóre dlatego, że o tej porze roku wiedeńczycy nie mają w zwyczaju towarzystwa zwierząt szukać.

Towarzystwo to wydawało się mu na razie pożądanem. Zwierzęta tyle natchnień udzieliły ludziom mądrym! Przytem widok ich sprawia dystrakcję; jemu zaś dystrakcja była potrzebną z racji Liny, którą mu Walenty we łbie nakształt ówieka ulokował. Skorzysta więc z dnia pogodnego, dającego przedsmak wiosny, spędzi godzinkę wśród zwierząt i wyszykuje kombinację, do której miał wszystkie dane i pierwiastki, z wyjątkiem nitki przewodniej. Przecież lwy, tygrysy, żbiki, małpy papugi, nie przeszkodzą mu.

W tem przeświadczeniu wszedł do tramwaju niebawem znalazł się u kresu swojej wycieczki.

Ogród sprawił mu zadowolenie niemałe. Swobodniej odetchnął i nie bez wzruszenia spoglądał na trawniki, pokrywające się kiełkującą z gruntu zielenią, na drzewa ogołoczone z liści na inne drzewa ciemno-zielone, wyglądające na kształt istot żyjących, zabłąkanych pomiędzy szkielety. Coś mu się majaczyło, nie to atoli, co do niego te trawki i te drzewka mówiły, które go pytały :

— „Pocoś tu? Czemu na wsi nie gospodarujesz, zamiast wędzić się w Wiedniu i ścigać mary? Gdybyś na wsi siedział, byłbyś jej nie zadłużył i w tej chwili rozkoszował się, słuchając szumu potoków, świadczących o budzeniu się natury z letargu zimowego. Czemuś nie tam, ale tu, gdzieś potrzebny, jak dziura w moście?“

Ani się domyślał, że trawy i drzewa takie mu zadają pytania. Inne pytanie umysł jego zajmowało. Wpadło mu ono w mózg w hotelu jeszcze, na schodach; zaniósł je z sobą do tramwaju i szedł z niem w głowie przez ulice i aleje ogrodowe. Brzmiało ono tak :

— „Coby dla niej zrobić ?

„Tak bowiem jej zostawić nie można, o! nie... Jej się zachciewa zawiele. Kobieta. Któraż kobieta miarę zna? Umiarkuje się jednak.

Droży się teraz — nie dziw, zwąchała pismo nosem i nie chce się zaryzykować. Ha, no.“

Taką kombinację układał. Nie dla niej ustronia szukał. Zmieniła się sytuacja od momentu, jak się dowiedział, że „vox populi“ już go ministrem kreował. Od tego momentu uważał rzecz za zrobioną niemal, cel za dopięty prawie. W duszy mu coś niby hymn śpiewało:

„Minister... minister... minister... eks-celencja.“

Stało się, co się stać miało i nie zdziwiłby się, gdyby się ludzie przed nim zatrzymali z uszanowaniem i składali mu ukłony głębokie. Ludzi jednak nie było. W ogrodzie nie spotkał nikogo. Najpierwszą, żyjącą istotą, co mu się w oczy rzuciła, była lampa, która w dali stała zadumana. Ta, jak skoro go zobaczyła, ruszyła pospiesznie ku niemu. Hrabia się zatrzymał. Lama do ciągnącego się wzdłuż ulicy płota przybiegła i, ruszając puszystym ogonkiem, przypatrywała się mu z takim w oczach wyrazem, jakby mówiła: „Witam cię, ekscelencjo!“ On się ruszył, i ona się ruszyła, szła na równi z nim i wciąż mu się przypatrywała, głowę wyciągając, jakby pokłony składała. Ogonkiem ustawicznie kręciła, a w oczach jej jaśniał wyraz uradowania.

— Lamusiu — odezwał się hrabia rozrzuwniony.

Rozrzewnił się, przyszedł mu bowiem na myśl owe: wół i osioł, które w stajence betlejemskiej najpierwsze Zbawcę rodzaju człowieczego powitały. Gdy ministrem zostanie, zbawi przede wszystkim siebie samego: żydów w kluby weźmie, z długów wylezie i guzy brylantowe sobie sprawi.

Rozrzewniło go więc powitanie lamy. Szedł powoli wzdłuż jej zagrody i następnie przy każdej, w której się znajdowały zwierzęta czworonogie, widział przesyłane sobie powitania. Wszystkie zwierzęta raciczne, zwłaszcza zaś koziej i owczej porody, spieszyły ku niemu. Rodzaj „bos“ okazał się mniej ruchliwym; nie spieszył, niemniej jednak uradowanie okazywał, albowiem żubr nawet, który łeb pochyliwszy, o puszczy białowiezkiej głęboko dumiał. Łeb podniósł i uszami kilkakrotnie kiwnął, gdy hrabia przed nim stanął. Wspaniale go przyjął lew, król zwierząt, pan pustyń afrykańskich. W oczach tego mocarza, w klatce zamkniętego, wyraźnie czytać się dawało: „Będziesz ministrem.“

— Z pewnością — rzekł hrabia, gdy te wyrazy w oczach lwa wyczytał.

Przypomniał sobie wiersz

„Słyszycie ryk? — On wam zamrozi szpik.“

„O! ja im ryknę“ — pomyślał sobie.

Powitanie kangura, który przed nim na tylnych łapach stanął, uszy szczyrząc, nóżkami przednimi przebierał, wzruszyło go. Wzruszenia atoli jeszcze silniejszego doznał w dziale małpim. Na małpach pojawienie się jego wywarło ogromne wrażenie. Jak skoro go zoczyły, wszystkie odrazu ku niemu się z piskiem i wrzaskiem pogarnęły i, gdyby jednym kraty klatek, innym łańcuszki nie przeszkadzały, byłyby mu niezawodnie sprawiły owację dotykalmą. Na uwięziach miotały się jeno i wrzeszczały, wykrecały, wykrzywiały i ku hrabiemu się rzucały. Goryl jeden zachowywał się poważnie, ale wstał i przez kratę rękę wyciągnął. Gdyby posiadał dar mowy, byłby przemówił niezawodnie:

„Bądź pozdrowion, ministrze.“

Pozdrowienie to atoli, wypowiedziane wyraźnie przez nieme stworzenie, nie ominęło dostojnego męża. Spotkało go ono na wstępie do działu ptaków. Jak skoro wszedł, wnet się uszy jego obiły wyrazy:

„Grüsse, Excelenz .. grüsse, grüsse, grüsse!“

Wyraz „grüsse,“ podchwycił chór i powtarzał bez końca wraz z wyrazem „Excellenz“, który się odzywał często w rodzaju wtóru.

Hrabięgo zdumił ów koncert owacyjny, wyprawiony — jak się domyśleć łatwo — przez papugi. Hasło dała papuga popielata z czerwonym ogonem, która najpierwsza wchodzącego

zoczyła. Jakże się to stało? Głową kilkakrotnie ku niemu skinęła, dziobem się na najwyższy prątek wzniosła i patrząc na niego, wrzasnęła:

„Grüsse Excellenz“

Niech niedowiarki nazywają to dziełem przypadku — mówił hrabia do siebie. Dziwny przypadek. Wszystko się tak schodzi, jakby na rozkaz: „vox populi,“ Lina, lama, lew, małpy, papugi. O przypadku mowy nie ma. Bo gdzie tu przypadek?

— „Chyba w głowach niedowiarków. Nie wskazówkąż to dla mnie? Oho, panowie niedowiarki! Spuśćcież nosy na kwintę, gdy w „Anzeigerze“ wyczytacie: Graf Leopold Lopasinka, graf Alfred Pieska, Bebel, Liebknecht i t. d. No... ale: za tem podreptać potrzeba. Pieczone gołąbki do gąbki nie spadają same. Pochodzić za nimi, oskubać je i upiec potrzeba.“

Tak myślał, kręcąc się wśród ptaków i słuchając głuchoących w miarę, jak się oddalał, pozdrowień papużek. Zawrócił, ażeby się do papug zbliżyć i przekonał się, że one coś innego wykrzykiwały. Strzelił mu w głowie zamiar, znów się im pokazać. Zamiaru tego jednak zaniechał, pomysławszy:

— „Dosyć raz.“

Począł obmyślać kombinację, nie zwracając już uwagi na orły, sępy, sokoly, na wrony, sroki, na ptaki rajskie, kanarki, kolibry, sójki,

na flamingi, etc. etc. Kombinacja pochłaniała go całkowicie. Na chwilkę przerwało się jej snucie, gdy zoczył kuropatwę. Widok jej przypomniał mu polowania wiejskie z wyżłem i dubeltówką. Widział siebie idącego przez pola. Wyżej biega, ogonem kręcąc, nagle staje jak wkopany, ogon mu się wypręża, oczy krwią nabiegły; hrabia spieszy: „paf” Stadko kuropatw zerwało się. Dwa strzały — dwie zdobycze myśliwskie.

„Tak to niegdyś bywało...” — hrabia westchnął.

Żał mu się zrobiło. Lecz żał ów ustąpić musiał rzeczom ważniejszym, aniżeli polowanie na kuropatwy. Kuropatwę zmieniła księżna Lindenstein i sprowadziła cały szereg osobistości do kombinacji wchodzących: barona von Schaubube, pana Alfreda, pana Karola, księcia Manfreda, hrabinę Piecką. Szedł zwolna, zalewie od niechcenia okiem rzucając na pierzastych mieszkańców sławnego zakładu, i rozmyślał.

Tok myśli jego wstrzymał się nagle.

O uszy obity mu się następujące, w języku ojczystym wymówione z kobiecą intonacją, wyrazy:

— Czubałka!... patrz ino, ta czubajka!.. istka w istkę taka sama, jak ta, o której mówiłam tyle razy...

— Ta? — odezwał się głosik dziecinny.

— Nie ta, ale tamta... o! widzisz? Przechodzi koło koguta i kogut ją dziobnął.

— Oho!... widzę, widzę!... szara, żółtawa? odrzekło dziecko.

— Ta sama... Otóż, gdybym wiedziała, że tej, o której mówiłem, już na świecie nie ma, (tu westchnęła), przysięgłabym że to ona... że to ona sama... takie pióra, taki czubek, taki chód i kiedyś na nią wołała: ciurrr!... biegła i skrzydłami sobie pomagała.

— Ano, zawołaj — rzekło dziecko.

Kobieta zaczęła:

— Ciurrr!... — zawołała i dodała: Nie... to nie ona. Ot, widzisz, postawały, jak głupie, a kogut w skrzydła uderzył i zapał.

— Ohooo! — odezwało się dziecko uradowane.

Działo się to przy dziale zatytułowanym „Galinaceae“, przy poddziale: „Galina domestica“ za plecami hrabiego

Hrabia się odwrócił. Oczom jego przedstawiły się dwie osoby: kobieta w średnim wieku, w spódnicy, w chustce na głowie, w koralach na piersiach, bez obuwia na nogach, i lat pięć do sześciu dziewczynka w kapelusiku, w sukience gładkiej, w kamaszkach, odziana czysto, ale bez wymysłów modnych, nie wyglądająca przeto na dziecko pańskie

Para ta nie wzbudziła szczególnego w hra-

bi zainteresowania. Język go jeno zajął nieco. Dla języka, uważał za stosowne zaszczycić kobietę paru wyrazami.

-- A czyjaście wy, kobieto? zapytał.

Kobieta podniosła na niego oczy, zmierzyła go wzrokiem i odparła:

-- Myśmy proszę pana, naprzód boskie a potem swoje.

— U kogóż służycie?

— Ta że służymy.

— Czy nie u państwa Smaglewskich? rzekł na chybił trafił, podniecony do indagowania wymijającemi odpowiedziami, z jakimi się spotkał.

— U żadnych państwa Smaglewskich...

— U kogoż?

— Ta u kogoż, jeżeli nie u jasnych państwa Pieckich!

— Z Gajów?

— Zkąd-że jeżeli nie z Gajów?

— A ta pa-nienka?

Hrabia Łopaciński na widok Zusi, odzianej nie wedle modelów, wedle których dzieci odziewano, doznał czegoś takiego, jakby z nieba na ziemię spadł. Nie przypuszczał, ażeby to być mogła hrabianka, córka damy, brylującej w wielkim świecie i zwracającej na siebie uwagę książąt. Dlatego zapytał z wahaniem się. Gdy zaczął: „pa,“ powtórzył je trzy razy, zanim wykszusił „nienka“, i byłby wyrazu nie dokoń-

czył, gdyby mu w głowie nie strzeliło przypuszczenie, że to może być córeczka klucznicy hrabiostwa Pieckich. To też uszom własnym nie wierzył, usłyszawszy odpowiedź następującą:

— Ta panienska, to Żusia.

— Żusia? odezwał się głosem niepewnym.

— Niby Elżusia, aleśmy ją dla prędkości przerwali Żusią, i tak ją nazywają: jasny pan i jasna pani.

— Pani hrabina ma przecie córeczkę?

— A toż ona, Żusia, właśnie.

— O-na? Hra-bianka?

— Dla mnie ona Żusia, póki nie wyrośnie..

Dziewczynki nie zajmowała zgoła rozmowa nianki z jakimś obcym jegomością. Uwagę jej całkowicie pochłaniały kury, zwłaszcza zaś owa czubajka, która jej Justyna pokazała. Od czubajki oczu nie odrywała i nie patrzyła wcale na hrabiego, który się w obec niej znalazł w położeniu, znanem pod nazwą fałszywego. Nie wiedział, co z figurą swoją począć, jak na to dziecko patrzeć, jak do niego przemawiać. Wydało mu się ono w ostatniem zaniedbaniu, co do odzieży, jakoteż pod tym względem, że czuwa nad niem kobieta bosa. „Mój Boże!“ — rzekł w duchu i zgłuszył w sobie westchnienie.

Kombinacja z głowy mu pierzchła.

— Panienska się bawi — odezwał się, żeby się z czemkolwiek odezwać.

— A jużci no, jakżeby się bawić nie miała! Patrzy na kury takie same jak u nas.

— Pan minister w domu?

— Jaki minister? — odparła Justyna.

— Nie, pan hrabia — poprawił się. Omyliłem się, chciałem zapytać, czy pan hrabia w domu

— Nie wiem. Jakaśmy wychodziły, naszego jaśnie pana nie było, ale może już powrócił. Czy ja wiem! Wiem jeno, że nasz jasny pan ministrem żadnym nigdy nie był i nie będzie.

„Może i nie będzie“... — rzekł do siebie hrabia, odchodząc zwolna i myśląc o zaniedbaniu Żusi.

VI

Dzień w którym hrabia Łopaciński zabrał przy kurniku znajomość z Zusią, był tym dniem w tygodniu, w którym hrabiostwo Pieccy dla wizytujących w domu byli. Można ich było w ciągu tygodnia zastawać, ale tylko w czwartki napewno. Dlatego, też od czasu, jak hrabina w górę poszła, we czwartek, w godzinach wizytowych przed domem, w którym mieszkali zatrzymywały się karety pańskie, kursujące ustawicznie aż do zmroku. O zmroku niekiedy zostawały dwie, trzy, czasem cztery, należące do osób, zaproszonych na obiad.

Zaprosiny nie zdarzały się w tygodniu każdym. Regulował je pan Karol, podpowiadając siostrze nazwiska figur, zasługujących na przypuszczenie do bliższej styczności. Figury te przybywały później — mężczyźni we frakach, damy w toaletach wytwornych.

Spotkanie się z Zusią przy kurniku rozstro

ło hrabiego Łopacińskiego, rozstroiło do tego stopnia, że sam nie wiedział, czy ma, czy nie ma państwu Alfredostwu wizytę złożyć. Wizytaznaczona była w programie dziennym, a programów trzymał się zazwyczaj literalnie. Wahał się jednak. Wreszcie się zdecydował

Na decyzją jego wpłynął ten wzgląd, że się hrabiostwo nie popisywali przed światem z córeczką.

„Musi w tem być coś, kto wie: może jaki powód natury politycznej, albo dyplomatycznej, kto wie... hm?... albo... Nie wiem zresztą.. A zresztą, co mi do tego !...“

Wahał się; poszedł jednak, spóźniwszy się nieco. W salonie państwa Alfredostwa zastał parę osób, które się niebawem wyniosły, po których jednak miejsce nie zostało długo opróżnione. Zajęła je księżna Lindenstein.

— Co? Starego lisa niema jeszcze? — zapytała, gdy się już dobrze rozgościła. Spodziewałam się, że go zastanę, i dlatego-m przyspieszyła przybycie moje. Mam z nim na pieńku.. Przekonać go muszę, że w polityce półśrodki są do niczego. To moja reguła.

— I moja, podchwycił hrabia Łopaciński.

— Wnetbym ciebie ministrem zamianowała...

— Z hrabią Pieckim?

— Gdyby się zobowiązał dusić, dusić, dusić, ot, tak.

Zusia

11

Zacisnęła mocno pięść na pięść i skrzywiła się.

— Czemużby się zobowiązać nie miał. Nie prawdaż? — zwrócił się do pana Alfreda z zapytaniem.

Pan Alfred odpowiedział.

— Phi...

— Żydów... — dopowiedział hrabia Łopaciński.

— Wszystkich, wszystkich.

Z tego wyszedłszy punktu, rozgadała się i nie bez sensu.

Lichwiarstwem nazwała stan średni, to jest tę klasę, co jest tak przebiegła, że w rozdziale utrzymuje dwie klasy, którym interes zobopólny nakazuje sprzymierzyć się przeciwko groszorstwu. Wysławiała feudalizm, który, jej zdaniem, jest porządkiem najbardziej do naturalnego zbliżonym.

— Trzeba, żeby ktoś rządził; trzeba, żeby ktoś pracował; nie potrzeba pomiędzy rządzącymi, a pracującymi pośredników, faktorów wyzyskujących jednych i drugich.

Zapytywała o zdanie to pana Alfreda, to pana Leopolda, to hrabiny niekiedy Pierwszy odpowiedział:

— Ph .. zapewne.

Drugi był w zachwyceniu i nie miał odpowiedzi innej, jak tylko:

— Ach mościa księżno.

Pani Alfredowa uśmiechała się i mówiła :

— Doprawdy... nie wiem.

W rzeczy samej niewiele ją to obchodziło. Jednem uchem słuchała, drugim wypuszczała teorie i doktryny wykładane przez księżną prędko, żywo i z tym zbytkiem słów, który jest właściwy kobietom wymownym, a raczej gadliwym. Prawiła, prawiła, z przedmiotu na przedmiot przeskakiwała, istne z jej ust płynęły potoki, które się nie zatrzymały, aż lokaj zaanonsował :

— Hrabia Brzdęcki !

— Ah! — zawołała — „der alte Fuchs“ nie przyjdzie chyba.

— Czekamy na barona... odrzekła hrabina.

— Prosiliście go na obiad?

— Prosiliśmy.

W tej chwili hrabia Łopaciński wstał z akcentem, znamionującym pożegnanie.

— Ależ panie Leopoldzie — odezwał się pan Alfred, ulegający mimowolnie nawykniom gościnności, wyniesionej z Gajów — przecież od obiadku nie odejdiesz.

— Bez fraka jestem — szepnął pan Leopold gospodarzowi na ucho.

— Nie prosiliście jeszcze kogo? odezwała się księżna.

— Nikogo więcej — odparła hrabina.

*

— W takim razie, moszci Lopasinska zostajesz na obiedzie, zapraszam ciebie.

— Zastosowałbym się jak najchętniej do rozkazu waszej książęcej mości — odparł hrabia z tym ruchem szarmanckim, właściwym galicjanom czystej krwi, który przypomina ruch figur gumelastycznych, zaopatrzonych w nadymany wiatrem mechanizm — gdybym był przewidział, że mnie ten rozkaz zaszczytny spotka.

— Przyobiecałeś się jakiej frajerce?

— Nie... ale

— Zapłaciłeś z góry za obie i nie chcesz stracić paru guldenów?

— Nie.

— Cóż więc?

— Wasza książęca mość niech raczy w moje położenie łaskawie wejść i mieć mnie za wytłomaczonego.

— Uzegóż ci koniec końcem brak?

— Fraka — odparł pan Alfred.

— Tego tylko?... A!... Cóż ty na to? — zwróciła pytanie do hrabiny.

— Mnie to nic nie szkodzi — odpowiedziała zapytana.

— Ani mnie. Dla mnie bądź ty sobie bez fraka, bez surduta, bez kamizelki, ja na to nie zważam. Nie wiesz, żem czerwona? księżna czerwona? Czy nie wiesz o tem?

Hrabia się skłonił z akcentem galicyjkiem.

— Jeżeli wiesz, zostań. A dlaczego? Myślisz może, żeś tobą tak dalece zachwycona?

— Ja myślę, że wasza książęca mość na mnie łaskawa.

— Nie koniecznie. Aleś mi potrzebny do rachunku. Bez ciebie, ponieważ ten elegant przyszedł — wskazała na pana Karola — zasiadłoby nas do stołu pięcioro, liczba nieparzysta. Do liczb nieparzystych jestem uprzedzona. Gdybyś się nie trafił, albo bym była do stołu nie siadła, albo by gospodarstwo musieli dla pary posadzić bosą niańkę. No? Rozumiesz teraz moją łaskę?

— Wasza książęca mość. Yhm... ehm... — uśmiechał się i głową, jak gołąb, kiwał hrabia Łopaciński.

— Swoją drogą, ja ciebie lubię, Lopasińska: gdy się przebierzesz w swoje kaftany z guzami, gdy się pasem przepaszysz i napuszysz, wyglądasz jak pawian. Bardzo ciebie lubię. Siadajże i czekajmy na barona.

— Nie rozumiem, dlaczego się spóźnia — odezwał się pan Karol.

— Ha, coś go zatrzymuje. Niańka nie rozporządza czasem swoim dowolnie, a on niańka przecie. Czy nie?

Ostatnie zapytanie wystosowała do hrabiny.

Hrabina odpowiedziała uśmiechem i skinieniem potakującym.

-- Ma wprawdzie pupila pod wąsem prawie, ale dlatego też niańczenie tem większą na niego wkłada odpowiedzialność. Hoduje latorośl drogocenną... o...

Rozwodzić się zaczęła nad wielkiem, nad mistycznym znaczeniem latorośli, powierzonej pieczy barona Schaubube. Przystroiła ją w takie przymioty i takie blaski, które olśniłyby mogły wyobraźnię bardziej trochę żywą, aniżeli hrabiny.

Pani Alfredowa słuchała wywodów księżny jak się słucha bajek o zaczarowanych zamkach i latających koniach. Nie interesowało jej to inaczej. Spokojna jej natura powstrzymała wyobraźnię w polocie ku sferom promienistym, o których księżna z zapałem mówiła, łącząc „sacrum cum profanis“, a czyniąc to w sposób, nadający połączeniu urok nieprzeparty.

Słuchacze jej, w liczbie trzech, słuchali i dwaj nie rozumieli, jeden rozumiał. Rozumiejącym był pan Karol. Ten potakiwał, niektóre wyrażenia podkreślał i okiem od czasu do czasu powodził to po szwagrze, to po hrabi Łopacińskim, którzy potakiwali także. Gdy jeden mówił: „O, tak“ drugi dopowiadał: „Nie inaczej“; gdy jeden wykrzykiwał: „Wielka prawda!“ drugi poprawiał: „Święta prawda!“

Księżna prawiała o zadaniu rozbudzenia umysłu potężnego, pogrążonego w śnie letargi-

cznym, zadaniu którego rozwiązania podjąć się może jeno kobieta.

— Rozbudzić go, rozbudzić, czarem wejścia, urokiem uśmiechu — mówiła. — O, gdybym była młodą i piękną.

— Cóżby powiedział książę? wtrącił pan Karol.

— Co? Podzieliłby zasługi żony. Są sytuacje siły nieprzepartej, do których się stosują umysły wyższe. Jest w tem „du sublime“ — wyraz ostatni wymówiła po francusku. — Czy nie tak, panie von Pieska?

— Mościa księżna wyznacza mężom rolę wzniosłą.

— Czy może być co wznioślejszego nad posiadanie żony, co stworzyła bohatera.

— Niezawodnie — odrzekł pan Alfred

— A bohatera nam teraz potrzeba, bohatera! zaczęła wołać.

W tym momencie lokaj zaanonsował barona tak, że nikt tego nie słyszał i baron zjawił się niespodzianie.

O słuch jego obił się dwukrotnie okrzyk księżny.

— A! — podchwycił pan Karol, modyfikując w pierwszym wyrazie wiersz Byrona, dodał: „We want a hero...“ i oto bohater stawia się na zawołanie.

— Taki bohater! — odparła księżna, po-

dając do uściśnienia dłoń baronowi, wystrojonemu, pachnącemu.

— Gotów zawsze na usługi wasze, mościa księżno — odparł.

— Gdzieżeś się tak długo bawił?

— U mojej siostrzenicy.

— U Guiepssek?

— Tak. Byłbym jednak opuścił ją wcześniej, gdyby nie wypadek, który ją spotkał.

— Wypadek?... O!... Cóż takiego.

— Rozgniotła sobie palec.

— Palec? — odezwała się hrabina z akcentem spółczucia.

— U lewej ręki.

— Jakże to?

— Otwierając fortepian.

— Ma grać na koncercie, zauważyła księżna.

— Właśnie też. Dlatego ją wypadek skonsternował. Zemdląta i, rzecz naturalna, odstępować jej nie mogłem, póki się nie uspokoiła trochę.

— Że też ją spotyka niepowodzenie po niepowodzeniu. Niedawno nie powiódł się flirt, teraz palec zgniotła. To pech. Mnie się tak zdarzyło za czasów Meternicha.

W chwili, gdy baron o siostrzenicy zagadał, hrabia Łopaciński ujął hrabiego Pieckiego pod ramię, coś do niego po cichu przemówił

i obydwu wyszli. Nie było ich przeszło kwadrans. Hrabina poczęła się już za mężem oglądać, gdy zjawili się: hrabia jeden i drugi. Wraz z powrotem ich, lokaj zaanonsował obiad. Pan Alfred podał ramię księżnej, baron hrabinie; za temi parami pociągnęli: pan Karol z hrabią Łopacińskim, paradującym we fraku, w wydętym półkoszulku i w białym krawacie.

— Przebrałeś się — rzekł pierwszy do drugiego.

— Pocziwy Alfred uratował mnie. Co to za zacna dusza! Nigdy mu tego nie zapomnę, nigdy.

Przy stole miejsce zajął w pełnem, paradnem, umundurowaniu. Gąsienica zamieniła się w motyla.

Księżna zoczyła to przeobrażenie, uśmiechnęła się, głową skinęła i rzekła:

— Brawo Lopasinska! Ministerjalny z ciebie człowiek. Kiedyś taki służbista, to już ja ciebie do góry wyciągnę, choćbym za uszy ciągnąć miała.

Hrabia Łopaciński promieniał. Ale mało jadł. Spożywał jeno same suche potrawy, odsuwając zdaleka dawanemi ręką lokajowi znakami półmiski, na których sosy widział. Była to ostrożność konieczna ze względu na odzież.

Księżnej przy obiedzie się gęba nie zamykała. Jadła z apetytem, gdy zaś nie jadła — gadała. Dzięki jej, dobry panował humor, siada

bowiem, niby z rękawa, dykteryjki i anegdoty, których w długim życiu nagromadziła zapas poważny. Przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, od Meternicha naprzykład do jakiejś panienki, co podwiązki zgubiła, do damy, którą pszczoła w kolano ukąsiła. Dotrzymywał jej poproszę placu baron, bardziej atoli pan Karol.

Po obiedzie z salonu panowie udali się na czarną kawę i cygara, panie do buduaru hrabiny na wypoczynek.

Księżna się wygodnie na otomanie rozsiała, nogi wyciągnęła i od następującego pytania rozmowę z gospodynią domu rozpoczęła.

— Jakże, cóż o nim myślisz?

— O kim?

-- Udajesz, że nie wiesz, czy co!

-- Pani! — odezwała się hrabina tonem, w którym uczucie urazy brzmieć się zdawało.

— Gniewasz się. Zamiast gniewać się, powiedz, że nie wiesz, a ja ci odpowiem, że cię Pan Bóg nadaremnie ustroił w takie piękne uszy i w takie piękne oczy. Nie widzisz i nie słyszysz, co widzi Wiedeń cały i o czem wróble na wiedeńskich dachach szczebiocą.

Nie wiem o niczem.

Słowa te cechował akcent takiej szczerości i takiej prawdy, że księżna się rzuciła i szeroko w zadziwieniu otwartymi oczami w oczami w oczy hrabinie spojrzała.

— Toś... — toś.. — zaczęła.

Na języku wisiał jej wyraz „głupia,“ Zamiast jednak wyraz ten wymówić, zamysliła się. Milczała przez długą chwilę zdawało się nawet że się zdrzemnęła: nie zdrzemnęła się atoli, albowiem po chwili przemówiła.

— Mieszkacie już w Wiedniu?... — zapytała.

— Dwa lata, mościa księżno.

— I podoba ci się tu?

— Dosyć.

— Musi ci się w Wiedniu podobać bardzo.

— Tak, — ale, odparła hrabina.

-- Takie masz powodzenie! Świetne powodzenie.

— Łaskawi na mnie.

.. Łaskawi! — wykrzyknęła księżna tonem prawie gniewnym. — Łaskawi! Jesteś piękna, skończenie piękna, ztąd łaska. Piękna kobieta, to jak kryształowa czasza, napełniona konfiturami: każdy się rad przygląda i każdyby rad pokosztować. Zachwycają się tobą i słusznie: pozujesz tak od niechcienia, jakbyś o tem nie myślała.

— Bo też nie myślę — wtrąciła hrabina, która zmieszała się nieco, gdy księżna pochwały jej głosić poczęła.

— Nie myślisz Gadaj mi. Ja kobieta, przetarta w świecie, wiem przeto, gdzie raki zimują.

Pozujesz posągowo tak, że gdybym kobietą nie była, to, chociaż stara, głowa by mi się zawróciła. Ręczę, że ten żydowski baron, Luber, Lutter, czy jak, dałby parę milionów za pozwolenie popatrzenia z bliska na ciebie.

— Księżno — zawołała hrabina z hamowanym oburzeniem

— Tak, tak moja kochana. Tak życie idzie. Pozujesz świetnie i, co więcej, masz gust. Nikt się nie ubiera lepiej od ciebie.

— Mnie ubiera Rinzen — wyznała.

— Rinzen nie ciebie tylko samą ubiera, a przecież żadna nie włożyła takiej kanarkowej sukni, w jakiejś się pokazała. Było to coś olśniewającego. Suknia ta musiała cię kosztować bajeczną sumę.

Hrabina, pamiętała układ z krawcem, nie wyjawiała tajemnicy.

— No, przyznaj się.

— Do czego?

— Ile za nią Rinze policzył?

— Nie wiem — szepnęła.

— Rachunki mąż płaci, hę? Takich sukienek po parę co rok. a oglądać się potrzeba za innymi, anizeli z majątku, dochodami O, Wiedeń dochody pożera. Niby to nie Paryż, ale kosztowniejszy nieraz od Paryża. Więc...

Na ostatni, zapytaniem akcentowany wyraz, hrabina nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Nie myślisz, moje dziecko, o tem? — zapytała księżna dobrotliwie.

— O czem, mościa księżno?

— Żeby męża na jakiegoś verwaltera, dyrektora, prezesa promować?

— Karol go promuje na ambasadora.

— Dobrze! Na ambasadora, ministra. Temu osłowi Lopacinska chce się gwałtownie wraz z mężem twoim do ministerjum wleść. Czemu nie? Ja bym i Lopacinska ministrem zrobiła. Ale twój mąż co innego. Jemu łatwiej, raz dlatego, że ma ciebie. Ty — wstała i, z patosem, rękę wyciągając, rzekła — zrobisz z niego, co zechcesz.

— Ja?

— Ty, moja kochana, ty.

— Ależ kiedy ja niczego nie chcę.

— Co? — zawołała księżna.

— Niczego nie chcę — powtórzyła hrabina głosem takim, jakby się do winy przyznała.

— Więc pocóż wy w Wiedniu mieszkacie?

— Po co?

Hrabina nie wiedziała.

— No? — nalegała księżna.

— Dla wychowania dziecka — wykrztusiła prawie hrabina.

— Bah! Prawda, wy macie dziecko. Pokaż mi je, jeżeli jeszcze nie śpi.

Hrabina zadzwoniła na służącą i kazała jej Żusią przyprowadzić.

W chwilę później wbiegła Żusia; zobaczywszy obcą figurę, cofnąć się chciała.

W portjerze pół firanką osłonięta, stała Justyna.

— No, idź do mamy — idź — odezwała się.

Dziewczynka się jeszcze wahała.

— Żusiu! — zawołała matka.

Żusia się zdecydowała, do hrabiny przypadła i w fałdy sukni jej się wsunęła.

— Jak jej na imię? — zapytała księżna

— Elżbieta — Zwiemy ją: Żusia.

— Żusia, Żasia. Czemu nie Beta, Betina tak, się ją nazwało i zostało.

— Żusia, dobrze. Ładne dziecko. Więc to dla jej wychowania?

— Tak odrzekła hrabina, gładząc dziecko po główce.

— Dobrze, chwalebnie. Nie myślę jednak, ażebyście ją na wychowanie w lichwiarskie ręce oddawać zechcieli.

— Nie wybraliśmy jeszcze zakładu.

I nie wybierajcie. Wszystkie zakłady edukacyjne lichwiarstwem czuć. Lichwa na lichwie siedzi i lichwą się posługuje. Wszystkie zapchane córeczkami przedsiębiorców, fabrykantów, kupców, żydów, klasztory nawet.

— Trzeba coś obmyślić przecie.

— Edukacja domowa: bona i dochodzący nauczyciele, metrowie, nauczycielki. W Wiedniu tego niby w mrowisku, im kto tańszy, tem, lepszy.

— Powiada to samo Karol.

— O, tak, Żusia, a, Żusia — zwróciła się do dziewczynki — pójdźże do mnie, niech cię pocałuję.

— Pójdź do księżny pani — odezwała się matka po polsku.

— Czy po polsku tylko mówi?

— Tylko dotychczas, pięć lat liczy.

— Pięć lat, duża dziewczynka.

Przemówiła księżna do Żusi słów kilka po czesku, które znaczyły: „Pójdź do mnie, piękna dziewczyno“, lecz ona nie zrozumiała. Domyśliła się, że przemówienie wys'osowane było do niej i mocniej się do matki przytuliła.

— Ładne dziecko, bardzo ładne. Dzikusik, prawiła księżna. — Ale to i dobrze... Teraźniejsze wychowanie wcale mi się nie podoba. Niech dziecko będzie, jak ptaszę: póki bez piór, w gnieździe siedzi; gdy mu pióra urosną lata. . Oh, te lalczęta wystrojone, dla których dzienniki mód osobną prowadzą rubrykę. Dobrze waszą dziewczynkę wychowujcie, bardzo dobrze. Na przyszłość idźcie za radą Karola.

Hrabina pochwał tych słuchała, ale własnego na wychowanie poglądu nie wypowiedziała

z racji nowości, jaką przedmiot ten dla niej był. Wychowanie dzieci? Wiedziała o tem, ponieważ z bratem mówiła; kwestja ta jednak była dla niej obcą. Nigdy o niej na serjo nie myślała. Ułożyło się to, co do Żusi, samo przez się odrazu, i układało następnie, tak w Wiedniu, jak w Gajach. Trafiła się piastunka, ta sama, co wychowała i wypiastowała hrabinę, kobieta pewna i wypróbowana, uczciwa i przywiązana, i w Gajach była ona na swoim miejscu. Nie można było bez niej dziecka z Gajów do Wiednia przenieść; w Wiedniu zaś — tyle się nagromadziło roztargnień, że lubo hrabinie przychodziła niekiedy na myśl potrzeba przystosowania swego dziecka do dzieci, wyglądających jak małepeczki za aniołków poprzebierane, ale uczynienie tej potrzeby zadość odkładało się z dnia na dzień.

Gdyby nie Justyna, byłoby się to nie odkładało zapewne. Z nią jednak, z tem przeświadczeniem, że pod jej okiem nic się Żusi złego stać nie może, dniie upływały przy dystrakcjach, jakie ustawicznie umysł hrabiny zajmowały, dniie upływały i dziewczynka doczekała się roku szóstego. No — i spadły na hrabinę niespodzianie pochwały — pochwały z ust kobiety, uchodzącej za niewiastę, nie obwijającą słów w bawełnę, za rodzaj spartanki na posadz-

kach salonów wiedeńskich, deptanych stopami sfer najwyższych towarzystwa stolicy.

Pochwały te zajmowały ją trochę. Nie poczuwała się do zasług i nie umiała ich zagarniać na swój rachunek. Z drugiej znów strony, nie wydawało się jej rzeczą właściwą opowiadać, jak się to zrobiło. W milczeniu przeto wysłuchiwała słów księżny i, kiedy ta odetchnęła, odezwała się.

- Wybaczy mi wasza książęca mość, że dziecko odeślę.

Tu na nią znów spadła pochwała niezastuzona. Odesłać chciała Żusię, celem usunięcia przedmiotu, nastroczającego materiału do rozmowy, w której placu dotrzymać nie umiała, księżna zaś pochwyliła :

— Do łóżeczka?

— Do łóżeczka — odrzekła, wstając i odprowadzając dziecko do drzwi, w których je Justyna zabrała.

Gdy na miejsce swoje powróciła, usłyszała, co następuje :

— Jakże to dobrze jak bardzo dobrze! Prowadzisz swoją dziewczynkę wzorowo! wzorowo! Dzieci wcześniej spać iść powinny, we śnie rosną i sił na życie całe nabierają. W dziewczętach piękność się kształtuje. Musiała cię matka wcześniej do łóżeczka odsyłać, kiedyś się taka piękna udała.

— Wasza książęca mość — zaczęła hrabina tonem wymówki proszącej.

— Co? no?

— W kłopot mnie wprawia.

— Jak? czem?

— Zbytkiem łaskawości.

— O! ze mną łaskawość w parze nie chodzi. Co mówię, to setki razy na dzień powtarzają ci zwierciadła. W tem łaskawości z mojej strony nie ma najmniejszej, jeżeli zaś jest coś, co na nią wygląda, to powiem ci, co mianowicie. Słuchaj jeno.

— Mościa księżno, odrzekła hrabina z gestem odpowiednim.

— Zagrzebujesz skarb w ziemi — rzekła księżna, palec z gestem upomnienia do góry podnosząc.

Hrabina nie zrozumiała znaczenia tych słów.

— Zagrzebujesz w ziemi skarb i pożytku z niego nie ma. To bardzo dobrze i chwalebnie, że dziecko wychowujesz, jak-em się o tem przekonała, skromnie i przywoicie, to bardzo dobrze i chwalebnie, ale to źle, że taka właśnie, jak ty, nie bierze się do rozbudzenia drzemiących potęg. I czemuż to?

— Mościa księżno, nie wiem — odpowiedziała hrabina, która w rzeczy samej nie wiedziała, a może wiedzieć nie chciała, do czego księżna zamierza.

„Może wiedzieć nie chciała“. Przypuszczenie to usprawiedliwia się samo przez się niejako. Spokojny temperament nie pozbawiał jej władzy pojmowania i domyślania się obiektywnie. to jest w sposób, dający możność wyzyskiwania bliźnich płci odmiennej na rzecz własnej ambicji, próżności, czy chciwości. gdyby przymioty te nurtowały w duszy hrabiny. Warunek to do wyzysku nieodzowny. Nie odpowiadał on nastrojowi duchownemu hrabiny i dlatego odpowiedziała księżnej: Nie wiem.

— Nie wiesz? — wykrzyknęła ta ostatnia. Nie widzisz przed sobą letargiem ujętego młodego olbrzyma, do którego zbudzenia potrzeba jeno, ażebyś szepnęła?

Ton, jakim wyrazy powyższe wymówione zostały, zatrwożył hrabinę. Nie zdołała trwogi zamaskować. Księżna to spostrzegła i nagle zamilkła. Po chwili milczenia znowu się odezwała:

— To tak, mówiła spokojnie — kobieta, jeśli jest rozumna i uczciwa, wiele może... Trzeba, żeby była uczciwa... Uczciwa, a głupia, męża wydoi, dzieci wystroi i przeminie, jak podmuch wiatru. Uczciwa i rozumna skorzysta z młodości i nie ominie sposobności, nietylko pokierować męża, nietylko zapewnić przyszłość dzieciom, ale zrobić coś więcej, coś takiego, za co by jej pokolenia dziękowały. Potęga kobieca jest ogromna. Pokazało się to na paniach de

*

Montespan, de Maintenon, de Pompadour i wielu innych, mądrych, i le nieuczciwych. Nam potrzeba w tych złych czasach zmaterjalizowania i bezbożności kobiety rozumnej i uczciwej. Nie pojmuję, dla czegośbyś nie miała nią zostać.

— Ja nie chcę, odparła hrabina

— Tak-że gadaj. To co innego Męża nie skrzywdzisz, wierzaj mi zwłaszcza, jeżeli go kochasz. Ty swego kochasz, zdaje się?.. — zapytała.

— O, tak; dobraliśmy się.

— Tem lepiej. Pieska wygląda na filozofa, nie zazdrośny, co?

— Nie dawałam mu do zazdrości powodów.

— I nie dawaj.

Wstała, do zwierciadła się zwróciła na głowie sobie poprawiła, poprawiła coś przy odcieży i, ramię hrabinie podając, rzekła:

— Nagadałam ci, nagadałam Ale jam stara, mam prawo; jam księżna von Lindenstein mam obowiązki; skorzystałam więc z prawa, spełniłam obowiązek, pozostaje mi przeto pożegnać was. Panowie zapewne cygara już wypalali.

Ramię pod ramię panie do salonu weszły. W salonie nie było nikogo Zajęły siedzenia przy kominku, na którym się płomieniem we-

soły palił ogień, i niedługo na panów czekały. Najpierwszy zjawił się baron von Schaubube.

— Cóż tam? — zaczęła go księżna. — Geografii dalszcie spokój?

— Mielśmy z nią do czynienia nie wiele, była zapytanego odpowiedź.

— Z czemże?

— Z filologią w zastosowaniu do polityki gabinetowej. Graf Lopasinska, w filologii niesłychanie biegły, toruje jej do polityki drogę.

— A ja utorowałam drogę dla ciebie, stary lisie.

W chwili tej wszedł pan Alfred. Księżna wstała. Nastąpiło pożegnanie, w którym wzięli udział i dwaj inni panowie, nadszedłszy w momencie, kiedy księżna ku drzwiom wchodowym się zwróciła. Panowie Alfred i Karol odprowadzili ją do pojazdu. Gdy wrócili, baron się wynosił, wzywając ze sobą hrabiego Łopacińskiego, który się tłumaczył, że mu towarzyszyć nie może.

— Nie mogę, baronie dostojny, nie mogę. Tak mi przykro!... ah... Ale w inną pójde stronę mam oznaczoną godzinę, minutę nawet.

— W klubie się zejdziemy.

— Może, zapewne, gdy się załatwię

— Adieu, do widzenia.

Hrabia miał wielką ochotę odejść z baronem, ale go frak pana Alfreda wstrzymał. Nie

wypadało prosić barona, ażeby na niego poczekał. Po odejściu jego pożegnał hrabiostwo i pana Karola, przebrał się i nie wracał już więcej

Hrabina, w kąć usunięta, nie ruszała się od kominka. Oblicze jej wyrażało zamyslenie. Szwagrowie zawiązali gawędkę o księżnej.

— Wściekła baba, odezwał się pan Alfred.

— Ale wpływowa, odparł pan Karol. Dociera wszędzie, idzie przebojem, nie ma w Wiedniu drzwi, co by dla niej były zamknięte.

— Nie o drzwi chodzi, ale o uszy.

— I uszy się otwierają dla niej. Niejedna z figur wysokich, ministrów nie wyłączając jej stanowisko swoje zawdzięcza.

— Przesadzasz — mruknął pan Alfred.

— Bynajmniej.

— Czyżby jej prośby takie miały znaczenie?

— Gdyby prosiła. Ona nie prosi, ale się domaga, krzyczy i wykrzyczy. Jeżeli masz jakiś w którym ministerjum interes, jej jeno powierz.

— Gdybym miał, spróbowałbym.

— Przekonałbyś się.

— Jeżeli o próbę chodzi, niechby mnie ministrem zrobiła

— Ministrem, jak ministrem, byłoby to może trochę dla niej nawet za trudno, ale ..

— Cóż — przerwał pan Alfred — wszak Łopaciński kołata i uszy mi ustawicznie ministerstwem wierci?

— Bzikowaty szlachcic. Ministra się dochrapać trochę za trudno, ale ambasadka jakaś...

— On z ministerjum, ty z ambasadą. Koniec końcem, kto wie czybym ambasady nie wolał. Wystaw sobie bowiem: pyta mnie minister finansów o radę, co się tyczy deficytu, ja mu radzę, on radę moją gienialną uznaje i nie stosuje się do niej. deficyt, jak byk w budżecie wyłazi. Temi jakoś dniami widzę się z nim pytam, co się stało: Ah, hrabio kochany — powiada, pomysł twój spotkał się z przeszkodami, większemi, aniżeli Himalaje. Dziękuję za taką robotę, do którejby Himalaje rozkopywać po trzeba.

— Masz rację — potwierdził pan Karol.

— Albo proszę ciebie, minister sprawiedliwości. Poradziłem mu zakazać czytania i dowiedziałem, że zakaz ten byłby konstytucyjny, bo w konstytucji słówka o czytaniu nie ma. Nie widziałem się z nim, więc nie wiem, co zaszło, ale zakazu... miesiąc minął... nie ma.

— Może jeszcze będzie — rzekł pan Karol od niechcienia.

— Za długo jednak zwleka.

Hrabina nie brała najmniejszego w rozmowie pomiędzy mężem, a bratem udziału. Patrzyła na płomień i zdawało się że ją zajmują kształty i barwy wytworu, znamionującego pierwociny cywilizacji. Śledziła ruchy lotne smug, do

góry się rwących, jakby gonity uciekający od nich dym, znikający w przewodach, zamaskowanych marmurowym okapem. Formy marmuru, ujęte w ramy brązowe, nie obchodziły jej zgła. Całą uwagę zwróciła na płomień i tak z nim wzrok społa że brała w oczy mieniaące się purpurowo pomarańczowe połyski, które od niego były. Połyskom tym źrenice jej za zwierciadło służyły, a łącząc się z szafirem, długimi rzęsami ocienionym, wytwarzały światło, tajemniczością owiane i wydobywające się niejako z głębi. Z tem światłem w źrenicach, przed tem ogniskiem płomiennem, w zadumie pogrążona, była zachwycająca.

Niestety nie było nikogo, coby się nią zachwycał.

Mąż, rozparty w fotelu, z nogą prawie na kolanie lewej założoną, kurzący od niechcenia papierosa, ani na nią spojrział.

Brat z ukosa mierzył ją niekiedy wejrzeniem, ale tak obojętnie, jakby nie na wcielenie piękna w niezwykłym oświetleniu, lecz na sprzęt jaki pospolity spog'adał.

A przecie pan Karol znał się na rzeczach takich.

Snać roztargnienie sprawiała mu ciągnąca się leniwie ze szwagrem rozmowa, rozmowa nie budząca zajęcia najmniejszego, nudząca go widocznie, podtrzymywana przez grzeczność chy-

ba, a może dlatego, ażeby z niej zrobić wstęp uwydatniający treść, zasługującą na uwagę. Przypuszczenie to prawdopodobnem jest ze względu na następujące zapytanie:

— Nie zapomniałeś ty, Alfredzie, danej baronowej obietnicy?

— Jakiej?

— Zapomniałeś

— Czym ja mu co obiecywałem?

— Aleja Schönbrunn.

— A tak... prawda.

— Obietnicę dałeś w swoim i żony imieniu.

— Prawda... ale czy co komu na tem zależy?

— Leży, a raczej stoi: słowo dane.

— No tak, Milciu! zainterpelował żonę

— wiesz, w pierwszy dzień pogodny, o dziesiątej rano, mamy we dwoje tarabanić się aleją szenbruńską „hin und her“..

Hrabina nie odrzekła na to. W oświetleniu płomiennem postać jej w posagowej nieruchomości jaśniała kolorytem, nadającym jej urok szczególny. Pozostawała jeszcze w toalecie obiadowej. Osłaniały ją jedwabie i koronki, ponad któremi gors, ramiona i oblicze od pstrego tła obicia fotelowego odbijały przyrumienieniem. Nadawało to postaci cechę piękna, oddychającego gorącym ognia. Zdawało się, jakby hrabina upo-

zowała się tak umyślnie, pomimo, że pozy tej ani sama w zwierciadle oglądać nie mogła, ani nie było widzów, coby ją podziwiali.

Zdziwił się pan Karol nie pozą jednak, ale wyrazami, które nagle i niespodzianie z ust hrabiny wypłynęły.

— O, tak — rzekła nie ma co, trzeba się zastosować do rady księżny.

Powiedziała to takim tonem, jakby głośno pomyślała.

Pan Karol na nią szeroko otwartemi spojrzął oczami, spojrzenie zatrzymał, a oczy jego mówiły:

— Oszalałaś? Przecież o rzeczach takich nie mówi się głośno.

Wyraz oczu pana Karola zmienił się odrazu. Zaniepokojenie zastąpił w nich spokój.

Pan Alfred bąknął:

— No?

— Żeby jej wychowanie — odparła, urządzić wedle wskazówek, jakich niegdyś Karol nam udzielił. Jakby się zmówili Karol i księżna.

— To i dobrze, rzekł od niechcienia pan Alfred i dodał: Może się oni i zmówili.

— Na pewne nie, odrzekł pan Karol, ale ponieważ rada moja udała się, więc ją uzupełnij: nie ciągnijcie za sobą dziecka po Gasteinach, Schlangenbadach, Kissingenach.

— Przeciwno tej radzie nic nie mam, ode-

zwał się pan Alfred.

Równocześnie z temi słowami, zabrzmiało zapytanie hrabiny :

— Czemu?

— Zapytaj księżny, ona ci wytłumaczy.

— Wytłumacz ty.

— Ponieważ każesz, więc się zastosuję do rozkazu twego. Przy młodej matce córka wygląda poetycznie, ale zawadza.

— Zawadza stanowczo -- podchwycił pan Alfred. Dzieciaki, aniołkujące u wód, na nerwy mi działają (nb nerwowość pana Alfreda była do sprawdzenia) Takie samo wrażenie moje dziecko sprawiłoby na ludziach.

Pomiędzy hrabiną, a hrabią zachodził taki stosunek, że jedno zgadzało się z góry na opinię drugiego. Chodziło jeno o to, ażeby jedno z nich opinię wyraziło. Ponieważ to nastąpiło ze strony hrabiego, hrabina przeto na słowa mężowskie odpowiedziała zapytaniem :

— Cóż z Żusią zrobimy?

— Coście zrobili w roku przeszłym? zapytał pan Karol.

— O! w roku przeszłym wyjeżdżaliśmy nie dalej, jak do Neustadt, ona zostawała w Wiedniu.

— Gdybyście przeto gdzie dalej wyjechali, odeszlijcie ją do Gajów z boną.

— I z Justyną, wtrąciła hrabina. Oh, tak, to będzie już dobrze.

— Będzie świetnie — potwierdził pan Karol i odpowiednio do rad księżny.

Z przyciskiem wymówił wyrazy ostatnie, ale przycisk pomimo że adresowanym był wyraźnie do siostry, najmniejszego na nią nie wywarł wrażenia. Przynajmniej wrażenie nie zrodziło się ani w tej chwili, ani później. Gdy do łóżka szła, żadne rojenia nie mąciły jej spokoju zwykłego. Rozebrała się, noc przespalała i naza-jutrz, przy herbacie porannej dowiedziała się od męża, że, ponieważ pogoda piękna, dotrzymać potrzeba obietnicy, danej baronowi.

— Wyjedziemy? zapytała

— A cóż robić — odpowiedział.

— O której?

— O dziesiątej. Będzie podobno jakaś „Reiterei“. Powiem prawdę, ochota nie ciągnie mnie, ale obiecałem.

W godzinę później lando, ciągnięte przez parę pięknych cugowych koni, unosiło hrabstwo Pieckich przez ulice Wiednia.

Hrabina, otulona w okrycie puszyste i osłonięta od słońca parasolką jedwabną, prześlicznie odbijała od męża, mającego minę borsuka. Konie, prowadzone pewną ręką stangreta, odzianego w perłową liberję i w niedźwiedzią pelerynę, a siedzącego obok tak samo odzianego lokaja,

lekkim truchtem unosiły pojazd z ulicy w ulicę, aż za miastem ruszyły nieco żywiej dostawszy się na szosę szeroką, wysadzaną po obu stronach ciągnącemi się w dwa szeregi drzewami. Jazda w alei tej trwała czas jakiś, gdy ukazała się w dali gromadka jeźdźców.

— Ot masz ich! „Reiterei“, odezwał się pan Alfred.

Część druga.

I.

Spotkanie na przejażdżce w dzień pogodny marcowy z kawalkatą, w której figurował stary baron, a której przewodniczył młodzieniec, nie pozostało bez następstw. Zaniósł się na następstwa groźne. Nazajutrz po przejażdżce onej, do gabinetu hrabiego Alfreda wpadł pan Karol i zaczął rozmowę od okrzyku:

— Na Boga! Co się twojej żonie stało?

— No, co?

— O toż się spisała!

— Jak?

— Ta scena w alei Schönbruńskiej..

— Co za scena? odpowiadał pan Alfred flegmatycznie i obojętnie. Ja o żadnej nie wiem scenie.

— Nieprzyzwoitość, impertynencja niemal „crimen lesae.“

— Gadaj-że bo nareście.

— Ten śmiech!

Zusia

13

— Aaa. . No... śmiała się. Cóż w tem złego ?

— Nie rozumiesz ?

— Cóż to jest do zrozumienia ? Śmiała się i jam się śmiał, tylko że ja nie kobieta, nie rozchychotałem się, jak ona. Nie mogła się uspokoić, aż przy jakiejś tam oberży gdym jej wody do picia podać kazał Ale jeszcze i potem śmiech ją porywał.

— Było czego -- tonem upomnienia odezwał pan Karol

-- Zlitujże się, alboż nie śmieszny z tym cudackim grymasem ?

— Być może, nie wiem ; ale nie o to teraz chodzi.

— O cóż ?

— O zreparowanie nieprzyzwoitości, jakiej się dopuściła Milcia.

— Ona się nieprzyzwoitości nie dopuściła żadnej — zaprotestował pan Alfred prawie uroczyście.

-- Zawsze stajesz w obronie żony.

— Jakże chcesz ! przerwał pan Alfred.

— To pięknie, ciągnął pan Karol. To chwalebnie nawet. Przedstawicie parę gołąbków w połączeniu rozrzewniającem. To dobrze.

— Więc o cóż chodzi ? znów pan Alfred przerwał, czując drwiący w szwagra w słowach szwagra słowach akcent.

— Ale ma to stronę ujemną, ciągnął tenże.

— Jaka, ciekawym?

— Pomijam, że w dzisiejszych czasach podobnie gołąbkowy pomiędzy mężem a żoną stosunek wygląda trochę zabawnie, lecz w stosunku tym zachodzi osobliwość, że, dzięki jemu, wytwarza się w obcoju niepoczytalność.

Nie rozumiem tego.

— A przecie to rozumieć nie trudno.

— To tłumacz!

— Ty nie jesteś sobą, bo się zastawiasz Milcją; Milcia nie jest sobą, bo się zastawia tobą.

— Aa, no. Coż to jednak ma do śmiechu wczorajszego?

— Gdyby nie to, gdyby żona twoja nie czuła ciebie za sobą, czułaby się sama za siebie odpowiedzialną i nie dopuściłaby się wczoraj nieprzyzwoitości.

— Kiedyż bo, powiadam ci, nie dopuścić się nie było sposobu. Jam nie wybuchnął, bom nie taki łaskotliwy, jak ona. A przytem, pamiętam na to, że mam być ministrem, czy ambasadorem.

— A tymczasem mało brakło, ażebyś nie został grzecznie z Wiednia wyproszony.

— Nie gadaj!

— Byłaby ci żona taki szpasik zrobiła, gdyby nie baron.

— Jakże to?

— Ta wysoka osoba, ten wielki mąż przy-

szości, ten, od czyjego wpływu karjera nasza zależy, na szczęście nie widział, a baron słowem honoru zobowiązał oficerów, ażeby milczeli.

— No, patrzcie, odezwał się pan Alfred z niejakim naciskiem, znamionującym, że go obeszło przedstawione przez szwagra niebezpieczeństwo.

— To byłoby nie nastąpiło, gdybyś się Milci za spodnicę nie trzymał.

— Ij, co znów, burknął.

— Tak bo jest. Gdyby ciebie nie było, byłaby Milcia zęby zacisnęła i podobnego z siebie nie wyprawiała widowiska.

— Hrabia Alfred palcem się w kark podrapał, głowę nieco przekrzywił, oczy szeroko otworzył i odrzekł:

— Może ty i masz rację.

Pan Karol na tem poprzestał. Nadal niezadko spotykać się dawał powóz hrabiostwa Pieckich, wożący hrabinę samą w dnie pogodne po okolicach Wiednia. Spotykania owej kawalkaty, pamiętne państwu Alfredostwu, powtarzały się od czasu do czasu, a zawsze albo wskutek porozumienia ze starym baronem, albo wskutek wskazówki pana Karola. Gdy się zdarzały, hrabina śmiechem nie wybuchała; śmiała się jednak, niekiedy nawet tak mocno, że się nią z kozła lokaj oglądał. Następowало to po przegalopowaniu jeźdźców mimo pojazdu. Nie po-

ciągało to za sobą następstw żadnych i mogłoby się ciągnąć w nieskończoność, gdyby dnie nie mijały i nie zbliżała się pora roku, wyciągająca z Wiednia szanujących siebie mieszkańców stolicy.

W spotkaniach tych raz jeno zaszła zmiana nieznaczna, spowodowana przez księżnę Lindenstein.

Księżna i hrabina, ta i ta w powozie swoim zjechały się na Ringu. Gdy się pojazdy mijaly, na dany przez księżnę znak zatrzymały się obaj w takiej pozycji, że panie z sobą rozmówić się mogły. Rozmowa była krótka, nieciekawa i miała się skończyć na wymianie pożegnań, gdy księżna zapytała:

— W którą jedziesz stronę?

Hrabina oznaczyła kierunek.

— Masz może jakie zobowiązanie?

— Żadnego

— Nie tylko przejazdźka?

— Nie innego.

— Jadę z tobą.

Z pojazdu swego wysiadła, obok hrabiny miejsce zajęła, nie czekając na zaprosiny z jej strony, nie pytając o pozwolenie. Uważała jednak za rzecz potrzebną, usprawiedliwić się.

— Widzisz, rzekła, ludzie starzy, ocierając się o młodość, odmłodzenie w sobie czują. A przytem poranek taki cudny.

Poranek majowy w rzeczy samej był cudny. W mieście czuć się to jednak nie dawało tak, jak za miastem. Okolice Wiednia dyszały rozkoszą wiosenną, uśmiechającą się zielenią żywą, w jaką się przystroiła przyroda, opowiadająca się poszeptem, na który składały się szmery tajemnicze liści na drzewach i strumieni, spływające ku Dunajowi, ogłaszająca się świergotaniem ptasząt. Cudność oczy w siebie brała, w słuch wnikała i oczarowywała. Księżna i hrabina snadź ją odczuwały, albowiem w milczeniu spoglądały na widoki, zmieniające się w miarę, jak się lando od miasta oddalało. A oddalało się coraz to bardziej, mijając wille i pałace, ukazujące się w dali, jako też wznoszące się obok drogi oberże, służące dla mieszczuchów do niedzielnych wycieczek, oblewanych piwem suciej, aniżeli w mieście.

— Halt — zawołała księżna przy jednej z oberż i, gdy się pojazd zatrzymał, rzekła do hrabiny: — Tu dobre piwo, napijemy się, co?

— Ja piwa nie pijam — odrzekła hrabina.

— Prawda nie czerwonaś, a jam czerwona.

Dała lokajowi rozkaz stosowny i wkrótce potem wychyliła szklanicę spienionego napoju, wyniesioną przez powabną i ponętą kelnerkę, stanowiącą przynętę dla gości.

Lokaj zapytał, czyby już nie wracać. Za-

pytanie wystosowane było do hrabiny, właścicielki pojazdu. Odpowiedziała księżna:

— Jedź dalej.

Gdy pojazd ruszył, zaczęła:

— Zauważyłaś kelnerkę? Lichwiarstwo się dobrze urządza: sypie ludziom przynętę, jak ptakom, i klej z pracy na swoją korzyść wydusza. Lichwiarstwo mądre, o!...

Po kwadransie może jazdy, znów zawołała:

— Halt!...

Powóz się zatrzymał.

Nastąpiło to nie przy oberży, luboć oberża widzieć się dawała nieopodal, ale w miejscowości przedstawiającej połączenie dolinki, gaiku i strumyka. Dolinka, gaik i strumień, złożyły się na całość harmonijną, uroku nie pozbawioną.

— Wsiądziemy tu na chwilkę, odezwała się księżna.

Żądaniu temu, a raczej rozkazowi, stało się zadość. Panie weszły na łączkę.

-- Miło tu... nie prawdaż?

-- Prawda odrzekła hrabina, schylając się celem uszczknięcia fiołka, który się jej w trawie ukazał.

— Fiołki.. lubisz fiołki?

— Lubię kwiaty wogóle.

-- I kocięta młode?

— I kocięta.

— I dzieci ?

— Tak... i dzieci — odpowiedziała z wahaniem się niejakiem, pochodzącem ztąd, że uczuła coś nakształt wyrzutu sumienia, spowodowanego nieobecnością Żusi, któraby na tej łące, w tym gaiku, przy tym strumyku była na swoim miejscu.

Księżna nie dała zgryzocie sumienia rozwinąć się.

— Zdecydowałaś się więc swoje dziecko na porę letnią do Gajów odesłać — rzekła.

Hrabina, zdziwiona trochę, zkad ona o tem wie, odrzekła :

— Tak...

— To dobrze, to bardzo dobrze. Pochwalam to. Dla dzieci nie może być nic gorszego nad czynienie z nich wystawy. Jest to wprost dla nich zguba. Lichwiarstwo (w jej ustach wyraz ten znaczył, co się pospolicie rozumie kapitalizm), ciąga po wodach i stacjach morskich córeczki swoje, ażeby je zaprawiać do funkcjonowania, jak kelnerki po haremach, salonach i kościołach. Lichwiarstwo to nasz wróg, to wróg ludzkości, to zaraza.

Wpadła w ferwor gadulski i byłaby perorowała, gdyby na trakcie nie ukazała się gromadka jeźdźców, hrabinie dobrze znana. Ona też ją spostrzegła pierwsza i wykonała gest, który na siebie uwagę księżny zwrócił.

— Co to?

— Jacyś jeźdźcy odpowiedziała hrabina i zaczerwieniła się po uszy.

— Co za jeźdźcy?

Przyłożyła lornetkę do oczu i rzekła:

-- A, wielki mąż przyszłości, stary lis, satelici.

Wyrazy te mówiła powolnie i przez ten czas gromadka, mimo że się posuwała stępem, dojechała na wysokość stojącego landa hrabiny. Baron von Schaubube podjechał do przewodniczącego młodzieńca i słów kilka do niego przemówił. Młodzian niespokojnie głowę naprzód ku widniejszej nieopodal oberży, następnie ku dolinie zwróciwszy koniowi swemu cugle ściągnął. W chwili tej pojawił się obok niego masztalerz zeskakujący z konia i chwytający konia młodziana pod podbródkiem za uzdę.

Nastąpiło w gromadce całej zsiadanie z koni, po dokonaniu którego odbył się pochód pieszy w porządku następującym: młodzian przodem, za młodzianem, z boku nieco, stary baron; z tyłu, w odległości kilku kroków, kilku satelitów w grupce, posuwającej się bezładnie. Za wytyczną pochodowi służyły dwie panie, jedna z lornetką w jednej, z parasolką w drugiej ręce druga z parasolką w jednej i z bukietkiem, liczącym cztery fiołki w drugiej ręce.

Księżna za bliżeniem się młodzieńca przy-

brała postawę, całkiem różną od tej, w jakiej ją hrabina widywała. Zuchowata i wyzywająca kobieta stała się wyrazem pokory i unizności. Widząc to hrabina -- i ona się do podobnej nastroiła postawy. Czuła się zażenowaną i zmieszaną mocno. Rzęsy się jej same w dół spuściły i, rzucając cień, nadawały oczom akcent tajemniczości, ubranej w ramy wdzięków, jakie jej oblicze, jej warkocze, jej ramiona, jej piersi, jej kibić, jej postawa cała gromadziła na sobie. Rzęsy zasłaniały przed nią widok. Przez firanki ich widzieć jeszcze mogła przybywające osoby nie wyżej, jak do pasa, najdokładniej zaś luboć nie w całości, widziała stojącą obok trochę na przodzie księżnę, która, gdy młodzieniec przed nią się zatrzymał i niezrozumiałych wyrazów parę do niej przemówił, dygnęła nisko, że prawie do ziemi przysiadła, odpowiedziała głosem od wzruszenia drżącym, a niewymownie słodkim:

-- Dzień dobry, wasza książecka mość.

Hrabina rzęsy nieco do góry uniosła i ujrzała młodzieńca zwróconego obliczem ku niej. Usta się mu zaruszały; z ust wypłynął bełkot, w którym najwyraźniej zabrzmiał wyraz końcowy: „Grafin“. Przynajmniej tak jej się wydało. Więc dygnęła, dygnęła jak mogła najniżej, bacząc jeno na to, ażeby dla podniesienia się nie potrzebowała uciekać się do pomocy rąk i przy-

bierania tej nieestetycznej postawy, która, nosi trywialną nazwę: „stawania rakiem“. Dygnęła i bez wysiłku szczególnego powróciła do podstawy stojącej. Wówczas o słuch jej obita się zamiana pomiędzy młodzieńcem a księżną wyrazów, których połowy nie rozumiała. Nie rozumiała mianowicie tego, co mówił młodzieniec, albowiem on nie mówił, ale bełkotał. Zabełkotał raz, księżna słodziutkim głosem odpowiedziała:

— W rzeczy samej, prześliczny.

Zabełkotał drugi raz.

— W rzeczy samej, prześliczna, powtórzyła z jedyną w rodzaju przymiotnika zmianą.

Zabełkotał raz trzeci.

Znów księżna powtórzyła:

— W rzeczy samej prześliczne.

Przymiotnik, znajdujący się we frazesie, przeszedł w pierwszym spadku przez wszystkie trzy rodzaje w kolei gramatycznej.

Po wygłoszeniu przez księżnę odpowiedzi w rodzaju nijakim, młodzieniec do niej powiedział coś zawsze niezrozumiałego, ona mu „pleno titulo“ podziękowała i dygnęła.

W też pędy dygnęła i hrabina.

Kroki zatętniły. Hrabina rzęsy podniosła i ujrzała młodzieńca i jego satelitów, wsiadających już na koń, a barona Schaubube, ściskającego z głębokim ukłonem dłoń księżny.

Baron mówił głosem przyciszonym:

— Dziękuję, o, dziękuję...

— Cóż? Nie dobrze? — odparła księżna.

— Doskonale, znakomicie, po mistrzowsku.

— A widzisz stary lisie!... I starzyzna przydać się może niekiedy.

Baron zwrócił się do hrabiny, dłoń jej uściskał, słów parę uprzejmych rzucił i oddalił się z pośpiechem starego człowieka, zdążającego za młodymi.

— Otóż niespodzianka nas spotkała - odezwała się księżna, gdy gromadka jeźdźców koni dosiadła, niespodzianka taka zaszczytna!

Ujęła hrabinę pod ramię.

— Nie prawdaż, to pięknie? — zapytała

— Pięknie — odparła zapytana.

— Szczęśliwe zdarzenie — zaczęła, prowadząc towarzyszkę wzdłuż strumyka. — Wido-
cznie, jesteś wybranką Opatrzności. Zachowałaś się znakomicie, tak właśnie, jak potrzeba, ażeby się kazać pożądać. Nie jest to rzecz łatwa dla damy światowej, nie umiejącej zazwyczaj zachować środka pomiędzy trusiostwem pasterki, a impetycznością hetery.

Ta głupia Guiepssek szamotała się nadaremnie. Takie Guiepssek sprowadzają jeno zblazowanie, pozbawiające wpływu kobiety uczciwe. Tyś, moja kochana, jest taką, jakiej właśnie potrzeba; zachowujesz ten środek, który zapewnia wpływ, więcej niż wpływ: panowanie.

Schaubube podsuwał pasterki, podsunął siostrzenicę własną: na nie się to nie zdało. Ciebie podsunęła Opatrzność. U wód będziesz swobodniejsza. Ale — zmiarkowała się — sądząc wedle tego, com dziś widziała, rad ci dawać nie potrzebuję. Pomnij jeno, że masz do rozwiązania ważne, ogromnie ważne zadanie: wyhodowanie Samsona na zgniecenie, zduszenie, zniszczenie lichwiarstwa na rozdarcie tej lwiej paszczęki, co ludzkość pożera.

Uszła kilkadziesiąt kroków w milczeniu, nawróciła i znów zaczęła:

— Gdybym była młoda, rozkochałabym się w nim napewne. Ile wyrazu w oczach, co za czoło, jaka postawa rycerska.

Hrabina się uśmiechnęła, pomyślawszy o ustach, nosie, o uszach nie nader estetycznie do głowy przyklepionych i o bełkotaniu, wyobrażającym mówienie, którego ona zrozumieć nie mogła.

Księżna uśmiechu tego nie widziała. Prawiła dalej o wielkich, jakie ów „on“ budzi nadziejach, opartych na pomysłach, do których samodzielnie w latach dziecinnych dochodził. Czyż nie wynalazł katapulty na muchy? Dla wyyskania takich zdolności na rzecz wielkiego dzieła rozdarcia paszczy lwowi lichwiarstwa; nie masz oniarzy, którzy za wielką była.

— Wiesz przeto o wszystkim — kończyła

księżna, dochodząc do pojazdu. Sprawa na dobrej drodze, stary lis ją rozumie, a chociażby i nie rozumiał, to już się sama, dzięki twojemu taktowi, do końca dotoczy.

Panie wsiadły. Konie rześnistym kłusem powiozły ją do Wiednia. W mieście lando zatrzymało się naprzód przed mieszkaniem księżny, przed pałacem, należącym do zabytków dawnych czasów. Księżna wysiadła pożegnawszy hrabinę komplementem:

— Ty najpierwsza jesteś kobietą, co mi się zupełnie podoba.

Kompliment ten w ustach weredyczki miał swoją wartość.

Hrabina podziękowała zań uśmiechem, poprawiła się się w siedzeniu z takim akcentem, jakby doznała ulgi w czemś, co jej ciążyło i gdy się na schodach domu w którym mieszkała znalazła, śpieszyła, jakby jej co na pośpiechu zależało.

Może śpieszyła dlatego, że się trochę przy późniła.

Mąż się już niecierpliwił.

— Ano, przyjechałaś nareszcie.

Temi słowy ją przywitał.

— Gdybyś był ze mną pojechał, byłabym się nie spóźniła.

— Zapewne, ale byłaby mnie spotkała wymówka, że się ciebie za spódnicę trzymam.

— Trzymaj się, mnie to nie nie szkodzi; a tobie?

— I mnie nie Jeżeli wadzi komu, to chyba Karolowi.

Hrabina się przebrała i w chwilę później, przy stole, zdawała mężowi sumaryczną sprawę z wypadków, jakie ją na spacerze spotkały. Zjadając sznycle, których był zdeklarowanym amatorem, pan Alfred słuchał w milczeniu opowiadania o zjechaniu się z księżną, o przeniesieniu się jej do landa hrabiny, o picciu przez nią piwa, aż gdy z kolei nadeszła scena na dolince, zapytał, połykając nie całkowicie żuty kęs:

— Cóż? nie prychnęłaś?

— Jak miałam prychać, kiedym się bała

— Czego?

— Czego? Czy ja wiem! Wiem tylko, że mi nie do śmiechu było. A potem.

— Co potem?

— Gadanie księżny ..

— Plecie baba, jak na mękach.

— Plecie... zapewne. . jednakże.

Nie tłumaczyła się jaśniej. Zrozumiała ona rolę, jaką jej wyznaczono, i rola ta nie podobała się jej — nie podobała się jej dla dwóch powodów, które by się nazwać dały: jeden uczuciowym, drugi instyktowym. Tego poczucia godności własnej, które damy światowe, dzięki otaczającym je przykładom i pokusom, zatracają, ona

nie zatraciła. Nie nadawała się zgola do „Coeur de femme“ (vide P. Bourget). Nie nęciła jej szczytność upadku, ani dla wielkiego męża w przyszłości, ani dla wielkiego męża w teraźniejszości, a doznawała pewnego upokorzenia wobec tego, że ją pchano ku młodzieńcowi.

Tyle co do uczucia. Co się zaś instynktu tyczy, stanął on oporem wobec racji, za pomocą której księżna usiłowała wprowadzić hrabinę na drogę bądź co bądź ślizką. Wobec drogi tej wzdragala się ona, jak się wzdraga nie kuty koń, gdy go jeździec po lodowej iść zmusza szybko. Nie odważała się na tę ślizką drogę wejść, a wabiona na nią przez księżną i przez brata, nie szukała zastony w mężu. Skąd pochodziło to ostatnie? Czy się obawiała, ażeby mąż nie stanął po stronie księżnej i brata? Czy może odnosiło się do tego momentu, kiedy jej hrabiance Brzdęckiej, oznajmiono, że o rękę jej stara się hrabia Piecki i ona, w przeświadczeniu że jeżeli nie za tego, to za innego za mąż iść musi, przyjęła oznajmienie to obojętnie, oddając rękę swoją panu Alfredowi dlatego jeno, że nie czuła do niego wstrętu. Przypuszczalną jest przyczyna ta jednak, jak druga, z dołączeniem tego spokoju, który stanowi temperamentu jej właściwość. Właściwość owa odpowiadała przymiotom pana Alfreda i uczyniła z państwa Alfredostwa stadło małżeńskie, któremu podobnego nie do-

szukałby się w kocu maku. Nie potrzebowali z sobą omawiać subtelności pożycia, rozumieli się bez szerokiego gadania i ufali sobie wzajemnie, zgadzali się przytem z góry na zachcianki, jakie jednemu lub drugiemu do głowy przychodziły. I tak, gdy czasu onego jednemu z nich, (nie wiadomo któremu — rzecz ta nigdy docieczoną, bo dociekaną nie była), zachciało się w Wiedniu zamieszkać i Kaniowski, o zamiarze się dowiedziawszy, na wydatki uwagę zwrócił, pan Alfred zdecydował oszczędność, pani Alfredowa decyzję tę uznała, przyjęła i do niej się ściśle stosowała. I nie było o tem gadania. Wogóle mało z sobą mówili, nie czulili się, nie pieścili, nie całowali się przy ludziach, ani nawet bez ludzi, nie kłócili się z miłości, ani nie z miłości, nie pałali jedno względem drugiego gniewem przemijającym, ani nie przemijającym — nie wiedzieli, czy się kochają, czy nie. Przystawali do siebie, jak gwinty śruby dokładnie otoczonej, jak dwie deski starannie zheblowane, jak dwie nuty w harmonji się spływające. Dlatego hrabina, opowiadając mężowi szczegóły spaceru, nie powtarzała rozumowań księżny, wabiącej ją na ślizką drogę Spuściła się na swój instynkt.

Nazajutrz pan Karol zjawił się u hrabstwa w humorze różowym.

— Przychodzę z powinszowaniem. — zaczął.

— Z okazji — zapytał pan Alfred.

— Winszuję najprzód tobie — do siostry się zwrócił.

— Czego odparła.

— Naprawienia w zupełności efektu śmiechu. Byłaś poprawną, „correcte, correcte“ do najdrobniejszych szczegółów. Przyznaje to księżna, przyznaje baron, przyznają wszyscy co się tej scenie przypatrywali.

— Jakiej scenie? — odezwał się pan Alfred tonem znamionującym zaintrygowanie.

Pan Karol spojrzał na siostrę z wyrazem, oznaczającym zakłopotanie. Hrabina odpowiedziała:

— Na dolince. Mówiłam ci.

— A... No?... więc cóż?

— Milcia była „correcte“...

— Zapomniała języka w gębie

Hrabina słowa te potwierdziła i żartowała sama z siebie, opowiadając, jak przysiadła, jak oczy spuszczała i jak oglądała buty i spodnie.

— A! rozumiem teraz, skąd się twoja poprawność wzięła: nie widziałaś tego grymasu — podchwycił pan Alfred.

-- Nie żartowałbyś — poufalego napomnienia tonem odrzekł pan Karol. Dobra żona mężowi korona.

— Wiem o tem przecie.

— Pocałowałbyś Milcię w rękę.

— Na podziękowanie.

— Za co?

— Za to, że ci drogę do ambasady ściele.

— Ij, ta ambasada nie bardzo mnie obchodzi.

— Ani mnie — dodała hrabina.

— Nie odrzuciłbym — ciągnął pan Alfred, ale bym się potargował i nie przyjął lada jakiej Bo i do czego to? Miliarda ani na ambasadzie, ani na ministerstwie nie zarobię, dla ludzi nic nie wykrzeszę, jak bywało, tak będzie, więc, jeżeli wam chodzi o to, ażebym był, nie czysto Pieckim, ale jego ekscelencją Pieckim, nie przeszkadzam wam, pomagam nawet.

— Dziwna z was para odezwał się pan Karol po chwili milczenia.

— No?

— Zdaje się, że ambicja obcą jest wam, jednemu i drugiemu.

— Co ty gadasz!... Ambicja nam obca? Powiedz raczej, nie ma jej do czego przyczepić. Inaczej bowiem, czyż to nie ambicja, iżbym sobie życzył ambasady w Paryżu, w Londynie, w Berlinie, a przynajmniej w Rzymie, nie zaś gdzie w jakiejś dziurze, o której świat wie mało co?

— Nie starasz się jednak, zabiegów nie czynisz.

— Zabiegów nie czynię? Nie staram się? Czy ministrów nie odwiedzam i rad im zdrowych nie udzielam? Czy na balach nie bywam?

— Czy ja z mojej strony nie przysiadam, do samej ziemi? wtrąciła hrabina.

— Czy do klubu nie chodzę? — ciągnął pan Alfred. — Czy dom mój zamykam? Czy matador nie przyjmuję? Czegóż chcesz więcej? Nie mogę przecie ani Kalnokiego ani nawet Taaffego za kolana łapać i prosić: „Ambasady!... ambasadki!.. ambasadeczki!.. złoty panie.“ Dada. dobrze; nie dadzą, obejdziemy się.

Hrabina giestem aprobacyjnym podkreśliła ostatnie wyrazy męża.

-- Dziwna z was para — powtórzył pan Karol.

I nie nalegał więcej. Znając na wylot szwagra i siostrę, wiedział, iżby się naleganie nie przydało na nic. Miał ich za ludzi, co nawigując po falach światowych, nie postępują się rudlem, a żagle na ich łodzi rozwijają się same. Nawigacja ich przeto zależy od łaski wiatrów. Ażeby łódź ich na jaką skałę się nie natknęła i nie rozbiła, należało, komuś nad rudlem i żaglami czuwać. Tym kimś jemu być wypadało, nie ze względów sentymentalnych, odnoszących się do stosunków rodzinnych ale z uwagi na

interesa własne, złożone w łodzi hrabiostwa Pieckich. Inaczej aniby się o nich zatroszczył. Zbieg okoliczności zniewalał go, nietylko nad rudlem i żaglami czuwać, ale i wiatru funkcję pełnić, dmuchając w żagle, gdy się niedostatecznie nadywały. Człek doświadczony, radził sobie umiejętnie i ze spokojem odpowiednim, nie naciągając struny zbyt mocno i odkręcając jej zanadto.

W działalności swojej miał pan Karol spółzawodnika w osobie hrabiego Łopacińskiego, którym również interes osobisty powodował. Ten z innej grał nuty. Dowiedziawszy się o tryumfie hrabiny na dolince, pospieszył z powinszowaniami.

— A, pani hrabino... a pani hrabino... — wynurzał się — jestem dla pani z zachwytem, z admiracją podniesioną do potęgi stutysięcznej. Brak mi wyrazu na wyrażenie jej... Czemu ja nie poeta! czemu ja nie poeta!...

— Cóżby było, gdybyś pan był poetą? zapytała hrabina.

— Proszę pani... Zasmarowałbym zaraz arkusz jeden, arkusz drugi, arkusz trzeci, zasmarowałbym arkuszy z piętnaście.

— Czem?

— Wyrazem mojej dla pani admiracji... A jakby to można pięknie skomponować!... Dolinka... strumyk: „Po dolinie strumyk płynię...”

— „A na nim gęsi, jak świnie“ — powiedział pan Alfred.

Hrabina śmiechem wybuchnęła.

— Nie ma z czem żartować. To nie żarty, upominał hrabia Łopaciński tonem, w którym urazę czuć było. — To nie żarty panie dobrodzieju.

— To są kluski na oleju.

— Zostawcie to, panie Alfredzie. Tu chodzi o coś ważniejszego, niż kluski.

— O... teki miżisterjalne.

— Które chcecie vypoetyzować.. co?

— Bynajmniej. Poezja się nie do tek odnosi.

— Do czegoż?

— Do hrabiny, do doliny, do... do tego. ażeby hrabinę postawić jak zorzę poranną poprzedzającą wschód słońca.

— Stawiaj.

— Ba kiedy nie potrafię.

— Czyż nie ma w Wiedniu którego z galicjanów, co rymy płodzi?

— Znalazłby się niejedyn, ale nie taki, jakiego potrzeba, ale -- pomyślał chwilkę i zapytał hrabiny: — Gdzież ta dolinka?...

Hrabina opowiedziała drogę i oznaczyła miejscowość.

— Dziękuję pani... dziękuję!..

— Czy myślisz ją zwieźć? — zapytał hrabia Alfred.

— Muszę, odpowiedział, z tego powodu, że wszyscy o niej mówią. Ta dolinka od dni trzech sławną się stała dzięki pani.

Przy wyrazie ostatnim wykonał ku hrabini gumelastyczny szarmanterji galicyjskiej ruch, uśmiechnął się i westchnął.

Była to typowa osobistość, wyobrażająca tę sferę towarzyską, która się wytworzyła, dzięki nafabrykowaniu niezliczonej mnogości hrabiów w Galicji osobistość z jednej strony wymanierowana, z drugiej zdradzająca rubaszną szlachecką, zarażona chorobą dyplomatyczną, grasującą w sferach, zaliczających się do inteligencji. Chorobie tej hrabia Łopaciński podlegał w wysokim stopniu, zasilając ją imaginacją, która mu do umysłu wprowadzała rachuby najnieprawdopodobniejsze, oparte na danych najmniej pewnych. Ów mazur, odtańczony z hrabiną, który zwrócił na siebie uwagę ogólną, mocno zawrócił mężowi dostojnemu głowę. Poezał siebie uważać za człowieka opatrnościowego, powołanego do spełnienia wielkich rzeczy do spółki z hrabiną. Sukcesy jej przeto i tryumfy brał na rachunek własny. szczerze się niemi cieszył i nie nieposiadał się z uradowania, gdy do wiadomości jego doszła scena na dolince, o której, dzięki księżnie i baronowi, głośno mówiono. Zazna-

czano mianowicie poprawność hrabiny i jej „irréprochabilité“

— Ta hrabinka zajdzie daleko, jeśli się na drodze nie potknie — mówiono o niej.

W dniu przyjmowania wizyt hrabiostwo Pieccy mieli gości więcej niż zwykle. Odwiedziło ich kilka figur wysokich ze świata urzędowego; z towarzystwa nie brakło nikogo prawie z tych, co zajmowali stanowiska najwydatniejsze: księżna Guiepssek zabawiała dłużej niż kwadrans i miała czas wsunąć hrabinie w ucho:

— Kochana, droga, moja piękna, składam przed tobą oręż. Nie uważaj mnie za rywalkę, a za przyjaciółkę i sprzymierzeńczynię najwierniejszą. Gdybyś tego potrzebowała, dom mój na rozporządzenie twoje.

— Dziękuję ci, mościa księżno, — odparła hrabina z wdzięcznym uśmiechem.

— My biedne kobiety, wspierać się musimy wzajemnie. Któż nas wesprze? Kiedyż o tem pomówimy?

— Pomówimy — echowym sposobem powtórzyła hrabina.

Baron, który nie omieszkał wizyty złożyć, był dla gospodyni domu z uszanowaniem, posunięciem aż do uniżoności.

— „Mein Kompliment!“ — powtórzył razy kilka, przypomniawszy po razy kilka scenę na dolince.

Hrabina się za każdym razem uśmiechnęła.

— Stała się dolinka czemś w rodzaju Mekki, do której wierni się udają, oznajmił.

— Czyż? — zapytała.

— Na honor, odrzekł. Widziałem takich, co tam byli i powrócili.

— Kogóż mianowicie?

— Hrabiego von Lopasinska

— A!... Mówił o tem, ale nie przepuszczała, ażeby mówił na serjo.

— Jakże. Był, oglądał, zdjął planik i szcze gołowy opis skreślił.

— Pokazuje się przeto, że w rzeczy samej ma zamiar wezwać jednego z naszych najznakomitszych poetów, do napisania poezji.

— Nie wiem, wątpię. Inny mu bowiem zamiar powstał w głowie.

— Jaki? zapytała z akcentem ciekawości.

— Nosi się z myślą wzniesienia kolumny pamiatkowej.

— Cóż znów.

— O tak. Hrabia powziął ten zamiar. Ma to to być kolumna krwawnikowa, w kształcie piramidy, mniej szeroka od piramid egipskich, ale nie mniej wysoka.

— Z krwawnika? — zapytała.

— Z krwawnika.

— Ależ-by piramida taka za dużo chyba kosztowała

— Hrabia von Lopasińska na kosztą się nie ogląda.

Baron nie żartował Hrabia Łopaciński po zwiedzeniu miejscowości, zmienił pierwotny zamiar. Zamiast wierszy, postanowił piramidę postawić i postanowienie to tem mocniej ugruntowało w umyśle jego potrzebę otrzymania teki ministerjalnej. To umocnienie potrzeby wynikło z ogromnych kosztów, jakieby pociągnęło za sobą wzniesienie pomnika krwawnikowego. O zebraniu funduszu drogą składową, ani myśleć można było. Przedstawiło mu się jednak całkiem naturalne i zupełnie proste przyjscie do pieniędzy za pomocą nałożenia podatku jednorazowego proporcjonalnego, t. j. mniejszego na ubogich, większego na bogatych, i specjalnego na żydów. Wymiarkował, że jeden złr. od głowy nikogo nie zuboży, w stosunku bowiem rocznym wypadnie niespełna 0, 3 centa dziennie.

„Żydzi-by zapłacili dwa razy tyle, a następnie — rozważał — obywatele, których dochód roczny przenosi 500 złr. daliby po 2 złr. żydzi po cztery; ci: których dochód roczny przenosi 1,000 złr. po cztery, żydzi po ośm, i tak dalej, no i odrazu zgromadziłby się fundusz, wynoszący jakich paręset milionów, które przecie wystarczyłyby na postawienie pomnika. — Tak, o, tak — myślał.

Tak myślał hrabia Łopaciński, fortancerz

i mąż stanu. Na tem jednak nie koniec, z tego bowiem wychodząc punktu, dochodził do wniosków doniosłości ogromnej. W sposobie zgromadzenia funduszu na pomnik przedstawił się mu sposób oczyszczenia Austrii z długów.

Sposób taki prosty -- powiedział sobie i dziwił się, że żaden z ministrów, zawiadujących finansami państwa, nie wpadł na ten pomysł. Dziwił się temu. Chciał zrazu wiadomości o pomyśle udzielić ministrowi finansów pod postacią memorjału. Ale się rozmyślił i powziął postanowienie zachowania tajemnicy dla siebie, celem zastosowania sposobu, gdy zarząd finansów w jego dostanie się ręce.

Wszystkich, jacy kiedy byli, ministrów finansów austriackich zakasuje Łopacinski. W trzy lata, co mówię, we dwa, w rok jeden na Austrii jeden cencik długu ciężyc nie będzie.

Myślał też o tem, że i z niego spadnie ciężar cencików dłużnych. i o tem, że sobie także zawali guzy, że — „klękajcie narody”, ale przede wszystkim, jak na teraz, o pomniku. Dlatego, gdy mu na wysokość kosztów uwagę zwracano, odpowiadał, że się na koszta nie ogląda.

Baron wierną w tym względzie zdał relację hrabinie. Relację tę hrabia Łopaciński potwierdził.

-- Tak, pani hrabino, tak: to rzecz posta-

nowiona — odpowiedział z gumielastycznym ukłonem, gdy go w tej materji zapytaniem zaczepiła.

— A poezja?

— Poezja.. hm? Pani hrabina poetów nie zna: ja ich znam. Nie sposób z nimi do ładu trafić. Pisują, co im do głowy strzeli; ale poproś z nich którego, aby coś w stosownej okazji potrzebnego napisał: czy myśli pani, że napisze? Gdzież tam!...

Za wiele bo może pan wymaga po nich — zauważyła.

— Za wiele? Co za wiele! Pisałem do A. z prośbą ażeby na imieniny mojej ciotki, Dernowskiej, co po sto tysięcy na przytułki, szpitale, szkółki i Bóg wie na co daje wierszyk jaki napisał, nietylko nie napisał, ale mi nie odpisał nawet. Pisałem o to samo do B. i ten też samo mi urządził. Z poetami trudna sprawa. Pani hrabina ich nie zna; ale ja znam. Oho!.. Dlatego też rozmyśliłem się.

— Czy jednak ta scena pomnika warta?

-- Pani hrabino — wykrzyknął w uniesieniu. Co pani mówi. Czyż warta? Cóż ją wartością w Austrii. w Europie, w świecie całym. przewyższa? Co? Niech pani, powie, co?

— Przyznam się, że na zapytanie to odpowiedzieć nie umiem.

— Niech jeno pani przypomnieć sobie

i zastanowić raczy nad kierunkiem, w jakim rzeczy poszły od czasu tego mazura. Przypomina sobie pani mazura?

— Przypominam sobie — odpowiedziała.

— Otóż, od tego czasu otworzyła się dla hrabiego Alfreda, no i dla mnie, perspektywa ujęcia spraw w nasze ręce

Wyrazy ostatnie poparł giestem, polegającym na zaciśnięciu obu pięści w ten sposób, w jaki stangreci z kozła ujmują lejce koni rozbrykanych.

— O — dodał w sensie komentarza. — Czy to nie jasne?

— Może jasne, ale nie dla mnie. Nie rozumiem, jaka w tem rola moja.

— Pani hrabino — odparł tonem upomnienia łaskawego a zarazem poważnego. — Pani siebie za nisko ceni. Taka, jak pani kobieta, co tak, ze mną mazura odtańczyła że aż Wiedeń, rzecz można, osłupiał, taka kobieta ma przed sobą rolę do odegrania wielką, ważną, kolosalną, piramidalną. Przecież sam wielki, taki geniusz jak Mickiewicz, powiedział: My rządym światem, a nami kobiety.

— Zdaje się, że to nie Mickiewicz powiedział — wtrąciła hrabina, bieglejsza w literaturze. aniżeli hrabia Łopaciński.

— Ktokolwiek powiedział, ale powiedział. „My rządym światem, a nami kobiety“. My

pani hrabino, to jest, pan Alfred i ja, ku rządzeniu światem prostą idziemy drogą, a pani, pani hrabino, na drodze tej jesteś dla nas gwiazdą przewodnią. Czy to nie jasne?

Hrabina się uśmiechnęła, popatrzyła na hrabiego Łopacińskiego z wyrazem dobrotliwej uprzejmości w oczach i – nie nie odpowiedziała.

Dobrotliwą uprzejmością obdzielała zresztą wszystkich, wymierzając ją miarą jednakołą nie przekraczającą granicy przyjmowania do wiadomości insynuacji, pochwał, komplimentów i propozycji, jakie się jej o uszy obijały.

Szczególniej wobec propozycji zachowanie się jej na zaznaczenie zasługuje. Nie można było po niej poznać, co przyjmuje, co odrzuca. We względzie tym harmonia pomiędzy nią a mężem zachodziła zupełna. I pan Alfred wszystko przyjmował i nie przyjmował, wszystko odrzucał i nie odrzucał i do niczego się nie zobowiązywał. Najtrudniej hrabiostwu przychodziło się w tej roli utrzymać wobec kwestji wód, zobowiązującej bezwarunkowo wszystkich i każdego z szanujących się mieszkańców stolicy naddunajskiej. Ktoby w Wiedniu w porze kąpielowej pozostał, przepadłby z kretesem w opinji publicznej. Gdy przeto pora ta nadeszła, chodziło nie o to, czy, ale o to, dokąd kto wyjedzie. Zapytania odpowie-

dnie powtarzały się po salonach bez końca, i na te, co się do państwa Alfredostwa zwracały, hrabia Alfred odpowiadał:

— To się rozstrzygnie w chwili ostatniej. Spakujemy się i wówczas udecydujemy. Ja zawsze tak: na długą metę projektów żadnych nie robię. To moja reguła.

Reguła ta spotkała się z zapytaniami, in-synuacjami i propozycjami wyrażnemi.

Księżna Guiepsk zapytała hrabiny:

— Zjedziemy się w Gastein, nieprawdaż?

— Może — odpowiedziała zapytana.

— Ależ na pewne. Licz, piękna moja na mnie, na moją przyjaźń, na moje poświęcenie.

Księżna Lindenstein, spotkawszy się z hrabiną w magazynie kapeluszy, zaczęła ją:

— Byłam u ciebie i gonię za tobą, ażeby ci oznajmić, że już postanowienie zapadło. Gastein od połowy Lipca do połowy Sierpnia. Mnie tam nie będzie, ale baron i jego siostrzenica. Guiepsk choć głupia, przyda się jednak, ona głupia dla siebie szczególnie. No... Wybierasz kapelusz? — zapytała.

O kapeluszach wszczęła się rozmowa, zakończona przez księżnę przy pożegnaniu następującemi dobitnie wypowiedzianemi wyrazami:

— Gastein od połowy Lipca do połowy Sierpnia.

Q Gasteinie mówił baron, nie z takim a-

toli naciskiem, jak pan Karol, który hrabiostwu Gastein na pobyt całomiesięczny naznaczył w sensie obowiązku do spełnienia Wynikło to z powodu wymijającej pana Alfreda odpowiedzi.

— Nie może być inaczej — rzekł.

— Czemu? — zapytał pan Alfred

— Pytasz także. Cóżby robił baron, gdyby musiał bez ciebie siadać do winta?

— Ano, zobaczymy — odrzekł pan Alfred po chwili milczenia.

Na tem „zobaczymy“ stanęło i stało do momentu, kiedy służba dostała rozkaz pakowania.

O tem, że hrabiostwo Pieccy wyjadą do Gastein mówiono, jak o rzeczy pewnej. Hrabia Łopaciński nie wątpił o tem i ubolewał, że „pewne względy i zobowiązania“ nie pozwalają mu w Gasteinie sezonu spędzić, musi bowiem, dał słowo, jechać najprzód do Mehadii, a ztamtąd do Abazii. Słowa złamać nie może.

Gdy walizy, pudła i pudełka zostały upakowane i gdy po nie furgon zaszedł, kamerdyner przyszedł z zapytaniem, na który dworzec je odwieść.

— Na dworzec kolei północnej — była pana Alfreda odpowiedź.

II.

Do połowy Lipca pozostawało jeszcze półtora miesiąca z górą, dopiero bowiem zaczynał się miesiąc Czerwiec, kiedy państwo Pieccy z Wiednia wyruszyli. Nie w tem nie było dziwnego. Połowa, większa nawet może część wyższego towarzystwa wiedeńskiego należy do rodzaju u ptastwa wędrownego, nieprzywiązanego do bruku stolicy żadnym węzłem poważnym. Przez zimę goszczą, na lato odlatują, ci wcześniej, owi później i krążą przez kilka miesięcy, zanim w porze jesiennej znów nie powrócą, celem spędzenia w murach wiedeńskich zimy. Uważa się to za powinność w sferze towarzystwa wyższego. Powinność ta — byłoby o niej do pomówienia dużo ze względu na wymagany przez nią nakład we florenach, w czci i zdrowiu; ale jest ona powinnością, której pełnienie obowiązuje i na to nie ma rady. Ludzie zamożniejsi, lub w kredyt zaopatrzeni, w miesiącach letnich objeżdżają pół

Europy, zatrzymując się tu i ówdzie. Ludzie mniej zamożni wynajdują sobie jakąś kryjówkę, w której przesiadują kilka tygodni. Zdarzają się i tacy, co w Wiedniu pozostają; ale zamknięte w ich mieszkaniu drzwi i okiennice świadczą o ich nieobecności.

Księżna Lindenstein wyjechała do dóbr swoich w Czechach. Księżna Guiepssek wyjechała do zamku męża swego na Węgrzech. Baron von Schaubube wyjechał do Styrji. Hrabia Brzdęcki ulotnił się w kierunku Monte-Carlo. Hrabia Łopaciński dał nura, nie zaszczyciwszy swoją obecnością ani Mehadii ani Abazji. Hrabstwo Pieccy najkrótszą drogą pociągnęli do Gajów.

Stało się to niespodzianie — z powodu następującego.

— A dokąd pojedziemy?

Pan Alfred żonie odpowiedział:

— A dokąd? Czy ja wiem!... Ciągną nas do Gastein.

— Na Gastein nie pora jeszcze — odrzekła hrabina — a przytem, nie bardzo jakoś mi się do tego Gastein chce.

— I mnie nie bardzo.

— Więc cóż!

— A cóż.

— Jabym, powiem ci, Fredziu, prawdę, z ochotą pojechała do Gajów.

— I jaby, hm? do Gajów pojechał z ochotą. Tylko, ale — dodał.

— Co?

— Tyś się do Gastein obiecała.

— Nikomu.

— Nie obiecywałaś się nikomu?

— Nikomu — powtórzyła z naciskiem.

— Jeżeli tak, to nic nam nie przeszkadza. Zatelegrafuję do Kaniowskiego, ażeby konie na stację przysłał.

— To dobrze, rzekła hrabina. Jakkolwiek na Justynę całkowicie spuścić się można, ale ta szwajcarka. nie wiadomo, co za istota.

— Nazywa się Ementhal, nie musi więc być gorszą od sera — odparł pan Alfred.

Dla zrozumienia powyższych hrabiego i hrabiny słów, powiedzieć należy, że panna Ementhal, była to tak zwana „première bonne“, po naszymu, początkowa nauczycielka, przyjęta do Żusi, stosownie do wskazówek edukacyjnych, udzielonych pani Alfredowej przez pana Karola i księżnę Lindenstein. Pan Alfred się do tego nie wtrącał wcale. Edukację miał za rzecz obcą sobie zupełnie; nic o niej wiedzieć nie chciał, zostawiając kwestję tę całkowicie do rozstrzygnięcia żonie. Hrabina się tem zajęła i rozstrzygnęła kwestję, jak jej się wydawało najlepiej. Z wyszukaniem bony kłopotu nie miała.. Zgłosiła się do agencji, trudniącej się specjalnie strę-

czeniu bon i nauczycielek, i za jej pośrednictwem przyjęła pannę Klarę Ementahl, kobietę lat około trzydziestu, rodem z kantoru Frieburskiego, zacpatrzoną w dobre świadectwa, mówiącą językami: francuskim, niemieckim i angielskim i wprawną w obchodzeniu koła dzieci. Z umową trudności nie było. Panna Klara zażądała 400 zł., ale zgodziła się na 350 ze względu na to, że do chodzenia około dziewczynki była kobieta specjalnie tę służbę pełniąca. Wymówiła sobie osobny pokój ze sprzętami sypialnemi; zobowiązała się uczyć Żusię czytać, pisać, rachować i wprawiać ją w mówienie na początek po francusku za pomocą opowiadań powiastek i bajeczek. Po zawarciu z nią umowy, hrabina mężowi oznajmiła:

— Mam już do Zusi początkową nauczycielkę.

— To dobrze — odrzeł pan Alfred.

— Nazywa się panna Klara Ementhal.

— Obiecująco się nazywa.

I tyle.

Nie zdjęła go nawet ciekawość popatrzenia na nią. Po raz pierwszy ją zobaczył, gdy wraz z Justyną towarzyszyła Zusi, gdy się ta z ojcem żegnała Hrabiostwo na parę dni przed wyjazdem swoim, nie zdecydowani jeszcze, dokąd wyjadą, wyprawili Żusię z boną i z Justyną do Gajów. Właściwie wyprawieniem zajęła się hrabina; pan

Alfred nie wiedział o tem, gdy przeto do podróży ubrana jego córeczka do niego weszła, gdy z nią weszła Justyna, a za Justyną nieznaną jakąś w kapeluszu i z torbeczką w rękę osoba, uściskał dziewczynkę, dał rękę do pocałowania Justynie i po ramieniu ją poklepał, nieznamemu zaś na wypowiedziane po francusku pozdrowienie po francuzku pozdrowienie :

— „Madame, j'ai l'honneur de vous saluer“..

Z podróżniczkami wyszła hrabina. Po powrocie jej pan Alfred zapytał :

— Powiedz mi, co to za francuzica?

— To ta „première bonne,“ o której ci wspominałam.

— Aaa, to dobrze. Pojechała z Żusią do Gajów?

— Pojechała.

Ciekawa rzecz. jak tam sobie poradzi, jeżeli inaczej niż po francusku nie rozumie.

Mówi po niemiecku.

— Tak.. no, to się tam rozmówi z Kaniowskimi. z proboszczem, z żydami. Z Justyną będzie się porozumiewała jak gęś z prosięciem.

— Cóż robić? — odparła hrabina nie mogłam Żusię od Justyny odłączyć.

— Masz rację.

Żusia przeto wyprzedziła rodziców o dni parę. Ze zaś wyjechała w towarzystwie świeżo

przyjętej bony, tłómaczą się przeto hrabiny słowa, odnoszące się do tej szwajcarki, a wyrzuczone w momencie kiedy hrabiostwo powzięli zamiar jechania do Gajów.

Dziewczynka z wielką do Gajów jechała ochotą. Tyleż bo się o nich cudnych nasłuchiwała rzeczy! Nasłuchanie się to sprawiło, że, mieszkając w Wiedniu, wyobraźnią przebywała w Gajach, przedstawiała je sobie pod postacią raju, w którym pobyt wydawał się czemś więcej, aniżeli posiadanie najpiękniejszej zabawki. Marzyła o nich, roiła, zużytkowując ten materiał jaki w jej dziecinnym umyśle w wielkiej obfitości złożyła Justyna, dla której Wiedeń w porównaniu z Gajami był miżerotą, dziurą, dziurą wstrętą. „U nas w Gajach”, były to wyrazy, powtarzane przez Justynę nie dziesięć, może nie sto razy codziennie. Wyrazy te z ust jej nie schodziły. Słuchając ich, Żusia zasypiała i budziła się bawiła się w domu i po mieście chodziła; w momencie, jak się w niej pojęcia rozbudzać a uczucia kształtować zaczęły, żyła Gajami i dla Gajów, których nie знаła. Wiadomość, że pojedzie tam, przejęła ją radość nieopisaną.

— Do Gajów, do Gajów! wykrzykiwała, biegając, podskakując, w rączki klaszcząc, matkę po rękach całując.

Zrazu była przekonana, że pojedzie z ro-

dzicami. Wiadomość, że rodzice nie będą jej towarzyszyli, humoru jej nie popsują, wywołując jeno reklamację, wyrażoną przez:

— Oo?

Zawadzała jej trochę ta panna, a zawadzała dla tego, że się z nią rozmówić nie mogła.

Zawadzałaby ona bardziej, gdyby nie Justyna.

Żusię przejęło było wrażenie, gdy się znalazła wobec kobiety, co ją uczyć miała.

Z uczeniem łączy się pojęcie przymusu, czepiające się umysłów dziecinnych, mimo usiłowań, jakich dokładają starsi, celem niedopuszczenia do nich tego, niekiedy do smutnych następstw prowadzącego, pojęcia. Usiłowań takich w odniesieniu do Żusi nie łożył nikt inny, jeno Justyna. Ona jedna do nauki ją nastrajała, opowiadając dziecku, jak to się jego matka uczyła.

— Bywało, jasna pani rozplacze się, rozplacze się tak, że nie daj Boże. Łza łzę pobija; starsza pani nadaremnie, to do niej przemawia, to się na nią gniewa; nie nie pomagało, precz płacze i płacze, no, i natenczas brałam ją na kolana, obcierałam łezki i mówiłam: „Wstydz się, Milciu, a! wstydz się, Milciu!..“ i za momentik już się śmiała.

Z opowiadania takiego sens moralny wynikał ten, że Milcia płakać nie miała czego.

Sensy podobne gruntowały się w umyśle dziewczynki.

Gdy się przeto przerażała na widok nauczycielki. Justyna przerażenie wnet w niej zneutralizowała.

— Przecież ciebie nie zje — perswadowała.

— Nie rozumiem tej panny — żaliła się Zusia.

— Ij, zrozumiesz. Ino jej pytaj : „Madmazel kieszke sla ?“ a ona ci powie.

— Ona taka, jak ta, co przy mamie była ?

— Iii... gdzie ! Tamto była chuda, jak nieszczęście i długa, długa, niech Pan Bóg broni, a ta, widzisz ? i tłusciutka, Bogu dzięki i niczego sobie.

W rzeczy samej, panna Klara była niczego sobie, nie piękna i nie brzydka, nie blondynka i nie brunetka, rysopis jej stosować by się mógł do dziewięćdziesięciu na sto kobiet, tylko że w rysopisie nie możnaby oznaczyć śmiechu łagodnego i ujmującego, który wielce pomógł do oswojenia się z nią Zusie.

W wagonie, w którym się ulokowały, były już ze sobą na wcale dobrej i poufalej stopie, nawet się porozumiewały, pomimo, że się rozmówić nie umiały. Za pośredniczkę służyła Justyna, uciekająca się do migów, gdy chodziło o wytłumaczenie czego. Pomagała też sobie wy-

razami niemieckimi. których się z nasłuchania nauczyła. Naprzykład:

— „Fressen?“ ano: będzie pani „fressen?“
— zapytała panny Klary, otwierając koszyk, w się znajdowały zapasy podróżne. — „Gut“, czy nie „gut?“

— „Gut“ —odpowiedziała szwajcarka, domyślając się z widzenia, o co chodzi.

Łatwo to poszło, tem bardziej, że nie wiele było do gadania. Wyjazd z Wiednia nastąpił wieczorem. Żusia, podjadłszy sobie, pokręciła się trochę, do Justyny się przytuliła i zasnęła. Justyna ją sobie na kolanach posadziła, a sama nogi wyciągnęła. Te nogi intrygowały pannę Klarę, która pojąć nie umiała, dlaczego one bose Ale i panna Klara, odczuwszy na sobie efekt pieczystego z kury, pieczeni cielęcej, ciastek i gruszek, zdrzemnęła się niebawem, następnie mocno zasnęła i nie obudziła się aż w Krakowie. W Krakowie dłuższy nastąpił przy-
stanek. Przebudziła się Justyna i panna Klara, ale się Żusia nie przebudziła, przeciwnie, spała smacznie, spała aż do dziewiątej, kiedy pociąg w pełnym rozpędzie mijał stacje, znaczące drogę do Lwowa. Rozespana ziewała i wyciągała się Justyna, która zaopatrywała się we wszystko, czego dziecku w podróży potrzeba, umyła ją, zaczesła, odzież na niej poprawiła i, sko-

rzystawszy z pierwszego parominutowego przystanku, mlekiem gorącym ją napoiła.

Szwajcarka coś do niej przemówiła po francusku.

Żusia minkę zrobiła, do Justyny się przytuliła i po chwili tej ostatniej spytała:

— Co ona mówiła?

— Pytała ciebie, czyś dobrze spała.

— I co?

— Trzeba, żebyś jej odpowiedziała.

— Tak?

— Ano, po francusku. Ona ciebie po francusku pyta; tyś jej po francusku odpowiedzieć powinna.

— Jakże to?

— No, jak? Ot tak: „gut madmazel.“

— Nie.

— Co, nie.

— Ja tego nie powiem.

— To będziesz niegrzeczna. Grzeczna panienka zawsze odpowiada, kiedy się jej pytają.

— Zawsze?

— Zawsze. No, mówże.

Dziewczynka się ociągała. Oblicze na piersiach Justyny chowała i następnie spoglądała jednym ku nauczycielce oczkiem, które wnet skrywała, jak skoro ta wykonała giest, okazujący ochotę przemówienia do niej. Zaba-

wka ta w chowanego trwała czas jakiś, gdy nagle Żusia, od Justyny się odrywając, zawołała:

— Gaje, Gaje! — gdzie Gaje?

Pogarnęła się do okna wagonu.

Justyna ją za sukienkę mocno ujęła i odpowiedziała:

— Gdzie jeszcze Gaje. Patrzno, żebyś nie wypadła.

— To nie Gaje? odezwała się po chwili, pokazując paluszkami kilka chałup na wzgórzu.

— Jeszcze przez Lwów przejechać musimy.

— I co?

— Tam nam przenocować wypadnie.

Zapasy zabrane z Wiednia starczyły na cały dzień. We Lwowie nocleg i równowaga przyprowadziły podróżnicom nie zbyt stargane siły. Rano, wsiadłszy do pociągu i we dwie godziny z czemś wysiadły na stacji, na której na nie czekał pojazd.

— Już Gaje? zapytała Żusia pocichutku.

— Jeszcze nie.

— Ach, Boże! — zafrasowała się.

Ku wysiadającym z wagonu podszedł w le-
tnim kitlu i kapeluszu słomianym - jegomość po-
każny i mocno szpakowaty, ręce wyciągnął
i z rąk Justyny wziął Żusie. Wziął, przed sobą
ją w powietrzu potrzymał, przypatrzył się jej
i na ziemi stawiając, odezwał się:

.. Pięknie rośnie — urosła.

Justyna się z nim przywitała serdecznie i z radością.

— O, paneczku — mówiła — jakżem się w tym Wiedniu utęskniła, natęskniła

— Za to wam się Gaje lepiej wydadzą.

— Wydawały się mi dobrze zawsze.

— Spodziewałem się, że przyjedziecie kiedyś. ale że nam przy panie przywieziecie i panicza ..

— Na panicza niema czasu.

— No?

— Taki rozgardiasz, Chryste Panie.

— Czyż się w Wiedniu chłopcy nie rodzą?

— Dobrze, że sobie w Gajach pannę przydybali, a to i tego by nie mieli.

— Czemużes ich ze sobą nie przywiozła? — zapytał jegomość.

— Byłabym przywiozła, gdyby się przywieść dali. Zatem przywiozłam niemowę.

— A — zwrócił oczy na stojącą z boku pannę Klarę. Po jakiemu ona mówi?

— Po francusku.

— Po nijakiemu więcej?

— Szwargocze i po niemiecku..

Jegomość wówczas podszedł do niej, kapełusz lekko na powitanie uchylił i przedstawił się jej, jako gospodarz, który o nią dbać ma, a tymczasem zaprasza ją do pojazdu.

Powóz, zaprzężony parą koni. stał nieopo-

dal. Kończono w nim właśnie układanie pakunków.

— Idźcie i wy, Justyno.

Justyna z zamachem wzięła na ręce Żusię od chwili, jak ją jegomość na ziemi postawił, za spodnicę się jej mocno trzymającą, i udała się ku powozowi. Jegomość pomógł się podróżnicom usadowić. Gdy się usadowiły, odezwał się do furmana.

— No, wio!

— A wielmożny pan? zareklamowała Justyna.

— Nie troszczcie się o mnie — odparł. — Już ja się jakoś do Gajów dostanę.

Furman na konie huknął. Powóz się potoczył.

Mila prawie dzieliła stację kolei żelaznej od Gajów. Jazda zabrała czasu blisko godzinę. Żusia, siedząc między panną Klarą, a Justyną, kręciła się ustawicznie, wyglądając Gajów, których się doczekać nie mogła. Nie obchodziły ją widoki podgórskie, szwajcarce przypominające Szwajcarię. Panna Klara, rozglądając się, uwagi czyniła. Justyna jej na uwagi odpowiadała:

— „Gut madmazel“. Pojedziemy „fressen“. Niedaleczko już.

— Gdzież te Gaje, dopytywała się Żusia.

— Nie widzisz?

— Gdzie? gdzie?

— A, o! — ukazała Justyna palcem.

Na zakręcie drogi widzieć się dał budynek o kształtach pałacowych, wznoszący się na wywyższeniu. Wyglądał on malowniczo, zarysowując się na tle pejzażu, nie pozbawionego wdzięku.

— Gdzie? kręciła się dziewczynka.

Spostrzegła i zawołała przeciągle:

— Aah!

Nagle widok znikł, zasłonięty wzgórzem, okrzyk zachwytu zmienił się w ustach jej w okrzyk żalu, czy skargi

— I nie ma --- rzekła.

— Odnajdzie się — odrzekła Justyna.

— Były i nie ma tych Gajów.

— To nie Gaje.

— Nie Gaje? zapytała tonem złudzenia straconego.

— To pałac w Gajach, a Gaje to wieś. We wsi jest nietylko pałac; są jeszcze chałupy, jest kościół, jest probostwo, jest komisarja, jest ekonomia, jest szkoła, jest młyn, jest karczma, jest gorzelnia, jest tok... jest jeszcze dużo rzeczy...

Zusia, która z uwagą a w milczeniu słuchała wyszczególniań budowli, znajdujących się w Gajach, gdy Justyna wyszczególniać przestała chwilkę pomyślała i zapytała.

— A ludzie?

— Jakżeby ludzi nie było! Także pytasz! Ot, on — wskazała palcem na furmana — czło-

wiek z Gajów. A pana Kaniowskiego, także z Gajów czyś nie widziała?

— Nie widziałam.

— Tego pana, co ciebie na rękach z wagonu wyniósł?

— Tego pana?

— A toć to pan Kaniowski, pan rządca. Nie poznałaś go? On ciebie nieraz na ręku nosił, kiedyś była małeńka.

— Ten pan?

— Bywało wyjdę z tobą w pole, do zboża, a on jedzie. Zawsze się zatrzymał.

— I co?

— Raz wziął mi ciebie z rąk na konia, a tyś się nie zlekła. Toś wyciągała rączyny do grzywy, toś się śmiała i rączętami z wielkiej uciechy machała. On mi ciebie oddał i powiedział: „Jaka szkoda, że nie chłopiec“.

— Dlaczego ja nie chłopiec? — zapytała Żusia po chwili myślenia.

— Bozia tak zrządziła.

— Czemuż Bozia tak nie zrządziła, żebym ja chłopcem była?

— Potrzeba, żeby się rodziły i chłopcy i dziewczęta, bo inaczej...

— Co inaczej?

— Inaczej byłoby — odpowiedziała Justyna po chwili namysłu — byłoby nudno na świecie. O, odezwała się wreszcie.

Okrzyk „o!“ wywołała topolowa aleja, która się z poza załomu gruntu nagle ukazała i ku której powóz zmierzał. Ciągnęła się ona w przestrzeni mniej więcej półtora kilometra, składała się z czterech szeregów drzew wspaniałych smukłych, a wysokich, i maskowała sobą w części pałac, ku któremu się ciągnęła prostopadle.

Powóz w aleję się wtoczył i znalazł na szerokiej drodze, ciągnącej się w prostej linii pomiędzy dwoma, towarzyszącymi jej chodnikami. W głębi widniał budynek, przeglądający kolumnadą z po za firanki drzew i krzewów.

— „Est-ce ici?“ — zapytała szwajcarka.

— „Gut, madmazel“ — odpowiedziała Justyna.

-- „Mais! mais! mais!“ zaczęła panna Klara tonem podziwu. — „C'est une habitation princière.“

Kiedy szwajcarka „mais“ wygłaszała, Justyna na nią pełne zdziwienia zwróciła oczy i rzekła do siebie:

— Skądże jej się wzięło owczym przemawiać językiem!

Gdy zaś z ust jej wyraz „prienciére“ z naciskiem wymówiony wyszedł, powiedziała:

— Chce się jej prędzej jechać — więc na furmana zawołała: Janie. Poganiaj.

— Jan bat podniósł, w powietrzu nim świsnął i krzyknął:

— Wio!

Konie cugowe gniade, posuwistszym nieco poszły kłusem i niebawem powóz wtoczył się w bramę. A brama to była nielada, żelazna, wisząca na zawiasach, wbitych w mur, na którym w leżącej pozycji spoczywały dwa lwy kamienne. Po jednej stronie stał dom odźwiernego, ponad bramą zaś przerzucał się łuk architektoniczny, na którym w oczy się rzucił herb, przyozdobiony hrabiowską koroną. Herb półtrzecia krzyża; krzyż biały w polu lazurowym; nad tarczą hełm z koroną, na koronie pięć piór strusich — najwyraźniejsza Pilawa, służąca do pieczętowania nią, jakoteż do przyozdabiania guzików liberyjnych, trzydziestu rodzinom szlacheckim, a między innymi Piecom.

Piece — nazwisko to nosiła rodzina jedna z najdawniejszych, gałąź Pilawitów, której historia zasługuje na wzmiankę.

Herb przeto rzucił się podróźnicom w oczy, gdy do końca alei topolowej dojechały. Szwajcarka, patrząc nań, powtarzała sobie po cichu.

— „Habitation princière, vraiment princière“.

Justyna słysząc to, mówiła do siebie w duchu:

„Co się jej tak śpieszy!“

Żusia się nie odzywała. Wpatrzona milczała.

Żusia

16

Jej się coś niby przypomiñało. Opuszczając Gaje, liczyła lat cztery bez mała, więc pamięć jej potroszę już funkcjonowała i popozostawiała w umyśle pewne odbicia. coś nakształt szkiców niewyraźnych. Zdawało się jej, jakby oglądała w rzeczywistości to, co we śnie dawno niegdyś widziała.

Powóz wjechał na podwórze i w prawo zawróciwszy, zatoczył półkole, objeżdżając trawnik, na środku którego grupa amorków dźwigała płytę marmurową, która była kompasem. Trawnik tworzy duże regularne koło, żywopłotem opasane, a przecięte jedyną ścieżką wiodącą od frontu pałacu do kompasu. Na zewnątrz żywopłotu opasywała je droga szeroka, której od strony bramy towarzyszyły dwa symetrycznie po dwóch stronach bramy rozłożone, drzewami konarzystymi zasadzone, trójkątne wycinki — i przechodziła mimo pawilonów, złączonych z pałacem za pomocą galerji oszklonej. Wzdłuż ścian, o ile na to miejsce pozwalało, ciągnęły się wyłogi kwietne, które najpokaźniej wyglądały przed pałacem, oskrzydłając ganek. Na ganek prowadziły schody służące za podstawę do kolumn. Kolumny podtrzymywały balkon, zaopatrzony w ciężką kamienną balustradę. z poza której przeglądały krzewy i kwiaty. Duże okna, gzymsy, ozdoby architektoniczne, dach płaski w połączeniu z tem, co się na zewnątrz widziało,

stanowiły całość imponującą, usprawiedliwiającą wrażenie, jakie widok pałacu gajowskiego wywarł na szwajcarkę.

„Mieszkanie książęce” — powtarzała w myśli.

Wrażenie to potęgował ład, jaki się w utrzymaniu wszystkiego, co pod czezy podpadało, widzieć dawał. Ład był taki, że zdawać się mogło, iż właściciel mieszka i sam osobiście porządku przestrzega. Ani przypuścić było można, że od dwóch lat osoba właściciela nieobecnością w murach tych świeci.

Obecnie przybywała właścicielka -- domniemana (w razie, gdyby nie przybyli jej do towarzystwa braciszkanie i siostrzyczki) spadkobierczyni, dziewczynka sześciolatnia.

Pomiędzy trzema osobami, co, gdy się powóz przed paradnym gankiem zatrzymał, z powozu wysiadły, ona była osobistością główną.

Gdyby nie ona, na ganku nie byłoby nikogo. Dla niej to na schodach stało dziesiątek płci obojęj osób służby dworskiej; mężczyźni głowy podkrywali i stali w postawie, oznaczającej gotowość do usług, ale zarazem i niepewność. Niepewności powodem było to, że Żusia, jak skoro z powozu wysiadła i zobaczyła przed sobą gromadkę ludzi o minach uroczyście nastrojonych, przedewszystkiem się Justyny za spódnicę chwyciła, następnie zaś w fałdy

też spódnicy głowę swoją ukryła. Służbie przeto trudno było składać ukłony i powitania dzieziczce w takiej prezentującej się pozycji. Mężczyźni i kobiety uśmiechali się dobrotliwie i zamieniali po parę wyrazów z Justyną, która, przytrzymując płaczące się u nóg jej dziecko, posuwała się powoli i po imieniu, lub nazwisku przemawiała do starych znajomych. Jejmość w czepku i w sukni brązowej z pękiem kluczów u pasa, nazwała panią Kołodkiewiczowa, jegomościa niemłodego, gładko wygolonego — panem Holeskim; tego Maciejem, tego Janem; tę panną Honorcią ową Kaśką i t. p. Do wchodzącego zaś w skład gromadki p. Kaniowskiego odezwała się:

- Wielmożny pan już tu?
- A no, odparł tenże.
- Jakże to?
- Powietrzem nie przeleciałem.
- Pewno — odrzekła.

Pan Kaniowski począł wydawać rozporządzenia, tyczące się pakunków podróźnych i z tem się załatwiwszy, do zamieniającej ze służbą o kilka wyrazów Justyny przemówił:

- Wiecie, na górze, pokoje te same.
- Wiem, wiem, odpowiedziała.
- Odświeżciez się po podróży i na komisarję przyjdźcie, będziemy na was czekali z obiadem. A, dodał, nie zapomnijcie przyprowadzić

ze sobą szwajcarki. Kucharz jeszcze na służbę nie stanął, póki więc nie stanie panienska u nas stołować się będzie.

Rzekłszy to, z nauczycielką słów parę po niemiecku zamienił i odszedł.

Justyna przez Żusię w ruchach skrepowana swobodę uzyskać zapagnęła. W tym celu sprobowała najprzód perswazji.

— A, pfe — przemówiła do niej — Wstydź ze się. Jak to można. Taka słuszna panienska przyjeżdża z Wiednia i z nikim się nie wita. A patrz ino, pani Kołodkiewiczowa.

Jejmość w czepku, jęła do Żusi słodkim przemawiać głosem :

— Żusiu, Żusieczku. Żusiu, serce. Żusieczko duszko.

Był to jednak groch na ścianę

Przystąpiła do niej kobieta żółtą chusteczką pod brodą podwiązana, mocno szafranem pachnąca. I tej atoli przemawianie na nic się nie zdało.

Mężka połowa służby z ganku zesła.

Wówczas się Justyna na krok stanowczy zdecydowała.

— Trzeba ją na ręce wziąć — rzekła.

Kobieta, szafranem pachnąca, posunęła się ku dziewczynce z rękami wyciągniętymi. Lecz ją Justyna powstrzymała giestem i słowami następującymi :

— Dajcie sobie spokój, panno Honorciu. Jak na nią takie przyjdzie, to ja już tylko jedna jej poradzę.

Ujęła Żusię w pól, podniosła. Żusia się spódnicy jej, póki mogła, trzymała; gdy zaś takową puścić musiała, objęła co rychlej rączkami Justynę za szyję i głowę swoją za jej głowę schowała.

Justyna na szwajcarkę kiwnęła:

-- „Kim her, madmazel...“

Szwajcarka ją zrozumiała. Justyna z Żusią na rękę, panna Honorcia i panna Klara wkroczyły do przedsieni obszernej i ozdobnej. Nie zatrzymując się, weszły na schody na piętro prowadzące i dostały się na korytarz, na który otwierało się kilkoro drzwi. Przed jednemi ze drzwi Justyna się zatrzymała.

— Tu, „madmazel“ tu, tu, „szlafen“, przemówiła do szwajcarki, na drzwi wskazując.

— „Ma chambre“? — zapytała panna Klara.

— „Wuj, wuj“ — odpowiedziała panna szafanem pachnąca i powtórzyła! „Wuj, wuj,“ tak „szambr“.

— „Vous parlez français?“ zapytała szwajcarka.

— „Wuj, o.. a, wuj, kie si... kie sa... sla pe“.

Szwajcarka, dowiedziawszy się, czego chciała, weszła do pokoju, a Justyna wchodząc do

pokoju przyległego, rzekła do towarzyszącej jej panny:

— Ee, toć ja nie wiedziała, że panna Honorcia po francuzku tnie jak z noża.

— Moja Justyno, ij, co tam — odpowiedziała panna Honorcia tonem wartości zapoznanej.

— Dalibóg, żem nie wiedziała — powtórzyła Justyna i dodała: — Ale niech mnie panna Honorcia samą z Żusią zostawi.

— Możebym wam w czem pomogła?

— Gdzież tam. Jak ja sama nie pomogę, to już nikt nie pomoże. Nawet jasna pani odchodzi sobie, kiedy do Żusi przystąpię.

Na takie dictum, pachnąca szafranem panna usunęła się. Justyna drzwi zamknęła, na sofie stojącej pod ścianą w głębi pokoju usiadła i, gładząc dziewczynkę, która się jej wciąż jeszcze za szyję trzymała, po grzbiecie, głosem śpiewnym zaczęła:

— Żusia Justynę zadusi, i nie będzie komu Żusi kureczek czubatych pokazać... Żusia Justynę zadusi... Żusia Justynę zadusi, Żusia Justynę zadusi... i nie będzie komu pokazać Żusi cielątek. Żusia Justynę zadusi, Żusia Justynę zadusi... i nie będzie komu Żusi pokazać gołąbków... Żusia Justynę za...

Nagle dziewczynka szyi niańki się puściła, na kolana jej się osunęła i zapytała:

— My w Gajach?

— A gdzież?

— W Gajach?

— W Gajach — upewniającym odpowiedzią głosem.

— Czemuż tu nie ma kureczek, gołąbków, cielątek?

— Są, jakże!

— Nie wyszły do nas, jakieśmy przyjechały.

— Bo one na przywitanie nie wychodzą. Wyszli ci, co kureczek, gołąbków, cielątek, prosiątek, koźlątek dogładają, a Żusia na nich patrzeć nie chciała. Czy to było grzecznie co?

Dziewczynka milczała.

Niech Żusia sama powie. Oni wyszli, chcieli Żusię powitać i rozpytać.

— Co? zapytała.

— Chcieli rozpytać najprzód o mamę i papę, potem o Wiedeń, potem jeszcze o co.

— O co? zapytała.

— O to, czy się Żusia czego nauczyła.

— To nie mnie chcieli rozpytywać o to.

— Kogóż?

— Panny Klary.

— Oni-by może i panny Klary pytali, gdyby się była Żusia nie schowała. A to co: przychodzą.. gdzie Żusia? Żusi nie ma... Myśleli może, żeś w Wiedniu została.

— Myśleli? zapytała zafrasowana.

— Może... Jakże... Czyś się z nimi przywi-
tała?

Minka zakłopotana znamionowała, że nie wie, co począć.

Justyna wytrzymała ją chwilę i po chwili zapytała:

— Prawda, żeś była niegrzeczna?

— Prawda — szepnęła

— Prawda, iżbyś się poprawić chciała?

— Prawda.

— Więc się najprzód umyjemy, potem za-
ezeszemy, potem włożymy czystą koszulkę, naj-
teczki, sukienkę świeżą.

Mówiąc to, wstała, zakrzętnęła się nalała do miednicy wody, rozebrała panienkę, umyła ją, uczesała, przyodziała sama się ogarnęła i rzekła:

— No, teraz chodźmy.

— Dokąd? zapytała.

— A że do pana Kaniowskiego. Pan Ka-
niowski jest tu nad wszystkimi, co dogładają
kurek, cielątek, jagniątek...

— To ten pan, co mnie na konia brał?

— Ten sam. Bądź-że dla niego grzeczna, bar-
dzo grzeczna. Co? Nie będziesz się w moją
spodnicę chowała?

— Nie, wstydząc się odpowiedziała.

— Jest tam pani Kaniowska, jest tam panicz?

— Chłopczyk? podchwyciła.

— Od dwóch lat podrósć musiał i może się poprawił.

— Był niegrzeczny?

— Nie, to Bozia go kalectwem dotknął.

— Jakiem?

— Potem o tem pogadamy, a teraz śpieszmy się, bo tam z obiadem czekają.

Włożyła na dziecko kapelusik, za rączkę je ujęła i, na korytarz wyszedłszy, drzwi obok otworzyła.

Panna Klara w pogotowiu już czekała.

— „Kim hir, fressen“ — wezwała ją Justyna.

Szwajcarka, uprzedzona przez pana Kaniowskiego, wiedziała, o co chodzi.

Wędrówka z pałacu do komisarji, odległej o pół kilometra z okładem, a położonej w pobliżu zabudowań gospodarskich, zabrała czasu nie więcej jak minut dziesięć.

Komisarja przedstawiała się pod postacią dworku szlacheckiego porządnego, leżącego w głębi obszernego podwórza, płotem obwiedzionego i z trzech stron zabudowanego. Jedną stronę zajmowały stajnie i szopy, drugą oficyny. Po stronie oficyn nieopodal od płotu sterczał żuraw, wznoszący się nad studnią i żłobem. Naprost

wrót stał dworek z gankiem i facjatką, opierający się tylną stroną o ogród Daszek ganku wspierał się na czterech słupach drewnianych i osłaniał od słońca i deszczu ławki z poręczami. Na środku podwórza sterczał nakształt masztu wysoki słup sosnowy, unoszący gołębuik.

Gołębie i kury, za wkroczeniem na podwórze, zwróciły na siebie uwagę Żusi.

— Oh, Justyno! Oh, Justyno — odzywała się.

Podjąwszy głowę do góry, śledziła ruchy ptaków latających Zaszłaby Bóg wie, dokąd, gdyby jej Justyna za rękę nie trzymała. Prowadzona przez niańkę, dostała się na ganek, gdzie spotkały ją dwie panie i dwie dziewczynki, w tym mniej więcej, co ona, wieku. Pannie, jedna była szczupła, blada i nie młoda, druga w sile wieku, gruba i czerwona. Szczupła ją wpół ujęła, na ławce postawiła i ucałowawszy, słodkim, ujmującym głosem przemawiać do niej zaczęła:

— Jakżeś urosła! Wyjechałaś dzieciątkiem, powracasz nam panienką. Jakże twój tatko i twoja mama dobrze zrobili, że nam ciebie przysłali!.. Poznamy się bliżej, pokochamy się

Żusi się podobało, co ta pani mówiła. Byłaby jej coś odpowiedziała, ale nie wiedziała, co. Uśmiechnęła się więc i głowinę przekrzywiła, a gdy główkę w przeciwną zwróciła stronę, spo-

strzegła dziewczynki, które z w pół pootwiera nemi buziami i szeroko otwartemi oczętami w nią się wpatrywały.

Pani szczupła, nim ją z ławki zdjęła jeszcze jej zapytała:

— Z tobą, moje dziecko, przyjechała nauczycielka?

— Tak, proszę wielmożnej pani — odpowiedziała za nią Justyna i dodała, na pannę Klarę wskazując: — O, to ta panna, z nią się po ludzku rozmówić nie można.

Szczupła pani przemówiła do szwajcarki po francuzku.

— „Ah! enfin“, zawołała ta ostatnia uradowana i zbliżyła się do niej, przedstawiając się jej.

Z wymiany przedstawień pokazało się, że szwajcarka mówiła z gospodynią domu, panią Rozalią Kaniowską.

Dama czerwona zaczęła Justynę; ta ją w rękę pocałowała i zatyłałowała panią księdzową.

-- A ksiądz dobrodziej?

— Przyszliśmy tu z mężem obydwójce na obiad, była odpowiedź, tu go zobaczysz.

— Nie chyrla już?

-- Nie tyle Bogu dzięki, co dawniej.

— A to wasze panienki? rzekła, na wpa-

trzone wciąż w Żusię dziewczynki oczami wskazując. Piękne rosna, piękne, w mamę się wdały.

Z powyższej słów zamiany okazuje się, że czerwona dama była małżonką księdza proboszcza.

Pani Kaniowska zdjęła wreszcie Żusię z ławki i poprowadziła ją za rączkę do pokoju jadalnego, do którego się wchodziło wprost z sieni. Przodem przed sobą puściła pannę Klarę. Za niemi poszła księżzowa z córeczkami. Na ostatku Justyna.

W izbie jadalnej stół nakryty czekał już na środku, a pod jednym z okien, na krzeselku, wyższem nieco niż zwykle, zaopatrzone w poręcz i materace, siedział chłopczyk, wyglądający na lat dziesięć, dwanaście. Nogi jego, ozute w lekkie z cholewkami pantofle, opierały się na podstawce, do krzesła przytwierdzonej. Obok stały szczudła.

Pani Kaniowska poprowadziła Żusię wprost do chłopaka i przemówiła do niej.

— Przypominasz sobie Prokopa?

Dziewczynka podniosła na niego oczęta — on się do niej uśmiechnął, następnie przeniósł wejrzenie na jego nogi; a z nóg na szczudła. Szczudła ją zastanowiły

— Nie przypominasz go sobie. Byłaś taka mała, lat nie więcej, jak cztery. U dzieci czteroletnich pamięć jest jeszcze w uspieniu.

— Przepraszam pani, odezwała się księżdżowa. W czterech latach pamięć już rozbudzona. Ja pamiętam wszystko od czterech, nawet od trzech lat mego życia.

— Być może, są wyjątki, odparła rządczyni. Żusię, która na szczudła miała oczęta zwrócone zafrapowała ta pomiędzy paniami dyskusja. Patrzyła na szczudła i zdawało się jej, że je znała, że je nietylko widzi nie po raz pierwszy, ale widywała w ruchu. Ruch ów zastanawiał ją i dziwił. Brała w nim udział postać ludzka. O, pamięta to dobrze, przypomina to sobie coraz lepiej. Jakoż w dziecinnym jej umyśle strzeliła jej zagadka niby, która ją żywo i mocno zajęła: Co to było?

Nie miała jednak na rozwiązywanie zagadki tej czasu. Na stole pojawiła się waza i pani Kaniowska wezwała do zajmowania miejsc, prowadząc Żusię za rękę i wskazując księżdżowej miejsce pierwsze. Pan Kaniowski prowadził księdza do miejsca obok żony i jak skoro go posadził, Żusię pod pachy ujął, w górę podniósł i głośno zapytał:

— A naszą panią i władczynię małą gdzie posadzić?

— Obok panny Ementahl — odpowiedziała pani Kaniowska.

— Połóżcie jej poduszkę, inaczej brodą po nad stół się nie wzniesie.

Pokazało się, że wszystkim trzem panienkom poduszki podkładać trzeba było.

Za krzeselkiem Zusi stanęła Justyna i zawiązała jej serwetkę pod szyją.

Rozsądzenie biesiadników znamionowało troskliwość gospodyni. Po jednej stronie miała syna, po drugiej szwajcarkę. Chłopaka przysunął do stołu ojciec z krzeselkiem, zostawiając szczudła przy oknie. Żusię to zaintrygowało. Wspomnienie szczudła po głowie się jej kręciło i, dla wspomnienia tego, ustawicznie zwracała oczęta na Prokopa, siedzącego naprzeciwko niej. Zainteresował on ją — czem mianowicie? — nie umiałaby się wytłómaczyć: może rysami oblicza, może wyrazem oczu, może tem, że miał na głowie parę wichrów, może tem wreszcie, że przez cały czas obiadu milczał, a na zapytania jakie mu od czasu do czasu do czasu matka zadawała, odpowiadał giestami. Parę tylko razy mruknął Żusia z niego oczu nie spuszczała i tak nim zajęta była, że zapomniała o jedzeniu. Justyna jej przypominać musiała.

III.

Przyjazd Zusi sprawił w Gajach, w sferze miarodajnej, wrażenie niemałe.

W sferze tej, składającej się w większej części z oficjalistów (ekonomowie, rachmistrze, leśniczowie pisarze, dozorczy etc) w mniejszej z osób od zarządu dóbr niezależnych (księża, nauczyciele wiejscy, arendarze, pośrednicy handlowi i t. p.) rej wodzili: rządca, pan Alojzy Kaniowski, i proboszcz Gajewski, ksiądz Anastazy Kochański. Pierwszego nad innych wynosiło stanowisko; drugiego mir, jakim się cieszył a zawdzięczał rozumowi politycznemu, który posiadał powszechne uznaue

Uznanie pochodziło głównie ztąd, że ksiądz mało o polityce mówił i udziału w niej czynnego nie brał. Nie należał do żadnego ze stronnictw, a kiedy mu wymawiano, że do tego lub owego przystąpić nie chce, odpowiadał:

— Przeciwnie, chcę, ale się jeszcze takie nie narodziło, do któregobym przystąpić mógł.

· Więc takie załóż, księże dobrodzieju.

— Załóż, ba. Co szkodzi, to właśnie zakładanie.

— Jakże?

— Powinno się urodzić, samo, naturalnie. Zakładanych, Bogu dzięki, mamy kilka i każde licha warte.

W oczekiwaniu tedy na narodziny stronictwa po swojej myśli, oddawał się gorliwie sadownictwu i hodowli pszczół. We względzie tym do świetnych doszedł rezultatów, a doszedłby zapewne do jeszcze świetniejszych, gdyby mu zdrowie nie przeszkadzało. Zdrowie nieproporcjonalnie rozdzieliło się pomiędzy rodzinę, całkowicie przechodząc na stronę żony i dzieci.

Podobnie w przeciwnym jeno sensie, rozdzieliło się ono w stadle małżeńskim państwa Kaniowskich, faworyzowało męża, a niełaskawem się okazywało na żonę i na syna jedynaka, pozostałość z sześciorga dzieci, które na to na świat przychodziły, ażeby go co rychlej zegnać.

Pięć mogiłek zszeregowało się na cmentarzu; szósty Prokop, pozostał bez władzy w nogach.

„Wola Boża“ — pocieszał ksiądz; „wola Boża“ pocieszali ludzie.

Pocieszanie te pan Alojzy przyjmował w milczeniu. Pani Rozalia przyjmowała je także w milczeniu w obec ludzi, wobec Boga zaś, gdy

do niebios z modlitwą się zwracała, nieodmiennie zapytywała:

„Za coś nas tak dotknął, Boże?”

Niebiosa milczały.

Pani Rozalia całą swoją mac ierzyńską miłość skupiła w chłopcu, którego ułomność obok nóg, przejawiała się jeszcze i w mowie. Mówił, ale niewyraźnie. Dzięki wadzie jakiejś w gardle, wydawał głosy syczące i ryczące, do ludzkich niepodobne. Za pomocą odgłosów tych kształtował wyrazy i wyrazy oddawały myśli, kształtujące się w umyśle jego normalnie. Z wyjątkiem bowiem nóg i gardła, lekarze, a pani Rozalia udawała się do najznakomitszych — nie znajdowali w organizmie chłopca chyby najmniejszej. Serce, płuca, żołądek, nerki, wątroba, przewód oddechowy, przewód pokarmowy, rusztowanie kostne odpowiadały swemu zadaniu, forma czaszki nie pozostawiała do życzenia. Był to słowem, człowiek normalny, przy którego budowaniu natura przez roztargnienie, czy zapomnienie, nie wykończyła należycie paru części składowych. Wypadki podobne zdarzają się architektom, zdarzają się oraz rzeźbiarzom, malarzom, kompozytorom muzycznym, pisarzom nawet. Świadczy to, że pomiędzy architektami, rzeźbiarzami, muzykantami, pisarzami a naturą zachodzi ta styczność, że tak oni, jak ona, dopuszczają się niekiedy omyłek.

Na omyłce natury państwo Kaniowscy mocno i głęboko cierpieli. Nie okazywali jednak tego po sobie, ani wobec ludzi ani zwłaszcza wobec syna.

Z Prokopem obchodzili się w sposób taki, że przed chłopcem nie zdradzali smutku, jakim ich stan jego przejmował. Nie byli zresztą o niego niespokojni. Praca ojcowska zabezpieczała synowi przyszłość pod względem materialnym, zapewniając mu skromny kawałek chleba. Z góry czekały go losy iwalida, czy emeryta, który niczem się nie zasłużył, nie wysłużył i pobiera rentę dożywotnia. Miał to być człowiek do niczego, z wyjątkiem tej nadzwyczajnie drobnej cząsteczki ruchu ekonomicznego, do którego przyczyni się udział jego w konsumpcji.

Piekarz więcej o parę funtów chleba z tego powodu upiecze, rzeźnik o pół funta mięsa więcej sprzeda, zarobią na nim handlarze korzenni, przekupki, rzemieślnicy niektórzy i w ogólnym obrocie interesów przyczynę jego utonie, jak kropla w morzu. Społeczeństwu, któremu człowiek każdy jest dłużnikiem, nie przysłuży się inaczej. Biernym, jak dziecko, życie całe pozostanie.

Ta właśnie bierność, ukazująca się dla syna jej w perspektywie, bolała rodziców.

Państwo Kaniowscy oboje, luboć zapatrywali się na całe życie, jako na walkę o byt

*

ale na walkę uczciwą, w równej mierze dającą prawa i wkładającą obowiązki, pozwalającą na zyski godziwe, niosącą pożytek, a niedopuszczające krzywdy. Widzieli w tem stronę dodatnią i ją szczególnie cenili.

Syn ich się na to nie nadawał, niestety.

Pan Alojzy, agronom wykwalifikowany, uczeń szkół krajowych i zagranicznych, człowiek z szerszym na świat i życie poglądem, a przytem gruntownie uczciwy, oddawał się z zamiłowaniem obowiązkom, jakie wziął na siebie i, pełniąc je sumiennie, poczuwał się do prawa żądać od losów wynadgroźzenia odpowiedniego. Nie żądał niczego nadzwyczajnego. Na loterję nie stawiał, więc nie roił o żadnej krociowej wygranej. Ale pozwalał sobie roić o tem, że będzie ojcem szczęśliwym, tembardziej, że pojął za żonę kobietę po myśli i po sercu.

I w tem właśnie losy go dotknęły.

Nie poskarżył się jednak, nie pożałił przed nikim.

Nie skarżyła się, nie żaliła pani Rozalia.

Zamieniali ze sobą niekiedy poglądy, znamienujące nieporozumienie, tyżące się traktowania Prokopa.

Specjalnie nad nim czuwała matka. Nauczyła go czytać, pisać i uczyła dalej. Z nau czaniem, ponieważ była muzykalną o tyle, że jeżeli na koncertach popisywać się nie mogła,

to grała ze zrozumieniem rzeczy i uczuciem, łączyła muzykę. Abecadło i muzyka, sylabizowanie i muzyka, następnie gramatyka, arytmetyka, początki historii, geografii nauk przyrodniczych i muzyka, wydawały rezultaty pożądane. Innym wydawać by się one mogły zdumiewające; jej wydawały się tylko pożądane ze względu na trudności, które przewidywała, a których się lękała. Lękała się oporności ze strony chłopca, oporności pod postacią przytępienia władz umysłowych. Obawa ta atoli okazała się płonną. Chłopak zdradzał pojętność połączoną z ochotą, przejawiającą się pod postacią ciekawości niekiedy spokojnej, niekiedy kapryśnej. Objawiała się w nim niekiedy buntowniczość. Pani Rozalia ją zazwyczaj łagodnością uśmierzała. Zdarzało się atoli, że łagodność nie starczyła. W razach takich wzywała na pomoc bądź męża, bądź księdza, których powaga imponowała chłopcu.

Mąż i ksiądz służyli pani Rozalii ku pomocy w rozwiązywaniu nauczaniowego i wychowawczego zadania. Nie odbywało się to systematycznie, z pożytkiem jednak. Chłopak chciwie czytał, że zaś czytać mógł to jono, co mu podsuwano, więc mu ojciec dawał wskazówki w zakresie nauk ścisłych i przyrodniczych, ksiądz, którego polityczne poglądy opierały się na historjozofii, kierował nim na obszarach dziejowych i filozoficznych, obydwaj do spółki

z matką, literackie dla niego udeptywali pole.

W ten sposób naprawiano do pewnego stopnia krzywdę, jaką natura wyrządziła chłopcu, obdarzywszy go ciekawością do wiadomości naukowych i zdolnościami, a odmówiwszy mu używalności niektórych ze składowych części organizmu człowieka.

W dwunastym roku życia był on w niektórych względach mniej rozwinięty, aniżeli chłopcy w jego wieku.

W momencie tym przyjechała Żusia.

Gdy ojciec wiadomości o jej przyjeździe w jego obecności matce udzielił, uśmiechnął się i dał ręką znak, że coś powiedzieć chce. Za wsze tak czynił.

— Co? — zapytała matka.

— E e e — zaskrzeczał. Przyjdzie tu? Zobaczę ją?

Przypomniała się mu dziewczynka malusia, co się koło niego przed laty kręciła.

— Wezmę ją na obiad, bo z nią przyjedzie nauczycielka, więc by się może nie zadowolniła jadłem, nim się urządzi kuchnia w pałacu... Trzeba będzie — dodał — za kucharzem się oglądnać.

Ten był powód, dla którego na komisarji dany był obiad, mający minę obiadu gala.

Obiad ów ograniczył się do czterech dań: zupa szczawiowa — bardzo smaczna; sztuka

mięsa z pieca — wyborna; kureczęta na 'ziewane wyśmienite; mleczko w leguminie — znakomite. Do rozkrapiania służyło piwo, jeżeli komu lepiej nie smakowała woda.

— Musi pani przywyknąć do naszych zwyczajów — przemówiła pani Rozalia do panny Klary. Nie pijamy wina, jak w Szwajcarji.

— Cóż robić — odparła szwajcarka.

Jadło jej smakowało, tem bardziej, że mogła je zaprawić rozmowa w języku ojczystym, do której od kilku dni stęsknioną była.

Rozmowie tej, pani księdzowa, małe jej córeczki, ksiądz nawet, przysłuchiwali się zrazu z ciekawością, jak się słuca szczebiotu ptaków, po sztuce mięsa jednak księdzowa od rozmowy, której ani trochę nie rozumiała, zwróciła uwagę na córeczki, z których jedna cały do buzi włożyła paluszek

— Fruziu! — zawołała. Co ty sobie myślisz?

Fruzia jeczczę głęoiej paluszek wsunęła i na matkę oczęta zwróciła.

— Co ty sobie myślisz? powtórzyła pani Helena.

Dziewczynka nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

— Wyjmijże palec z pyska! — krzyknęła na nią matka — Panienska przyzwoita, w przy-

zwoitem towarzystwie, przyzwoicie się zachowywać powinna.

Żusię napomnienie to zdziwiło trochę. Poprawiła się na siedzeniu, popatrzyła na księdzówkę, popatrzyła na siedzącą obok Fruzię, w końcu oczęta na Prokopa zwróciła, czekając z jego strony na coś, czego sobie wytłumaczyć nie umiała.

To, na co czekała, było zapytanie: co on z sobą zrobi po obiedzie?

Doczekała się.

Kiedy towarzystwo od stołu wstało i Justyna jej serwetą usta obcierała, pan Alojzy od sunął Prokopa, dał mu w ręce szczudła i pomógł oprzeć się na takowych. Dziewczynka ze zdziwieniem ujrzała zawieszone na szczudłach ciało, używające nóg na kształt tego, jak wiosłarz używa wiosła. Wiosłując, lekko niemi dotykał ziemi, co mu pomagało do utrzymywania równowagi i posuwania się na drewnianych nogach. Bardzo to dziewczę zajmowało. Przypatrywała się i przypatrywałyby się jeszcze dłużej, gdyby jej pani Kaniowska za rączkę nie wzięła, mówiąc przytem do Justyny:

— Zabieram wam Żusię na tak długo, póki przygotowanego dla was obiadu nie zjecie.

Żusia byłaby niańki nie odstąpiła, gdyby nie to, że patrzeć się jej chciało na idącego na kijach chłopczyka. Miała go przed oczami. Szedł

przodem. Za nim o kilka kroków postępowały księżówny. O kilka kroków za dziewczynkami, pani Rozalia, prowadząca Żusię, mając po jednej stronie księżową, po drugiej pannę Klarę, zamylała pochód, odbywający się w ogrodzie.

W ulicy, ciągnącej się pomiędzy porzeczkami i agrestem, pani Kaniowska odezwała się do Żusi:

— Idź do pańienek. Zbierze was może ochota pobiegać i porzeczek pokosztować.

Nietyle dla biegania i porzeczek, co dla zbliżenia się do chłopczyka, Żusia kroku przyspieszyła i do księżówien się przyłączyła.

Pani Helena głośno upomniała córeczki:

— A bądźcie tam dla Żusi grzeczne! Zabawcie się z nią w myszkę i kotka!

Po tem napomnieniu zwróciła mowę do pani Kaniowskiej:

— Proszę pani zaczęła, na Żusię patrząc — ja nie rozumiem pani hrabiny.

Z jakiego względu? — zapytała pani Rozalia.

— Przecież to dziecko całkiem zaniedbane...

— No?

— Ojciec dziś-jutro ministrem, jak słyhać zostanie, a ona przyzwoitej sukienki na grzbiecie nie ma.

Uwaga ta w kłopot panią Rozalię wprowadziła

tyczyła się bowiem różnicy, jaka zachodziła pomiędzy sukienką hrabianki, a sukienkami córeczek pani Heleny. Te ostatnie miały na sobie okrycia wygorsowane, z krótkimi rękawkami, ze stanikami sięgającymi niżej pasa, z szarfami przechodzącymi ukośnie przez brzuszki, z małemi kokardkami na ramiączkach i z wielkimi kokardami z tyłu, obszyte ruszkami i ufałdowane sztucznie; do sukienek stosowały się buciki i skarpeteczki krótkie, które nie osłaniały łydek; nie osłoniętymi też były ręce od ramion do pięści, które okrywały rękawiczki. Żusia w sukience z rękawkami, zmarszczonej w pasie, w majteczkach i trzewieczkach wyglądała przy nich bardzo skromnie. Świadczyło to, jakby matka o nią nie dbała, i do tego odnosiła się uwaga pani Heleny.

Hrabinie w rzeczy samej niedbałość zarzucić by można, ale nie bezwzględnie. Usprawiedliwiała takową ta okoliczność, że nad jej dzieckiem czuwała Justyna, i ona Justynie ufała bezwzględnie i bezwarunkowo do tego stopnia, że przy roztargnieniu światowem w którego wir wpadła, nie wciągnęła w wir ten dziecka. Dla Żusi było to dobrodziejstwem — i to właśnie dobrodziejstwo pani Helena zganiła, a do nagany pochop dało porównanie ubrania córeczek jej z ubraniem córeczki hrabiny Pieckiej. Ztąd pochodził pani Rozalii kłopot. Stanać po stronie

hrabiny było to zganić księżzowę. Pozo tawało jeno wyjść z kłopotu za pomocą odpowiedzi wymijającej.

— Ludzie rozmaicie się na rzeczy zapatrują — rzekła.

— Arystokracja przecie, taka wysoka arystokracja przykład by dawać powinna.

Pani Rozalja, nieprzygotowana, z powodu, że sama córki nie miała, do dyskusji w tej materji odrzekła:

— Zapewne.

Lecz pani Helena nie dawała za wygraną.

— Bo proszę pani kochanej, ja, cóż ja w porównaniu z panią hrabiną? Ja jednak staram się, aże by moje dziewczynki nie wyglądały ordynarnie.

Wyraz ostatni mierzył wprost w Żusię. Pani Rozalia, celem zwrócenia rozmowy ku innemu przedmiotowi, zaczęła:

— Państwo dobrodzieństwo wybieracie się do Krynicy?

— O, tak. Memu mężowi Krynica służy, bardzo służy, ale go nie można puszczać samego. Dlatego, jak skorośmy się zdecydowali, natychmiast pisałam do bratowej do Lwowa, ażeby mi przysłała żurnal najświeższy, i ona przysłała „Bluszcz.“ Widzi pani? — wskazała parasolką na dziewczynki swoje — te sukienki, to z „Bluszczu“, bratowa przysłała mi siedm numerów. Czy wie pani kochana, jaki to żurnal moralny...

jaki moralny... To też te sukienki wedle tego żurnalu. Ja też patrząc na Żusię, nadzieić się nie mogę naszej hrabinie. Toć ona w Wiedniu mieć musi żurnale lepsze nawet, niż „Bluszc.” Bo czego w Wiedniu nie ma?

— Zapewne, bąknęła pani Rozalia.

— Ta nauczycielka — zapytała pani Kochańska — czy z Wiednia?

— Nie, ze Szwajcarji.

— Ze Szwajcarji... tak, ztamtąd, słyszę, nauczycielki bywają dobre, ale nie do śpiewu.

— Hrabiosstwo zapewne do śpiewu nie szukali.

— Jaby nie szukała innej. Co śpiew, to śpiew... Patrz pani jakaś stryjeczna mego brata synowica, co się z niej bez śpiew zrobiło... Króle, cesarze, ij... A niby to nie obiecywała tylko śpiewała, co śpiewała, to śpiewała...

— Pani ją zna?

— Znać to ja jej nie znam, ale widziałam ją kiedyś na odpuscie. Marne to było... No .. i proszę pani... Cesarze, króle, a co gazety, to o niej piszą i piszą i dosyć się napisać nie mogą... Moja Fruzia śpiewa... Śpiewa sobie sama, nikt jej nie napędza... Śpiewa i Suzia, ale nie tak. Kto jednak wie! To też, proszę pani kochanej, czy nie mam racji, prosząc mego męża, ażeby do nich nie brał nauczycielki innej, tylko taką, co śpiewać uczy? Co pani kochana na to mówi?

— Jeżeli talent rzeczywisty jest.. — odrzekła pani Rozalia.

— Ależ jest, jest rzeczywisty, jaki rzeczywisty... Brat mój powiada, że z tem należy poczekać, a ja powiadam, że potrzeba uczyć od małości.

— Może ksiądz dobrodziej ma rację ze względu na płuca...

— On też o płucach gada.. Ale, co tam.. płuca! Płuca płucami, śpiew śpiewem. Czego się człowiek za młodu nauczy, to na starość jak znajdzie. Sam to powtarza, a o płucach gada... Rozpytam w Krynicy i z powrotem obrócimy drogę na Lwów, to i znajdę taką, co będzie zarazem uczyła śpiewu i po francusku.

Panie, rozmawiając, szły powoli ulicą pomiędzy porzeczekami i agrestem. Dzieci im z oczu znikły. Panna Klara oglądała się. Pani Rozalia spostrzegłszy to, i domyślając się, że oglądanie się jej pochodzi z zaniepokojenia o Żusię, przemówiła do niej w języku, który do milczenia zniewolił panię Helenę:

— Niech pani będzie spokojną. Dzieci zeszyły w bok do altany. Usiądziem niebawem i będziemy je miały na oczach. Wszak usiądziem? odezwała się po polsku do księdzowej.

— Ah! usiądziem... — odpowiedziała pani Helena, odsapując.

O kilkanaście kroków dalej, pod rozłoży-

sta jabłonią stała ławka z poręczami. Na ławce tej panie miejsca zajęły. Pani Kochańska usiadła z przyciskiem i z westchnieniem, które usprawidliwienie swoje znajdowały w zmęczeniu, jakie jej sprawiła przechadzka poobiednia. Malowało się ono na obliczu barwą mocno czerwona, wywołaną, jak przypuszczać się godzi, w jednej części, przez szcze'ne napełnienie żołądka, w drugiej, przez mocne zesnurowanie gorseta. Usiadła, westchnęła i chustką od nosa wachlować się poczęła.

Pani Rozalia wskazała szwajcarce altanę. Widną ona była przy prowadzącej w bok ścieżce; w odległości kroków jakich pięćdziesięciu; nazywała się zaś altaną dlatego, że zasa-dzone w kółko brzozy dawały cień, padający na wkopany w ziemię pośrodku okrągły stół i otaczającą takowy darniową ławkę. Brzozy obwijał chmiel, który połączony gałązkami, stanowił ogrodzenie, nie zamykające wejścia ze strony ścieżki.

— Widzi pan? — zapytała pani Rozalia nauczycielki.

— Widzę — odrzekła zapytana.

— Dzieci się bawią.

Bawienie się dzieci na tem polegało, że księdzówny biegały dokoła altany, do środka wpadały, wybiegały i głośno się śmiały. Śmiech

ich dziecinny dzwonił, niby dzwonek loterański, rozlegał się i świadczył, że im wesoło.

— Widzi pani? powtórzyła pani Rozalia.

Szwajcarka się przypatrzyła i po chwili odpowiedziała:

— Panienki biegają, ale czemu w zabawie ich mała hrabianka udziału nie bierze.

— Obcą się czuje. Nie ośmieliła się jeszcze.

— Przytem nianki przy niej niema. Ona tak do nianki swojej przywiązana.

— Bo też to dobra kobieta.

— Bardzo dobra — potwierdziła szwajcarka. Jaka troskliwa, jaka staranna. W podróży z Wiednia była i dla mnie prawdziwą Opatrznością.

— Jakże z panią rozmawiała?

— O, jak, odrzekła z gięstem odpowiednim. Rozumiałyśmy się jednak. Ale, otóż ona.

W ulicy ukazała się Justyna. Gdy nadeszła pani Rozalia odezwała się do niej:

— O was właśnie mówiłyśmy.

— Toć nie bez racji-m się dziwiła, z kądem się na czkawkę zbiera — odparła tonem dobrego humoru.

— No?

— Kto ma ma czkawkę, to znak, że o nim ludzie gadają.

— Ach, odsapnęła księżzowa i zapytała: — Czy to prawda?

— Tak powiadają.

— Na taką sprawę, o mnie chyba ludzie gadają i gadają.

— Czemużby o dobrodziejce gadać nie mieli?

— Nie głodna-ś? — zapytała pani Rozalia Justyny.

— Niech wielmożna pani spróbuje i da mi teraz marcypana, ani bym na niego patrzeć chciała. Dziękuję, dziękuję, ale ja tu gadam, a nie pytam, gdzie moja panna?

— Bawi się, tam — wskazała pani Kaniowska.

Justyna się zwróciła, na altanę przez chwilę popatrzyła i rzekła:

— Dziwne, dziwne. Żusia się w Wiedniu do dzieci się napierała. Lubiała na nie patrzeć zdaleka, jak na mały jarmarku, ale nie ra-
da z niemi przestawała. A i tu coś jej nie widać.

— W altanie rzekła pani Kaniowska.

— Panienki pani dobrodziejki biegają, a jej nie widać. Czy w altanie nie ma nikogo?

— Jest Prokop.

— Dziwne, pójdę, zobaczę.

Jak skoro Justyna ruszyła, w tej chwili przy altanie nastąpiła zmiana sceny. Panienki wybiegły z niej i zatrzymawszy się na ścieżce, przybrały postawy i miny spłoszonych sarenek.

W altanie słyszeć się dało mruczenie i wtorujący onemu płacz dziecinny.

Justyna przyspieszyła kroku.

— Co to? — zapytała panienek Kochańskich mimochodem a nie otrzymawszy od nich odpowiedzi, do altany weszła.

W altanie takie ją uderzyło widowisko: Prokop, na ławce siedząc, ręki wyciągał i okrzyki rycząc wydawał, a w kierunku, w którym się ręka jego zwracała, Żusia do brzozy przytulona rzewnie płakała.

— Czego to? — Co się stało?

Zapytania te, zwrócone do Prokopa, wywołały z jego strony odpowiedź niezrozumiałą.

Te same zapytania do Żusi zwrócone nie wywołały odpowiedzi żadnej. Dziewczynka się od płaczu zanosila. Dalsze rozpytywanie nie przydałoby się na nic. Justynie pozostawało jeno na ręce je wziąć i wynieść.

Przed altaną spotkała się z paniami, którym, uprzedzając wszelkie możliwe z ich strony badania takie dała objaśnienie:

— Nie stało się nic złego. Na Żusie często napada. Uspokoi się ona.

Rzekła to i w głąb ogrodu się udała.

Badanie, nie poprzestając na objaśnieniu Justyny, podjęła księżzowa. W tym celu zwróciła się do dziewczynek swoich; te atoli na

pierwsze z ust matki słowo, obie płaczem wybuchnęły.

— No cóż, cóż się stało?

Powtórzyć to musiała pani Helena trzy razy, zanim jedna z dziewczynek, płaczem się zachodząc, odpowiedziała:

— To nie ja, mamó, to Suzia!...

W ślad za tem odpowiedziała dziewczynka druga:

— To nie ja, mamó, to Fruzia.

— Czego się Żusia rozplakała?

Dziewczynki obie razem powtórzyły swoje odpowiedzi.

Pani Rozalia tymczasem na inny docho-dzenie przeniosła grunt. W altanie rozmówiła się z synem. Rzecz się tak miała: małe Kochańskie urządziły sobie zabawkę z przedrzeźniania Prokopa, wykrzywiając się przed nim, bełkocąc przed nim i próbując mu zabrać szczudła; Żusia się zrazu temu przypatrywała w końcu wy-luchnęła płaczem. Tak się wyraziła historia cała.

Indagacja przez panią Kochańską prowa-dzona, do żadnego nie doprowadziła, co do istoty czyju, rezultatu. Bez rezultatu nie pozostała. Dziewczynki, płacząc, obcierały oczęta rękawiczkami i posmarowały sobie buzie na bronzowo, przytem łzami, których wielką wytoczyły obfi-tość, poplamily sukienki eleganckie. Matka nie dostrzegła tego zrazu; gdy jednak dostrzegła,

przejęła ją zgroza. Nad oburzeniem zapanować nie mogła.

— Ah, smarkate! — zawołała. Ah, kłopy. To ja was będę ubierała na to, ażebyście się swiniły i wstyd mi przed ludźmi robiły? To ja się na to ujadam z ojcem, który-by was chciał w spodniczyny ubierać. Teraz ja was będę ubierała nie w spodniczyny, ale w grube koszule, krajką podpasane. Będziecie boso biegały. Będzie ojciec kontent, a ja spokój będę miała.

Pani dobrodziejko, pani kochana, parę razy próbowała ją mitygować pani Kaniowska. Nadaremnie jednak.

Słów gniewnych prędkie usta wymiotły cały zapas i nieprędzej miotania zaprzestały, aż się dobrodziejka zmęczyła. Sapiąc, powróciła na ławkę pod jabłonią, usiadła i o wodę poprosiła.

Po wodę pójść musiała pani Kaniowska sama.

W czasie jej nieobecności pani Kaniowska na migi wytłumaczyć usiłowała szwajcarce, jakie te dzieci kłopoty sprawiają. Rozkładała przed nią ręce, zwracała oczy, krzywiła się, wskazywała palcem niebo, chcąc przez to dać poznać że dopiero po śmierci, gdy ją Pan Bóg do chwały swojej zabierze, uspokojenie znajdzie; wskazywała sobie na czoło i kręciła palcem, co miało oznaczać, że mąż jej ma zajęczka w głowie i do ładu z nim dojsć nie można. Przytem

*

wzdychała, często i głęboko wzdychała.

Rozmowa ta trwała do powrotu pani Rozalii, wraz z którą przyszła służąca, niosąc tacę, a na tacy karafinkę z wodą, szklanki, parę stoików, parę butelek soku, miseczki i łyżeczki.

— Ah, wody — jęknęła pani Kochańska prawie.

— Może z sokiem? — zapytała pani Rozalia.

— Z wiszniowym?

— Jest i wiszniowy.

— Proszę — ah! westchnęła i pić poczęła powoli z przestankami.

Wody z sokiem napiła się i szwajcarka.

Gospodyni zaproponowała następnie konfitury, i gdy księdzowa, przełknawszy dwie łyżeczki wisien i tyleż róży smażonej, odzyskała spokój ducha, wstawiła się do niej za dziewczynkami.

— Dzieci — perswadowała — dzieci: po swawoliły, pozbytkowały.

— No, tak ja, to rozumiem. Ale z przeproszeniem, poświniły się.

— Sukienki się oczyszczą, wypiorą.

— Zapewne, przyznaję. Byłoby to niczem, gdyby nie to, że mąż powie: a co nie miałem racji? Bo pani kochana nie wie, co, ja mam z księdzem, zanim coś u niego wyproszę dla tych biednych dzieci. On-by je chciał edukować

po swojemu na filozofki. Na co dziewczętom filozofia? Powiada, żeby edukacji nie zaczynać od strojów. A od czegoż? Na cóż o tych strojach stoi czarno na białem? Na co je malują, rysują w „Bluszczu“ w żurnalu takim moralnym? Nazwał te sukienki cudackimi. Niech powie kochana pani sama, co w nich jest cudackiego? co? — zapytała odetchnęła i tak dalej prawiła: Wiem ja, co z racji Żusi będę od męża miała, o!... Ale coż, czy jak nasza arystokracja zły daje przykład, tośmy ten przykład zaraz naśladować powinni? Gdyby się arystokracji zechciało na głowach chodzić, to i my tak samo chodzić mamy? Zresztą jej wolno, od tego ona arystokracją; ale nie wolno nam, biednym ludziom. Nieprawdaż, pani kochana? Ale co będę, to będę gadania miała z mężem, który nigdy nie chce przystać odrazu.

Przemowę powyższą wygłosiła księżzowa trzymając w ręku łyżeczkę, napelnioną różą smażoną. Gdy skończyła, łyżeczkę do ust włożyła, konfiturę połknęła i zakonkludowała:

— Ot, co jest.

— Ależ dziewczynki — upomniała ją pani Kaniowska.

— Biedne dzieci — odrzekła i głośno zawołała: — Fruziu! Suziu! Pani Kaniowska taka łaskawa, że wam konfitur da.

Dziewczynki, które płakać już przestały,

lecz się w pobliżu altany trzymały, poczęły się zbliżać powoli, wymijając jedna drugą.

— Prędej! — krzyknęła na nie matka.

Podbiegły.

Matka je obejrzała, jedną po drugiej do siebie przyciągnęła i chustką im twarzyczki obcierać próbowała. Nie skutkowało to jednak.

— Nie -- rzekła.

Pozdejnowała im jeno rękawiczki, a kiedy pani Rozalia obdzieliła je konfiturami, przemówiła, jak następuje, do odchodzącej z tacą służącej:

— Przynieś, moja Franko, miednicę z wodą i ręcznik. Te panny tak się obmurszały, żeby się przydał wiecheć do odszuirowania im pysków... Tylko nie powiadaj dobrodziejowi o niczem.. A gdzie oni? zapytała

— W kancelarji.

— Z panem rządcą?

— Z wielmożnym panem — odrzekła służąca, odchodząc.

-- Przynieś że, moja kochana, prędzej wodę i ręcznik.

Zanim służąca powróciła, księżzowa obciągała na dziewczynkach sukienki poprawiała na nich kokardki i kokardy, obracała je przed sobą na wszystkie strony i przypatrywała się im zblizka i zdaleka. Niebawem zjawiała się Franka z miednicą. Nastąpiło zmywanie mokrym rę-

cznikiem smug i plam brązowych z policzków, czół i bród. Pokazała się potrzeba grzebienia.

— Ah! grzebienia — zawołała.

Nie posyła jednak Franki, albowiem znalazł się sposób przyczesania włosów dziewczynkom za pomocą grzebienia, który księżzowa sobie z warkocza wyjęła, ułożyła im na czółkach grzywki i z dumą, obejrzawszy je od stóp do głowy, rzekła:

— No, teraz niech ojciec przychodzi. Ale, palcem pogroziła — ojcu o tem, co zaszło, ani słówka. Gdyby które pisnęło, wnet sukienki pozdejmuję, pochowam i, jak ojciec chce, w spodniczyny was i w zgrzebne poubieram koszule. Jestto cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.

Kiedy się to pod jabłonią działo, Justyna z Żusią na ręku do działu zarosłego wiśniowemi drzewami weszła i dziewczynkę na ziemi postawiła. Żusia płakała.

— Płacz-że ty sobie, a ja pod drzewem usiadę.

Obejrzała się, miejsca upatrywała i usadowiła się.

Żusia niebawem do niej podeszła.

— Czego ty?... Czy myślisz może, że ja z tobą będę płakała?

Dziewczynka przy niej usiadła i parę razy się zachlipnęła.

— No.. dosyć już, dosyć.

Obtarła Żusi oczy i posadziła ją sobie na kolanach.

Po chwili, miarkując, że się dziecko uspokoiło, zapytała:

— Co to się stało?

— Chłopczyk — była odpowiedź.

— Czy ci przykrość jaką zrobił?

— Przykrość...

— Jaką?

— Jaką? zapytaniem odpowiedziała.

— Potrącił cię? Uderzył?

— Nie! — zaprotestowała — Ten chłopczyk... on... na kijach chodzi... Czemu on tak chodzi?

— Mówiłam ci, że Bozia zesłał na niego kalectwo

— Kalectwo — powtórzyła i zamyśliła się snadź sobie wyraz ten w umyśle zakarbowała

— Ale czegoś płakała? — zapytała Justyna.

— Patrzyłam na tego chłopczyka.

— Tego się nie płacze. Czy płacze jego tatko, albo mama? Nie.

— Ale jego tatko i jego mama. nie śmieją się z niego.

— Któż się śmieje?

— Dziewczynki.

— E — zaczęła Justyna i zamilkła.

Zamilkła, albowiem, domyśliwszy się, co Żusię do płaczu pobudziło, zganić chciała księdzówny; na myśl jej jednak przyszło, że dzieciom ganień zdrożności nie zawsze na dobre wychodzi. Wytłumaczyć by się z tego nie umiała. Kura, garnąca kurczęta pod skrzydła, na widok ważącego się w powietrzu jastrzębia, wytłumaczyć się nie może, dlaczego to czyni. Zdrożność zaznaczona budzi często w dzieciach chęć naśladowania, któremu skarcenie nie zapobiega. W Justynie urobił się i rozwinął sam przez się instynkt wychowawczy i instynkt ów ostrzegł ją. Zmleczła. Po chwili mleczenia zapytała Żusię, jak jej się ogród podoba.

— Podoba mi się

— Popatrz jeno w górę.

Dziewczynka oczęta podniosła, dostrzegła jagody czerwone i wydała okrzyk zdziwienia.

Wywiązała się rozmowa o wiśniach.

— Ale my tu sobie gadamy — odezwała się Justyna — a zapominamy, że jesteśmy w gościnie. Pani Kaniowska pyta zapewne: a gdzie to się Żusia podziała? Chodźmy. Pójdziem na przód, umyjemy się, a potem poszukamy pan Kaniowskiej dobrodziejki, panny Klary, dziewczynki

— Chłopczyka — dodała Żusia.

— I chłopczyka a jakże.

— No.. dosyć już, dosyć.

Obtarła Żusi oczy i posadziła ją sobie na kolanach.

Po chwili, miarkując, że się dziecko uspokoiło, zapytała:

— Co to się stało?

— Chłopczyk — była odpowiedź.

— Czy ci przykrość jaką zrobił?

— Przykrość...

— Jaką?

— Jaką? zapytaniem odpowiedziała.

— Potrącił cię? Uderzył?

— Nie! — zaprotestowała — Ten chłopczyk... on... na kijach chodzi... Czemu on tak chodzi?

— Mówiłam ci, że Bozia zesłał na niego kalectwo

— Kalectwo — powtórzyła i zamyśliła się snadź sobie wyraz ten w umyśle zakarbować

— Ale czegoś płakała? — zapytała Justyna.

— Patrzyłam na tego chłopczyka.

— Tego się nie płacze. Czy płacze jego tatko, albo mama? Nie.

— Ale jego tatko i jego mama nie śmieją się z niego.

— Któż się śmieje?

— Dziewczynki.

— E — zaczęła Justyna i zamilkła.

Zamilkła, albowiem, domyśliwszy się, co Żusię do płaczu pobudziło, zganić chciała księdzówny; na myśl jej jednak przyszło, że dzieciom ganieńie zdrożności nie zawsze na dobre wychodzi. Wytłumaczyć by się z tego nie umiała. Kura, garnąca kurczęta pod skrzydła, na widok ważącego się w powietrzu jastrzębia, wytłumaczyć się nie może, dlaczego to czyni. Zdrożność zaznaczona budzi często w dzieciach chęć naśladowania, któremu skarcenie nie zapobiega. W Justynie urobił się i rozwinął sam przez się instynkt wychowawczy i instynkt ów ostrzegł ją. Zmilkła. Po chwili milczenia zapytała Żusię, jak jej się ogród podoba.

— Podoba mi się

— Popatrz jeno w górę.

Dziewczynka oczęta podniosła, dostrzegła jagody czerwone i wydała okrzyk zdziwienia.

Wywiązała się rozmowa o wiśniach.

— Ale my tu sobie gadamy — odezwała się Justyna — a zapominamy, że jesteśmy w gościnie. Pani Kaniowska pyta zapewne: a gdzie to się Żusia podziała? Chodźmy. Pójdziem naprzód, umyjemy się, a potem poszukamy pan Kaniowskiej, dobrodziejki, panny Klary, dziewczynki.

— Chłopczyka — dodała Żusia.

— I chłopczyka a jakże.

Mówiąc, to, wstała i udała się z Żusią do domu. W garderobie znalazło się wszystko, co do usunięcia śladów płaczu było potrzebne. Gdy zaś z powrotem na ogród pupilkę swoją prowadziła, zeszła się z proboszczem

— O? — odezwał się — Cóż to? Opuściłyście towarzystwo?

— Miałyśmy różne interesa — odpowiedziała Justyna.

— Jakże, panienko — przemówił do Żusi, ujmując ją zlekka palcami pod brodę: — gdzie ci się lepiej podoba, w Wiedniu, czy w Gajach?

Żusia się uśmiechnęła i główkę raz na jedną to znów na drugą przekrzywiła stronę.

— Dziesięć Wiedniów oddałybyśmy za jedno Gaje — powiedziała Justyna.

— Przecież Wiedeń miasto takie wielkie

— Toż to, że miasto i że wielkie. W Gajach człowiek wie przynajmniej że jest człowiekiem.

— No? A w Wiedniu?

Proszę księdza dobrodzieja, tam człowiek a mrówka to jedno, patrzaj jeno, ażeby cię kto nie rozdeptał.

Ksiądz się uśmiechnął na to. poezją zdalka trącające porównanie, odrzekł:

— Wyście się rozdeptać nie dały, bo, jak widzę, Wiedeń was nie przerobił, nawet wam trzewików na nogi nie włożył.

— Jeszcze też — odparła.

— A i panienki nie przemaczył.

— A no.

— Chwali się to państwo hrabiostwu, o! bardzo się chwali. Powiem prawdę, nie spodziewałem się po nich tego. Widocznie w Wiedniu siedzą nie daremnie. Sam pan Kaniowski, widząc ich dziecko, przyznaje, że z siedzenia ich będzie pociecha.

Justyna słów powyższych, a raczej znaczenia ich nie rozumiała. Kiwała głową potakująco przez szacunek dla mówiącego, który dodał:

— Dobrzeby jednak zrobili gdyby do Gajów zajrzeli.

— O, tego nie zrobią — odrzekła.

— Czemu?

— Czy ja wiem, czemu! Ale, o tem mowy nie było. Jasne państwo się zobowiązali do jakiegoś tam generała wielkiego do jakiejś księżny jednej, do jakiejś księżny drugiej, do jakiegoś takiego największego księcia, młodego, ale ważnego.

— Na pewno? — zapytał ksiądz.

— Czy na pewno, to ja tego powiedzieć nie mogę. Mówię, com słyszała.

— Od kogo?

— Od służby w kreüensie.

— Myślałem, że od pani hrabiny.

— Z jasną panią ja się schodzę na dzień dobry i na dobranoc tylko i gadamy wedle Żusi. Na dwa dni przedtem, nimeśmy z Wiednia wyjechali, nie wiedziałam, że do Gajów pojedziemy. Prawda, zem często jasnej pani Gaje napomniała, ale, jak stanęła ta szwajcarka, byłam pewna, tak pewna, jak to, że umrę, że się z Wiednia nie ruszymy. Aż tu .. przyszło naraz coś jasnym państwu do głowy.

— Wiedzą oni, co robią — rzekł ksiądz tonem uznania.

Gawędka ta nie mogła ciągnąć się dalej z powodu przeszkód, które ją przerwały. Przeszkodę pierwszą nasunął Prokop, idący z przeciwnika. Na widok jego, Żusia się Justyny za spódnicę ujęła i pilnie się w chłopca wpatrywała. Prokop się nie zatrzymywał, skłonił głowę księdzu, uśmiechnął się do Żusi i przeszedł mimo. Po nim nadeszły panie, co pod jabłonią siedziały i panienki. Panienki poprzedzały — stanowiły niby awangardę. Dla nich się ksiądz zatrzymał i przytuliwszy je do siebie, zapytał:

— No, nabiegałyście się?

— Trochę — odpowiedziała Fruzia.

— Troszeczkę — potwierdziła Suzia.

— Wam bo nigdy nie dosyć.

— A to pięknie! — odezwała się księdzowa, nadchodząc. — Puściliście panowie nas same, i ani się dowiedzieli o nas.

— Czyż było się czego dowiadywać? odparł ksiądz tonem żartobliwym.

— Mógł którą z nas szlag trafić.

— O wypadku tym dowiedzielibyśmy się w porę.

— Gdzie ksiądz dobrodziej męża mego podział? . . wtrąciła pani Rozalia.

— Oho! pan Alojzy. Koń pod nim zapewne drugim już potnieje potem

— Więc się s m ze sobą bawiłeś? — zagabnęła pani Helena tonem, w którym przebiła intencja przekasna.

— Zabawa moja z samym sobą ograniczyła się na tem, zem się zdrzemnął trochę. A przedtem miałem towarzyszkę.

— O? — zdziwiła się.

— Gazetę...

— Ah — stęknęła.

— A przedtem — ciągnął ksiądz dalej — z panem Alojzym spędziłem chwilkę na gawędce.

— Dysputowaliście panowie, jak zwykle.

— Udało mi się pana Alojzego przekonać w kwestji spornej, w której dotychczas dowdów faktycznych mi brakło.

Towarzystwo się powolutku ku dworowi posuwało. Ksiądz prawił:

— Utrzymywałem zawsze, że pobyt naszych hrabiostwa w Wiedniu nie przeminie bez pożytku. Pan Alojzy utrzymywał, że oni nie

wiedzieli sami, po co pojechali i w jakim celu zamieszkują.

Pani Helena chrząknęła.

— Uhm, uhm — po odchrząknięciu księżdżowa z przyciskiem odparła: — Czy i to ma być dowodem, że na guwernantkę szwajcarkę wzięli?

— Ij... to nic

— Jakto, nie?

— Nauczymy ją po polsku.

— Cha, cha, cha! — rozśmiała się księżdżowa.

— „Nicht wahr, Fraulein?“ — zwrócił się do panny Klary i powtórzył jej, co żonie powiedział.

Szwajcarka, niby blaskiem nagłym uderzona, popatrzywszy na niego, odrzekła:

— „Es ist eine Idee!.. und eine gute Idee!“

Wchodzono w tej chwili do pokoju bawialnego przez otwierające się na ogród drzwi parapetowe, których jedna połowa przymkniętą była. Pani Kaniowska, jako gospodyni domu, zajęła się układaniem kolei do wchodzenia.

— Pani dobrodziejko — zwróciła się przede wszystkim do księżdżowej — proszę.

Pani Helena, z głową do góry podniesioną majestatycznie, dumna — dumna tą dumą, jaką ją napawała nadzieja tryumfu, który osiągnie z przewidywanej dyspucie z mężem, wkroczyła

do salonu. Za nią poszła panna Klara. Następnie wywiązała się sprzeczka pomiędzy księdzem a panią Kaniowską. Ksiądz utrzymywał, że kobiecie, czy ona gospodyni, czy nie, pierwszeństwo się należy. Pani Rozalia dowodziła, że pierwszeństwo należy się księdzu „z wieku i urzędu“. Ksiądz jednak na swoim postawił i to w rozciągłości całej, nietylko bowiem przodem przed sobą puścił gospodynię domu, ale swoje córki, w końcu Justynę i Żusię. Tę ostatnią przytrzymał, po główce pogłaskał i czółko pocałował.

W salonie, nieopodal od fortepianu, siedział Prokop na krzeselku swoim, ze szcudłami obok. Pani Kochańska zajęła miejsce na kanapie, przywołała do siebie Fruzię i Suzię, miejsce im wskazała i grzecznie się zachowywać zaleciła. Panna Klara czekała na wejście księdza i obok niego się usadowiła. Justyna Żusię ulokowała w kąciку, posadziła ją i stanęła za nią. Pani Kaniowska usiadła do fortepianu.

W salonie, zabrzmiały tony utworów Chopina i Szumana. Towarzystwo słuchało tłómaczonej z uczuciem wymowy dźwięków muzycznych. Na jednych wywierały one wrażenie, na innych nie. Wrażenie najwybitniej malowało się na obliczach księdza i Prokopa. Księżowę więcej aniżeli muzyka, zajmowały bosc nogi Justyny, zwracała na nie od czasu do czasu wejrzenie i odwracała się z wyrazem indygnacji w oczach.

VI.

Powodem dla którego państwo Kaniowscy, w dniu przybycia Żusi, dali obiad, a na obiad ów zaprosili księdza z żoną i córeczkami, było zapewnienie Żusi towarzystwa rówieśnic na czas czas wakacyj. Niezupełnie się im to powiodło, nawet nie powiodło zgoła; niepowodzenie wszakże nie groziło następstwami smutnemi. Następstwo najsmutniejsze spotkało księdza, który wysłuchać musiał wymownie, a dosadnie, wygłoszonych inwektyw przeciwko arystokracji, dające zły przykład.

— Więc bądź demokratka — powiedziały żonie.

— Będę demokratką, jestem demokratką; ale moja demokracja nie na tem się zasadza, ażeby w zapasce chodzić.

— Na czem się więc zasadza? — zapytał spokojnie.

— Na czem się zasadza, to zasadza ale nie na tem.

— Na tem może, ażeby do żniwa w tur-
niurze i z parasolką stawać?

Ksiądz miał swój właściwy dysputowania
z żoną sposób, na którym wychodził wcale nie
osobliwie. Zdania swego bronił, lecz nigdy
nie obronił. Księżzowa zawsze na swajem
stawiała, pozostawiając mężowi pociechę wy-
kazywania stron ujemnych powziętych przez
nią postanowień i dokonanych czynów. Tego so-
bie nie odmawiał i ściągał niekiedy na głowę
swoją burze, które z pogodnym przyjmował u-
mysłem. Księżzowa się irytowała, on — nie. Po
hurzy, jeżeli pora była po temu, do sadu wy-
chodził i na spokojniej w świetle drzewa przy-
strzygał, szczepił, z liszek oczyszczał, lub w pa-
siece porządek czynił.

Żusia niezgodę na probostwo wniosła.

Ksiądz ją podawał za przykład, księżzowa
przykład ten odrzucała, nazywała go złym,
wstrętnym, szkodliwym, obrzydliwym, wstyd
i bańbę niosącym; zarzekła się i zakłęta, że có-
rek jej noga w pałacu nie postanie.

Zapewnienie Żusi towarzyszek rówieśnych,
nie powiodło się państwu Kanioskim z tej strony.
Poznała to pani Kaniowska w dniu obiadu i po
odejściu księżzowej, zawiązała z Justyną w ma-
terji tej rozmowę.

— Zdawało mi się mówiła, że dziewczątka
przystaną do siebie.

Żusia.

19

— Ij, nic... — odparła Justyna, palcem horyzontalnie kiwając. — To nie naszej dziewczyny równia.

— Zkądże jej rówieśnic wziąć?

Nauczyciel ma dziewczynkę ale w pieluchach; córki ekonoma, panny na wydaniu; gorzelnik ma syna, chłopca dużego i córkę piętnastoletnią.

— Niech się pani lubka tem nie kłopotec. Niech panią od tego głowa nie boli. Znajdę ja dla naszej panny rówieśnice, z których ona i które z niej będą kontentne.

— A nazywajcie szwajcarce przedmioty, o które ona będzie pytała.

— Jakto?

— Pokaże wam stół i zapyta, powiedzieć: nóż; widelec... widelec, chleb... chleb, łyżka.. łyżka.

— To chyba się ona po ludzku nauczyć chce?

— Chce.

— Ij, to ja ją nauczę. Myślałam, że ona będzie sobie po swojemu z panną Honorcią rozmawiała i jej do głowy ani nie przyjdzie po naszymu się uczyć.

— Czyż Honorcia po francuzku mówi?

— Jak jeszcze!

— O? — wyraziła pani Kaniowska zdziwienie.

— Na własne słyszałam uszy.

— Tem lepiej, tem pannie Klarze nauka pójdzie łatwiej.

Powracając z komisarji, Justyna niezwłocznie do nauczania szwajcarki przystąpiła. Po drodze nazywała wszystkie spotykane przedmioty, szwajcarka powtarzała i nad niejednym wyrazem mocno się namęczyła. Wyrazy takie, jak „droga“, „mostek“, „brama“, „woda“, poszły gładko; z wyrazem „drzewo“, było sporo kłopotu; wyraz „drzwi“, przybierał postacię psyskania, świstania, bzykania, niekiedy burczenia. Koniec lekcji miał miejsce u drzwi pokoju nauczycielki. Nim się jednak lekcja skończyła, nadeszła roniąca woń szafranu panna Honorcia.

— Ah! jak to dobrze — zawołała Justyna Panna Honorcia mi pomoże.

— W czym?

— Uczę tę pannę gadać po naszemu, to niechże jej panna powie, że drzwi, to drzwi... Może ona nie wie, co to drzwi.

Panna Honorcia oczy do góry wzniosła, przybrała postawę natchnioną, w postawie tej pozostawała czas jakiś i nie wyszła z niej, aż panna Klara, do pokoju swego wszedłszy, drzwi za sobą zamknęła.

— Czemu jej panna nie powiedziała? za-interpelowała ją Justyna.

-- Zechciałybyście, moja Justyno. Co ja wiem, tego nikt nie wie. To też...

*

Ręką zlekka machnęła i westchnęła.

Justyna, zainstalowawszy się w swoim, z Żusią wspólnem mieszkaniu. posadziła pannę Honorcię na sofie i zawiązała z nią gawędkę o państwie Kaniowskich. Żusia się tymczasem w oknie ulokowała i na park oświecony blaskiem zachodzącego słońca patrzyła.

— Ci państwo Kaniowscy, oh, — odezwała się. — Byłoby im, niby u Pana Boga za piecem, gdyby nie ten dopust boży.

— Jaki? — zapytała panna Honorcia.

— No, a tenże ..

— Im na niczem chyba nie zbywa.

— Jakże... A dzieci?.. Pięcioro umarło, a szóste...

Panna Honorcia westchnęła i po chwili z namaszczeniem odpowiedziała:

— Palec boży. Kara boża.

— Zacóżby ich Pan Bóg karać miał?

— Było za co.

— Ona taka dobra pani! On taki dobry człowiek?

— Dobry człowiek, tak, dobry człowiek. Ale...

Westchnęła.

— Czy się czego złego dopuścić?

— Serce jedno złamał.

Trzy te wyrazy wymówiła tonem takim uroczystym, że owo złamanie serca wydało się Justynie

zbrodnią straszliwą, która ją zgrozą przejęła. „Złamał serce“. Nie umiała sobie z tego na razie zdać sprawy. Po chwili jednak strzeliło jej w głowie zapytanie: „Jak to można serce złamać?“ Pomyślała więc i rzekła:

— Nie słyszałem o tem.

Panna Honorcia przez nos westchnęła i głową pokiwała.

— Czy kto wie? — zapytała Justyna.

— Ja jedna na całym świecie.

Odpowiedź ta wymaga komentarza krótkiego.

Panna Honorcia, daleka Pieckich krewna wchodziła do składu niewieściego hrabiny Pieckiej, matki pana Alfreda dworu.

Dwory owe, zabytek dawnych wojewodzińskich, kasztelańskich czasów, stanowiły grządki, zasadzone pannami na wydaniu. Panny nosiły nazwę ogólną „respektowych“. Gdy zwyczaj usuwał się już z dworów pańskich, panna Honorcia przybyła i sama jedna została, nakształt resztki przywiązanego do gruntu inwentarza żywego. Męża wyglądała nadaremnie. Ostatnia jej nadzieja zaczęła się o pana Alojzego, gdy objął zarząd majątku za życia jeszcze ojca pana Alfreda. Na tę intencję postanowiła środę suszyć. I ta atoli nadzieja pękła. Pan Alojzy z inną się ożenił. Panna Honorcia miała to za „złamanie jej serca“, żywiła głęboki dla pana Alojzego żal

i pewną była, że żal jej, niebiosy przebiwszy, sprowadził na sprawcę złamania serca karę boską. Dodać należy, że nie sprawiało jej to za dowolenia. Serce miała dobre. Jak suszyła środy celem wydania się za mąż, tak też same środy suszyła dalej, celem odwrócenia od człowieka kary, który czynem, ani słowem w niczem względem niej nie zawinił. Cała winą ołnosiła się do tego, że środy suszyła — że ofiara jej poszła nadaremnie.

Ofiara sprowadziła ofiarę w dalszym ciągu i znów nadaremnie.

Karząca ręka jak spadła, tak ciążyła.

Wytworzyło to dla panny Honorci egzystencję melancholiczną, dzieloną z ochmistrzynią panią Kołodkiewiczową, która jej nie rozumiała. Pani Kołodkiewiczowa z kluczami się krzątała i wysyłała do Wiednia zapasy spiżarniane. Panna Honorcia, cicha, smutna, dumiała, po parku błądziła, wzdychała, oczy wznosiła, środy suszyła, modliła się i pasjansy ciągnęła.

Tak upływało jej życie ofiarne. Justyna nie znała szczegółów onego i ani się domyśliła że zbrodnia złamania serca tyczy serca panny Honorci. Dziwiło ją tylko, dla czego na całym świecie ona jedna o tem wie. Dziwiła ją oraz odmowa panny Honorci wzięcia udziału w nauczaniu szwajcarki. Przypuszczała jakąś tajemnicę zagadkową, że zaś do rozwiązania zagadek

nie czuła się w usposobieniu, puściła to w zapomnienie.

Panna Honorcia złamanie serca wyniosła do parku. Żusia ujrzała ją zdaleka.

— O! o! zawołała — To żółta pani.

— Co za żółta?

— Ta, co tu tylko co była.

— Ta jaka ona żółta? Żółtą się podwiązuje chusteczką.

— Ona idzie, idzie.

Panna szła mimo trawnika i znikła wśród drzew.

Dziewczynka patrzyła dalej. Świadczyło, to, że nietylko ją panna Honorcia zajęła, ale, że to, co się przed jej rozwijało oczami, odpowiadało poczuciu piękna, tkwiącemu w zarodku w duszyczce dziecinnej. Pięknym bo też był widok z okna. Do pałacu przylegał zagrodzony ciężką kamienną balustradą taras, wzdłuż którego szeregowały się rozłożyste kasztany. Balustradą wieńczyła sobą, wysokie na parę łokci nie całkowiec bluszczem okryte podmurowanie, u stóp którego rozlegał się obszerny, mający pozór łąki środkowej trawnik, opierający się o gaje. Wąwozy, urwiska, gąszcze, polany, kombinujące się, tworzyły pejzaż, któremu głuchy szmer potoku nadawał akcent tajemniczy. Ów szum w połączeniu ze szmerem liści, z dziwnymi szeptami, dającymi się słyszeć w głębi, a do-

chodzącymi niby zdaleka, od gór, widniejących na horyzoncie, w odbiciu od nieba, świecącego lazurem pogodnym, w zalewie zieleni, mieniającej się odcieniami jednej i tej samej barwy, nastrojał widza do patrzenia, słuchania, do brania w siebie tego szumu, tych szmerów, tych szeptów, tych kształtów i tych barw.

Trudno zdać sprawę z wrażeń dziecka. Żusia milczała, wpatrzona i wsłuchana. Oczęta jej, powolnym, ptasim lotem, tym lotem, co się waży i zatrzymuje, szły po nad wierzchołkami potężnych drzew ku trawnikowi, od trawnika wzbijały się w górę, szybowały w podniebieniu, wracały do chyłącego się ku zachodowi słońca i od słońca przelatowały na taras.

— Justyno! odezwała się nagle — chodźmy...

— Ta dokąd? — odparła Justyna, obszywająca szlarczką fartuszek.

— Tam -- wskazała dziewczynka paluszkiem przez okno.

— Chodźmy.

W chwilę później Justyna z Żusią znajdowały się na tarasie. Pierwsza siedziała na ławce pod kasztanami i obszywała fartuszek, druga przechodziła z miejsce na miejsce, włąziła na ławki, opierała się o balustradę, siadała na ziemi wybierała w zwirze, okrywającym taras,

kamyczki i ciskała niemi przed siebie bawiła się, jak się bawią dzieci w jej wieku.

Niebawem obok nich pojawiła się szwajcarka. Nie miała snadź w chwili tej ochoty uczenia się języka krajowego, albowiem nie usiadła obok Justyny, ale przechadzała się pod kasztanami, zatrzymywała od czasu do czasu i prowadząc oczyma po parku, mówiła raz po raz sama do siebie:

— Boże, jakże tu pięknie!

Słowa te wywołała cisza rozkoszna, zlewająca się niejako z nieba i nappełniająca czarem park.

Po chwili panna Klara, zatrzymawszy się przy balustradzie, naprzód się uśmiechnęła, następnie śmiać się poczęła.

— Czego się ona śmieje? — zapytała się się sama siebie Justyna, podniosła się i na trawnik spojrzała.

Powodem śmiechu szwajcarki były hece, jakie wyprawiała Zusia na trawie. Rozpasła się dziewczyna. To biegała, to znów brykała, na ziemię się rzucała i tarzała, koziółki wywracała, na wznak się kładła i nóżkami w powietrzu machała, czołgała się. Pozwala sobie. Dokazywała wszystkich ruchów, jakich dokonywują zwierzęta dwunożne, czworonożne i pełzające. Latałaby, gdyby skrzydła posiadała, i kiedy się w końcu zmęczyła, z wyrazem zazdrości w o-

czach śledziła motyla, który raz przysiadł, znów się zrywał, latał, aż jej z oczu znikł. Wówczas się i ona ku prowadzącej na trawnik ulicy zwróciła. Lecz się jej za trawnikiem żal zrobiło; albowiem na ulicy, niedochodząc, legła w trawie.

Słońce zaszło. Nad pałacem i parkiem zmrok się rozlał, zmrok który powoli gęstniał, w którym jednak rozpoznawać się jeszcze dawały przedmioty w pewnem oddaleniu. Szwajcarka też, stojąc przy balustradzie, zoczyła wychodzące z gąszczu stworzenie czworonożne. Wyszło najprzód jedno, następnie drugie, dalej trzecie. Patrzała na nie obojętnie, nie troszcząc się, do jakiego rodzaju i gatunku należą. Nie zajmowały jej one. Zajęcie obudziło się dopiero gdy na trawniku do tych stworzeń, co wyszły, przyłączył się okaz, przyozdobiony w rogi różnożyte.

— Ah! — wykrzyknęła „des biches et un cerf!“ Okrzyk ten zwrócił na siebie uwagę Justyny, która już, z powodu zgęszczającego się zmroku, szyć nie mogła.

Coś zobaczyć musiała — rzekła i wstała zaniepokojona o Żusię, nieobecnością na tarasie. Nie odrazu dojrzała i poznała gości, co trawnik zajęli. Gdy ich zobaczyła, zawołała:

— Dalibóg-że, no. Zkąd się tu jelenie

wzięły? Tego dawniej nie było. Nie kto inny jeno pan Kaniowski ich wymyślił,

Wnet sobie Żusię przypomniała. Gdzie ona? Obejrzała się. Na tarasie jej nie było.

-- Żusia? -- zwróciła się z zapytaniem do szwajcarki.

-- Żusia? -- odpowiedziała szwajcarka z akcentem zapytania.

Obie kobiety poczęły głośno wywoływać zdrobniałe imię hrabianki, i pokręciwszy się trochę po tarasie, zbiegły obie razem, jedna w jedną, druga w drugą stronę na ulicę otaczającą trawnik. Domysł ich zwracał się ku gąszczom drzewnym. Dziecko mogło aż tam zabiedz i zabłądziło. Domysłem tym wiedzione spieszyły, Justyna się oglądała i odrazu znalazła. Żusia w trawie zasnęła.

-- No patrzcie, państwo, smarkata jakaś! powiedziała do siebie na pocieszenie Justyna, schylając się nad dziewczynką i podkładając pod nią ręce -- takiego mi napędziła strachu..

Dźwignęła ją na rękach.

-- Ciężka -- rzekła i iść z nią ku tarasowi poczęła.

Przyszła jej na myśl nauczycielka, pędząca po drugiej stronie trawnika. Zatrzymała się więc i krzyczeć ją:

-- Madmazel, madmazel.

Krzyk rozbudził Żusie Ocknęła się, rzuciła i zdawała się przestraszona

— No nic, no nic — przemówiła do niej Justyna. — Widzisz, zasnęłaś i nie widziałaś gości w parku.

— Gości? jakich?

— Saren, jelenia.

— I chłopczyka. Z lasu na trawnik wyszły sarenki i jelen. A ta się drze..

Ostatnie wyrazy tyczyły panny Klary, która nie dosłyszawszy z powodu pośpiechu w chodzie, wołania Justyny, zapędziła się w ulicę przeciętą w gąszczu i nawoływania Żusi. Nawoływania jej, echa podchwytywały i powtarzały. Dyszkantem wyciągany wyraz „Żu-sia“ brzmiał donośnie w ciszy nocnej.

— A to się drze — powtórzyła Justyna już na tarasie.

Żusia się rozbudziła.

— Słyszysz? — zapytała jej.

— Co? — odparło dziewczę.

— Jak twoja nauczycielka za tobą po lesie się rozbija?

— Rozbija się?

— A no, zasnęłaś w trawie i nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało. Jam cię znalazła. a ona, drugą stroną poszła i szuka. Trza po nią pójść, żeby nadaremnie nie wrzeszczała. Czy chcesz tu zostać, czy pójdziesz ze mną?

— Pójdę z tobą — odpowiedziała Żusia.

— Chodźmy prędiutko.

Justyna się puściła krokiem zdwojonym, Żusia obok niej biegła. Zmierzały ku zarostowi wprost przez trawnik i nim do końca doszły, ujrzały postać ludzką, wybiegającą z lasu z okrzykami trwogi.

— Uh! uh!

Intonacja okrzyków zdradzała nauczycielkę.

— Madmasel! — wysoko podniesionym głosem krzyknęła Justyna.

Nauczycielka przybiegła. Dyszała mocno i prędko, jak się dysze w przestkach, ręką się za piersi chwytając i rzucała wyrazy, których Justyna zrozumieć nie mogła. Powtarzała:

— „Spectre, fantome“.

Widocznem jeno było, że jest przestraszona.

— Woda, odpowiedziała Justyna. Kim hir, napijesz się pani wody, to przejdzie.

W rzeczy samej przeszło — przeszło w zupełności po powrocie do pałacu i wypiciu przez pannę Klarę szklanki wody.

Powód przestachü pozostał w tajemnicy do dnia następnego, gdy około dziesiątej rano nadeszła w odwiedziny pani Kaniowska. Przed nią wytoczyła się rzecz naprzód jednostronnie. Szwajcarka opowiedziała, że kiedy się pomiędzy drzewa zagłębiła, nagle przed nią stanęło wi-

dmo. Dalsze dochodzenie wykazało, że widma onego istotą była panna Honorcia. Rzecz się wyjaśniła i z porządku dziennego zeszła Pani Rozalia zaznajomiła pannę Klarę ze zwyczajami miejscowemi, oprowadziła ją po pałacu i umówiła się z nią o nauczanie języka według metody Hamiltona, polegającej na czytaniu w obcym języku, tłumaczeniu odczytanych ustępów i wyuczaniu się takowych na pamięć, przy pomocy gramatycznej i logicznej analizy.

Tryb życia w pałacu się urządził.

Rozpoczęła się równolegle, luboć nie równomiernie, nauka uczenicy i nauka nauczycielki.

Wystąpiły na plac abecadliki ilustrowane, jako modele do kopiowania. Żusia żywo się zajęła kreśleniem wedle wzoru dwóch pałeczek u góry złączonych i pośrodku przekreślonych, wyśpiewując przytem „Aaa“ i wsłuchując się w dźwięki wyrazów, któremi do niej panna Klara przemawiała. Wielce się jej ta zabawka podobała. Nakreśliła jeszcze w ten sposób „Eee“, dalej „l“, „O“ i „U“. Przebiegała od nauczycielki do Justyny i chwaliła się przed tą ostatnią.

Z Justyną była na folwarku, zwiedzała kurniki i zbierała jaja, z których jedno stłukła. Zmartwiło ją to mocno i byłoby zmartwiło jeszcze mocniej, gdyby jej nie przeraziła kura,

która nagle wyskoczyła z gładaniem, znamionującym nadzwyczajny jakiś, co tu się zdarzył, wypadek.

— Co to? — krzyknęła Żusia, chwytając się Justyny za spódnice.

— Pójdź... zobacz... — odpowiedziała Justyna.

— Nie, nie pójdę.

— Chodźmy razem.

Poszły i znalazły jajko jeszcze ciepłe

— A toż zkad?

— Ano, jedno jajko stłukłaś, kura się pospieszyła i drugie zniosła.

— Jakże to ona zrobiła?

— Zniosła i już

— Jakże kura jajko niesie?

— Niesie.., no.

Takie i tym podobne zapytania i odpowiedzi słyszeć się dawały na folwarku, gdzie pani Kołodkiewiczowa honory czyniła i pokazywała Żusi różne osobliwości, takie, jak: skopce ma selnice, prasy do serów, kołowrotki do przedzenia, wrzeczona i t. p. Znalazła się tam i rówieśnica, córeczka dojarki, której na imię było Pryśka. Dziewczynina zrazu na Żusię patrzeć nie chciała — zasłoniła sobie oczy rękawem od koszulki. Ośmieliła się jednak i dała namówić do pałacu. Tego wieczora Żusia z Pryską uganiały w trawie się przewracały i tarzały. Pier-

wsza skorzystała od drugiej — nauczyła się huknąć :

— I ha!...

Hukały we dwie — to na przemiany, to obie razem.

Kiedy się zmierzchno, Justyna przywołała je na taras.

— Bawcie się tu, tylko spokojnie, bez krzyków, to na trawnik wyjdą sarny i jeleń.

Jakoż sarny i jeleń niebawem się pokazały pały się i coraz to bliżej do tarasu podchodziły. Dziewczeta zachowywały się długo cichutko. Lecz nadeszła matka Pryski, słów kilka głośno przemówiła i sarny pierzchny. Stało się Matka Pryskę zabrała, Żusia chciała czekać dalej.

— Na cóż będziesz czekała? zapytała jej Justyna.

— Na sarenki.

— Czy masz oczy kocie? Nie widać, jak się ściemni, a po nocy widzą koty tylko.

Przeminął tedy pierwszy dzień pobytu w pałacu i rozpoczął się następny, który przemijając, zaznaczył się tem jeno, że panna Klara chodziła na komisarję, a powróciwszy, powtarzała kalecząc wymawianie :

„Koło jeziora z wieczora,
Chłopczy w koło biegały i na żaby czuwały“

Powtarzała to wraz z tłumaczeniem i z uczeniem się na pamięć pojedynczych wyrazów.

— Koło „autour, adverbe;“ jeziora, „lac substantif;“ z „de, préposition;“ wieczora wieczór, „soir, substantif“.

I tak dalej. Zaznaczył się ów dzień tem powtarzaniem, i tem uczeniem się; zresztą byłby przemiął, jak poprzedni, gdyby z najbliższej stacji kolei żelaznej, będącej zarazem biurem telegraficznym umyślny posłaniem nie przyniósł nad wieczorem pod adresem pana Kaniowskiego depeszy, zawierającej następujące wyrazy:

„Dziś wyjeżdżamy z Wiednia, zabawimy we Lwowie dzień, pojazdy i konie na stacji. Piecki“.

Depesza nie zastała pana Alojzego. Przyjechał w godzinę po jej nadejściu, a zasiadając do wieczery, powiedział do żony.

— Hrabiostwo przyjeżdżają

— Do Gajów? — zdziwiła się. — Wszak Justyna zapewnia, że nie przyjadą.

— Pokazuje się, że Justyna nie była powiadomioną dokładnie.

— Dobrze robią — zauważyła pani — Czy jednak na długo?

Pan Alojzy ramionami wzruszył i odparł:

— Lękam się, że będzie to wilegiatura parotygodniowa, po której nastąpią wody, sta-

cje klimatyczne, kąpiele morskie, Paryże, Nicea i tak dalej.

— Jeżeli im na to staje...

— Zaledwie się końce w przeszłym i w poprzednim roku zeszyły. Byle zaś raz się do sztukowanie końców zaczęło, to dalej pójdzie, jak po maśle.

Na tem się w tej materji rozmowa pomiędzy małżeństwem skończyła.

Po wieczerzy posłał pan Alojzy po Holecckiego, marszałka dworu, i po panią Kołodkiewiczową, ochmistrzynię.

Pierwszy, szczupły, wygolony, niemłody człowiek, stawił się wraz z powrotem pościanca.

— Przyjeżdżają hrabiostwo — oznajmił mu pan Alojzy.

— Kiedy? — zapytał.

— Dziś wyjeżdżają z Wiednia, jutro staną we Lwowie dzień tam zabawią, a nazajutrz, o dziesiątej rano, albo o szóstej po południu będą w Gajach.

— Mam więc dwa dni przed sobą — rzekł marszałek, zamyślając się — dwa dni do zrekrutowania i zorganizowania służby.

— Czy to mało?

— Mało, panie, do rozwiązania takiego zadania,

— Mało?

— Całej parady mam pod ręką dwóch

starych lokajów, potrzebuję jeszcze dwóch przynajmniej młodych i kamerdynera, potrzebuję kredencerzy, froterów, kuchmistrza, kuchtów, kucheików, popychadeł, potrzebuję zatem.. — wyciągnął ręce i począł na palcach liczyć: — dwóch a jeden, to trzech; trzech a dwóch, to pięciu; pięciu a dwóch, to siedmiu, a jeden kuchmistrz — rzekł z przyciskiem — to ośmiu.

— Kuchmistrz — podchwycił pan Alojzy — czyż ten, co od wczoraj stanął, nie wystarczy?

— Ten parzykrupa? Ale gdzież tam!... Jakżeby on dla jasnych państwa mógł gotować. Nie!... Kuchmistrz, to ośm, jakem powiedział, kuchtów dwóch, kucheików dwóch, to dwunastu i ze trzech popychaczów, to piętnastu. Oto regiment, który za dwa dni postawić muszę.

— To trudno.

— Jak komu. Holeckiemu nie trudno. Da mi wielmożny pan jeno na jutro torszpan do Brzeżan, a jak się zawinę, zwerbuję komendę całą. Ho, ho.

— Z liberją kłopot będzie.

— Najmniejszego. Liberja wisi na kołkach i cała rzecz ludzi do niej dobrać. Do liberji ludzi dobrać... o — rzekł z namaszczeniem. — Ja dobrać potrafię.

— Więc jutro.

— Do dnia, o czwartej. A czy na długo służbę godzić?

— Nie wiem. Hrabiostwo zapewne przyjadą na lato, może nie na dłużej, niż miesiąc. Nie wiem.

— W takim razie, na trzy miesiące służbę brać potrzeba.

Pan Alojzy pomyślał chwilkę i rzekł:

— Ha!

— Grunt: kuchmistrz, kamerdyner i lokaje. Jak tych dostanę, to już reszta się sama znajdzie...

Pan Alojzy wyasygnował dla niego z kasy pięćdziesiąt złr. na zadatki i kazał przygotować wóz i konie.

Z panią Kołodkiewiczową rozmowa się głównie wedle garderoby toczyła. Rzecz była nieprzypuszczalna, ażeby panny służącej hrabina ze sobą nie przywiozła. Z drugiej znów strony rzeczą było przypuszczalną, że panna owa będzie niemką. Do nieprzypuszczalności tej i przypuszczalności, należało się zastosować, dobierając fraucymer w sposób taki, ażeby możliwym było porozumienie się onego z przybochnicą hrabiny. Na szczęście uczynienie temu zadość ułatwiała obecność w Gajach panny, która po dworach służywała i po niemiecku mówiła. Pozostawało wynaleść jeszcze ze trzy albo ze cztery takie, coby się nadać mogły do pra-

nia, krochmalenia, prasowania. Trudność polegała na zorganizowaniu zastępu dziewczęgo na fundamencie karności. Pani Kołodkiewiczowa, dzięki zajęciom swoim, hetmanić w garderobie osobiście nie mogła. Należało zastąpić ją kimś.

Panna Honorata — bąknął pan Alojzy,
 -- Ale... ot, jeszcze — odpowiedziała pani Kołodkiewiczowa. — Przy niej, takby się dziewczki rozwzdychały, iżby do garderoby nosa wetknąć nie było można. Nie!... wzdycha i środy suszy.

Pan Alojzy ręką machnął.

Pani Kołodkiewiczowa wprost z komisarji udała się na probostwo. Pociągnął ją tam interes ważny: potrzeba zanieśienia księdzowej wiadomości o przyjeździe hrabiny.

— Pani duszko — zaczęła, usadowiwszy się na kanapie — taki mi na głowę kłopot spadł, że, Boże jedyny...

— Cóż, naprzykład?

— Sześć dziewcząt do garderoby z ziemi wygrzebać muszę.

— Do pałacu chyba?

— Do pałacu

— Dla małej hrabianki? — zapytała księdzowa pełnym zdumienia głosem.

— Ale, gdzie!

— I ja tak myślę. Hrabiance starczy Ju styna, co bosu sama chodzi i to biedne dziecko

ludziom na pośmiewisko wystawia. Dlategoż to takie zahukane...

— Zahukane? Co pani duszka mówi? Rozhukane chyba. Trzeba ją widzieć w parku na gazonie...

— Samą. A od moich dziewcząt się boczy jakby nie z Wiednia, ale z lasu przyprowadzone wilczątko.

— Wczoraj dokazywały obie z Pryską.

— Z jaką Pryską?

— Dziewczyną Małanki, dojarki...

— Na... odezwała się tonem, w którym zabrzmiały w harmonijnem połączeniu: zdumienie i oburzenie. — Patrzcie państwo! Toć to zgorszenie, poprostu zgorszenie. W oczy bym to pani hrabinie powiedziała, gdybym się z nią zobaczyła kiedy.

— Ależ właśnie pani hrabina przyjeżdża.

— Co? kiedy?

-- Pojutrze.

— Pani mi o tem nie mówisz... — rzekła tonem wyrzutu.

— Przyjeżdża. Pan rządca odebrał depezę i zaraz mnie do siebie zawołał wedle garderoby. Zawołał mnie tylko i Holeckiego. Holecki jutro przed świtem do Brzeżan...

— No, uhm — mruknęła księżzowa.

— Toć ja nie wiem, doprawdy, zkąd wziąć sześć naraz jeden.. jedną mam...

— Którą?

— Ema Hirszówna, co u starościny za pannę służącą była; ta starościna ją odprawiła z przyczyny, jak powiadają, starosty. Starosta do Emy.. tego.. Tak powiadają.

— No, cóż? cóż? — zapytała pani Helena z ciekawością.

— Ja tam... tego... nie wiem.. Może to plotki...

— Plotki nie plotki. Ema na to wygląda, gotowa się przysłużyć jeszcze i pani hrabinie... A tożby pani hrabina podziękowała pani dopiero!...

Ochmistrzyni szeroko otworzyła oczy. Widocznie przeraziła ją uwaga pani Heleny, która po krótkiej pauzie prawiła w ciągu dalszym:

— Ale, za to, u pana hrabiego by pani łaski zyskała. Bo to tak zawsze, dogódź mężowi, nie dogodzisz żonie; dogódź żonie nie dogodzisz mężowi.

— To prawda święta prawda — rzekła pani Kołodkiewiczowa. — Ale co mi tam! — zawołała nagle. — Czy to ją mam takie kłódki, a żeby niemi zamykać furteczki, co się same otwierają? Niech Ema sama sobie radzi. Sparzyła się na starościnnie, niech dmucha na jasną panią, to jej rzecz. Ja innej nie mam pod ręką takiej, coby się rozmówić mogła po niemiecku

z jakąś tam panną służącą, co z jasną panią przyjedzie.

— To przyjedzie panna służąca?

— Zdaje się.

— Jeżeli tak, no, to co innego. To już ta panna będzie na Emę kłódką.

Uspokoila się ochmistrzyni i wytoczyła na stół kwestję wynalezienia takiej osoby, któraby w garderobie starszowała.

— Do Emy pięć już ja dobiore, nie odrazu może, ale dobiore. Synowica moja, Hortenzja zgrabna dziewczyna.

— No tak, ale — zaczęła pani Kochańska głosem niepewnym.

— Że kurnosa i trochę kaprawa, toż będzie w garderobie siedziała i swego nosa pilnowała...

— Nikt go jej nie ukradnie — zaśmiała się księżzowa.

Ochmistrzyni jej śmiechem zawtórowała i dodała:

— Wedle tego nosa i tej kaprawości, kłopot z nią mają braterstwo. Inaczej, by ją za mąż wydali, bo inaczej, nie brak jej niczego a nawet za siedmdziesiąt pięć reńskich kupił brat na jej imię taką pożyczkę, co się ciągnie, jak loterja i nigdy stracić, tylko wygrać można pięćdziesiąt tysięcy. Więc dla kawalerów powinny być łakoma. Otóż, nie. Pies na nią ogo-

nem nie pokiwał. Tak to — westchnęła — z córkami... Z synami zawsze rada łatwiejsza.

— Tak, zapewne — odrzekła księdzowa, która syna nie miała — jeżeli się nie trafi taki, na ten przykład, jak Prokop.

— Dopust boży, a... — rzekła pani Kołodkiewiczowa i powróciła do kłopotu swego o „o sobę.“ — Potrzebaby takiej, wie pani duszka — objaśniała — takiej, nie starej, ni młodej, takiej, coby w nosie fufków nie miała, a umiała w ryzach trzymać dziewczęta, które jak zawsze rade gonią za wytrzeszczakami. Taką nawet na myśl mi nie przychodzi.

— A Honorcia, nie przydałaby się? — wtrąciła księdzowa.

— Już mi tam o Honorci natręcał i pan Kaniowski.

— No, więc?...

— Nie. Ja z nią dniuję i nocuję, to wiem, do czego ona. Ona tylko do tego ażeby latem na niebo się gapić, a zimą sobie z przeproszeniem, kuper przy piecu grzać. Więc ona do niczego. Aha! zawołała!... — przypominając sobie nagle, Kopalska.

— Toć ona z mężem.

— Cóż z tego? Niby to kobiety od mężów na zarobek nie odchodzą? Kopalski będzie piłował, a i ona grosz jakiś dołoży od siebie.

— Czy się tylko nie spodziewa?

— Nie widać po niej tego. A chociażby tam co było, to byle się nie rozchorowała za miesiąc, za dwa. .

— To ten zachód cały na tak krótko? — zapytała księdzowa.

— Nie na długo. Chyba, nie wiem — wzruszyła ramionami. Chyba jeszcze pani wedle przychówku przyjeżdża. Bo to się tak nagle stało. Przyszłali dziecko; nic nie mówili Justynie; wtem raptem, depeusza... Musiało się tu coś zrobić, jasna pani wraca coprędzej do gniazda.

— Uhm — mruknęła księdzowa. Być może. Taką jednak rzeczą, Kopalska na jakie pół roku musiałyby się z mężem rozstać.

— Zobaczymy, rozpytam, a chociażby i tak było, to zawsze na początek będzie komu w ryzach garderobiany trzymać. Kobieta stateczna.

— A co do służby?

— Taże ona w pałacu u nas służyła i z pałacu za ślusarza wyszła. Nie przypomina sobie pani?

— A tak, prawda.

— Nieboszczyk hrabia wesele sprawiał.

— Rychtyk. Pamiętam, jakże!...

— Dobrodziej ślub im awał.

— Tak, tak. Będzie temu lat...

— Jakoś ośm, czy co. Otóż ja — zaczęła ochmistrzyni, wstając — zaraz wprost do niej pójde, a od niej do Hirszów. Która to? — spoj-

rzała na dygocący przy drzwiach zegar. Ósma dochodzi. Cóż ksiądz dobrodziej? — zapytała na odchodnem już.

— Z dziećmi w ogrodzie...

— Zdrów?...

— Ot, tak, ni zdrów, ni chory, tak samo jak ja

— Cóż pani duszce... — zapytała ze współczuciem, brzmiałem akcentem zdziwienia z powodu zapewne dobrego księdzowej wyglądu

— Oh! — jęknęła — żeby pani Kołodkiewiczowa wiedziała...

— I mnie także — odrzekła pani Kołodkiewiczowa. Ale ja na chorowanie czasu nie mam.

Pożegnały się te panie. Pani Kochańska rozejrzawszy się po pokoju, wyszła powoli do ogrodu, owianego mrokiem wieczornym. Z boku nadchodził ksiądz, opowiadając córkom powiastkę jakąś, zabawną a moralną. Jak skoro go księdzowa zoczyła, wnet się do niego zesłowem upomnienia zwróciła:

— Czemu tak do późna siedzisz w ogrodzie?

— Wieczór taki piękny, odparł.

— Piękny, ale rosa pada chłodna, a tyś się chłodu wieczornego wystrzegać powinien.

— Ani czuć go jeszcze.

— No, no. A o niczem nie wiesz.

— Wiem, że mi odetchnięcie świeżem trochę powietrzem, w żadnym razie zaszkodzić nie może..

— Nie o to chodzi.

— O cóż?

— Wielka nowina.

— Naprzykład?

— Przychodziła tu Kołodkiewiczowa.

— Ij — machnął ksiądz ręką. Nowina od Kołodkiewiczowej. Był sobie Baj, miał kopę jaj.

— Nie o jajach mowa, ale o hrabiostwu.

— Oo?

— Przyjeżdżają... Fruziu — do córki się zwróciła — każ Olenie lampę podać.

— Przyjeżdżają, powiadasz — odezwał się ksiądz, zdejmując czapkę i siadając na krzeselku.

— Pojutrze. Nadeszła do Kaniowskiego depesza i na komisarji taki rwetes, że strach.

— Rwetes, ta czego?

— A no, Holecki popędził do Brzeżan; Kołodkiewiczowa, lata po Gajach z językiem wywalonym.

— Kołodkiewiczowa, lata — powtórzył ksiądz tonem, jakim się w mowie wyrazy podkreśla dla nadania im akcentu żartobliwego.

— Przyjazd nagły i niespodziewany.

— Hm? W każdym razie, nie jest on bez kozery. Mam głębokie przekonanie, że hrabia coś medytuje i wymedytuje. Tacy, jak on ludzie, to cicha woda brzegi rwie. Z intencją on do Wiednia pojechał i nie bez intencji do Gajów przyjeżdża.

— O! nie bez intencji -- podchwyciła pani Melena. Pani hrabina do gniazda spieszy.

— Taak... odezwał się ksiądz przeciągło. — Depesza o tem sawiadania?

— Jużci, jakto.

— Kołodkiewiczowa mówiła?

— Naturalnie. Coby hrabstwo sprowadzać mogło innego?

— Sprowadzićby mogła potrzeba rozpatrzenia się w stanie kraju. Wszak hrabia na ministra kroi i nie zechce być takim, jak ministrowie rodacy, ministrowie dla Galicji, ministrowie sprzyjający.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ministrom przecie takto dzieci się rodzą.

— Masz rację, masz rację. — rzekł ksiądz. Przynaję ci rację zupełną.

— Nie zawsze tak bywa — odcięła księżdzowa.

— Trudno ci przysnać rację, kiedy jej nie masz.

— To pytanie.

— Zapewne, wszystko jest na świecie pytaniem, nie wyjmując tego, czy w rzeczy samej hrabstwo dla nadziei potomka do Gajów sjeżdżają?

— Czy wątpić o tem można!... — ofsknęła kobieta.

— Nie wiem, czy można, czy nie można...

Zresztą, mówić o czem nie ma. Jeżeli hrabiostwo w rzeczy samej spodziewają się potomka i owszem: życze im syna; będą go chowali tak pocziwie, jak chowają córkę.

Dotknął materji dla żony drażliwej.

— Chciałabym odezwała się — żeby kto pomiędzy nami rozsądził, które z nas ma rację. Zdałabym się na sąd cygański.

— Byłby najwłaściwszy. Poczekajmy tedy, aż cyganie sądy zaprowadzą, będziemy się sądzili.

— A tymczasem, idź do łóżka, żebym nie potrzebowała w nocy przysposabiać dla ciebie hopel-popel.

Książd posłuchał. Niebawem na probostwie zapanowała cisza.

Cisza zapanowała w Gajach, przerywana jeno niekiedy w ciągu nocy szczeknięciem psa i paniem kogutów. Wkrótce po ostatniem tych ostatnich zapianiu, bryczka, parą folwarcznych koni zaprzężona, uwiozła marszałka dworu traktem brzeżańskim, a później nieco wieś ozwała się gwarem porankowym. Życie zwykłym poszło trybem z tym jeno dodatkiem, że wieś o przyjeździe hrabiostwa silne wywarła wrażenie, które z warstw wyższych przeszło do podstawowych.

Zainteresowali się nią włościanie mniej wprawdzie, aniżeli członkowie klasy z waszecia, zainteresowali się jednak. Pan — hej — bądź co

bądź, to figura, a do tego pan taki, jak hrabia Alfred Piecki, posądzony o zagadkowe i daleko idące zamiary.

Z racji też zamiarów tych, ksiądz uczuł potrzebę pogadania z panem Alojzym, udał się więc na komisariję w porze dnia nie tej, w której zwykle chodził dla wykładów Prokopowi, ale w tej w której zwykle pan Alojzy używał paru godzin spoczynku po pracy.

— Możem się nie w porę zdarzył? — zapytał.

— A toż czemu?

— Musicie być setnie zajęci?

— Nie bardziej, jak zwykle.

— No, bodaj trochę bardziej. z powodu przyjazdu hrabiostwa.

— Przyjeżdżają dopiero pojutrze i zmarują mi dzień, bo hrabia nie oznaczył godziny przybycia na stację.

— To niespodzianka.

— Niespodzianka, potwierdził pan Alojzy, — która mi sporo strachu napędza,

— Strachu? Chyba o zdrowie hrabiny? Ale, kobieta normalnie zbudowana, nie ma obawy, ażeby się jej nie powiodło.

— Co? — zapytał rządca zdziwiony.

— Wydanie na świat spodziewanego potomka.

— Zkądże ksiądz dobrodziej ma o tej nadziei wiadomość?

— Zkąd? — miał na języku wyraz: od żony; ale, zamiast wyrazu tego, odpowiedział:

— Od ludzi...

— Może.. Może ludzie więcej wiedzą ode mnie. Ja o tem nic nie wiem.

Zmieszało to księdza, zmieszało i z tropu zbiło. Przyszedł w zamiarze rozmówienia się z panem Alojzym i porozumienia z nim — z uwagi na wysokie stanowisko, jakie hrabia Alfred ma zająć — we względzie nacisku, jakiby na niego wywrzeć należało. Miał na myśli nie tylko Galicję, ale oraz sprawy ogólne, europejskie, światowe. We względzie tym posiadał poglądy, zaczerpnięte z dziejów powszechnych. Chciał więc w panu Alojzym znaleźć sprzymierzeńca, z którym spólnie nasunąłby panu Alfredowi pewne idee kierownicze, brzemienne następstwami doniosłemi. Napomknienie o nadziei hrabiostwa, służyć mu miało za preludjum. I na preludjum utknął.

Zmieszało go to, z tropu zbiło. Zwietrył plotkę, której się stał echem. Prędko więc pana Alojzego pożegnał, i na probostwo wracając, w duchu do siebie powtarzał:

„O kobiety! kobiety!“

V.

Jak pan Alojzy przewidywał, tak się stało Służba i powozy, a i on sam musiał dwa razy na stację jeździć: raz na dziesiątą przed południem, drugi raz na szóstą po południu. Nie było przytem pewności, ażeby o szóstej hrabstwo przyjechali. A może ich co we Lwowie zatrzymało! Przyjechali jednak. Naprawiło to humor panu Alojzemu, który miał co lepszego do czynienia, aniżeli tracić czas na witaniu hrabstwa.

Ciekawą było dla niego rzeczą, co z nich Wiedeń zrobił? Jakiś przecie wpływ wywrzeć musiał. Wywarł. Hrabia spoważniał, nabrał akcentu męża stanu, wspólnego tej klasie, która nosi specjalną nazwę „burżuazyi“, a która się wymodelowała wedle typu poprzedniczki swojej, na Olimpie społecznym. Dzisiejszy lord angielski ani trochę we względzie akcentowym nie różni się od przemysłowca. W panu Alfredzie przebijają się wprawdzie prawem dziedziczności

dawny Imci Piec ale opolerowany i przestyłowany, nadający się do figurowania gdzie na stanowisku, czy to ministra czy dyrektora fabryki, czy rządcy hotelu, czy nawet premier garsona. Hrabina wypiękniała — zmajestatyczniała. Panu Alojzemu widok jej sprawił zadowolenie podwójne, pierwsze było estetyczne, takie, jakiego się doznaje w obec malowidła lub posągu. rozbudzającego uczucie przyjemności. drugie pochodziło ztąd, że ujrzał ją wychodzącą z wagonu bez akompaniamentu żadnego.

— Pani hrabina nie nie zostawiła? — zapytał po przywitaniu.

— Cóżbym zostawić miała?

— Żadnej klatki? żadnego koszyczka?

— Koszyczki Lina zabrać musiała, a klatki, na cóż mi klatki?

— Przypuszczałem, że się pani w Wiedniu zaopatrzyła w papugę, w małpeczkę, w pieseczka.

— Anim myślała o tem.

— Tem lepiej.

— Przywiozłam gratów trochę.

Owo „trochę” zajmowało pół wagonu pakunkowego. Pan Kaniowski to przewidywał i odpowiednio urządził transport bagażów na stacji do Gajów: wóz drabiniasty pod pakunki większej objętości i bryczkę na pomniejszych, jakoteż na świętę, gdyby jaka hrab ostwu towarzyszyła.

Świta jednak cała zredukowała się do jednej panny służącej. Otrzymało to pana Alojzego uznanie.

Na hrabiostwo czekał pojazd.

— Nie przyszykowałeś pan tam dla nas jakiego powitania z owacjami? — zapytał pan Alfred na wsiadaniu.

— Nie, panie hrabio.

— Tem lepiej. Zobaczymy się?...

— Kiedy pan hrabia każe?

-- Nie zjadłbyś pan z nami wieczerzy?

— Gdybyście byli państwo przyjechali o dziesiątej, byłbym służył na obiad. Tak zaś. wybaczyć mi proszę.

— Więc jutro na obiad. Proszę przyjść wcześniej trochę dla pogadania.

Pan Alojzy się skłonił.

— A Żusia? — odezwała się pani.

— Zdrowa, i jak się zdaje, zadowolona.

— Ruszaj! — rzucił pan Alfred rozkaz stangretowi.

Stangret huknął na konie w ten sposób charakterystyczny, którego się uczyć potrzeba. Stanowi on sztukę w swoim rodzaju. Nie posiada jej, kto nie posiada talentu specjalnego. Furmani się rodzą, jak poeci — najznakomitsi na kuli ziemskiej w Anglii. luboć w Galicji trafiają się nienajgorsi. W swoim czasie słynęli dwaj — jeden pod Buczaczem drugi w Tarnopolskiem, o-

*

badwaj szlachcice i właściciele majątków ziemskich. Ten, co wioził hrabiostwo, nie wyrównywał im; woził nie po mistrzowsku, ale dobrze, poprawnie, z zacięciem, i zawiózł szczęśliwie państwo Alfredostwo przed ganek pałacowy.

Pan Alojzy powitania nie przysposobił; ale pan Holecki przyszykował się, jak się należy. Sam wygolony, we fraku, w białym krawacie, w białych rękawiczkach, stał na czele, za nim dwóch kamerdynerów w liberji (fraki błękitne, kamizelki w pasy błękitne i białe, białe krawaty, białe rękawiczki, spodnie po kolana, pończochy, trzewiki guziki herbowe), lokaje po bokach, w głębi służba podrzędna. Była w tem symetria i harmonja. Symetrię nadweręzało gro-
no, biało całkiem odziane, w białych bowiem spodniach, białych spencerkach, białych fartuchach i białych czapkach; nie nadweręzało jednak harmonii, stanowiąc ton uzupełniający w zastępstwie służby dworskiej pozostającej pod buławą marszałkowską.

Marszałek, głęboki złożywszy ukłon hrabiostwu, wyprostował się przed hrabią, który po tym żywym obrazie okiem powiódł, uśmiechnął się i rzekł:

— Jak się masz, Holesiu?

— Do stópek ściele się jasnemu panu..
była odpowiedź marszałka.

— Cóż tu u was słyhać?..

— Wszystko dobrze, jasny panie...

— To dobrze... — odrzekł pan Alfred, mijając marszałka.

— Jasny pan rozkaże?...

Pan Alfred głową zlekka wstrząsnął i poszedł za hrabiną, witającą się z Zusią. Zatrzymał się, skinieniem odpowiedział pannie Klarze na ukłon, pozwolił się Justynie w rękę pocałować, Zusię po główce pogłaskał, po policzku poklepał, i do swego apartamentu się udał, dokąd w ślad za nim na dany przez marszałka znak, pospieszyło dwóch lokai.

Zusia matce sprawę zdawała, mówiąc o wszystkim, co ją spotkało i uwagę jej zajęło i mieszając wszystko tak, że jej nawet Justyna nie rozumiała. O uszy hrabiny obijały się wyrazy: kury, chłopczyk, jajko stłuczone, dziewczynki, sarenki, obrazki, pani Kołodkiewiczowa, ołówek, pani Kaniowska i wiele innych. Idąc obok matki na górę, szczebiotała, mieszając opowiadanie o różnych rzeczach. Zaczynała naprzykład o obrazku, ciągnęła dalej o chodzącym na nogach drewnianym chłopczyku, kończyła o kurce, co jajko zniosła i krzyku narobiła.

— Chłopczyk krzyku narobił?

— Nie, mamol... nie, mamol — wywoływała, podskakując. — Nie chłopczyk, sarenka...

Doprowadziła w ten sposób hrabinę do jej

apartamentu i weszła z nią. W apartamencie opowiadała dalej, podczas kiedy hrabina, przy pomocy Kopalskiej, zdejmowała kapelusz i płaszczyk podróżny, zwany „cache poussière“. Szczebiotanie jej zajęło hrabinę. Słuchała z uśmiechem, mimo, że wątku opowiadania uchwycić nie była w stanie. Wreszcie zapytała:

— A kontentna z ciebie panna Ementhal?

— O! mam — odpowiedziała.

— Uczysz się?...

-- A jakże!...

Wyrzekłszy to, pędem wybiegła z pokoju.

W chwili tej wkroczyła pani Kołodkiewiczowa. Oblicze jej wyrażało wzruszenie i rozrzewnienie.

— Jasna pani!... -- zawołała... Jasna pani!... Czekaliśmy, wyglądali; Pana Boga prosiliśmy o zdrowie dla jasnej pani... O!...

Ręce złożyła i na hrabinę patrzyła.

— Jakże się masz moja Kołodkiewiczowa?

— Bogu dzięki, jako tako... Ale, gdybym była śmiertelnie chora, ozdrowiałabym, ażeby na jasną panią popatrzeć... Z grobu bym wstała.

Hrabina teraz dopiero spostrzegła tę, co jej rozbierać się pomagała.

— A? — rzekła. — Znajoma, zdaje się, ale przypomnieć sobie nie mogę.

— Kopalska -- objaśniła pani Kołodkiewiczowa.

— Kopalska?

— Za ślusarzem... Służyła w pałacu za życia jeszcze świętej pamięci... daj jej Panie, niebo.... hrabiny i hrabiego, wyszła za ślusarza, ta jakem się dowiedziała, że jasna pani do nas przyjeżdża, zmówiłam ją do garderoby, żeby miała oko na panny.

— Ze mną przyjechała Lina, niemka, czy się z nią rozmówisz?... — zapytała hrabina.

— Rozmówi się z nią Ema Hirszówna — odpowiedziała pani Kołodkiewiczowa.

— To dobrze..

— Oh! . jakżeby ja o tem nie pomyślała?

— Dla Liny osobny pokój..

O tem nie pomyślała. Odpowiedziała jednak:

— A jakże, będzie miała..

Nagle wbiegła Żusia z kilku ćwiartkami w rękę i ćwiartki te hrabinie pokazując, mówić zaczęła:

— O, mamó... to *a*, to *e*... nie, nie *e*, ale *i*.

— Nie *i*, ale *e*.. — rzekła hrabina.

— Ooo?... Ależ — zafrasowała się.

— Jasna pani co rozkaże? — zapytała pani Kołodkiewiczowa.

— W tej chwili niczego nie potrzebuje.

— Więc ja odejdę.. mam na głowie tyle...

— Możesz odejść, moja Kołodkiewiczowa..

Na głowę jej spadło przyrządzenie pokoju dla niemki, panny służącej. Oddaliła się więc pospiesznie.

Hrabina w zwierciadle się obejrzała, włosy sobie poprawiła, kołnierzyk na szyi wyprostowała, i na kanapie, usiadłszy, do Justyny się zwróciła:

— Cóż mi powiesz, Justyno?..

— Cóż mam jasnej pani powiedzieć!..

— Kontentnaś, żeś się do Gajów dostała?

— Jakbym się na świat na nowo narodziła..

— Nie bo tu się nie zmieniło — rzekła hrabina, rozglądając się po pokoju

— Gaje wydają się niby ładniejsze.

— Stęskniłaś się do nich, co?

— Oh!... jasna pani..

— To ja ciebie chyba zostawię...

— Z Żusią?..

— A... nie...

— O!.. to ja nie zostanę. Gdyby mnie ja-jasna pani zostawiła, tobym picchotą za Żusią poszła...

Hrabina z wyrazem dobrotliwości na matkę swoją spojrzęła i byłaby jej coś odpowiedziała, gdyby nie Kopalska, która odniósłszy

płaszczyk i kapelusz, powróciła i o rozkazy zapytała.

— Czy Lina już przyjechała?

— Przyjechała, proszę jasnej pani.. z Ewą pilnuje znoszenia kufrów i waliz..

— Jest woda na gotowalni?...

— Jest, proszę pani...

Rozgospodarowała się hrabina, co jej z łatwością przyszło, albowiem znalazła wszystko na tem samym miejscu i w takim porządku, jak zostawiła. Doznała takiego uczucia, jakby z domu wczoraj wyjechała, dziś powróciła. Zegarek nie nakręcony — stanął na czas pewien, nakręceno go i poszedł na nowo regularnie. Służba pod wodzą pana Holeckiego i pani Kołodkiewiczowej hierarchicznie uorganizowana, funkcjonowała składnie i porządnie.

Hrabiostwo, odświeżywszy się i oczyściwszy po podróży, zjedli wieczerzę; po wieczerzy usiedli na tarasie na plecionych z trzciny krzesłkach, w towarzystwie Zusi i jej nauczycielki. Hrabia cygara kurzył. Hrabina zadawała się wieczorem, który był cudny, cichy, wonny, dyszący czarem, wychodzącym z natury, której potęgą, ujęta w formy piękne, zdawało się, jakby się tem pięknem przed hrabiostwem pochwalić chciała. Zdawało się, jakby łąka, drzewa, mroczne wąwozy, mające w dali góry i rozciągnięte nad tem wszy-

stkiem sine niebo, mówiły do przybyłych w gości gospodarzy: „Patrzcie i podziwiajcie;“ zdawało się, jakby szmery i szept. towarzyszące szumowi potoku, odgłosom przepiórek, skrzeczeniu żab, ćwierkaniu świerszczy. tajemniczym jakimś szelestem, mówiły ze swej strony: „Słuchajcie czy w słuchu waszym brzmiał kiedy koncert wspanialszy?“ zdawało się, że subtelna woń, napędzająca, powietrze, rozkoszna luboć niepodobna do żadnego z wyrobów perfumerskich, upominała się również o uwagę dla siebie. Słowem wszystko, co na tym tarasie otoczyło hrabiostwa Pieckich, rozwinęło przed nimi wdzięki i czary swoje, jakoby wszystkie w tym celu, ażeby je porównywali z wdziękami i czarami stolicy.

Hrabia kurzył spokojnie i powoli cygaro, dymiące siwawym obłoczkiem, który w kolejnych odstępach. małutkimi kłębami do góry się wzbijał i ginał wśród konarów kasztanu. Gdyby nie te kłęby, regularnie się pojawiające, można by go posądzić o drzemkę. Nie drzemał jednak. Stan, w którym się znajdował, był stanem uspokojenia umysłowego. pozostawiającego swobodne pole działania funkcjonowaniu fizjologicznemu, pobudzonemu wieczrą. Nie myślał, nie czuł, nie zważał na to co go otaczało. Zajęcie jego całe skupiało się na dymkach, wydawanych przez listek, co w Hawannie na łądźce wyrósł i z Hawanny przez morza i lądy, dostał się do

Gajów na to, ażeby być spalonym. Brunatny zwitek liścia uschłego zmieniał się na jednym końcu w szarawy słupek popiołu. Ze słupkiem tym hrabia obchodził się ostrożnie, przestrzegając, ażeby się nie oderwał i nie spadł. Bodaj czy nie to przestrzeganie, nie to delikate w dwóch palcach trzymanie i wazenie cygara i spoglądanie na przyrastający w coraz to większych rozmiarach słupek popielejącego liścia, bodaj czy nie to broniło go od drzemki wśród zabierającej się do snu przyrody.

Hrabina słuchała bezładnych opowiadań Zusi, których sens był dla niej zagadkowym i obojętnym. Parę razy zwróciła się wprawdzie do nauczycielki z zapytaniem:

— „*Qu'est-ce qu'elle me conte, cette petite?...*“

Ale nauczycielka jedną i tęż samą dawała odpowiedź:

— „*Mais... je ne sais pas, madame la comtesse...*“

Mówiła coś o Prysce i o sarenkach tonem żalu, czy skargi.

— Mówi mi o jakichś sarnach — rzekła hrabina do panny Klary.

Panna Klara kwestję saren wyjaśniła o tyle że zdała sprawę z pojawienia się czworonożnych tych gości na trawniku.

— O... to coś nowego — zauważyła hra-

bina i zwróciła się do męża z zapytaniem: —
Wszak tu dawniej saren nie było?

— W lasach były i są.

— Ale... w parku?...

— W parku?... Skąd!...

— Widziała je nauczycielka..

— Ale.. skąd!... — odparł pan Alfred z akcentem złego humoru, spowodowanego odpadnięciem popiołu — Sarny? w parku?... Zapewne to psy były, a ona je za sarny wzięła.

Hrabina nie przetłumaczyła tego pannie Klarze; ale pan Alfred, dla spędzenia złego humoru, począł jej żartobliwe zadawać zapytania, na przykład: czy ona widziała kiedy sarny? czy odróżnić potrafi sarnę od psa, lub cielęcica? Na to ostatnie odpowiedziała:

— Odróżnić nawet potrafię zapytanie serjo od zapytania żartobliwego...

Podobało się to panu Alfredowi. Spojrzał uważniej nieco na nauczycielkę, którą lekceważył, wyraził nadzieję, że się ona za żart nie obraziła i wytłumaczył jej, że w parku sarny przebywać nie mogą.

— Ależ... — odparła, ręką wskazując — proszę patrzeć...

Sarny w tej chwili pojawiły się na trawniku.

Wyszła najprzód jedna, za nią druga. trzecia, w końcu się wynurzył rogacz.

Hrabia oczy przecierał, patrzył: zrazu o-

czom własnym nie wierzył, uwierzyć jednak musiał.

— „Mademoiselle...“ — rzekł — „il ne faut jurer de rien“.

Do żony zaś, a raczej do siebie mówił:

— No proszę.. Kaniowski i o tem pomyślał.. Gdyby mnie ministrem zrobili, wziąłbym go za pomocnika..

— Do Wiednia? — zapytała hrabina.

— Oczywiście... Przecie ministerstwa nie funkcjonują w Gajach.

— Kogóżbyś w Gajach zostawił?

— Masz rację... No... Byłbym w kłopotcie...

— Ah! mamó! — wykrzyknęła w chwili tej Żusia tonem przerażenia prawie.

— Cóż tam?

— Żółta pani!..

Postać panny Honorci zarysowała się na tle cieniów, jakie jawory na okalającą trawnik ulicę rzucały.

Powodem przerażenia Żusi było, że panna Honorcia sarny płoszyła. Powodu tego atoli dziewczynka wytłumaczyć nie umiała, a okrzyk jej zabrzmiawszy w uszach hrabiostwa tonem niezwykłym, przypominał im legendy o „białych damach“, „czerwonych dziewicach“ i t. p., przywiązane do różnych zamków, pałaców i ogrodów. Zastanowiło ich to. Hrabina zapytała o zna-

czenie okrzyku pannę Klarę; ta odpowiedziała, że o niczem nie wie.

Pan Alfred się odezwał;

— Pokazuje się, że Kaniowski nie tylko sarny, ale i żółte damy sprowadził.. Rozpytam go o to.

Zapanowało na tarasie milczenie. Żusia ze smutniała, oparła się matce o kolana, i po niejakiś dopiero czasie, milczenie przerwała, zagadawszy o chłopczyku na drewnianych nogach.

— Cóż to za chłopczyk? zapytała hrabina.

— Taki chłopczyk, mamó.

— Tańczy?... skacze?

Habnie się wydało, że to chyba zabawka, w rodzaju marjonetki, którą dziecko może w podróży widziało, a może w Gajach znalazło.

— Ah!... nie, mamó, on nie tańczy i nie skacze, chodzi, mamó, na drewnianych nogach...

— Gdzieżeś go widziała?

— U pani Kaniowskiej. Widziałam dwie dziewczynki i chłopczyka na drewnianych nogach.

— I dwie dziewczynki na drewnianych nogach?

— Nie, nie, tylko chłopczyk.

— Możesz się nie przypatrzeć.

Zapytanie to w kłopot dziecko wprowadziło. Może w rzeczy samej nie przypatrzyła się nogom Fruzi i Suzi; może i one na drewnianych

chodzą nogach. One jednak biegają i skaczą. Sprawilo to zamęt w głowinie dziecka, któryby się zapewne był powiększył przy dalszej rozmowie, gdyby nie nadeszła Justyna z oznajmieniem dla Żusi, że „pora spać.“

— O jakim to chłopczyku na drewnianych nogach Żusia mi opowiada? — zapytała jej hrabina.

— O jakimże, jak nie o Prokopie państwa Kaniowskich...

— A?... Widziała go?

— Widziała...

— Przychodził? co?..:

— Nie... Jakeśmy przyjechali, nie było jeszcze kucharza i pierwszy obiad jedliśmy na komisarji.

Usłyszawszy to, pan Alfred się odezwał:

- Trzeba będzie pomyśleć o obiedzie dla oficjalistów. .

— W niedzielę chyba... — odparła hrabina.

— Oczywiście...

— Zadysonuję... - rzekła, i dalej z Justyną rozmawiała: -- Ale ona mówi jeszcze o dziewczynkach na drewnianych nogach...

— O jakich!. W imię Ojca i Syna i Ducha!... — zdziwiła się Justyna mocno. - Żusiu, kiedyś ty i gdzie, dziewczynki na drewnianych nogach widziała?...

— U pani Kaniowskiej... — odpowiedziała.

— No, proszę!.. Czego to dzieci nie wymyślą!... Tam były dziewczynki, ale na takich samych nogach, jak twoje... One biegały... nie pamiętasz...

— Biegały? ..

— I skakały...

— I skakały?...

— Jakżeby biegać i skakać na drewnianych nogach mogły?

Skonfundowana Zusia milczała.

Hrabina zapytała Justyny:

— Cóż to za dziewczynki?

— Córki księżowej, pani Kochańskiej... tych lat, co nasza Zusia..

— Nie mogłyby do Żu-si przychodzić?...

— Ta... — cmoknęła z giestem przeczącym. — Nie jej równia... Tam takie, hij! wielkie państwo, że bez kija nie przystępuj... — do Żusi się zwróciła: — Mamie dobranoc... papie dobranoc i chodźmy...

Dziewczynka rodzicom dobranoc oddała.

— A pannie Klarze... — zainteresowała hrabina i zniewoliła ją do wygłoszenia!

— „Bonsoir, mademoiselle..“

Po odejściu jej, hrabina zawiązała rozmowę ze szwajcarką, rozpytując ją o wrażenia, jakich w obcym kraju doznaje i o pobytu jej dotychczasowego szczegóły. Drogą tą doszło do jej

wiadomości, że się panna Klara krajowego języka uczy od pani Kaniowskiej. Pochwaliła to, a hrabia podchwycił:

— A mnie nie przyjęłybyś pani na nauczyciela?

— Panie hrabio!...

— Nie żartuję... Rozpoczynam, jeśli się pani zgodzisz naukę od tej chwili...

— Lepszego niczego nie żądam... — odparła.

— Jak się pani uczysz?...

— Metodą Hamiltona...

— Co pani umiesz?...

Szwajcarka powtórzyła dwa wiersze z bajki Krasickiego i przetłómaczyła je.

— Wybornie. Ja spróbuję z panią innej metody, metody Jowialskiego. Zadam pani do przetłómaczenia frazes następujący: „Le han-ton bourdonne dans le roseau...”

— Nie potrafię, nie znając ani jednego polskiego wyrazu odpowiedniego...

— Tłómaczenie ja sam zrobię; pani zadasz sobie jeno trud powtórzenia... Dobrze?...

— Proszę..

Hrabina powściągnęła w sobie wesołość, wybuchła jednak śmiechem, gdy szwajcarka po kilkakrotnej nieudanej próbie, wymówiła nareszcie pokaleczone i poprzekręcane wyrazy:

„Chrzaszcz brzmi w trzcinie.”

Żusia.

22

— O, doskonale, powtórz pani raz jeszcze...

Powtórzyć nie chciała. Pan Alfred ją jej tłómaczyć, że są to trudności językowe specjalne, których przełamanie ułatwi następnie wyuczenie się języka.

— „Cela vous ira ensuite comme sur des boulettes. .“

Tłómaczenie ją przekonało, powtórzenie atoli wyrazów, które do takiego śmiechu hrabinę pobudziły, odłożono na inny raz.

— Na teraz w rzeczy samej dosyć... — rzekł pan Alfred, a wstając z krzesła, dodał: „Bonsoir, mademoiselle. .“

Przeszedł się wzdłuż kasztanów, pocałował hrabinę w czoło i odszedł.

Wieczór ten zeszedł hrabiostwu bardzo dobrze; pomimo, że byli sami, że nie spędzili go ani w teatrze, ani na koncercie, ani na rauce, ani na wieczorku, ani na balu; pomimo, że nie upłynął hrabiemu w klubie a hrabinie nad romanssem Zoli, Flauberta lub Goncourta. Hrabina nie pamiętała, ażeby się tak kiedy śmiała; hrabia w świetnym do łóżka poszedł humorze.

Nazajutrz rano stajnie obchodził. Ponieważ wyścigami się nie bawił, więc chów koni u niego w innym szedł kierunku: konie na sprzedaż i konie do gospodarstwa, w pierwszych i drugich rozwijano kształty i przymioty odpowiednie. Przy żłobach stało koni kilkanaście źrebce

w klatkach specjalnych. W stajniach wzorowa czystość i nie do życzenia nie pozostawiający porządek, uzyskały całkowite pana Alfreda uznanie. Chodził, przypatrywał się, chciałby znaleźć coś, chociażby dla przyzwoitości, do zgania i znalazł -- srokę na wrotach powieszoną...

— Na co to? — zapytał.

— A to — odpowiedział jeden ze stajennych — jasny panie... wedle... tego... diabła, żeby konie po nocach nie zajeżdżał...

— Gdzie?

— A no... w stajni ..

— Zajeżdża w stajni?... — odrzekł pan Alfred zdziwiony.

— Do potu harcuje. .

— Cóż ma sroka do tego?...

— Sroki się nieczysty boi, i wedle niej progu nie przestąpi ..

— Ii, głupstwo!.. zburczał pan Alfred. — Zaraz mi tę srokę zdjąć i precz wyrzucić.

Z wyjątkiem tej nagany. nie udzielił innej. Sprawilo mu to zadowolenie. Zaznaczył wobec służby powagę władcy zwierzchniego. i pochwalil się przed żoną.

— Zgromiłem służbę w stajni...

— Za co?

— Wyobraź sobie, patrzę, na wrotach wisi sroka...

— Biedna srocza. . -- rzekła hrabina.

— Kazałem ją natychmiast zdjąć.

O tę srokę wytoczyła się kwestja i w obec pana Alojzego, który, stosownie do obietnicy przyszedł na godzinę przed obiadem, celem zdania sumarycznej ze stanu spraw gospodarskich sprawy. Mówił o kosowicy, posiewach, o żniwach, o robociźnie, o braku zatargów i procesów, o sperandach. Przedstawiało się to wszystko wcale dobrze, a byłoby mogło jeszcze lepiej, gdyby można było pozwalać sobie na wyższe nieco nakłady melioracyjne. Pan Alojzy często do tego „gdyby“ nawracał. Pan Alfred zawsze na nie milczeniem odpowiadał. Wreszcie zagadał się o stajni.

— Wszystko-m — zaczął — znalazł dobrze, tylko jedno mi się nie podobało, wcale nie podobało.

Pan Alojzy nie pytał, co.

— Wcale mi się nie podobało... — powtórzył dobitnie. — Do czego bowiem ta sroka powieszona?

— Przesąd — rzekł pan Kaniowski.

— Trzeba więc przesady usuwać...

— Zapewne, ale nie wyrzucając sroki, lecz szczerpiąc oświatę... Od oświaty sroki same się usuną a z niemi i wiele rzeczy, których poszukiwacze nasi żałować będą.

— Jakie?...

— W rozwoju cywilizacyjnym, odrywające ogromnie ważną rolę. podania i legendy.

— Ale .. *à propos*, co to za żółta dama w ogrodzie się pokazuje?

— Nie słyszałem o niczem podobnem.

— Sarny-ś pan zaprowadził...

— Udało mi się na obławie młodych parę dostać i odhodować.

— Ta jednak żółta dama?...

- Nie nie wiem o niej...

Przy obiedzie koniecznem było, ażeby się w tej materji rozmowa wznowiła, i ażeby w niej hrabina udział wzięła. Nie posunęło to kwestji ku rozwiązaniu, owszem — zaciemniło ją o tyle. że ponieważ wiadomość o żółtej damie wyszła od Zusi, a zatem padło na Justynę posądzenie, że nikt inny, tylko chyba ona, dziecku ją w głowie ulokowała.

— To mi się niekoniecznie podoba .. — rzekł pan Alfred.

— I mnie się nie podoba . — odrzekła pani Alfredowa

— Jeżeli tak jest co mi się nie zdaje — zabrał głos pan Alojzy — trzeba na to liczyć, że Żusia zaczęła się uczyć i że będzie się dalej uczyła w obec pojęć zatem, jakich jej nauka udzieli, znikną te, których od niańki zaczerpnie...

— Zapewne. . tak...

— Ja tę rzecz zbadam — podchwyciła

hrabina po obiedzie. Hrabina przywołać kazała Justynę do pokoju do którego panowie na czarną kawę i cygara poszli. Zanim czarną kawę podano, Justyna się zjawiła w towarzystwie Żusi, i jak skoro się pokazała, wysłuchać musiała reprimendy hrabiny, wygłoszonej w formie zapytania tonem łagodnym ale stanowczym :

— Cóż to, moja Justyno, za bajki o jakieś żółtej damie?...

— Nic o niczem nie wiem... — odpowiedziała.

— Żusia o niej gada...

— Żusia gada?... żółta dama?... — powiedziała bardziej do siebie, aniżeli do słuchaczy, Justyna.

— Nie widziałaś jej przecie? rzekła hrabina do Żusi.

— Widziałam — odrzekła Żusia rezolutnie.

Justyna zwróciła na nią wejrzenie pytające.

— Ta pani, pamiętasz?... ta pani żółta, co od niej sarenki uciekają.

— Ahaaa!... — przeciągle zawołała Justyna — panna Honorcia!... Żusia ją nazwała żółtą panią dlatego, że żółtą chusteczką brodę sobie podwiązuje.

Zagadka się rozwiązała. Przesądna legenda pierzchła wobec słońca prawdy, które się od słów Justyny zapaliło. Sprawilo to zadowolenie wszystkim, najbardziej zaś pani Alfredowej,

która, nalewając panom kawę, umoczyła w niej kawałeczek cukru i Żusi do buzi włożyła, tak zwany kanarek. Niewiadomo, dlaczego cukier w kawie czarnej umaczany nazywa się „kanarkiem“. Tak się nazywa i koniec. Anglicy tego rodzaju denominacje składają na zwyczaj. Podczas kiedy Żusia ze smakiem kanarka spożywała, hrabia rzucił pytanie:

— Więc panna Honorcia egzystuje jeszcze?

— Egzystuje — odpowiedział pan Kaniowski.

— Ależ to zabytek starożytności odległej...

— Nie odleglejszej niż moja.

— No, tak... Pamiętam ją młodą i przystojną, bardzo przystojną, pełną... Szykowna, polotna... Cóż ona robi?

— Nie ..

— Jakto... nic!.. Do czegoż jest?

— Do niczego...

Nie rozumiem, jak w ten sposób egzystować można.

— Jak egzystują wszyscy, co bez pracy zapewniony byt mają..

— Zanudziłbym się na śmierć.. Życie by mi obmierzło...

— Gdyby ona — odparł pan Kaniowski, obok zapewnionego bytu posiadała do rozporządzenia dochodu kilkadziesiąt, a przynajmniej kilkanaście tysięcy, potrafiłaby sobie życie uprzyjemnić...

Rozmowa schyliła się ku punktowi delikatnemu, dotykającemu wprost egzystencji hrabiostwa, mających być zapewniony i kilkudziesięciotysięczny dochód roczny do rozporządzenia a nie do czynienia.

Hrabina może to chylenie się spostrzegła. wtrąciła bowiem, nie mające najmniejszej z treścią rozmowy zapytanie:

— A nasz obiad niedzielny?

— Właśnie!... — podchwycił hrabia. — Miałem obiad ów na myśli i z myśli mi go wytrąciły: żółta dama i panna Honorcia...

— Prosimy przedewszystkiem państwa Kaniowskich...

— Naturalnie.. potwierdził hrabia.

— I liczymy na państwo.. — dodała hrabina. — Ja zaś, z mojej strony, proszę pana, pomóż mi w ułożeniu listy zaprosin..

— Państwo hrabiostwo, doprawdy, łaskawi. Ja się stawię, za moją żonę jednak nie ręczę słabowita, a przytem... nie rada odstępuje syna.

— A z synem?

— Rzecz niemożliwa.

— Jeżeli przeto pani Kaniowska będzie mogła. Pretensji nie będziemy mieli, byłoby nam jednak bardzo miło, móż ugościć żonę pańską. To kobieta, której sprzyjam całą duszą...

— Pani hrabino — odezwał się pan Alojzy tonem podziękowania.

— A teraz... układajmy listę. . Chodzi o oficjalistów naszych..

— Administracyjnych... — wtrącił hrabia.

Lista ułożyć się dała z łatwością. Weszli do niej tak z grona oficjalistów, administracyjnego, jak z po za takowego: kasjer, rachmistrz, leśniczy, mechanik, gorzelnik, nauczyciele i trzech księży, oprócz bowiem księdza Kochańskiego, dwie jeszcze inne wsie, wchodzące do kompleksu majątku ziemskiego hrabiego Pieckiego, posiadały proboszczów. Zebrało się osób ze dwadzieścia, po większej części żonatych. O żony kwestji nie było. Ale — dzieci? Kiedy o nich hrabina wspomniała:

— Marmaille... — mruknął pan Alfred.

Dzieci atoli dwojaki przedstawiały rodzaj: małe i dorosłe. Tych ostatnich obojej płci, naliczono tuzin z czemś: kilka panien na wydaniu, paru studentów, kilku uczniów szkół średnich. Nastreżyła się we względzie tym trudność do usunięcia. Usunął się pan Alojzy.

— Ośmielę się radę dać pani hrabinie...

— Proszę..

Dzieci dorosłe wypada zaprosić z rodzicami; co się zaś małych tyczy, w tych można zrobić wybór, ograniczając zaprosiny do Gajów i do dziewczynek...

— Ileż w Gajach dziewczynek?

— Dwie jeno księżdzówny...

— Słyszałam o nich... jakoś..

— Ale dwie tylko..

— Odda się je Justynie pod dozór... odezwał się pan Alfred.

— Więc dobrze...

— Ale muszę radę moją uzupełnić — zaczął pan Aljzy.

— Czekam na uzupełnienie.

— Niech pani hrabina podać każe jak największą ilość najrozmaitszych ciastek i cukierków... Te ciastka i cukierki zabiorą mamy do kieszeni i chustek do nosa..

— Rozkradną.. — wtrącił hrabia.

— Niech to pani nie gniewa i nie gorszy. Występku tego, jeśli to występkiem nazwać można, podniętą jest najpiękniejsze i najszlachetniejsze z uczuć: uczucie macierzyńskie. Dla dogodzenia mu można takim bogatym, jak państwo, ludziom, dać się nawet okraść. Proszę wy obrazić sobie zadowolenie matek i uciechę dzieci

Hrabinie to do przekonania trafiło

— Może też ja tak zrobię: poproszę te panie, ażeby słodyczne zabierały.

— Ofiaruj każdej pudełeczko lub torbeczkę z papieru ozdobnego — rzekł pan Alfred.

— Dobra myśl. Ale skądże ja w Gajach pudełeczek i torbeczek wezmę?

— Sprowadź ze Lwowa.

Ów obiad dał hrabinie do myślenia i czy-

nienia sporo. Czynienie polegało na rozpisywaniu zaprosin; myślenie zaś na nastrajaniu się do tego poziomu, na jakim stało salonowe gości niedzielnych wychowanie. „Salonowe“ — zaznaczyć to należy, co się bowiem wychowania w sensie ogólnym tyczy, niejedna z oficjalistek we względzie pojęć i uczuć, wygrywała w porównaniu z hrabiną. Pani Kaniowska naprzykład, stanowiła ją przewyższała — tej bo nawet na oglądzie nie brakło. Inne znały salon z podań, z opowiadań niektóre z książek. Żadna nie przypuszczała, ażeby się odpowiednio znaleźć nie umiała. Mimo to, zaprosiny wniosły zaniepokojenie pod strzechy dworków, zamieszkałych przez ludzi, co swoje uzdolnienie, pracę i czas, oddawali na usługi stadła, którego zadanie życia polegało całkowicie na spożywaniu darów bożych i dogadzaniu sobie. Te ostatnie los uprzywilejował; tamtych nie uprzywilejował. Ta jedna pomiędzy nimi zachodziła różnica, różnica, która wyraz swój miała w oglądzie towarzyskiej, w sposobie bycia, akcentowanym tonem odpowiednim i stosowanym do reguł etykiety, znanym nieuprzywilejowanym zdaleka jeno.

Nieuprzywilejowani jednak, a raczej nie uprzywilejowane, nie przyznawały się do nieznamośności reguł, kierujących tonem salonowym. Troška ich cała, cały niepokój tyczył się braków, jakie szczupłość dochodów na ich odzieży zna

czyła. Tej brakło sukni jedwabnej, owej kapelusza modnego, innej rękawiczek, innej szlerek lub wstążek. Z racji tej, przez piątek i sobotę, jakoteż w niedzielę przed południem, po dworakach panowało życie w ostatniech zaś chwilach gorączkowe uzupełnianie braków. Odbywało się powszechne oglądanie, odczyszczanie, pranie, krochmalenie, prasowanie, przeprasowywanie, przesywanie, obszywanie, kręcenie sznurków (do gorsetów), wiązanie węzłów, etc. etc. Odbywały się też rodzinne gadania, wnioski, zajścia, sprzeczki nawet. W rodzinie — naprzykład — gorzelnika pana Kropickiego, cztery osoby kwalifikowały się do przyjęcia zaproszenia, dotyczącego się „szanownych państwa z dziećmi.“ Dzieci było dwoje: córka Kicia, miłuchne szesnastoletnie stworzenie, i syn Gucio, akademik lwowski z pierwszego roku prawa. Ojciec matka i córka zaproszenie przyjęli. Syn odrazu zaprotestował.

— Ja... nie pójdę..

— Jakże... proszą przecie. uchybienie — odrzekła matka w tonie refleksji.

— Uchybię!... wiem o tem... Uchybię z całą rzeczą świadomością...

— Będzie to niewiedzieć do czego podobne...

— Już ja wiem, do czego to będzie podobne.

I zaśmiał się śmiechem szatańskim gładząc

sobie pod nosem wasy, których projekt na wie-
rzejniej wardze figurował pod postacią mechu
delikatnego.

Zagryzał ów mech przez czas pewien i na-
gle rzekł:

— Pójdę!.. ale..

Postanowienie to, jakoteż ton, w jakim wy-
ręczone zostało, strwożyło siostrę i wzruszyło
matkę. Kicia złękniona oczy na Gucia podnio-
sła; pani gorzelniczyna rzekła:

— I spodziewam się, że głupstwa nie zrobisz
żadnego.

-- Co zrobię, to już do mnie należy... —
odrzekł.

Przez ciąg dni dwóch, pomiędzy Kicią
i Guciem trwało urywające się i znów się wzna-
wiająca ogadywanie, tyęczące się obiady w pa-
łacu. Kicia prosiła, zaklinała krata, ażeby dał
spokój. Gucio się odgrażał stanowczo, co się Kici
wydawało tem niebezpieczniejszem, że nie po-
wiedział, jakiego się mianowicie czynu dopuści.
Siostra się dopytywała, odpowiadał:

— Zobaczycie!... Wszyscy zobaczą. Ja do
celu prosto, otwarcie, z głową podniesioną zmie-
rzam...

— Do jakiego?

— Zobaczycie!..

Powiedział wreszcie:

— Doprowadzę ją do tego, że u nóg moich klęknie, a ja wówczas wzgardzę.

— Kto klęknie? Kim wzgardzisz? Guciu!

Ale on puszek pod nosem gładził i zagryzał.

W niedzielę, kiedy Kicia, po zasznurowaniu gorseta, sukienkę na siebie muślinową włożyła i zapinała, Gucio przyszedł do niej z pytaniem:

— Nie masz ty kawałeczka czarnego atłasu.

— Atłasu?... czarnego?... Na cóż tobie?

— Potrzebny mi... niewielki kawałeczek...

— Czy na szyję?...

— Ah! nie... przecież mam krawatkę.

— Bo nie wiem, ile potrzebujesz, pół łokcia... ćwierć łokcia...

— Kawałeczek... na dwa cale...

— Może masz co do przyszycia?

— Ależ nie!... Daj, albo nie daj, ale nie nudź!... — rzekł szorstko.

Kicia pospieszyła z wynalezieniem dla niego kawałeczka atłasu, który jak się później pokazało, potrzebnym był Guciovi do zamaskowania dziury w bucie. Dziura ta stanowiła jedyny niedostatek w toalecie młodzieńca, trochę poprzecieranej, ale poprawnej. Szczególnie efektowną była krawatka, ustępująca jeno czapeczce wiatrówce, w której, gdy ją na bakier u-

kładał wyglądał Guccio zamasyście i świetnie. Przed wyjściem, ojciec któremu zapewne coś o odgrazaniach się chłopca szepnęła matka, zaproponował mu:

— Jeżeli zamysłasz splodzić niedorzeczność jaką, lepiej zostać.

— Ha!... — zaczął Guccio, spojrzawszy na but, spojrzawszy na czapkę i dodał: Ja o żadnej niedorzeczności nie myślę...

Takie historie zaszły u gorzelnikostwa.

U księdzowej zaszły również historie, ale innego rodzaju.

Ksiądz, otrzymawszy wonny, na papierze eleganckim pisany, w eleganckiej kopercie zamknięty list, i odczytawszy takowy przez okulary, pokazał go żonie.

— A... rzekła — państwo hrabiostwo... raczą...

— Co mam odpisać?...

— Czyż się na list taki odpisuje!...

— Odpisuje się w razie, jeżeli zaprosin się nie przyjmuje...

— Czy myślisz nie przyjąć?

— Nie... nie ja, ale tu wyraźnie napisane stoi „szanownych państwa z dziećmi..“ No?...

— Więc cóż? odparła księdzowa.

— Wszak dziewcząt swoich nie chcesz wystawiać na zgorszenie...

— Pewnie, nie chcę, cóżby ze mnie była za matka!

— Więc jakże mam odpisać?

Naczelnikowa milczała

— Jakże mam odpisać? powtórzył ksiądz.

Księżdowa milczała.

— Może i ty...

— Co? — zapytała z akcentem.

— Chciałabyś się grzecznie wymówić...

— Czego bym ja chciała, to tu nie należy, zaczęła tonem gromami brzemiennym — ale, ty byś chciał ludziom się pokazywać bezemnie. . A, wielki człowiek. Czy to ja sroce z pod ogona wyleciała?... Czy ty mnie z kurnika albo z obory wziął? Co? . .

— Chodzi nie o to, ale o... odpowiedź na list.. Pani hrabina pisze wyraźnie: „z dziećmi“. Ciągnie je więc na zgorzenie...

— Niech ciągnie, ja odciągnąć potrafię.

— Więc na list nie odpiszę...

Pani Helena milczała chwilę, myślała i odrzekła:

— Nie!...

— Nie pokazujże ludziom tych biednych dzieci ubranych po cudacku... — przemówił tonem prośby pokornej. — Sama się czepierz, jak sobie chcesz, ale te dzieci, te biedne dzieci, cóż one winne?...

Księżdowa zakipiała; lecz ksiądz się mocno zakaszlał, nie mogła mu przeto zmyć głowy jak należy. Przestroga jego jednak ćwiekiem jej

w mózg się wbiła i wprawiła ją w stan wahania się, trwający przez piątek, przez sobotę i w niedzielę do godziny dziesiątej rano. Na obiad w pałacu, Fruzia i Suzia zjawiły się odziane — po cudacku.

VI.

O obiedzie niedzielnym pozostało na długo w gajowieckim kluczu wspomnienie. Pamiętnym on się stał z wielu względów, przede wszystkim zaś ze względu na jadło. Dania były znakomite. Zupa rakowa z pasztecikami była taka, iż kasjerowa, co życie swoje kuchni, z wielkiego przywiązania do męża (był chudy, ona go odkarmić chciała), poświęciła, sama przyznawała, że podobnej zupy rakowej nigdy przez sen nawet nie jadła. Po zupie, ku zdziwieniu powszechnemu prawie, przyszedł na stół zamiast sztuki mięsa, szczupak z rożna, szpikowany słoninką, podany z sosem grzybowym i kartofelkami ze szczypiorkiem. Dalej pieczeń huzarska, jarzyny, na pieczyście bażanty, dalej legominy, wreszcie, wety, owoce, ciasta. Przy wetach hrabina skinęła na lokaja; ten wniósł na tacy stos ozdobnych, papierowych torbeczek, które ona paniom rozdawała. prosząc je, ażeby nabierały w nie

ciastek i fruktów dla dzieci. Przy okazji tej dopuściła się błędu jednego, którego nikt z obecnych nie podniósł, luboć wszyscy zauważyli, a który później dał powód do żartów, służących ku rozweseleniu wspomnień obiadowych. Rozdając torbeczki, przemawiała:

— Niech pani będzie łaskawa ciastek, fruktów i cukierków weźmie, ile zechce.. dla dzieci. .

Przemówienie to stosowała zarówno do mężatek jak do panien. Panny starsze usta sznurowały; niektóre brały to w znaczeniu podarku dla dzieci, wchodzących do składu młodszego ich rodzeństwa; Kicia, mająca jednego tylko brata, którego do rodzaju „dzieci“ zaliczyć nie było można, a który zresztą był na obiedzie obecny, gdy wyrazy te usłyszała oblała się ponsem, jak piwonja.

— Proszę nabierać, bardzo proszę... powtórzyła hrabina.

Dziewczynką spojrzała na siedzącego nieopodal, ale po drugiej stronie stołu brata, jakby jego wzywała pomocy. Ten atoli zajęty był w tej chwili. Miał przed sobą na talerzu spory kawał tortu migdałowego, przekładanego kremem czekoladowym, na który patrząc, marszczył brwi groźnie i zapytywał sam siebie: „Czy go zjeść potrafię i czy, w razie przeciwnym, mam go na talerzu zostawić, albo też do kieszeni schować?“

*

Zapytanie podobne nie on jeden sobie zadawał. Biesiadnicy, założywszy sobie w żołądkach fundamenty mocne przy pierwszych, o ile smacznych, o tyle obfitych daniach, znaleźli się w obec końcowych łakoci, w niemożliwości dokładania. Nie tyle na tem cierpieli mężczyźni, co panie. Cierpienie okazało się już dotkliwie przy bażantach, do których podano sałaty i kompoty. Każda wzięła sobie kawałek tego królewskiego ptaka i dobrała bądź sałaty, bądź kompotu, ale nie każda podołała, mimo że ten się stał cud, iż na talerzu pozostała s łąta i kompot, z bażanta zaś nie pozostał ślad najmniejszy. Udka, skrzydełka, piersi, poznikały, jak kamfora.

Kiedy Guccio rozmyślał nad tortem i srodcze się do niego marszczył, zjawisko niespodziewane zwróciło na siebie uwagę jego i sprawiło mu roztargnienie. Lokaje wnieśli wanienki lodem napełnione, z których wyglądały złociste pieńki czy łebki. Odrazu nie rozpoznał, coby to być mogło. Myślał nad rozwiązaniem tej zagadki, która się wnet rozwiązała sama. Pokazało się, że to były butelki.

Pierwszą, wydobytą przez kamerdynera z wanienki, Guccio pilnie okiem śledził i widział, jak ją kamerdyner w serwetę zawinął, jak koło złocistego łebka nożem majstrował, jak łebek palcem przycisnął. Nagle rozległ się huk —

istny wystrzał z pistoletu. Gucio na krześle podskoczył, to samo przytrafiło się sąsiadce jego, pannie Matyldzi, córce kasjera, która w tej chwili do torbeczki pomałki miętowe wkładała.

— Uh!... — krzyknęła.

Kamerdyner z butelki w serwecie, począł napełniać kieliszki płynem, mającym kolor rumianku. Gucio domyślił się, co to był za płyn i do sąsiadki szepnął:

— Niech pani będzie spokojna, to szampan...

W chwili tej uciszyło się przy stole i słyszeć się dał donośny głos:

— Łaskawe panie i łaskawi panowie!...
Dziękując wam za zaszczyt, jakiście nam wyświadczyli, dzieląc z nami skromny obiadek, oświadczam wam przewszystkiem, że chwilę w gronie waszem spędzoną, zaliczam do najmiłszych w mojem życiu. Co wyraziwszy, wnoszę wasze zdrowie, zdrowie moich i hrabiny gości, gości starszych i młodszych płci obojej, a szczególnie tej płci, która jest ozdobą i chlubą ludzkości, tej, co nam życie osładza i złoci, co nas w troskach pociesza, w upadkach podnosi, co nad nami panuje wdziękami, słodyczą i dobrocią — piję zdrowie gości, zdrowie dam!...

— Wiwat!... — ktoś krzyknął.

Mężczyźni wszyscy powstali.

— Wiwat nasz hrabia!... Wiwat nasza hrabina!

Krzyk ten trwał chwilę najgłośniej krzy-
czał Guccio.

— Na podziękowanie!..

Okrzyk ten zabrzmiał z ust człowieka do-
brej tuszy, słusznego, o marsowem obliczu, mo-
cno siwego i w sumiaste przyozdobionego wąsy.

— Poczekajcie, panie Gaudenty, nalewają
kieliszki... — ktoś się odezwał.

Korki strzelały; płyn koloru rumiankowego
perlił się w kryształowych czaszach.

— Na podziękowanie — powtórzył siwy
jegomość. — Ja się tam nie będę wdawał w
długie wywody. Co na sercu, to na języku!
Krótko powiem: niech nam żyje i wiekuje hra-
bia Alfred Piecki... minister!..

Ostatni wyraz wywrzasnął z takim natęże-
niem, że mu aż oczy krwią nabiegły.

Wrzask też wyraz ten pochwycił; Guccio
się darł.

— Minister!..

Ksiądz, który koło pana Alojzego siedział, u-
śmiechał się dłoń mu na kolanach położył, ści-
snął i półgłosem rzekł:

— To przyjdzie. Ludzie wykrzyczą kiedyś
w Wiedniu i w Gajach.

Pan Alojzy ramionami wzruszył.

Lokaje zjawili się z zielonemi, wysokimi,
osobliwego kształtu kieliszkami, które podawali
biesiadnikom i biesiadniczkom, podstawiając

przytem naczynie płaskie tegoż koloru. Niektórzy dziękowali, kieliszków nietykając; inni kosztowali, krzywili się i stawiali je co rychlej na tacy. Guccio, gdy na niego kolej przyszła, z zamachem kieliszek do ust podniósł i duszkiem wychylił. Prędko go oddał, a oblicze jego i oczy wyrażały zdziwienie. Na lokaja spojrzął. Lokaj śmiech w sobie dusił. Zmięszało go to. Na szczęście hrabiostwo dali hasło wstawania od stołu. Pan Alojzy podał ramię hrabinie, hrabia pani Kaniowskiej, inni parami, pojedynczo lub trójkami poszli za temi dwiema parami i wynieśli się na taras, pod kasztany, gdzie przygotowano stoliki do kawy a na stolikach czekały cygara i likiery. Hrabia się rozsiadł w fotelu trzciniowym. Przy nim miejsca zajmowało kilku poważniejszych z pomiędzy biesiadników, z których jeden nawiązał wnet rozmowę do toastu pana Gaudego i dowodził, że takim jest życzenie któremu hrabia uczynić zadość powinien.

Hrabia głos zabrał.

— Ja tam — rzekł o to się nie ubiegam... Wiem, chcą mnie zrobić, ci ministrem, owi ambasadorem... Zrobią, przyjmę, czemużbym przyjąć nie miał!... Ale się ubiegać nie myślę. Gdybym się ubiegał, narzucono by kondycje i musiałbym się do nich stosować, nie ubiegając się kondycje stawiać będę ja.

„Mądre słowa“ — rzekł do siebie ksiądz,

który przysiadłszy się do grupy obok słyszał, co się przy stoliku hrabioskim mówiło, ale w rozmowie udziału nie brał.

Żeńska połowa towarzystwa zaopatrywała się tymczasem w parasolki, i pod przywództwem hrabiny, oskrzydłonej przez księżową i gorzelniczynę, schodziła drobnymi kroczkami z tarasu, zmierzając ku okolicom parku, wabiącym chłodem cieniów i szumiącej wody. Panie zamężne trzymały przodek, panny stanowiły rezerwę. Druga jeszcze rezerwa sposobila się pójść w ślad za pierwszą, złożona z ludzi młodych, do których należeli: mechanik, ekonom z Przytoki, paru praktykantów agronomicznych, akademicy i uczniowie gimnazjalni. Śród nich powinien znajdować się Gucio. Nie znajdował się jednak, ani śród nich, ani pomiędzy starszymi, ani przy rezerwie panieńskiej, ani obok żadnej z grup pań zamężnych. Po wychyleniu zawartości zielonego kieliszka, jak skoro się od stołu ruszono, zerwał się i rzucił do odszukania swojej czapki, którą zostawił na tarasie, gdzie się gości w miarę jak przybywali, przed obiadem zgromadzili. Znalazł ją, ale zamiast na głowę włożyć, do gęby wia-trówkę przycisnął i zdwojonym krokiem ku cieniom i chłodowi ruszył. Gdy mijał grupę panieńską:

— Guciu! — zawołała siostra.

Nie zatrzymał się.

— Guciu! — powtórzyła wołanie matka, gdy mimo niej przechodził.

Głuchym był.

Panie, co przodek trzymały, i Kicia o niego zaniepokojona ze względu na zdradzane przez szatańskie zamiary, widziały, jak w gąszcz wpadł i znikł.

„Boże!... — pomyślała Kicia — co on zrobi?...”

Nowy żywioł uwagę zajął i roztargnienie. Na tarasie w pobliżu Justyny i panny Klary, pojawiły się trzy dziewczynki. Żusia i dwie księżówny — te ostatnie odziane w te same, co na obiadzie u państwa Kaniowskich sukienki, odświeżone i uzupełnione szarfami z tyłu w kapelusikach strzępionych w rękawiczkach z parasolkami w rączkach, wyglądały zupełnie przyzwoicie. Nie na nie jednak uwaga się zwróciła.

Młodszy panowie na szwajcarce promienie oczu ześrodkowali; starzy z wyrazem czułości rzewnej patrzyli na Żusię, domniemaną spadkobierczynię dóbr gajowskich. Jeden z tych ostatnich, tuż obok pana Alfreda siedzący, zauważył nogi Justyny i odezwał się półgłosem:

— Z Wiednia przyjechała i boso...

Pan Alfred to usłyszał.

Nikogo nie krępuję i krępować go nie myślę — odrzekł. — Gdy ministrem zostanę, kto

zechce boso chodzić, będzie chodził, jak mu się podoba.

Takich nam ministrów potrzeba, o!... takich — odrzekł któryś głośno i dobitnie.

Dziewczynki z towarzyszkami z tarasu zeszyły mijając grupy panien i pań, dotarły do tej, w której się znajdowały: matka Żusi i księżzowa.

Pani Helena zatrzymała córeczki swoje.

— Fruziu, Suziu ukłonić się pani hrabinie.

Dziewczynki dygnęły.

Matka się do nich nachyliła, obejrzała je, znalazła wszystko w porządku i pocichutku Fruzi zapytała:

— Justyna was po obiedzie w kapelusiki i rękawiczki ubrała?..

— Nie... ta... — wskazała na pannę Klarę.

— Bądźcie grzeczne i nie poświńcie się w lesie.

— Idziemy do sarenek.

— Idźcie, idźcie... bądźcie jeno bardzo grzeczne. Mam coś dla was, jeżeli grzeczne będziecie.

Dzieci poszły przodem.

— Milutkie pani córeczki — odezwała się hrabina.

— Wedle stawu grobla, jak powiadają, proszę pani hrabiny — odparła księżzowa.

— Ale jak hrabianka urosła! Co to będzie

za prześliczna panna!.. — podchwyciła gorzelniczyna.

-- Prześliczna będzie — potwierdziła księżdżowa z przyciskiem, pochodzącym z pretensji do gorzelniczyny za zagajenie rozmowy, którą ona zagaić chciała.

— To się pokaże -- odparła hrabina.

— Będzie cudnie piękna, powiadam pani hrabinie i wierzyć mi proszę... — odpowiedziała gorzelniczyna Proszę mi wierzyć, bo-m już nieraz przepowiedziała. Baronowej Hulskiej... Czyż nie przepowiedziałam?... Ona się martwiła dzisiejszą hrabiną Golikowską, a ja mówiłam, że pięknie wyrośnie. To, pani hrabino, zależy u dziecka od rysów. Dziecko bywa niekiedy brzydkie, ale ma rysy i po rysach łatwo już odgadnąć, jakie wyrośnie. Otóż rysy hrabianeczki są precudowne, niby miniatura samej pani hrabiny...

„Otóż pochlebia!... Otóż się podlizuje!.. myślała pani Helena i głośno się odezwała:

— O, tak..., rysy, to znak niezawodny... U hrabianki Żusi rysy rychtyk takie, jak potrzeba i te rysy.

Chciała jakąś do jej sukienki delikatną zrobić aluzję, ale zdobyła się na powtórzenie dwa razy jeszcze: „i te rysy... i te rysy..“

Gorzelniczyna wychwalała Żusię nie tyle może przez pochlebstwo, co dla zagadania nie-

pokoju, jaki ją przejmował o syna, z powodu przesunięcia się jego mimo, pędem wielkim z czapką wiatrówką przy ustach. Domyśliła się wprawdzie czegoś, ale nie wiedziała, co się z nim stało. Była prawie pewną, że się nie stało nic złego, matka atoli — niepokoiła się, byłaby bowiem wolała, ażeby syn jej nie potrzebował od ludzi z wiatrówką na ustach uciekać. Niepokoiło jej przytem zapytanie: czy hrabina wie, że to jej syn? czy dosłyszała wymienienie imienia „Guciu?...“ Nie dawała tego po sobie poznać. Może więc nie dosłyszała, może nie wie, może się nie domyśla. Gorzelniczyna wyrzucała sobie wymówienie imienia syna i wdzięczność czuła dla posądzającej ją o pochlebianie księżzowej, że o nim nie wspominała.

Nie wspominała, albowiem wszystkie władze swoje umysłowe skupiła na wynalezienie „delikatnej aluzji.“ Myśląc o tem, kroczyła w jednym szeregu z hrabiną i gorzelniczną, i wkroczyła wraz z paniami temi w cieniste aleje. Rozkoszny chłód owiał ich postacie. Zwinęły parasolki i szły dalej drobnemi kroczkami, zagłębiając się w ustronia dzikością tętnące. Co raz wyraźniej szumiał potok. Rozmowa się rwała. Hrabina zaszczyciła ją wzmianką o sarnach, i po kilku wymienionych frazesach, odezwała się

— A gdybyśmy ich poszukały?..

— Z największą chęcią, pani hrabino!.. — odpowiedziała pani Helena.

— Trzeba jednak zachować ostrożność i milczenie.. — ostrzegła hrabina.

Zeszły więc te panie z drogi bitej na manowce, kierowały się wedle potoku, i gdy do onego docierały, z gąszczy drzew, ujrzały przesuwającą się postać niewieścią. Uderzyły je, jej wzrost wyniosły, ciemna odzież i żółta chusteczka pod brodą. Poznały ją, niemniej przeto zatrzymały się i śledziły za nią. Ona szła wzdłuż telekocącego w wodzie potoku, uszła kroków kilka i stanęła nagle z takim giestem, jakby się wzdrygnęła i cofnąć chciał. Nie cofnęła się jednak. Po chwili z ust jej dało się słyszeć zapytanie :

— Co tu robisz, młodzieńcze?...

Na zapytanie to żadnej nie było odpowiedzi i znów zabrzmiały jej wyrazy :

— Postawa twoja na tym kamieniu nad nurtami tego strumienia, jako też bladeść twego nadobnego, młodzianie, oblicza świadczą, że cię przejmuje smutek, może rozpacz ; żeś uciekł od zgiełku świata, od wrzawy biesiadnej, od brzęku kieliszków i uniósł pocisk w piersi... Jestem istotą, co cię rozumie... Złóż na mojem łonie bole twoje.

— Daj mi pani czysty pokój!... — za-

brzmiał nagle głos męski, zaakcentowany gniewem, przygnębieniem.

„Gucio!...” — odezwał się krzyk z głębi duszy gorzelniczyny.

— Chodźmy ztąd... pocichu, rękę podnosząc, przemówiła hrabina — Nie przeszkadzajmy im.

Poszukiwanie saren na tem się skończyło. Z powrotem na taras hrabina wszczęła rozmowę o kapeluszach i znalazła nareszcie sposobność do wsunięcia aluzji. Od kapeluszy przeskoczyła do sukienek dzieciennych, których wzory znajdują się w „Bluszczu”. Hrabina zbyła to milczeniem. Ona chciała dodać, że wedle wzorów tych ubiera i ubierać będzie dziewczynki swoje lecz głos jej — jakoś — w piersi zamarł, i zamiast tego, powiedziała :

-- Bluszcz, proszę pani hrabiny, to takie moralne pismo, takie moralne, że niech pan Bóg broni. Mam siedm numerów z rycinami i formami... siostra mi ze Lwowa przysła więcej... Ja nie wiem, ja nie wiem, ale to pi-sze chyba zakonnica.. takie moralne.. takie strasznie moralne, że nie można...

Hrabina potakiwała. Rzmowa przerwać się musiała na tarasie, gdzie ruch ogólny znamionował, że gości opuszczają progi gościnne. Biesiadnikom i biesiadniczkom hrabiostwo dłonic

do uścisku podawali z dołączeniem wyrazów kilku uprzejmych.

Goście opuścili pałac pod wrażeniem jak najmilszem. Hrabstwo oczarowali oficjalistów swoich i nieoficjalistów, z jednym tylko wyjątkiem — z wyjątkiem Gucia. Rodzice i siostra, opuszczając pałac, byli o niego mocno zaniepokojeni, ojciec bowiem, wedle wskazówek matki, szukał go w parku i nad potokiem i nie znalazł. Ten był powód, dla którego się państwo gorzelnikostwo z odejściem się spóźnili. Jakież było ich zdziwienie, gdy spotkali syna przed domem z rękami w kieszeniach, z wiatrówką na głowie, stojącego i pogwizdującego.

— Ty się z kąd tu wziął?

— Przyszedłem.

— Tak?... Kiedy?... Nikt ciebie nie widział.

— Moje drogi... są to... — dokończył tonem zagadkowością brzmiennym — moje drogi.

— Bacz, żeby cię na manowce nie zaprowadziły... — rzekł ojciec, wchodząc do drzwi.

— Niech się tatko o mnie nie lęka.. — odpowiedział matce i siostrze. — Zakarbowałem sobie i... nie zapomnę im tego... nie zapomnę... Będzie pan hrabia ministrem i my ministrami, a nawet czemś więcej być potrafimy...

Puszek pod nosem pogładził, przygryzł i dalej, przygwizdując, przechodzić się jął.

On jeden wyniósł uczucie nieprzyjazne, bo nawet księżdżowa znalazła się w domu w usposobieniu zgodliwym, przyznając hrabinie wiele taktu, w tem mianowicie, że jej rację przyznała.

— W czem naprzykład ?

— A no... we wszystkim...

— I w odzieniu panienek?...

— A jakże!...

— Mówiłaś z nią o tem ?

— Myślałeś, że m ścisnęła język zębami?...

Jeżeliś tak myślał, toś się mylił... Mówiłam o sukienkach i o „Bluszczu,” rznęłam tak, że... aż ha!...

— Niechże będzie, ha — odrzekł ksiądz, wybierając się na nieszpory.

Hrabiostwo byli również zadowoleni, nie w tym rodzaju i nie w tym guście, co ich oficjaliści, nie w zbyt jednak mniejszym stopniu. Sprawili sobie rozrywkę, która im dostarczyła na długo materiału do wspomnień uciesznych.

Przybyły następnie stosunki sąsiedzkie. Wieści o widokach wiedeńskich, o sukcesach hrabiny, o dyplomatycznej mądrości hrabiego, zrobiły im wśród obywatelstwa mir, skutkiem którego ludzie się do nich garnęli, i gdy oni ze swej strony wizyt kilka złożyli, nie było dnia, ażeby ktoś w pałacu nie nocował. Ze Lwowa zglądali notable, z Krakowa, z akademii umie-

jętności, badającej z jednakim ferworem rzeczy przeszłe i przyszłe, zakołotali do bram pałacu w Gajach delegaci wysłani specjalnie, celem studjowania twardości czerepów ludzkich w tej okolicy.

Delegaci owi, pod przewodnictwem znakomitego doktora Ildefonsa Bajkowskiego, dwa tygodnie pracowali, opukując rękami chłopom głowy, pisząc we dnie sprawozdania i spędzając wieczory na t rasie na niewyczerpującej się nigdy o stosunkach wiedeńskich gawędce. W gawędce tej często ministerjalne widoki na stół się wytaczały. Chodziło niekiedy o to, czy są pewne.

— Albo ja wiem... — odpowiada pan Alfred.

Chodziło również o to, czy hrabia sobie życzy zająć stanowisko takie wysokie.

— Ja się nie ubiegam, ale tej reguły się trzymam: bierz, kiedy dają!...

Chodziło jeszcze o coś — o rzecz ważną: o zasady. We względzie tym Alfred rozwijał w całej pełni zdolności swoje dyplomatyczne, tłumacząc się tak dwuznacznie, że doktor Bajkowski miał go raz za wyznawcę gorącego zasad takich, znów innych, wręcz przeciwnych.

— Kuty szlachcie, z takim się liczyć potrzeba... — powtarzał towarzyszom swoim po każdej na tarasie konferencji.

Z dwóch towarzyszy jeden specjalnie konferował z hrabiną, szarmant w stylu jak najpoprawniejszym bardzo, przystojny, nie łysy, pachnący w miarę głęboki i płytki, (w obec hrabiny), głowę do góry noszący i zasłaniający sobie oczy binoklami w złotej oprawie. Ten o hrabinie powiadał:

— Kuta babina...

Gdy zbadawszy dostatecznie głowy chłopskie, uczeni odjechali, pan Alfred, patrząc na powóz, co ich na stację odwoził, odezwał się do żony:

— Chcieli nam, Milciu powyciągać muchy z nosa... Zje djabła, kto tego dokáže.

— Zabawni -- odrzekła.

Hrabiostwo się bawili, a na nich ludzie liczyli.

— Jednym z takich, co w hrabi upatrywał męża stanu do wielkich powołanego przeznaczeń, był ksiądz Kochański. Ksiądz pragnął się z nim porozumiewać dla zakomunikowania mu swoich politycznych na historjozofii opartych idei. Szukał ku temu sposobności i nie znajdował takowej.

Przeszkadzali mu goście, którzy nie wychodzili z pałacu. Naukowa ekspedycja zabrała czasu nie mało, czasu dla księdza, we względzie zamiaru jego, bardzo ważnego, schodził się bowiem z wyjazdem jego do Krynicy. Ci panowie

jeszcze siedzieli, kiedy on wyjeżdżać musiał. Wprawilo go to w rozpacz prawie.

— Co ja pocznę!... — rzekł do pana Alojzego. — Chciałbym z hrabią gruntownie się rozmówić.

— Cóż księdzu dobrodziejowi przeszkadza?...

— Teraz... ci uczeni...

— Odłóż dobrodziej rozmówienie się za powrotem swoim z Krynicy. .

— Czy hrabiego zastanę?

— Zdaje się...

— E?... — z niedowierzaniem się ksiądz odezwał.

— Zdaje się, że naszym państwu podobało się w Gajach.

— Czy aż tak, ażeby mieli do Wiednia nie wrócić?

— Byłoby to do życzenia...

— Straciliśmy tam człowieka, na którego liczyć można...

— Ale zyskaliśmy tu dreny, któreby produkcję gruntu w dwójnasób podniosły.

— Ah... wasze dreny — machnął ksiądz ręką. Drenów ludzkość potrzebuje... No... Ja do Krynicy pojedę pod taką wróżbą: jeżeli za powrotem zastanę hrabiego i on się do Wiednia na zimę wyniesie, w takim razie ideje, jakie tu — na czoło sobie wskazał — piastuje, w ciało się ubiorą..

Pan Alojzy głową pokiwał.

Ksiądz tedy wyjechał, miesiąc go cały nie było, i kiedy w drugiej połowie Sierpnia powróciwszy, zapytał p na Aloizego, co hrabstwo o Wiedniu myślą, otrzymał odpowiedź taką:

— Tak im tu dobrze, że zdaje się, wcale nie myślą...

— Bądź co bądź, rozmówię się... Proszę mi u kolatora audjencję wyrobić...

— Czy aż tak uroczyście?...

— O... tak...

Wyrobienie audjencji najmniejszej nie przedstawiło trudności. Hrabia udzielił jej pod tym warunkiem, ażeby ksiądz u niego na obiedzie został.

— Cóż mi powiecie księżę dobrodzieju?... — zaczął, gdy go obok siebie w kancelarji swojej usadowił.

— Chcę z wami, panie hrabio, o ważnych pomówić rzeczach, o bardzo ważnych o tych mianowicie wedle, których orjentować się powinna polityka.

— Słucham was... no?...

— Czy nie prawda, że dzisiejsi nasi politycy zataczają się niby pijani?

— Niby to tak .. na to wygląda.

— Nietylko wygląda, ale tak jest... A dlaczego? Dlatego, że nie ma tatarów.

— O?... — odezwał się pan Alfred tonem zdziwienia.

— Dziwi to pana, panie hrabio. Tak jednak jest... Póki tatarowie byli, sprawy polityczne według nich się orjentowały; z ich zniknięciem, urwała się nitka Arjadny, i błąkamy się w labiryncie bez możności wyjścia.

— Ich przecie wskrzesić nie sposób — zauważył hrabia, którego zainteresował ten niespodziewany wyskok.

Słyszał tyle rzeczy. O uszy mu się obijały takie poglądy polityczne, jak hrabiego Łopacińskiego, jak księżny Lindenstein, jak wreszcie głęboko sięgające doktora Ildefonsa Bajkowskiego, ale podobnego nie słyszał jeszcze.

Ksiądz odpowiedział:

— Wskrzesić ich nie sposób, to prawda... Ale ich wskrzeszać nie potrzeba, wskrzeszają się bowiem sami pod zmienioną postacią... Czy nie mamy Chin z kilkuset milionową, chronicznie na głód cierpiącą ludnością, której nasza cywilizacja udziela umiejętności wojowania? Czy Chińczy nie zaleją Europy, gdy się w sztuce wojowania dostatecznie wyćwiczą? Ależ oni uczynić to będą musieli... zmusi ich głód... Czy politycy nasi myślą o tem?... Czy pan hrabia, w kołach politycznych, słyszał kiedy, ażeby o ewentualności tej wzmiankowano?...

— Nie — odpowiedział hrabia.

— Otóż to... Przebywamy obecnie moment przejściowy, pomiędzy tem co było, a tem co będzie... Będą Chińczycy jutro tem, czem byli tatarzy, mongułowice wczora, czem przed tymi ostatnimi były wędrówki narodów, czem jeszcze dawniej były najścia Persów... Ażeby się o tem przeświadczyć, dosyć historję utworzyć. Polityka się na historii opierać powinna.

— Masz, księżę dobrodzieju rację!...

— Tego dla mnie dosyć — odrzekł ksiądz, z rozrzewnieniem na pana Alfreda patrząc. — Zachowaj to, panie hrabio, dla wiadomości swojej, i gdy ministrem zostaniesz, miej księdza z Gajów na uwadze. Tyś człowiek rozumny, mąż stanu, potrafisz z tego odpowiedni zrobić użytek, co się orjentowania politycznego tyczy.

— Lepiejby było, żebyś ty, księżę dobrodzieju, sam ministrem został.

— Nie!... Na to się nie piszę. Pomyśl, a zużytkowanie pomysłu, to dwie rzeczy różne. Ja w Gajach zostanę i tu oczy zamknę, ty... do Wiednia jedź i ster w silną rękę ujmij!...

Hrabia się zamyślił — nie wiedział, co o tem sądzić. Jego indolencja — jego lenistwo duchowe po raz pierwszy szarpnięte zostało silnie. Dostała mu się w depozyt idea, różna od tych, co są w obiegu, jakoteż od tych, co ludziom w głowach strzelają w postaci płomyków mających być przydatnemi do pieczenia przy

nich pieczeni. Coś podnioślejszego mu się w perspektywie pokazało. Nie wieźniał jednak. co o tem sądzić i dlatego odpowiedział księdzu:

— Dziękuję wam, księżę dobrodzieju... Com od was usłyszał, w pamięci zachowam. Co zaś do reszty...

— Reszta w mocy Boga... — podchwycił ksiądz.

Pan Alfred do niego rękę wyciągnął; dłonie sobie uścisnęli i przeszli do salonu, gdzie hrabina w towarzystwie dwóch jakichś panów czekała na męża, ażeby odbyć pochód do sali jadalnej.

Ksiądz ulokował swoją ideę, był więc w złotym humorze. Bawił towarzystwo opowiadaniem o pobycie w Krynicy, o kuracjuszach, o zdarzeniach nadających się do humorystyki. Nie szczędził własnej żony, ani jej dzieci, które martwiły matkę wybrykami, niestosownemu do roli księżniczek, do jakiej je matka stosowała. Uśmieła się hrabina, gdy zdał relację z utarcia przez Fruzję na promenadzie noska w sukienkę.

— Zapomniata dziewczyna chusteczki na stacji, zafrasowała się. bo z przeproszeniem przycisnęło ją, więc... głowę na dół i fu, jak prawdziwa hucutka... hrym w podolek...

— Cóż pani na to?... — zapytała hrabina, łzy obcierając.

— Byłaby skonała, gdyby nie była tak silnie zbudowana.

— Biedne dziecko, musiało się też mieć z pyszna...

— Dziecku się zmyło, na mnie się skrupiło...

— Dlaczegoż na księdzu dobrodzieju?...

— Dlaczego?.. Przeszkadzam dziewczęta wychowywać w tonie przyzwoitym... To rzecz naturalna, i moja żona ma zupełną rację ze swego punktu widzenia... Zmyła też mi głowę, co się zowie... i słusznie...

Takich i tym podobnych opowiadań kilka zajęło czas przy obiedzie; po obiedzie zaś, zegnając się, dłoń panu Alfredowi serdecznie uściśnął i w oczy mu patrząc, rzekł:

— „Tibi soli“

Pan Alojzy nie posiadał tajemnicy, udzielonej przez księdza hrabiemu. Nie udzielał mu jej ksiądz pomimo, że był jego serdecznym przyjacielem; miał go bowiem za pesymistę, sceptyka, za niedowiarka. co do Wiednia, i za człowieka lekceważącego polityczne hrabiego uzdolnienia. Wolał przeto nie obarczać go tajemnicą, z której on nietylko użytku żadnego nie zrobi, ale przesiawszy ją przez przetak swego pesymizmu, sceptyzmu, niedowiarstwa i lekceważenia, zrobić z niej mógłby rzecz nieużyteczną. Napomykał wprawdzie niekiedy o tatarach i mon-

gółach, napomykał o chińczykach, wdawał się z nim w dysputy o siłach konstrukcyjnych i destrukcyjnych. ścierających się na polu dziejowem, ale odnosił się do historjozofii i nie zastosowywał do polityki bieżącej. Widział w nim przedewszystkiem agronoma, w fachu swoim zamiatowanego i gruntownie uczciwego.

Takim też był w rzeczy samej, Jako człowiek uczciwy, pełnił obowiązek swój skrupulatnie i sumiennie; jak oagronom, miał na celu stosowanie do warunków miejscowych sposobów zapewniających sposobów, zapewniających tak rolnictwu samemu, jakoteż pozostającym w styczności z niem fachom rozwoju jak najszerszego.

Na tem nie koniec; na małą skalę czynił próby i doświadczenia, i te, które dawały rezultaty pomyślne, zaprowadzał na skalę, rozszerzającą się stopniowo. Co mu się udało na grządce, to przenosił na morg, z morga na włókę i t. d. Reguły podobnej trzymał się w odniesieniu do budowl i inwentarza, do sadownictwa, do ogrodnictwa, uprawy tytoniu i rozlicznych gałęzi, których aktywatyzowanie przedstawiało szanse niejaki. Wymagało to nakładów, których dostarczyć mogły dochody z majątku, gdyby dochody te nie szły do Wiednia. Dlatego sprzeciwiał się, o ile mógł, mieszkaniu hrabiostwa w stolicy naddunajskiej, i gdy do Gajów przyjechali. całej dokładał usilności, ażeby ich

zatrzymać, osładzając im i umilając pobyt na wszelkie możliwe sposoby.

W gospodarce znajdują się niektóre działy specjalne zdolne umysł ludzki zająć do stopnia entuzjazmu. Do tego rodzaju działów wabił bądź hrabiostwo oboje, bądź jedno z nich. Hrabinę — jak mu się zdawało — zainteresował jedwabnictwem, więc ją wyciągał na towarzyszenie mu do małego zakładu i wtajemniczał w dotyczące się onego szczegóły ciekawe.

— Nie byłaby pani rada włożyć na siebie sukni, wysnutej w Gajach z jajeczka od ziarnka maku drobniejszego?

Zapewne... — odpowiadała.

Więc jej opowiadał o jajecznikach, wylęganiu się gasienic, o kokonach, motylach. o snuciu włókienek i przedzeniu nici, o sposobach używanych we Francji, we Włoszech, na Wschodzie; wykładał jej historję jedwabnictwa. którą upiększał anegdotami.

Hrabiego w podobny sposób podszedł uprawę wina.

— Czemużbyś hrabia nie miał pić własnego bordeaux?...

— I owszem...

— Z marką „de Gaje“...?

— Czemu nie?... Tylko, że francuzi czytali: „de Gaż“...

— Na to byśmy poradzili, kreskując e. i zmieniając j na y..

— Dawniej Gaje pisały się: Gaye...

— Wrócilibyśmy do starej ortografji ..

Nie tem jednak tylko go zajmował. Wykonywały się w polu robocizny przy pomocy udoskonalonych urządzeń. Dla ludzi nie mających z gospodarstwem styczności najmniejszej, rzeczą zawsze ciekawą jest oglądanie funkcjonowania maszyn, zastępujących człowieka. Tem też ciekawszym był pan Alfred, który z roli dochody ciągnął. Pan Alojzy ciekawość w nim podniecał, i kiedy on razu pewnego zwiedzał łany, na których żniwiarki nowego systemu zboże żęły, spostrzegł, że takie same żniwiarki funkcjonują na łanie dworskim i na poletkach chłopskich.

— Czy się i chłopci w żniwiarki zaopatrzyli?... — zapytał pana Alojzego.

— To dworskie, była odpowiedź.

— Jakże to? ..

— Chłopci najmują. Oni nietylko naszymi żniwiarkami żną i kosiarkami koszą swoje zboże i swoją trawę, ale nasze siewaczki im obsiewają, nasze młocarnie młócą ..

— No?... — zadziwił się.

— Za umówioną opłatą wynajmując im narzędzia, a opłatę pobieram bądź w gotówce, bądź w robociznie... Pewien od niej procent idzie na

szkołę.. W ten sposób włościanie ułatwiają sobie pracę, zyskują na czasie, na możliwości zarobkowania i i na podnoszeniu poziomu oświaty. Dzielę się z nimi systematycznie wszystkim, wszystkim, i dzięki temu, mam w nich nie najmitów, ale spółników, interesowanych jednakowo w ochranianiu swojej i dworskich własności.. Jest to rodzaj asekuracji przeciwko szkodom, zwłaszcza przeciwko podpalaniu zabudowań gospodarskich... Podpalacz spaliłby to, z czego sam korzyść ciągnie. Co pan hrabia powiada na to ?

— Powiadam, iżbym pana zrobił ministrem...

— Czyż nim nie jestem w Gajach ?

— Zapewne, hm...

— I kontent hrabia ze ze mnie ?...

— Bardzo...

— Byłbyś kontent bardziej jeszcze, gdybyś mi dał w ręce „nervum rerum”, celem stosowania sposobów, wymagających nakładów dużych i zapewniających duże, ale nie natychmiastowe zyski. O! z jakim gustem zaprowadziłbym irygację łąk, drenowanie łąków i inne, tym podobne innowacyjki.

Powtarzał to przy każdej sposobności aż otrzymał taką :

— Bądź pan kontent, że nie wymagam obarczania majątku długami...

Na długi melioracyjne możeby się pan Alojzy hazardował, gdyby to był majątek jego. W obec majątku cudzego, lękał się, wystrzegał się odłuzenia, jak ognia, z obawy — zaczęcia. będą przekonany, że zaczęcie z powodów melioracyjnych miałoby za następstwo ciąg dalszy dla pretekstów, nie mających nic z melioracją wspólnego. Znał naturę szlachty galicyjskiej i nie dowierzał pryncypałowi swemu. Z racji tej umiował go w Gajach „ad glebam adscribe-re“ za pomocą rozbudzenia, czy to w nim, czy w hrabinie, czy w nich obojgu, jeżeli nie roznamiętnienia, pokrewnego roznamiętnieniu się ludzi do kart, lub kieiiszka to zamiłowania żywego do jakiejś specjalności gospodarskiej, niemożliwej na bruku wiedeńskim.

Bywały momenty w których mu się wydawało, że cel ten osiągnął. Układał plany jesiennej i zimowej kampanji przeciwko hrabio-stwu, raczej, przeciwko ich temperamentowi, nacechowanemu wolą, nie podszytą motywami racjonalnemi.

Niestety, momenty te niby ogniki błędne, ukazywały się i znikaly. Pani uznawała pożyteczność jedwabników, przyznawała iżby jej miłoby było włożyć na siebie suknię z własnego utkaną jedwabiu — i tyle. Pan z gustem piłby własne bordeaux; z zajęciem przyjmował do wiadomości ulepszenia w gospodarstwie i administracji,

czynił postrzeżenia niekiedy bystre, czynił uwagi — niekiedy trafne, udzielał rad — często zdrowych i na tem poprzestawał.

Uciekał się pan Alojzy do sposobów z po za sfery gospodarskiej, próbując w państwu Pieckich do pozostania w Gajach rozbudzić ochotę, jeżeli nie ziemiańską, to rodzicielską, łącząc obie i wzmacniając jedną przez drugą.

Na ten koniec służyła mu Żusia, służyła Justyna, do nich dwóch dołożył szwajcarkę.

Żusia — dziecko — mogła jeno bierną odgrywać rolę.

Justyna z góry i stanowczo pozyskaną była.

Pozostawała szwajcarka.

Panna Klara od pierwszego dnia pobytu w Gajach, zbliżyła się do pani Kaniowskiej i odrazu zawiązała się pomiędzy nimi węzeł, który się z dniem każdym zacieśniał, dzięki pobieraniu przez pierwszą od drugiej nauki języka krajowego. Szwajcarka dokładając ochoty dozę wielką, korzystała, a korzystanie z jej strony odbijało się na dziecku postępami, jakie dziewczynka widocznie czyniła. Przy końcu pierwszego miesiąca nauki umiała już krzywola-skami pisać: „Żusia Piecka,“ panna Klara zaś wyuczyła się nie tylko recytować bajki, ale wymawiać znośnie „Chrząszcz brzmi w trzcinie“. To ostatnie zawdzięczała panu Alfredowi, któ-

ry wyuczywszy ją przełamania tej trudności, zaniechał nauki dalszej. Nauka jednak bynajmniej na tem nie ucierpiała, owszem — szła dalej swoim porządkiem i przy niej weszło w zwyczaj, że gdy pogoda sprzyjała, a nie nie przeszkadzało, pannie Klarze, na komisarję towarzyszyła Żusia i asystowała lekcjom, przy których nauczycielka jej, w uczennicę się zmieniała. Bawiło ją to, zajmowało i do współzawodnictwa obudzało. Gdy panna Klara uczyła się bajeczki: „Koło jeziora z wieczora;“ Żusia jej pomagała i sama się wyuczyła. Gdy panna Klara głośno czytała, ona ją poprawiała i sama się czytać nauczyła. Tym porządkiem nauka obustronna szła raźnie i zajęcie nie słabło, przeciwnie, wzrastało, dzięki pani Rozalji, która ją ożywiać i urozmaicać umiała, uciekając się do sposobów prostych i naturalnych, które posiadała w samej sobie i dla których dziewczynka zawsze z wielką do niej biegła ochotą.

W domu państwa Kaniowskich na Żusię nie czekały pieszczoty, nie dostawała przysmaków, nie pokazywano jej sztuk żadnych. Ciągnął ją magnes dobroci, oświetlony jasnością jakąś, wydzielający się z osoby pani Kaniowskiej.

Ciągnęła ją jeszcze i ciekawość.

Ciekawość tyczyła się „chłopczyka;“

Żusia wiedziała już, że nie chodzi on nogami dlatego, „bo go nóżki boją;“ wiedziała, że w razach takich, ludzie posługują się narzędziami. noszącymi nazwę szczudeł, wiedziała że to kalectwo, które spotkało go „z woli Bozi;“ wiedziała wreszcie, że się chłopczyk uczy, a zatem mówi; nigdy jednak głosu jego nie słyszała. Prokop z powodu wady w gardle, dzięki której szwankowała jego wymowa, zaprzestał, od czasu jak do świadomości stanu swego doszedł, przy obcych się odzywać. Mówił wyłącznie i jedynie z rodzicami i domownikami. W obec szwajcarki więc i Żusi ile razy się w towarzystwie ich znajdował milczenie zachowywał Milczenia tego racja była dla Żusi niezrozumiała, i dla niej Prokop stanowił przedmiot ciekawości zagadkowej.

Często się zdarzało, że go w czasie jej obecności nie było. Wówczas się za nim oglądała, na przyjście jego czekała, lub do przyległych pokojów zaglądała przez drzwi, a nawet przez szpary od drzwi, ażali go nie zobaczy i nie dowie się, co robi. Gdy zaś go zastawała — obok nauczycielki, postacią jej w pół zamaskowana, wpatrywała się w kalekę.

Raz spotkała ją z jego strony niespodzianka. Prokop siedział w swoim krześle, trzymając w ręku zwiniętą w trąbkę ćwiartkę papieru, świecąca złożonemi brzeżkami. Kiedy Żusia weszła, skinął na nią, jak zwykle na powitanie

głową i uśmiechnął się. Po chwili, gdy się ceremoniał powitań pomiędzy panną Klarą a panią Kaniowską zakończył, dał jej ręką znak, przywołując ją do siebie, i zwitek pokazał. Żusia znak zrozumiała, ale nie wiedziała, jak na niego odpowiedzieć. Złwahała się. Ze stanu tego wyprowadziła ją pani Kaniowska.

— Prokop ma coś dla ciebie, Żusiu... — odezwiała się — i chce ci sam wręczyć. Podejdz do niego...

Wyrazy te wzruszyły ją i zaniepokoiły; zebrała się jednak na odwagę, kroków kilka postąpiła, zwitek wzięła i pospiesznie się pod osłonę panny Klary cofnęła.

Zwitek się sam w jej ręku rozwinął. We środku ukazały się kaligraficznie dużemi literami napisane wierszyki.

— Trzeba, żebyś wiersze te sama przeczytała — przemówiła pani Rozalia.

— Przeczytasz je mnie... — dodała panna Klara.

Odczytanie nastąpiło w pałacu. Żusia odczytała raz drugi i dziesiąty, i tego dnia jeszcze z pamięci szczebiotała :

„Gdyby kto spytał, co nam daje zdrowie,
Co uszlachetnia i co nas zbogaca,
Pewnie mu każdy to samo odpowie :

— Praca! i t. d.“

Żusia.

25

Z ćwiartką się nosiła i na pismo dosyć się napatrzyć nie mogła.

— Chłopczyk napisał! Chłopczyk mi dał! — chwaliła się przed Justyną, przed matką, przed ojcem, przed wszystkimi.

A panna Klara pod koniec września, chwalić się mogła postępami w nauce języka krajowego, do opanowania którego potrzebowała — jak twierdziła — kilku jeszcze miesięcy.

Nagle i niespodzianie, służba pałacowa, wraz z rozkazami odpowiedniami, dostała zawiadomienie o wyjeździe hrabiostwa do Wiednia. Zawiadomienie to otrzymał i pan Alojzy

— Nie podoba się to panu... co? — pytał go hrabia w obecności hrabiny.

— Bardzo mi się nie podoba — odrzekł dodał: — Ale państwo nie zabierzecie dziecka, które się w takich warunkach uczyć rozpoczęło.

— Widzi pan, szanowny i kochany, panie Kaniowski. Wiedeń... muzyka... nauki...

— Moja żona... — podchwycił pan Alojzy. Moja żona muzyki, ksiądz Kochański nauk udzielać będzie równie dobrze, jeżeli nie lepiej a taniej, aniżeli w Wiedniu.

— Ale — wykształcenie dalsze... wyższe... zareplikowała hrabina.

— Toć to rzecz późniejsza. Na nauczanie

hrabianki początkowe, starczy nas w Gajach na lat trzy przynajmniej.

— Na lat trzy... — powtórzyła, pomyślała i dodała: Więc dobrze .. na lat trzy.

Pan Alojzy tryumfował w przypuszczeniu, że hrabiostwo dla dziecka będą Gaje odwiedzali i uda się mu nareszcie przytrzymać ich na stałe.

Tryumfował ksiądz w przypuszczeniu, że jego historjofizyczna idea znajdzie w polityce zastosowanie odpowiednie.

Część trzecia.

Stała o balustradę oparta i patrzyła w dal.

Dal przy dniu jesiennym przedstawiała się malowniczo.

W paryzkim majowym salonie pewnego roku, wśród mnóstwa malowideł, publiczność zatrzymywała się tłumnie przed jednym mianowicie. Nosiło ono podpis artysty nieznanego od czasu onego, a wyobrażało pejzaż jesienny, bardzo prosty: kobietę opartą o balustradę i wpatrzoną w dal.

W co się ona wpatruje?

Zapytanie to świeciło w jej oczach, na jej obliczu, na całej postaci, i stanowiło całkowity, a wybitny urok malowidła.

W co się ona wpatruje?

Dla zapytania tego, owianego posępną zagadkowością kolorytu jesiennego, publiczność się zatrzymywała, podziwiała malowidło i, w niemożności rozwiązania zagadki, dopytywała się skwapliwie o nazwisko artysty.

Zagadka była nie do rozwiązania, dał bowiem owa, w którą się wpatrywała kobieta, znajdowała się gdzieś, w niewidzialnej przestrzeni, po za obrazem, po za ramami onego. Na to, co się na obrazie znajdowało, nie zważała ona. Jej wzrok, jej nastawienie się, wyraz jej postaci szły gdzieś — po za światy może, słowem... w dal.

Obraz żywy zaprodukował to samo.

Oparta o balustradę — stała i patrzyła w dal.

W dal niewidzialną, pozwalającą się jeno domyślać po za zarysowującemi się na w dno-kręgu nakształt obłoków górami, po za obłokami, po za bladym błękitem sklepienia powietrznego — gdzieś — hen. Patrzyła w nią i nie zważała na rozścielającą się u stóp jej łąkę, zasypaną z rzadka kupkami zwiędłych liści, które podmuch lekkiego wiatru rozrzucały, wprawiając w rodzaj tańca leniwego. Łąkę mającą kształt kolisty, otaczały drzewa potężne, nawpół okryte jeszcze liściastem poszyciem, żółknącym i brunatniejącym, wśród którego przebijały się resztki zieleni, niby wspomnienia dni wiosnianych.

Liście brunatne, pojedynczo same spadały jedno po drugim, powiększając podkład, który z temi, co przed nimi opadły, formowały na drodze, okalającej łąkę a idącej pod konarami,

wyciągającemi nad nią grube, sękowate ramiona. Podmuchy wiatru obrywały je w większej ilości, rzucały i rozsypywały po łące kupkami, wysyłając je z kupek dalej, w taniec. Niekiedy podmuch nieco silniejszy miotał niemi, jakby im zapowiadał, czy ostrzeżenie dawał, że gdy nadejdzie wichra, to po powietrzu rozniesie i oczyści z nich łąkę pokrytą kobiercem trawy przywędłej, poprzątkanej słupkami badyli zeschniętych.

Łąkę okalał las wpół ogołocony z liści, i dlatego łatwiej rozpoznać dający grubość, wysokość i sędziwość drzew, w skład onego wchodzących. Dużo snadź lat na pniach i konarach swoich dźwigały te lipy, te jawory, te jesiony, te klony, te strzelające do góry czubate dęby, co się w zastępy zgromadziły. Nagie ich pręcia poruszały się niespokojnie i poruszeniami temi odpowiadały cichym jękom, które się wśród nich od czasu do czasu słyszeć dawały. Zkąd one pochodziły? Czy to się w ten sposób odzywała przyroda w żalu za urokami, co ją zdobiły, a które jesień warzyła? Jękom wtórował szum potoku, płynącego w parowie, znaczącym się zagibami, dającemi się widzieć na powierzchni leśnej z tego punktu, na którym stała postać niewieścia, wpatrująca się w dał.

I do niej, jak do owej na malowidle, stósować się dawało zapytanie :

„W co się ona wpatruje?”

W co?

Zagadka i tajemnica świeciły w oczach barwy fiołkowej, ocienionych rzęsami długimi, a umieszczonych pod regularnemi łukami brwi ciemnych, odbijających od białego, gładkiego, pogodnego czoła, nie zasłoniętego grzywką modną. Nad czołem rozchodziły się dwie przeciwne strony, po za kenchy malutkich, prawidłowo i zgrabnie ukształtowanych uszów, pasma włosów koloru ciemno-kasztanowego, związanych z tyłu głowy w gruby warkocz. Oczom, brwiom, czołu, włosom, odpowiadały kształty oblicza, łączące w sobie piękno i wdzięk, a oświetlone wyrazem dziewczyci, dyszącym świeżością i pojętami. Postać jej, w pół nad balustradą pochylona, wyobrażała polotność, ujętą w niepokalanej czystości formy zarówno kibici, jak biustu. Była to słowem piękność skończona, rzucona na balustradę dla ożywienia i zarysowania pejzażu, zamglonego kolorytem jesiennym.

Stała i w dal patrzyła. Nad nią konary wyciągał kasztan, jeden z kasztanów, szeregujących się wzdłuż balustrady; za nią rozlegał się żwirem wysypany taras, a nad tarasem wznosiła się w sztukaterje architektoniczne zdobna ściana pałacu, do wnętrza którego prowadziły pół otwarte w tej chwili w jednej połowie, drzwi parapetowe.

Cisza — głucha jakaś — panowała dokoła.
Znikąd nie dochodził głos żaden.

Słońce przebijało się mgławo przez obłoki, chyliło się ku zachodowi, a na niebo nasuwały się leniwie chmury koloru ołowianego. Chłód wieczorny pociągał.

Postać niewieścia nie ruszała się z zajętego stanowiska. O balustradę oparta, wciąż trzymała wzrok zwrócony w jedną stronę. w stronę — po wyrazie jej oczu sądząc — daleką, bardzo daleką, myślą chyba dościgłą.

O czem myślała?

O niczem może

Zdarzają się takie ducha nastroje, w których umysł błąka się bez możności znalezienia punktu oparcia. Myśl bez oparcia idzie w próżnię — w ciemność, idzie, nie zatrzymuje się, nie wiedząc, dokąd dąży. Zdarzają się takie nastroje ducha, zwłaszcza kobietom młodym.

Zbytecznem byłoby zastanawiać się nad tem.

Jeżeli nastrojowi podobnemu podległa ta, o której mowa, to trzymał on ją długo. Godzinę całą, jeżeli nie więcej, nie zmieniła postawy. Stała i patrzyła w dal zagadkową. Nikt jej nie przeszkadzał; na przeszkodę zaś, która by każdą inną spędziła — na chłód wieczorny — okazywała się nieczuła. Nie obchodził on jej pomimo, że lekko była odziana — miała na so-

bie dżersej czarny i spódnicę wełnianą lekką zresztą, ani chustki, ani szalika

Zmrok zapadł; z pomiędzy chmur pierwsze gwiazdy przebłyskiwać poczęły; horyzont się zaczernił; ona się nie usuwała od balustrady i nie zaprzestawała patrzeć w dal.

Oh — ta dal — miała snadź ona dla niej szczególne jakieś znaczenie.

Byłaby tak zapewne stała dłużej jeszcze, gdyby we drzwiach pałacu nie ukazała się kobieta w spódnicy, w koszuli zamiast kaftanika, w chustce na głowie. zawiązanej nakształt turbana. Ukazała się, zatrzymała, okiem po tarasie powiodła, i wprost ku stojącej przy balustradzie podszedłszy, rozpostarła nad nią dużą wełnianą chustkę którą jej na ramiona włożyła.

— O, Justyno!... — odezwała się stojąca, dziękuję ci...

— Pannuńciu, tak nie można — upominała Justyna.

— Co? — odrzekła upominana, odwracając się.

— Tak nie można — powtórzyła — ktoś to widział!... wieczór.. chłód...

— Czemuż nie można?..

— Czemu? — odparła. — Broń Boże. Ja dopuścić tego nie mogę, bo choć wy, Bogu

dzięki, słuszna już panna, ale dla mnie wy zawsze Żusia.

— Moja Justyno — rzekła hrabianka głosem, w którego tonie rzewność się czuć dała.

— Otóż Justyna swojej Żusi ziębnąć nie pozwoli...

— Ziębnięcia-m nie czuła...

— Młodość was grzeje, ale to grzanie zdradliwe. Ot, nieboszczyk ksiądz Kochański, za młodu się przeziębił i cherlał, aż go święta ziemia przed czasem zabrała. Albo pani Kaniowska; o niej powiadają, że się za młodu przeziębila...

— Biedna kobieta... — westchnęła hrabianka.

— Oj-że biedna, to biedna --- potwierdziła Justyna i dodała: — Ale wy, pannusiu nie stójcie na zimnie...

— Mam przecie chustkę na sobie...

— Co tam chustka!.. Chłód od spodu idzie a chustka nie osłania nóg; ani kolan. Chłód niby ten złodziej, przez nogi się wkrada i do gardła idzie. Czy to Pryśka nie bez nogi zmarniała? Idźcie już ztąd.

Hrabianka, która teraz dopiero chłód wieczorny poczuła, obwinęła się chustką i nie mówiąc ku drzwiom się zwróciła.

— Oto tak -- tonem uznania odezwała się Justyna, idąc za nią.

Weszły do wnętrza pałacu, i minawszy

kilka pokojów, pograżonych w ciemności, wysu-
nęły się na światło w przedsieni, z której scho-
dy wychodziły na piętro Szły w milczeniu.
U wstępu dopiero na schody, Justyna się ode-
zwała :

— Ta co, panusiu, wchodzić i schodzić
macie.. Za momentik herbatę podadzą.

— Prawda odrzekła hrabianka.

Od schodów na lewo się zwróciła, i pozostawiając za sobą Justynę, otworzyła drzwi przez które wkroczyła do saloniku, będącego punktem zbornym dla rodziny, a nawet i dla gości, przypuszczonych do poufałości bliższej. W saloniku tym zgromadzano się w godzinach przedśniadaniowych, przedobiednich, i przedherbacianych, i przesiadywano w nim po takowych w razach, gdy interesujący jaki przedmiot rozmowy zatrzymywał grono zastolone w skupieniu. Obok w salonie stał fortepian. W saloniku umeblowanie nie grzeszyło prostotą, ale czas powyciskał na niem ślady, których nie pousuwano dla powodów, dających do myślenia. Przy świetle lampy jednak nie raziły oczów poprzecierane na fałdach pręgi, przyplóviałe na obiciach barwy i zmurszałe na drzewie politory. Umeblowanie wyglądało maniacznie, a tem maniaczniej, że jedna lampa, postawiona na stoliku przed kanapką i przyémiona szkłem matowem, o-

słoniętym siatką, nie dawała światła, uwydatniającego ślady czasu.

W saloniku hrabianka nikogo nie zastała, rzuciła się więc na kanapę — kanapę-dywan, tak nazwaną dlatego, że jest modyfikacją dywana wschodniego, mającego zamiast poręczy materacowe poduszki — zasunęła się w kąt, skuliła i w chustkę mocno zawnęła. Widocznie chłodno jej było.

W tem skuleniu, przy bładem świetle, przedstawiała obrazek godzien widzenia. Obrazek ów niedługo nieoglądany pozostawał. Niebawem weszła do saloniku hrabina, a ujrzawszy ją w tem położeniu, rzekła:

— Zimno ci, Żusiu?..

— Trochę, mam — odpowiedziała, mocniej się w chustkę zawijając i z uśmiechem na matkę patrząc.

— Chybaś się gdzie chłodu nabawiła...

— Zadługo stałam na tarasie.

— Nie trzeba tego czynić!.. Trzeba uważać na siebie.

Po udzielaniu córce tej nauki moralnej, przycisnęła na stole stojący dzwonek, który wydawał głośny, srebrzysty dźwięk. W chwilę później zjawił się we drzwiach lokaj.

Hrabina do niego wystosowała zapytanie.

— Czy herbata nie gotowa jeszcze?...

— Zaraz będzie, jasna pani, tylko samowar zakipi.

— Spóźniacie się dziś.

— Samowar gotować się nie chciał, proszę jasnej pani, nie wiem co mu się stało...

— Cóż się mu stać mogło?..

— Nie wiem, proszę jasnej pani. Trzeba było wodę wylać, węgle wysypać i drugi raz nastawić.

— Cóż mu się stało? — powtórzyła z przy-ciskiem, znamionującym, że ją to obeszło.

— Wiedzieć nie mogę, proszę jasnej pani.. może przepalony, może... niewiem.

— Może znów nie zagotuje się?

— Szumieć zaczyna...

-- Więc... podawajcie już do stołu...

— Słucham... proszę jasnej pani,

Lokaj znikł za drzwiami. Hrabina się po-częła po saloniku powoli w milczeniu przecha-dzać.

Była to ta sama hrabina, co przed laty, ale — w powiększeniu Kto ją widział, kiedy z hrabią Łopacińskim sławnego, polityczno dy-plomatycznego mazura tańczyła, musiał zapamię-tać, a zapamiętawszy, nie mógłby nie poznać, chociażby na cały ten czas z oczu ją stracił. Rozrosła się, spotężniała, w pasie doszła objęto-ści takiej, że do objęcia jej nie starczyłoby je-dnego ramienia, w piersiach rozmiary uwyda-

tniały się w sposób imponujący, na obliczu rysy wypełniły, pozostawiając niezmienną, dawną powłóczystość wejrzenia i słodczych uśmiechu. Nie można było o niej powiedzieć, co powiedział Karpiński o domku swoim, gdy w progi jego po latach niebytności powracał: „Wszystko tak jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło.“ Hrabina się nie pochyliła, przeciwnie wyprostowała się, podniosła, rozkwitła i spoważniała.

Spoważniała do „nec plus ultra“.

Wszystko w niej i na niej było powagą, nie wyłączając piękności, która całą potęgą powagi tchnęła.

Powagą taką tchnie stulistna róża w momencie pełnego rozkwitu. Ale róża traci ją nagle, od jednego wiatru podmuchu, obrywającego naraz i rozsypującego wszystkie powagę nadające listki, pozostawiając jeno obnażoną szypułkę nasienną. Coś podobnego nie zagrażało hrabinie. Lada podmuch nie mógł z niej oberwać listków uwydatniających jej piękność i świadczących, iż znajduje się ona w dobie doletniej, do której się stosuje liczenie na wiosny ilości lat przeżytych. Zresztą lata nie znaczyły się wyraźnie na jej postaci. Kto metryki urodzenia hrabiny nie czytał, mógł ją posądzać o noszenie na silnym grzbiecie pięćdziesiątki, jeżeli nie czterdziestki.

— Nareszcie — odezwała się, gdy lokaj oznajmił, że :

Żusia.

26

— Herbata na stole, jasna pani!...

Jasna pani rzuciła wyraz :

— Zusi! i z proga już dodała: — Chodź moje dziecko, herbata cię ogrzeje.

Hrabianka ruchem ramion zrzuciła z siebie chustkę wełnianą i poszła za matką.

Do sali jadalnej, w której pośrodku stał nakryty na cztery osoby stół, a w końcu na stoliku szumiał samowar, równocześnie prawie z hrabianką, innemi jeno drzwiami wkroczył pan Alfred i pan Alojzy.

Na nich również czas ślady odcisnął.

Pan Alojzy posiwił — całkowicie, pobiełał prawie i przymizerniał mocno. Na obliczu mu się szeroko rozsiadł wyraz zgryzoty — zgryzoty atoli spokojnej i takiej, co szacunek nakazuje. Był to już starzec, ale krzepki, mimo, że ból w oczach jego i na pooranem w bruzdy czole się czytał.

Od hrabiego biła, jak od hrabiny, powaga, powaga wszelako innego rodzaju: wysoko i szeroko dyplomatyczna. Giesty, uśmiechy, wejrzenia, przemawianie, wszystko w nim nosiło piętno dyplomacji. Ucharakteryzowanie się we względzie tym było zupełne, czemu dopomagał szron, okrywający mu głowę i zarost na obliczu. Zachowanie zarostu świadczyło, że należał do szkoły nowej, modelującej się wedle nie Metternichów i Palmerstonów, ale wedle Bismarków i Andra-

szych. Dodać należy, że było ono naturalnem. Przeglądał z niego, z pod skorupy hrabiowskiej, imię Piec, potomek Pieców, co z racji legendy, opiewającej o następstwach uderzenia się baby o piec, uszy braciom szlachcie szerpentyną obcinali.

Wprowadził on pana Alojzego do sali jadalnej wbrew jego woli — przemocą prawie.

— Nie zabawi to pana długo — mówił, popychając go przed sobą we drzwiach. Nie siadujemy przy stole godzinami całemi.

Hrabina podeszła i dłoń mu podając, rzekła :

- - Jakże pani?...

— Dziękuję pani hrabinie — odrzekł. — Jednakowo.

Przywitała się z nim z kolei hrabianka.

Dłoń jej ściskając, pan Alojzy uśmiechnął się do niej uprzejmie.

— Proszę, odezwała się hrabina.

Panowie i panie miejsca pozajmywali.

Herbata, wedle wprowadzonego od czasu pewnego zwyczaju, była to właśnie wieczera, przy której wywar z ziółka chińskiego służył do zapijania jadła. Jak skoro więc biesiadnicy przy stole siedli, jeden lokaj półmisek podawał, a drugi do ustawionych obok talerzy, filiżanek, nalewał z czajnika herbatę i dolewał z kurka ukropu, podsuwając przytem cukier, koniak i śmietankę

— Łyzeczkę koniaku — przemówiła hrabina do córki. To cię rozgrzeje.

— Albo co? — zapytał pan Alfred.

— Przeziębła. Zastałam ją w saloniku skuloną, w chustkę zawiniętą i drżącą z zimna.

— Mamo — zaprotestowała hrabianka. — tak dalece źle nie było. Zziębłam trochę, ale bym się była mogła bez chustki obejść.

— Okrywałaś się nią jednak.

— Okryła mnie Justyna. Póki ona z chustką nie nadeszła nie czułam chłodu wcale.

— Właściwie chłody jeszcze się nie zaczęły — odezwał się pan Alojzy. — Jeszcześmy przymrozku nie mieli. Odleciało jeno ptactwo wędrowne.

— A? — podchwyciła hrabianka. — Zdziwiła mnie też cisza w parku. Parę dni temu zauważyłam wielką wrzawę szczebiotu ptasiego.

— To szpaki, które sejmikują przed odlotem.

— Słyszałam, czy czytałam o sejmikach bocianich.

— Tak — odparł pan Alojzy. — Bociany żórawie, zbierają się w gromady... Żórawie gromadnie ciągną. Inne ptaki odwędrują i wracają bądź parami, bądź rodzinami.

Pan Alojzy dodał szczegółów parę, dotyczących się tej materji, i na odpowiednie hrabianki

zapytanie wyjaśnił, że ptaki wędrowne pół roku goszczą w krajach ciepłych.

Hrabiostwo nie brali w tej rozmowie udziału. Hrabia z dobrem zacięciem zjadał kolejno podawane potrawy, a w przestankach pomiędzy dwoma daniami, zlekka bębnił palcami po stole. Hrabina zdawało się słuchała rozmowy, lecz odzywała się, o tyle jeno, ażeby zapytywać pana Alojzego, czy nie pozwoli jeszcze.

Skoro herbata się skończyła, pan Kanio-wski zabrał głos i w następujący przemówił sposób :

— Wybaczą mi państwo, pożegnam ich.

— Na chwilkę do saloniku — odezwała się hrabina tonem prośby uprzejmej.

— Miło by mi było, ale nie mogę.

— Niech mama nie zatrzymuje — wtrąciła hrabianka.

W głosie jej rzewne zabrzmiało współczucie.

— Nie zatrzymuję, odparła hrabina.

— Ale — rzekł hrabia. — Gościa będziemy mieli jutro. Trzeba będzie konie i powóz na stację posłać.

— O której? — zapytał pan Alojzy.

— Otóż, że nie wiem...

— Poślemy rano, a jeżeli się ów jegomość rano nie stawia, pošlemy po raz drugi po południu. Czy więcej nic pan hrabia do rozkazania nie ma?

— Hm?... nie...

Hrabiny przy zamianie ostatnich frazesów, nie było już w sali jadalnej.

Hrabianka razem z panem Alojzym do przedsieni wyszła, i kiedy on paltot na siebie wkładał, zwróciła się do niego z brzmiałem żywym zainteresowaniem zapytaniem:

— Cóż konsylium udecydowało?

Pan Alojzy westchnął, zanim odpowiedział.

— Okulista zdecydował operację...

— Boże!... — westchnęła.

— Pod warunkiem, ażeby pierwiej lekarz organizm wzmocnił.

— Dał więc lekarz przepis stosowny?...

— Wino chinowe, żelazo, bifsztyki i stare wino węgierskie.

— Wino węgierskie... Ależ u nas być musi!...

— Znam trochę hrabiego piwnicę... wątpię...

— Cóż będzie?

— Wypisałem ze Lwowa... No... dobranoc. — rzekł dłoń podając.

— Jutro rano zabiegnę na momencik do pani. Czy nie zrobię subjekcji?

— Pani? — odparł, w oczy jej z wyrazem serdecznym patrząc. — Dla mnie i dla żony mojej, jesteś pani zawsze Żusią, co się w o-

ezach naszych w piasku, jak pośmiecieszka grzebała...

— Więc do jutra... Ale!... co to za gość przyjedzie?

— Nie wiem...

— Byle nie wujcio Karol...

— Ha!.. Pan Karol kiedyś do Gajów zawinąć musi... Na to rady nie ma.

Wyraz ostatni rzucił kiedy drzwi otwierał. Gdy się za nim drzwi zamknęły, hrabianka spojrzała na schody, jakby pierwszym jej popełdem było wejść na nie. Nie weszła jednak. Udała się do saloniku

W saloniku hrabiostwo się odprawiali. Zgodne małżeństwo — jednakowo czynności tej dokonywali. Dokonywali jej w milczeniu. Hrabia powolutku, w fotelu rozparty, cygaro palił, bacząc na przyrost popiołu. Hrabina no kanapie, rzuciwszy sobie na kolana chustkę wełnianą, którą hrabianka zostawiła, siedziała, na lampę zdawało się patrzeć niekiedy zlekka odsapywała, niekiedy chustką do nosa usta sobie zasłaniała, maskując ziewanie, które ją od czasu do czasu z nieprzepartą zapadało siłą.

Wejście hrabianki najmniejszego na hrabiostwie nie wywarło wpływu. Jak siedzieli, tak siedzieli; jak milczeli, tak milczeli — i byliby w milczeniu pozostawali nadal, gdyby takowego nie przerwała hrabianka.

— Biedna pani Kaniowska — rzekła.

— Hm... — odrzekła hrabina

— Grozi jej operacja okulistyczna...

— Wspominał mi Kaniowski o tem... — wtrącił hrabia, wążąc ostrożnie cygaro w dwóch palcach.

— Biedna kobieta... — odezwała się hrabina.

— U nas musi być węgierskie wino.,.

— Na co tobie? — zapytał ojciec.

— Lekarz przepisał pani Kaniowskiej stare wino węgierskie.

— Od Holeckiego by się o tem dowiedzieć należało.

— Pozwoli mi papa dowiedzieć się, i jeżeli jest, państwu Kaniowskim butelek kilka posłać?

— Pytać o to nie potrzebujesz. Dowiedz się i każ posłać... A może chcesz żebym się ja dowiedział? Zadzwoń!...

Hrabianka łebek dzwonka pocisnęła. Po odejściu lokaja, który się na wezwanie to we drzwiach stawiał, upłynęło minut dziesiątek z górą, zanim próg saloniku przestąpił marszałek dworu,

I on posunął się. Znamiona starości wiśniały na jego postaci, nie czyniąc atoli uszczerbku poprawności stylu w postawie służbowej. Wszedł, ukłon złożył. a wyprostowawszy się, szepłeniącym nieco głosem zapytał:

— Co jasny pan rozkaże?

— Czy jest u nas stare wino węgierskie?

— Mój Boże, odrzekł. — Zkądby się wzięło?

Piwnica od tylu czasów nie dopełniana. Trochę bordeaux, trochę vösslauera i tyle. Przypominałem panu Kaniowskiemu, ale nadaremnie.. A przecie departament taki ważny, jak piwnica...

Mój Boże!... ilem ja razy panu Kaniowskiemu mówił: panie będziemy się wstydzili!..

Hrabianka zesmutniała, jak się smutnieje gdy nadejdzie wiadomość niepomyślna.

— Więc węgierskiego nie ma śladu? — odezwał się pan Alfred.

— To jest, co się tego tyczy, powiedzieć nie można... Jest butelek siedm, ale... jasny pan kazał wyraźnie...

— Hm... — mruknał pan Alfred tonem, w którym poznać nie można było, czy nosi on na sobie akcent zapytania, czyli też jest podkreśleniem słów marszałka.

Było to mruknięcie dyplomatyczne.

— Jest przeto siedm butelek... — podchwyciła hrabianka.

-- Tak... ale...

— Cóż?...

-- To cała, jasna panienko, historia...

-- Co za historia?...

— To tak... Kiedy jasny pan na świat przyszedł, pan hrabia nieboszczyk kazał osobno

beczkę miodu i trzydzieści butelek tokaju na wesele jasnego pana odstawić... Miód ów i te butelki Konopacki, co był przedemną marszałkiem dworu, miał w rękach swoich i kiedy mnie piwnicę zdawał, zdał mi inwentarz wraz z przekazem nieboszczyka pana hrabiego... No... i na weselu jasnego pana poszło to... Poszła beczka miodu i dwadzieścia trzy butelki... Wedle siedmiu butelek, co pozostały, pytałem jasnego pana, i jasny pan odpowiedział mi: Niech zostaną do wesela najstarszego mego dziecka!.. Oto taka historia, jasna panienko...

— Są to więc butelki moje!.. — zawołała z pośpiechem i przyciskiem, uprzedzając zdanie, jakieby w tej mierze ojciec lub matka wyrzec chcieli. Są to butelki moje, i ja nimi rozporządzam... Proszę natychmiast dwie państwu Kaniowskiemu posłać!..

Wymówiła to tonem tak stanowczym, głosem tak repliki żadnej nie dopuszczającym, że pan Holecki odpowiedział:

— Słucham, jasna panienko..

Wymówiwszy jednak te sakramentalne posłuszeństwa służbowego wyrazy, z miejsca się nie ruszał, czekając snadź na legalizowanie rozkazu przez władzę wyższą. Długo atoli czekać nie mógł. Hrabianka dodała:

— Natychmiast... natychmiast...

I posunęła się ku niemu z takim zacięciem, jakby go za drzwi wyrzucić chciała.

Marszałek zrejterował z rozkazem, zalegalizowanym milczeniem władzy wyższej.

Władza wyższa zaś milczała, raz dlatego, że czasu nie miała odezwać się z aprobacją, powtóre dlatego, że zdziwiła ją trochę decyzja powzięta tak prędko i wypowiedziana tak stanowczo.

Wykazywała ona różność temperamentu pomiędzy córką, a rodzicami i świadczyła przeciwko przyjętemu przez nią prawu dziedziczności. Rodzice miewali zachcianki, nacechowane uporem, nie dającym się racjonalnie usprawiedliwić i nie zasługującym tem samem na miano woli; zresztą dawali się unosić fali. W niej się przejawiała wola, prędką w powzięciu postanowienia i gotową iść przebojem, uprzedzając możliwe trudności. Jakkolwiek bez doniosłości na szersze rozmiary była okoliczność, przy której się zmanifestował, dawała jednak miarę temperamentu, a nawet i charakteru młodej dziewczyny, odziedziczonego nie po rodzicach. Nauka w razach podobnych przyjmuje dziedziczność przez elewację, przenoszącą się na potomka po nad głowami rodziców, a nawet dziadów i pradziadów zdaleka od przodków odleglejszych.

Hrabiostwo siedzieli z ustami zamkniętymi zdziwieni trochę.

Zdziwieni byli „trochę“ dlatego, że nie mieli w zwyczaju rzeczom najdziwniejszym dziwić się bardzo. Nie było to w ich naturze, przysiętem sprzeciwiałyby się dobremu tonowi. Hrabia przeto wyczekał chwilkę, zanim się odezwał:

— Pozostanie przeto pięć butelek...

— Nie pozostanie zapewne ani jedna... — odparła Żusia.

— Aa?...

— Chodzi o wzmocnienie organizmu do operacji, po której wzmacnianie kontynuować będzie potrzeba,

— Nie zachowasz jakiej butelczyny dla ojca nawet?

— Papa kochany — odrzekła, patrząc na hrabiego z uśmiechem — zdrów, Bogu dzięki..

— Mógłbym, jak sądzisz, poprzestać na wodzie źródlanej.

— Zdaje się...

— Ten węgrzyn stary, o którego egzystencji zapomniałem... tak mi zapachniał!... Toć on liczy lat pięćdziesiąt z górą. Wiek piękny jak na wino.

— Niechże się papa w cierpliwość uzbroi, i pani Kaniowskiej zdrowia rychłego życzy: oddam papie na własność wszystko, co po jej wyzdrowieniu zostanie.

Hrabia przez nos się zaśmiał i rzekł:

— Niech tak będzie...

Hrabianka za pośrednictwem dzwonka lokaja wezwała i zażądała od niego zapalenia świec przy fortepianie. Wkrótce potem w przyległym salonie odezwały się tony, dźwięczne i czyste a tak zaakcentowane, jakby je z instrumentu wydobywały palce aksamitne. Zawtórowało im echo, nie echo, echo bowiem nazwać nie można tego obijania się tonów osufity i ściany i przechodzenie ich z pokoju do pokoju w obszernym domu, które zapełniało sobą kąty wszystkie, bliższe wyraźniej, dalsze słabiej. Sprawiało to efekt taki, jakby duch melodji błąkał się po ciemku, szukając wyjścia na ze wnątrz, ażeby swobodnie wznieść się ku obłokom.

Granie trwało z godzinę i polegało na wiernej pod względem odczucia i zrozumienia egzekucji utworów, nie świetnej, nie błyskotliwej, ale takiej, która przemawiała. Gdy to przemawianie zamilkło, hrabina, nie ruszając się z miejsca swego, zapytała głośno:

- Zmęczyłaś się, moje dziecko?...
- Nie, mam — była odpowiedź.
- Czemużeś grać przestała?
- Bo może tego dobrego dosyć.
- O! nie, odrzekła hrabina.
- Cóż mam zagrać dla mamy?...
- Co zechcesz.

— Może papa mi życzenie swoje wyrazi..

— Papa -- odpowiedział — z jednakową przyjemnością słucha wszystkiego, co z pod paluszków panny Elżbiety płynie.

Panna Elżbieta puściła palce po klawiaturze, wzięła akordów parę i wyłoniła z nich rzewności pełen utwór Chopina.

Grała jeszcze z godzinę, jeżeli nie dłużej.

Przyjemność, z jaką muzyki córki hrabiostwo słuchali, nadaje się poniekąd na przedmiot do analizy. Co ją właściwie stanowiło? W jaki muzyka oddziaływała na nich sposób? Czy oddziaływanie to było estetyczne, czy fizjologiczne, wpływające za pośrednictwem nerwów zarazem na duszę i na żołądek? W Brukseli, stolicy Belgji. istniał przed laty — może jeszcze istnieje — teatr, specjalnie założony dla poobiedniego wypoczynku. Ku celowi temu służyły siedzenia idealne wygodne, w których zagłębieni spektatorowie mieli prawo cygara, papierosy fajki nawet palić, słuchając produkcji artystycznych, dramatycznych, wokalnych i instrumentalnych. W tych warunkach rozkosznie odbywało się trawienie. Hrabianka przeto, reprodukując arcydzieła Chopina, Moniuszki, Liszta, Gounoda, Szumana, oddawała rodzicom przysługę — może podwójną, a może jednostronną, jeżeli nie czysto-estetyczną, to czysto-fizjologiczną.

Hrabia słuchał, słuchał, cygaro powoli palił, a wypaliwszy je ze skutkiem pomyślnym, to jest z dotrzymaniem do samego końca tej części, co w miarę palenia popielata jeszcze słuchał. Od czasu do czasu do czasu powietrze w płuca mocniej wciągnął i wydychał. Wydychania te uchodziłyby mogły za westchnienia. Nie westchnienia to jednak były. Było to coś innego — to coś mianowicie, co popędza krążenie krwi, jak furman, za pomocą hukania i trzaskania z bata, popędza konie w zaprzęgu.

Snadź hrabiemu, po dwóch godzinach popędzania i słuchania muzyki, dosyć tego było, wydzwignął się bowiem z fotelu, zanim hrabianka grać przestała, do żony podszedł, nad nią się pochylił i pocałunek na czole jej złożył.

— I cóż?... — odezwała się z akcentem zapytania.

— A cóż!... — odrzekł. — Opisał mnie Kaniowski, jak węża — i po chwili milczenia dodał: — na lat dwadzieścia przynajmniej.

— Na lat dwadzieścia — powtórzyła hrabina obojętnie.

Hrabia się wyprostował, pod boki się ujął, wyprostował, wyciągnął i wyszedł.

Po wyjściu męża hrabina niedługo już na kanapie pozostawała. Opuściła salonik, gdy w przyległym salonie odezwały się akordy, preludujące kompozycję jakąś o szerokich roz-

miarach. Z proga obejrzała się, jakby oglądając się, ażali czego nie zapomniała, i poszła.

Hrabianka grała jeszcze minut ze dwadzieścia, wreszcie wykonawszy finał huczny, ręce od fortepianu oderwała, na kolana je sobie opuszcila i głośno zapytała:

— Dosyć już chyba?

Na słowa te odpowiedziało jej milczenie.

— Zdrzemnęli się może — rzekła do siebie — Muzyka moja działa widać usypiająco.

Fortepian zamknęła, jedną świecę zdmuchnęła, drugą w lichtarzu do ręki wzięła, podeszła pocichu do drzwi salonika i zajrzawszy przez nie, odezwała się.

— Ooo... Uciekli... Pokazuje się, że muzyka moja działa wystraszażąco.

Zabrała chustkę i ze świecą w ręku przez sień weszła na schody, prowadzące na piętro na którym się mieściły apartamenty rodziców i jej.

Na piętrze zwróciła się w stronę nie swoich, ale rodzicielskich pokojów. Zatrzymawszy się przed jednymi z drzwi, uchyliła je i rzuciła przez nie zapytanie:

— Można papie powiedzieć dobranoc?

— Można! — słyszeć się dał głos mężki, ale przez drzwi. W negliżu jestem.

— A więc, dobranoc!...

— Dobranoc ci, Żusiu!...

Zwróciła się do drzwi innych i powtórzyła toż samo zapytanie, zmieniając jeno wyraz „papie“ na „mamie“.

Odpowiedź zabrzmiała:

— Można!...

Hrabina rozbierała się przed zwierciadłem przy pomocy panny służącej, którą już nie była Lina, ani żadna z tych, co za pierwszym jej z Wiednia do Gajów przyjeździe garderobę zapelniały. Była to jakaś lwowianka. Układała właśnie hrabinie warkocze do czepeczka nocnego, kiedy hrabianka stanęła obok matki.

— Mama już do łóżka się zabiera.

— Cóż mam robić lepszego!... Nikogo się nie spodziewamy, do nikogo się nie wybieramy...

Była to aluzja przezroczysta do różnicy pomiędzy pobytem w Wiedniu, a pobytem w Gajach. Wypowiedziała ją hrabina głosem zwyczajnym, w którym nie zabrzmiał ani trochę akcent bądź to żalu, bądź też pretensji do losów. Zaznaczyła jeno różnicę i tyle. W Wiedniu o godzinie dziewiątej wieczorem, znajdowałyby się w teatrze, na koncercie, na wieczorze u kogoś, na raucie, na balu może — możeby u siebie przyjmowała dobrane grono gości; w Gajach się do łóżka sposobiała. Nie dała na sobie znać, ażeby to jej przykrość sprawiać miało.

— Kogoś się papa spodziewa, ale, jutro...
— odparła hrabianka. — Nie wie mama, kogo?

— Nie wiem. Nie przyszło mi na myśl ojca zapytać.

— Czy jasna pani każe warkocz zwinąć, jak wczora? — zapytała służąca.

— Tak... tylko go zwiąż mocniej, żeby się nie rozwinał, jak tamtej nocy. Nie przyszło mi na myśl ojca zapytać — powtórzyła — Zapytaj, gdy będziesz papie dobranoc mówiła.

— Jużem powiedziała.

— A więc jutro zaspokoi się ciekawość nasza.

— Zatem, dobranoc mamie.

— Co ci się tak śpieszy?... Poczekaj chwileczkę...

— Mama się zapewne wnet położy...

— Cóż z tego ja będę leżała ty posiedzisz, pomówimy trochę.

Hrabianka się przeszła po pokoju. Wzięła ze stolika przed kanapą rozłożoną książkę, na tytuł spojrzała, położyła i zwróciła uwagę na zapytanie matki:

— Długoś jeszcze po odejściu naszym z salonika przy fortepianie siedziała?...

— Nie wiem, kiedy odszedł papa, kiedy odeszła mama, może razem?

— Pewnie razem... Czekałam na etiudę moją faworytalną... nie doczekałam się, i...

— Ależ, jakże!... — podchwyciła hrabianka. — Przecież ją dwa razy odegrałam...

— Ciagniesz — odezwała się hrabina do służącej. — Moje włosy nie są do szarpania... A jakiś mi przygotowała czepeczek, czy ten ze szlarczką?..

— Ten, proszę jasnej pani...

— Daj mi inny jaki...

— Jaki?...

— Pokaż, ja sama wybiorę. Jak ci na imię moja kochana?..

— Weronika, proszę jasnej pani.

— Trzeba, moja Weroniko, ażebyś się starała poznać moje gusty. Nie lubię czepeczków nocnych z dużemi szlarkami. Lubię szlarki małe.

Służąca wydostała z komody i podała czepeczków kilka, wśród których hrabina wybierać zaczęła. Zajęło ją to mocno. Przebierała; to ten, to ów na rękę podnosiła, przypatrywała się wreszcie wybrała jeden, podając takowy służącej, rzekła:

— Włóż mi ten, i włożywszy, odejść możesz. Do łóżka położę się już sama.

— A pończochy?

— Ah! prawda. Włóżysz mi więc czepeczek i pończochy zdejmiesz. Nie będę ciebie więcej potrzebowała. Jak ci na imię?

— Weronika, proszę jasnej pani.

— A prawda. .

Weronika, włożywszy hrabinie na głowę czepeczek, u stóp jej przysiadła,

Ani przypuszczać można było, że przed laty w sławnym polityczno-dyplomatycznym mazurze, te same nogi, niby szybujące nad zwierciadłem wodnem jaskółki, po posadzce, na pamiętnym dyplomatycznym politycznym balu, błyskawicznie śmigają. Ani przypuszczać coś podobnego można było. A przecież były to te same nogi, te same, co cudów dokazywały.

Ta sama hrabina, przed laty w łóżku wyobrażała kształty piękna skończonego, wcielonego w postać niewieścią.

Dziś ta sama hrabina, gdy się w łóżku położyła, przedstawiała sobą podłużny pagórek kołdrą atłasową okryty. Z pod kołdry na poduszkach złożona i w czepek biały ujęta, wyglądała głowa. Oblicze krasił wyraz łagodny, z którym tak do córki mówiła :

— Muszę cię moje dziecko z położeniem naszym zaznajomić. Nie sprawi ci to przyjemności, zasmucić nawet może; trzeba jednak, żebyś wiedziała.

Po wstępie tym, po którym się w łóżku poprawiła, a którego hrabianka wysłuchiwała spokojnie, tak dalej ciągnęła :

— Papa doznał w interesach niepowodzeń, zawiodły go widoki na które na pewno liczył,

musimy więc ograniczyć się do „*strictement necessaire*“. Sprawi ci to przykrość.

— Jaka, mamó? — podchwyciła hrabianka tonem protestacji.

— Być nie może, żeby ci to przykrości nie sprawiło.

— Czemu?

— Rzecz naturalna, zamiast żyć życiem stolicy, skazaną będziesz na życie życiem wsi głuchej.

— Mnie wieś nie razi — wtrąciła.

— Nie o oto chodzi, czy wieś razi, czy nie razi, ale o twój los.

— O mój los? — zapytała.

— O twoje zamażpójście. Ta rzecz przedstawia się inaczej w Wiedniu inaczej w Gajach. W Wiedniu mogłabyś zrobić los świetny, gdyby nie niepowodzenia papy w interesach i nie zawody w nadziejach. W Gajach... w Gajach... cóż?... I w Gajach los się trafić może, ale nie taki.

Tu hrabina westchnęła.

— Co mama „pod kimś odpowiednim“ myśli? — zapytała ostro.

— Co ja myślę? — odpowiedziała hrabina z takim akcentem, jakby zagabniętą była z nie-nacka. — Ja myślę człowieka z sytuacją... ze znaczeniem... z majątkiem, dobrego rodu.

— Nie takiego, jakiego bym ja chciała.

— Moje dziecko!. . . Minęły już dawno czasy, w których rodzice zmuszali córki wychodzić za mąż.. Motyw ten znikł już w romansach, nawet na deskach teatralnych. Ani papa, ani ja, nie dopuścilibyśmy się czegoś podobnego względem ciebie.

II.

Cieńko tedy hrabiostwo Piecey przędli.

A tacy byli praktyczni!

Nie wiedzieli wprawdzie, na co i po co z Gajów do Wiednia przenieśli się z postanowieniem trzymaniam się w życiu światowem w granicach możliwości finansowej i postanowieniu temu wiernymi zrazu zostawali. Wiernymi mu zostawali w momentach, kiedy się hrabiemu uśmiechały teki ministerjalne i ambasady, kiedy hrabinę tentowały widoki najświetniejsze, najpotężniejsze, najbardziej pociągające wśród wszystkich, o jakich wielkoświatowa kobieta marzyć może. W owych momentach, hrabia przez wyrozumowanie, usuwające z przed niego to, co ludzie rewelacją nazywają, hrabina przez brak temperamentu, co kobiety na ślizkie prowadzi drogi, stali twardo przy zasadzie: „Przychodzie, bądź z rozchodem w zgodzie“. Hrabina liczyła się z centami, hrabia liczył ze swej strony. Pomię-

dzy małżeństwem we względzie tym, jako też we wszystkich innych, panowała zgoda, stawiająca je jako wzór stadła dobranego, dobranego i rzadkiego w warunkach, w jakich ich losy postawiły.

Cóż to się stało, że nastąpiło cienkie przędzenie?

Stało się, co stać się musiało. Rzeczy się naturalnym rozwinęły trybem. Hrabina się na zjazd czasu onego w Gasteinie nie stawiała, została zastąpioną i wyręczoną przez księżną Guiepsck. Z tego powodu księżna Lindenstein wyprawiała hrabinie scenę gwałtowną. Powiedziała jej wręcz, o co chodziło; gdy zaś hrabina odpowiedziała, że domysłając się podobnej historii, umyślnie nie pojechała, uniosła się i nazwała ją „głupią, gęsią“, „une buche, une prude“ i t. d. Weredyczka nie żałowała języka. Wysypała wyrazów dosadnych co nie miara, i zrobiła ją przed historją, przed ludźmi i Bogiem odpowiedzialną za postępy „lichwiarza“, raka, toczącego społeczeństwo.

— I co cię powstrzymało? co? Wierność małżeńska, hę? co? wierność, wydłubana z tego że mężulek jak kat, a tamten, jak glista wygląda? Myślisz, że cię ona do nieba zaprowadzi? Jeżeli tak myślisz, to się grubo mylisz. Zaprowadziłaby cię pewniej i łatwiej ofiara, której

się po tobie ludzkość, w szponach lichwy ginąca spodziewa.

Hrabina wyobrażenia nie miała, ażeby kiedy tak srodze złajaną być umiała. Po odejściu jej, w płacz uderzyła. Płakiwała niekiedy, ale nigdy tak. Opanował ją jeden z takich płaczów, co to, zdaje się, duszę z człowieka wyrywa. Do buduaru się schroniła, gości przyjmować zakazała i szłochała, łkała tak mocno i tak długo, że zdziwiona zrazu, następnie zaniepokojona służba, znać dała hrabiemu.

U hrabiego Alfreda znajdował się właśnie hrabia Karol, i czynił mu delikatne wymówki za zwichnięcie kombinacji, opartej na pobycie w Gasteinie. Hrabia Alfred odcinał się żartobliwie, wspominając o gruszkach na wierzbie, mówiąc, że mu wysokie stanowisko nie pachnie, ani śmierdzi, powiadając wreszcie z akcentem zagadkowym, że co się przewlecze, to nie uciecze; powtórzył przytem parę razy, że ma swoją ideę.

Luboć wzmianki o idei rzucone były od niechcienia, zafrapowały jednak pana Karola

— Dobrze jest mieć ideę.. — rzekł. — Ale jaką?

— To moja rzecz.

— Tyle idei błąka się po świecie.

— Moja błąkać się nie będzie, bo jej w kurs nie puszcze, aż ministerjum obejmę.

— Nie starając się?

— Postaram się.

— Psując ludziom, co ciebie popychali, kombinacje?

— To ja bez popychania się obejdę, a kombinacje sam obmyślę.

W chwili tej wszedł kamerdyner z oznajmieniem, że :

— Jasna pani płacze...

— Więc cóż? odparł hrabia.

— „Fräulein“ Lina przybiegła zastraszona...

— No?...

— Ona tu... za drzwiami...

— „Fräulein!...“ krzyknął hrabia.

Panna Lina drzwi uchyliła i oznajmiła, że hrabina płacze „schrecklich“.

— Czego?...

— Nie mogę wiedzieć, „Herr Graf“....

Chora może.

— Chora?... o!... — rzekł, wstając.

Wstał i pan Karol i obaj razem udali się do buduaru. Hrabina we łzach tonęła. Łkania ją dławily. Łkaniem odpowiadała na wszelkie męża i brata zapytania i zdobyła się na wykrzyknik: „Nie trzeba!“, gdy jeden z nich zapowiedział potrzebę sprowadzenia lekarza.

Po wykrzykniku uspokajając się powoli poczęła. Uspokoiła się wreszcie o tyle, że na zapytania odpowiadała.

— Czegóż to... Milciu?... — przemówił po raz dziesiąty, dwudziesty może, pan Alfred.

— Zelżona!. sponiewierana!.. złąjana!... — wybuchnęła.

— Przez kogo?

Nie odrazu na to drugie pytanie odrzekła:

— Przez Księżną von Lindenstein!..

— Ależ... no.. o... — jął ją pan Alfred, modulując głos jak najłagodniej, uspokajać.

— Głupia, warjatka, narwana — perswadował hrabia Karol. — Czy kto na jej gadanie zważa?...

Księżna Guiepsek odebrała od niej więcej, aniżeli ty. Pomiędzy temi dwiema damami przyszło do obrazy czynnej, posuniętej tak daleko, że aż ksiązę Guiepsek musiał żonie na pomoc pospieszyć, ażeby ją wydrzeć z rąk przeciwniczki.. Księżna Guiepsek leczy się na podrapanie twarzy...

Opowiadanie to zajęło panią Amelię.

— Czy to być może!..

Pan Karol się uśmiechnął i ramionami ruszył.

Na wielkim świecie — za kulisami, zdarzają się rzeczy, ciekawe. „Za kulisami“ — potrzeba to powtórzyć wyraźnie, na owym bowiem świecie, jak w teatrze, odgrywają się sztuki: po za sztukami odgrywa się niekiedy pomiędzy artystami drapanina I tu role i tu role, wy-

konywane przez aktorów, przedstawiających się świetnie na scenie; tracących jednak urok cały, gdy się znajdują pomiędzy sobą. Ułomności ludzkie jednakie są od góry do dołu; namiętności jednakowo grają na szczytach i u stóp piramidy społecznej, manifestując się inaczej w obec publiczności, inaczej, gdy są oglądane przez dziurkę od klucza, przez pryzmat pisanych przez świadków naocznych pamiętników, w listach poufnych, przez własnych lokajów i przez własne panny służące.

Hrabina dla publiczności drzwi zamknąć kazała, gdy ją płacz spazmatyczny porwał.

Uspokoiła się znacznie na wiadomość, że to, co ją spotkało, spotkało z naddatkiem księżna Guiepsk.

— A baronowi von Schaubube, jaką ona scenę wyprawiała — mówił pan Karol.

— No? — zapytał pan Alfred zaciękwiony — oblicze chyba staremu lisowi otrzępała.

— Łajała go ostaniami słowami i nazywała rajfurem.

— E?... Za cóż to?...

— Za có!... hm, hm, hm... — zaśmiał się pan Karol przez nos.

— Hm... -- zaczął pan Alfred, zwracając się do żony — zrozumieć nie mogę czepiania

się księżny Guiepssek, do barona i do ciebie... Co do baby przystąpiło?...

Hrabina maskowanemi słówkami, przerywając sobie zachlipywaniem się, będącem pozostałością płaczu, tłumaczyła mężowi znaczenie zjazdu w Gasteinie. Nie odrazu to zrozumiał; zrozumiał jednak w końcu i oburzył się:

— Nie jasną mi jest rola księżny de Lindenstein. Jeżeli złążała księżnę Guiepssek i barona von Schaubube — powinna była Milcię chwalić.

Na to mu odpowiedział pan Karol:

— Zrozumiałbyś z łatwością, gdybyś nie brał rzeczy tragicznie.

— Tu bo tragedia paskudnie wygląda.

— Ph.. paskudnie.. Nie paskudniej od nawozu, dzięki któremu zbiera się z roli plon bogaty.

— Cóż za plon zebrać się miał z tego gnoju?...

— Ambasada... może teka ministerjalna.

Pan Alfred stanął nagle przed szwagrem, wpatrzył się w niego szeroko otwartemi oczami i po chwili odezwał się dobitnie, skandując wyrazy.

— A, to tak?...

— Ha... *Qui vent la fin, vent les moyens.*

— Taak?... Ano... Zobaczymy. Pehaliście mnie, jam się popychać pozwalał i było dla mnie

rzeczą obojętną, czy mnie dopchacie do końca. Teraz ja do końca pójdę sam, z idea — tu się palcem w czoło mocno postukał — i sposoby znajdę. „Je veux la fin, je trouverai les moyens“.

Rzekłszy to głosem stanowczym, do żony się przysiadł i uspokajając ją się jął. Uspokajał i pocieszał.

— Zobaczysz... — prawil — ja swego dopnę. Mam ideę... to rzecz ważna. Osiedliłmy w Wiedniu, prawdę powiedziawszy, nie wiedzieć po co. Ale teraz... co innego. Bądź więc dobrej myśli, Milciu. Na awanturę, którą ci księżna Lindenstein wyprawila nie zważaj... Bo.. i cóż?.. Nie wyzwę jej.. baba... Cóż z babą poradzić? Rady nie ma innej, tylko... scenę w niepamięć puścić... uważać ją za niebywałą..

— Zdrowa rada... — wtrącił hrabia Karol.

Hrabinie lzy osychać poczęły. Uspokajała się i uspokoiła. Awantury tej następstwo wyraziło się dla niej chorobą, która nie była chorobą prawdziwą, ale potrzebą niepokazywania się ludziom przez czas jakiś.

Awantura ta wykazała oraz w sposób wątpliwości najmniejszej niedopuszczający, że hrabia Alfred po pierwszych z Wiednia odwiedzinach Gajów, przywiózł z Gajów do Wiednia ćwieczek we łbie.

Ćwieczek ów wbił mu człowiek bardzo ro-

zumny i najpocziwszy na świecie: ksiądz Kochański.

Zwykły to los ludzi tej, co pan Alfred miary natury i tego temperamentu Trzymają się długo pośrodku. pomiędzy prądami, bez celu bez wytycznej, zamiast woli, objawiają zachcianki zaopatrują w upór, aż nagle ni ztąd ni z owąd — trach! — świeczek w łeb wlaźł. Świeczek staje się gwiazdą przewodnią, za którą idą śmiało, wytrwale do końca, nie oglądając się po za siebie Nie oglądać się po za siebie — to reguła, zaznaczona w bajkach i kartkach ludowych, a dokumentnie poświadczona przez małżonkę Lota, która oglądania się ofiarą padła, ofiarą tem smutniejszą, że najmniejszy, pod żadną postacią okruszynki najdrobniej-zej, ślad po niej nie został, albowiem nic innego z nią w słup soli zmienioną, stać się nie mogło, jak to tylko, że ją zlizwały kozy, owce i inne bydła palestyńskie.

Kwestja ta atoli nie należy do rzeczy, tyjących się pana Alfreda z świekiem we łbie. Te się ułożyły naturalnie logicznie i konsekwentnie.

Mianowicie — konsekwentnie.

Pan Alfred wytknął sobie cel jasny i wyraźny prezesostwo gabinetu.

Mógł być prezesem Potocki Pilawita, czemużby prezesem zostać nie mógł Pilawita. Piecki?

Potocki — Piecki. Kto wie, czy nie z Pieckich poszli Potoccy. Z: „oto Piecki“ zrobił się P-otocki. To rzecz możliwa: na miejsce „ie,“ wstawili „oto“. Zdarzały się przecie podobne nazwisk modyfikacje.

Wytknął więc sobie cel i ruszył w pochód ku niemu, nie zrażając się przeciwnościami, z którymi się spotkał na samym wstępie. Przedstawiły się one pod postacią, naprzód delikatnych wymówek hrabiego Karola, następnie za dziwiającego zubożenia tak dawniej serdecznego barona von Schaubube, dalej rozpaczy hrabiego Łopacińskiego.

— Ah! ah! — wzdychał hrabia Łopaciński. Runęło, runęło.

— Zagrzało — odparł pan Alfred.

— Hrabia żartujesz, a tu to, co się przedstawiało tak pięknie, tak kolosalnie, tak, że tak rzeknę, monumentalnie to wszystko runęło!.. Przeszkody były usunięte. Niemcy huncwoty, jak słowiki szczebiotali: Łopasińska, Pieska. Jechaliśmy niby na stu koniach. Licho wie, co się w tym Gasteinie zrobiło.. i.. wszystko djabli wzięli.

— Ah... hrabia roisz.

— Roję? — zaśmiał się gorzko. — A miałem jakoby przecucie. Chciałem jechać do Gasteinu i z wielką niechęcią pojechałem do Abbazji, a z tamąd do Mehadji.. Musiałem jednak

dałem słowo... Pewny jestem, że.. gdybym był do Gasteinu pojechał. byłbym tego nie dopuścił...

— Czego? ..

— Tego, co tam zaszło...

— Cóż tam zaszło?..

— Zwichnięcie sprawy, jak słońce jasnej. .

— Byłbyś tego nie dopuścił?..

— Z pewnością ..

— Wartowałbyś przy księżnie Guiepssek? . .

— Cóż księżna?

— Przyprawiła mężowi rogi...

— Ii... co tam!

— A toć, to właśnie zaszło. Chodziło o to ażeby nie księżna księciu, ale inna babcia swemu mężowi rogi przyprawiła. Sprawa została zwichnięta

— Ii... hrabio!

— O, hrabio. .

— Baron von Schaubube, taki przecie głęboki dyplomata.

— Rajfur...

— Hrabio, co mówisz?

— Hrabio, ręczę ci.

— Wszystko jednak runęło.

— Zagrzaiało, ale nie nie runęło.

— Nie?...

— Nie... Mam ideę, której dawniej nie miałem...

Żusia.

28

— Dyplomatyczną?

— Dyplomatyczno-historjozoficzną...

— Aa... odezwał się hrabia Łopaciński.

— Mam ją tu — palcem się w czoło mocno kilkakrotnie uderzył.

— Wystąpisz z nią?...

— Puszczę ją w kurs, gdy...

Tu wykonał giest, przedstawiający woźnicę, co dzierży w ręku mocno leńce rozhukanych koni.

— Rozumiem — rzekł hrabia Łopaciński.

— Kto nie ze mną, ten przeciwko mnie.

— Ja z tobą, hrabio kochany... z tobą na życie i na śmierć... Ale... trzeba działać... działać...

— Na-tu-ralnie.

— Poruszyć wszystkie sprężyny.

— To się wie...

— Opanować prasę...

— A? — wygłosił akcentem zapytania pan Alfred.

— Prasę, która się całkowicie w rękach żydowskich znajduje O. ci żydzi! Żydzi, niemcy. Żydzi są niemcami, a niemcy są żydami. Znają się, jak łyse konie na jarmarku i świadczą sobie. Trzeba im z rąk prasę wydrzeć.

— Zapewne... tak... hm?... Ale?... Dla mnie to „du grec“.

— Nie dlam nie... bo!

— Założyłbyś dziennik ?

— Założylibyśmy chyba, bo ja sam, bez ciebie hrabio kochany, sam na własną rękę działać nie chcę. Bez twego upoważnienia palcem nie kiwnę.

— No?... Więc?...

— Dziennik założymy, nie teraz atoli, nie.

Sprawa z żydami i z Niemcami, a to... huncwoty przebiegłe, o! przebiegłe, słyszą jak trawa rośnie. Niechże nasza trawa urośnie, ażeby oni posłyszeli. Podejdzimy ich, na przebiegłość, na podstęp, podstęp.. o... ot, co... Zaczniemy od broszur. Broszury, to rzecz... Będziemy do nich strzelali z za płota... Co?... — zapytał.

— Owszem..., o!... tak... Któż będzie te broszury pisał?

— Pismaki się znajdują. To, mości dobrodzieju, nie mazur, do którego mieć trzeba talent w nogach... Co nogi, to nie głowy. Głowom się gulden pokaże i do guldena talenty, jak legawce do przepiórki, staną. Znajdziemy sprytnych żydków, co nam będą jak zechcemy, broszury pisali. Oczywiście, trzeba im będzie płacić.

— Rzecz prosta.

— Upoważniasz mnie, hrabio.

— Upoważniam...

— Więc dobrze... Już ja się tem zajmę...

A ty?

— O ja! Rozumiesz? „Czapką, papką i solą,

*

ludzie, ludzi nie wolą.“ Będę niemcom i żydom bakę świecił Rozumiesz?

— Taak — odrzekł hrabia Łopaciński z namaszczeniem. Masz rozległe, wysokich sfer sięgające relacje i stosunki. Masz wysoko i głęboko, głęboko i wysoko dyplomatyczne, czyli .. dyplomatyczno-historjoficzne zdolności których niezużytkowanie byłoby grzechem. Mówię ci to, hrabio kochany, bez pochlebstwa. Gdy się przeto we dwóch do roboty weźmiemy, phi!..

Rozmowa powyższa, która miała miejsce na lat kilkanaście przed oznajmieniem przez hrabinę córce już dorosłej, smutnego interesów ojcowskiego stanu, niby słońce, męty poranne, rozrozproszyła rozpacz hrabiego Łopacińskiego. Wziął się do dzieła z właściwym sobie zapałem i z odpowiednią energją. Zapał i energję rozwijał nietylko na prasowem, ale i na choreograficznem polu. Prowadził mazura u hrabiostwa Pieckich na balu, który oni dali i na którym stawiało się wszystko, co Wiedeń posiadał najwytworniejszego w sferach rodowych, urzędowych, finansowych, jakoteż naukowych i arystokratycznych. Śmietanka, czysta śmietanka, żółtawiła się czystym kożuszkiem, na którym jednak nie połyskiwały oczka ze sfer najwyższych. Dostrzegac się przytem dawała nieobecność wielu osobistości, które przed sezonem letnim nie odstępowały prawie hrabiostwa. Nie było na-

przykład sędziwego barona von Schaubube. Księżna Lindenstein na balach nie bywała ze względu na „lichwiarstwo“, będące przedmiotem jej wstrętu, a „zanieczyszczające — jak powiadała — salony“. Stawiła się za to księżna Guiepssek i stawienie się jej sprawiło pewne wrażenie. W „towarzystwie“ ją i hrabinę Piecką, uważano za rywalki, za rywalki nieprzejednane i przejednanymi być nie mogące.

Kumoszki wielkoświatowe (ten gatunek niewiast różni się jeno ogładą od gatunku takiego samego, ze sfery przekupek) na temat ten rozprawiły szeroko, przewidując następstwa, mające się okazać i opierając przewidywania na faktach, które nigdy nie istniały. Jakież było matron zdziwienie, gdy zawieszona z gracją na ramieniu hrabiego Pieckiego, księżna Guiepssek, wkroczyła do sali balowej i przywitała się z hrabiną tak czule i tak serdecznie, jakby pomiędzy temi paniami nie latał sęp zawiści i nie szarpał im serc dziobem rywalizacji.

Zdziwienie to wyszło hrabinie na dobre, zrobiło jej reklamę kolosalną.

Języki, w ruch przyśpieszony wprowadzone, męły, męły i męły, aż wymęły opinię taktu niezrównanego dla hrabiny i dyplomatycznej mądrości dla hrabiego.

Papiery przeto tego ostatniego. poszły z miejsca w górę, ukazując w perspektywie na-

stępstwa świetne dla piastuna idei, włożonej w mózg pana Alfreda, przez księdza proboszcza z Gajów.

Dla idei tej, dla następstw w perspektywie widzianych państwo Alfredostwo bale dawali, na balach bywali; pan Alfred, za pośrednictwem hrabiego Łopacińskiego, stał się wydawcą broszur sensacyjnych — bo nie wiedzieć od kogo pochodzących i niewiedzieć o czym piszących, ale mocno przez recenzentów dziennikarskich zalecanych i grubo kosztujących. Kosztowały nie tyle same broszury, co recenzje, płacone po pięć guldenów od wiersza. Że zaś wierszy bywało po sto dwadzieścia przeciętnie, na jedną przeto wypadało guldenów 600; na dwie, które się w ciągu zimy ukazały, poszło zł. 12,000 nie licząc honorarjów autorskich i kosztów druku.

— To się opłaci, o, to się opłaci — perswadował hrabia Łopaciński.

Pan Alfred nie wątpił o tem, pomimo że przykrości niejkiej doznał z powodu, iż zmuszonym się widział zaciągnąć w Länderbanku pożyczkę na opędzenie kosztów wędrówki sezonowej po wodach, kąpielach morskich i stacjach klimatycznych. Była to jednak rzecz konieczna, mająca się opłacić w przyszłości niedalekiej.

— Dwa, trzy najwięcej lata tym sztychem pójdziemy i dojdziemy.

Zgadźli się na to hrabiowie Piecki i Łopaciński, zgadzał się oraz i hrabia Brzdęcki. Ten ostatni niósł nawet pomoc chętną, korzystając ze stosunków w sferze, w której się poważnie, dzięki otwartemu w Ländlerbanku kredytowi, szwagier jego trzymał.

Ländlerbank znakomite panu Alfredowi oddawał usługi — znakomite pod tym mianowicie względem, że oszczędzał mu polemicznej korespondencji z Kaniowskim, który nie wiedząc zgoła o operacjach finansowych, odbywających się bezpośrednio pomiędzy panem Alfredem a bankiem, ograniczał utyskiwania swoje do starej piosnki o melioracji. Brakło mu na nie, więc przypominał je od czasu do czasu, rzadziej się upominał i domagał się przyjazdu hrabiostwa bodaj w odwiedziny do Gajów.

Hrabiostwo jechać nie mogli, chyba, iżby im fantazja do głowy przyszła. Ale fantazja im nie przychodziła. Pod wpływem idei, z którą pan Alfred się nosił, ani myśleć można było o zbaczaniu z drogi, która nie wypadała na Gaje, ani do Wiesbadenu, dokąd jeździli dla popatrzenia na Bismarka, ani do Teraspu, gdzie pan Alfred mógł przy jednym stole z Moltkem siadywać, ani do Ostendy, dokąd się udać musiał celem zetknięcia się z ambasadorem chińskim i wyciągania mu much z nosa ze względu na ideę historyzoficzną, wedle której kroki swoje

kierował. To ostatnie mu się w zupełności powiodło. Z ambasadorem chińskim — z owym, w czasie swoim sławnym ambasadorem — zeszedł się, poznał, rozmówił zaprzyjaźnił nawet, powyciągawszy mu muchy z nosa, przekonał się, że ulokowana w jego głowie przez księdza Kochańskiego idea, ma jak najzupełniejszą rację bytu.

Mógł-że on wobec tego do Gajów zaglądać?

Nie byłoż to czyste niepodobieństwo?

Im zaś dalej, tem niepodobieństwo bardziej się zwiększało, tak, że gdy lat kilka na deptaniu drogi dyplomatycznej upłynęło, Gaje się przypomniały, ale zgoła nie nęciły, ani hrabiego ani hrabiny.

Przypomniały się one na drodze korespondencyjnej, zrazu listami i raportami Kaniowskiego, następnie jeszcze i listami Zusi.

Pierwszy jej liścik, po francusku wystylizowany, rozrzewnił hrabinę.

— Dziecina moja — rzekła.

Liścik ów sprawił wrażenie i na hrabi.

— Patrzej — odezwał się i dodał: Trzeba to zachować w albumie.

Hrabina jej odpisała; hrabia się przypisał.

Zusia pisywała regularnie raz na miesiąc, naprzemian po francusku i po polsku, coraz to lepiej i lepiej i coraz to samodzielniej. Postępy znały się widocznie, a tem pewniej, że dzie-

w czynka zawiadamiała rodziców, czego się uczy Zawiadamiała oraz, jak czas przepędza biegła, kąpała się, na przechadzki chodziła, po drzewach łąziła, czytała, pisała, rachowała, przechodziła historję świętą, historję krajową, geografję, recytowała bajki La-Fointaina, Krasickiego, Niemcewicza, czyniła analizę gramatyczną; chwaliła się gamami na fortepianie; pochwalała się przeczytaniem od deski do deski. Księgi sławnych odkryć geograficznych Anczyca — a ! czem się ona nie chwaliła ?

Edukacja jej pod kierownictwem i przy pomocy pani Kaniowskiej, rozwijała się regularnie porządnie i zadowalniająco przez lat trzy, wyznaczone do pozostawania w Gajach. Hrabioństwu śród dystrakcji światowych i zabiegów dyplomatycznych, termin na myśl nie przychodził. Byłoby tak więc poszło dalej, gdyby się nie pojawiła przeszkoda niespodziana, która sprowadziła zmiany.

Nikt im o terminie nie przypomniał i nikt by nie przypomniał — gdyby nie panna Klara.

Szwajcarka, jak się zdawało, w przypomnieniu terminu, najmniej była interesowana.

Przypomniała ona właśnie.

Hrabina przy rannem śniadaniu otrzymała od niej list, po przeczytaniu którego odezwała się do męża :

— Now na

— No? — zapytał.

— Szwajcarka za męża idzie...

— Tfu! — i dodał: — Niech idzie.

— Ale co my z Zusią zrobimy?

— A... To rzecz nie moja.

— Ambaras.

— Ludzie sobie jakoś z ambarasami podobnemi radę dają.

Hrabina kończyła śniadanie w roztargnieniu. a gdy skończyła, rzekła:

— Pomówię o tem z Karolem.

Napisała do brata prosząc go, ażeby czas sobie znalazł i na chwilę do niej wpadł.

— Co nowego?... — zapytał po przywitaniu.

Opowiedziała o ambarasie swoim szczegółowo, zaznaczając mianowicie zbawienny wpływ kierownictwa pani Kaniowskiej.

— Masz czem głowę sobie kłopotać, odparł, wysłuchawszy.

— Sprowadzić Zusię do Wiednia.

— Jeszcze co. Jeżeli, jak powiadasz, Kaniowska jest doskonałością taką, dodaj jej jaką angielską wybrakowaną i niech dalej doskonałość swoją ćwiczy. Nie wiele to was będzie kosztowało, a korzyść ta, że służyć ci nie będzie za podszewkę „enfant terrible“. Matkom z podszewką taką bardzo bywa niedogodnie. Jak podróżnie,

to co innego: ubierze się ją w podlotka budzącego ciekawość. Jest to jeden ze sposobów, „pour se faire valoir“.

an Karol się na rzecz z praktycznej zapatrywał strony. Hrabina docierała do epoki drugiej młodości i spostrzegać się już na niej dawały oznaki niejakię kompromitujące. Sama tego nie czuła; lecz znawcom rzucały się w oczy zapowiedzie tuszy. Dodatek c6reczki kompromitowałyby ją jeszcze mocniej. Do czego to? Pan Karol liczył, że druga młodość obudzi w siostrze pragnienia, których nie miała w pierwszej, i natchnie ją ochotą wynagrodzenia czasu straconego. Obznajomiony z ułomnościami natury niewieściej był prawie tego pewnym. O to mu jeno chodziło, ażeby ochotę ulokowała korzystnie i dla siebie i dla niego. Deptanie szwagra na drodze jakiejś idei, wchodziło także do rachunku. Wiedział on, że „nie zasłużeni, ale szczęśliwi“ wyśróbuwują się nie wierzch, zwłaszcza, gdy mają czem śrubę smarować.

W takim właśnie położeniu znajdował się pan Alfred. Piękna żona, na które wysokie figury łakomie spoglądały; donośny majątek, który otwierał szeroki w Länderbanku kredyt; prezenca, tytuł, były to otuchy, obiecujące wygrane tem pewniej, że — czego dawniej nie czynił — sam się o nią starał. Ukąsił go djabeł próżności.

Może to niekoniecznie próżność była, jeżeli

mu do głowy idea jakaś wlaźła. Pan Karol nie z tego na szwagra zapatrywał się punktu: podejrzywał w nim obudzenie się próżności, dla której idea za pretekst jeno służyła. Próżność wedle utartego mniemania, uważał za własność naturalną w ludziach, wchodzących w lata

Dawniej — mówił sobie, myśląc o panu Alfredzie — nie dbał filozoficznie o dostojęstwa i urzędy; dziś, gdy się na głowie pokazywać poczynają włosy białe, filozofja w kął poszła, zachciewa się mu pod pozorem idei. Trzeba żeby się śpieszył, zanim Länderbank areszt na Gajach poloży.

Dlatego też chodziło mu o usuwanie od hrabiostwa Pieckich dystrakcji, mogących ich z drogi pochodu sprowadzić. Żusia mogłaby dystrakcję podobną sprawić, gdyby się obok rodziców w Wiedniu znalazła. Doradził przeto siostrze angiolkę, hrabina radę przyjęła i niedługo szukając, znalazła córę Wielkiej Brytanji wabiącą się miss Marry Watson, która za siedemset pięćdziesiąt złr. rocznie podjęła się wydoskonalic Żusię w mowie Szekspira i Byrona, w różnych przytem umiejętnościach i talentach, wyznaczywszy sobie godziny, w których się nią zajmować ma, i zastrzegłszy się przeciwko wszelakiemu niańczeniu, dozorowaniu, spacerowaniu, szaperonowaniu. Miss mówiła haniebnie po francusku, jeszcze gorzej po niemiecku, posiadała

dyplomy, świadectwa rekomendacje i reprezentowała ojczyznę swoją z tej strony, z której się na nią nie zapatruje beletrystyka ani dramaturgia kontynentalna. Nie prezentowała się śmiesznie — tak, że aż we wzglądzie tym zdziwiła pana Alfreda.

— Cóż to za angielka taka!

Nie była ruda, nie nosiła loków w formie świdrów, nie przypominała postacią deski w szaty niewieście ubranej i nie wkładała na siebie szala w kwiaty. Na wszystkie te przeczenia odpowiadały twierdzenia, które nie miały doniosłości z powodu że panna Mary Watson liczyła wiosnianych lat dwadzieścia parę, tyleż letnich i kilka jesiennych.

W jesieni życia panna bezposażna, przytem nauczycielka z rachuby odpada. Na dobitek, panny Watson natura nie zaopatrzyła w powaby; lo-y zaś pachnąwszy ją drogą wysługiwania ię, zrobiły z niej istotę przesiąkniętą nawskrós duchem formalizmu, popłatnego w świecie, w którym taczkę swoją życiową pchała. Wyrobiła się w niej przez to dwoistość: inną była dla siebie inną dla ludzi. Siebie kochała szczerze i serdecznie: śród ludzi pełniła ściśle obowiązki, jakie na siebie brała, a po za tem nie udzielała się im zgoła. Przy umowie z hrabiną spisała kontrakt formalny i szczegółowy, wedle brzmienia którego wychowanie Żusi do niej nie należało. Hrabina kontrakt ów podpisała, licząc na to, że

dzięki państwu Kaniowskim i panu Kochańskiemu, strona moralna wychowania hrabianki ubezpieczoną jest dostatecznie. We względzie tym spokojną była Ciągnęła ją jednak do Gajów, jako matkę. Nie widziała Żusi lat trzy — to raz, powtóre, poczuwała się do obowiązku osądzenia samej efektu zmiany nauczycielskiej. Angielka miała wprowadzić świadectwa jak najlepsze, noszące podpisy osobistości znanych. Właśnie więc dlatego zaimponować jej obecnością swoją chciała.

— Do widzenia — rzekła do niej, do Gajów ją wyprawiając. — Zapewne panią na wsi odwiedzę niebawem

— Bardzo będę pani rada — odpowiedziała miss Watson z godnością.

Chęć tę wyraziła hrabina mężowi.

— Czeng Ki-Tong .. — odrzekł. — Zapomniałaś?

— Ah! prawda — odpowiedziała.

Toczyło się to głośnego markiza, lekarza chińskiego, wyprawionego przez syna słońca w misji do Europy, bez bliższego wytknięcia mu celu misji. Z tego wypadło, że legat w Europie wylądowawszy, nie wiedział z kim i o czem miał traktować. Urządził więc sobie traktowanie na chybił trafił, przejeżdżał się z Paryża do Londynu, z Londynu do Berlina, z Berlina do Wiednia i t. d., przedstawiał się oficjalnie na-

czelnikom władzy i panującym, dawał audjencje, zabierał znajomości i na salonach stolic europejskich odegrywał rolę osobliwości. Markiz i Chińczyk już to samo osobliwość stanowiło. Z tem łączył on dobry ton, głęboką mądrość i uzdolnienie literackie. Od czasu do czasu pojawiały się na szpaltach dziennikarskich artykuły z jego podpisem, czytane chętnie dla ciekawości pióra. Od czasu do czasu na rynku księgarskim pojawiały się książki przez niego podpisane które rozchwytywano prawie na równi z romanсами Zoli Słowem, markiz Czeng-Ki-Tong, ambasador cesarza chińskiego nie wiedzący, po co i do kogo przyjechał, cieszył się wziętością powszechną.

Z markizem pan Alfred zabrał znajomość u wód i przedsięwziął — powyciągać mu muchy z nosa

Markiz chętnie z nim przestawał i okazywał grzeczność wyszukaną hrabinie, zwracając do niej oczy w sposób taki, że zdawało się jakby patrzył na nią białkami. Wielkiej mu to dodawało powagi, nadając obliczu jego wyraz zagadkowości ultra dyplomatycznej, ześlizgującej się niejako ukośnie po ukośnie przeciętych powiekach, które dostojny mąż miał zwyczaj przy-mrużać.

Wyciąganie much z nosa szło panu Alfre-

dowi pomyślnie za pomocą wędki, którą z całą ostrożnością rzucał w mózg markiza.

— Cóż Chiny? — odezwał się naprzykład razu pewnego — Chiny się widocznie ku upadkowi chylą.

Markiz się na to uśmiechnął, powieki przymrużył, na hrabinę z ukosa białkami spojrzął i odpowiedział:

— Zapewne, chylą się. jak się chyli kochanek nad kochanką.

Rad mówił o kobietach chińskich Materji tej dotykał często. przyznając niewiastom cesarstwa niebieskiego zalety, ustępujące jeno zaletom wyjątkowych kobiet w Europie.

O nogi go raz hrabina zagadnęła:

— Czy to prawda, panie markizie, że chinom od dzieciństwa układają nogi w foremki żelazne.

— Cha cha cha — roześmiał się. — Prawda, że we względzie tym, wysoko rozwinięty jest smak estetyczny w mojej ojczyźnie. Na nóżkę małą, na nóżkę taką, jaka się tak niestety rzadko ukazuje śmiertelnikom z pod szat pani hrabiny, nie ma w Chinach ceny. Najpoważniejsi mandaryni przed nóżką taką czoło chylą. Ztąd urosła bajka o foremkach żelaznych. Bajek podobnych na rachunek Chin, krąży w Europie dużo. To pewne, że Chiny ze swoją cywilizacją, którą rozwijają od stu tysięcy lat z górą, zawie-

rają w sobie dużo tajemnic, które gdy się odkryją. w zdumienie wprawia Europę.

— Tajemnic .. hm — chrząknął pan Alfred i dodał: — Może w Europie są ludzie, co niektóre z nich znają.

— Może, temu nie przeczę.

— Chciałbym z panem markizem o jednej mianowicie pomówić.

— Jestem na wasze usługi, hrabio. Uprzedzam jednak, że natura tajemnicy stosuje się do natury warunków, w jakich się o niej mówi. Trzymam się tej reguły ściśle, w pagodzie się modłę, na widowiskach się śmieję, lub płaczę, w salonie się bawię, w gabinecie dyplomatycznym o polityce rozmawiam, u wód o nóżkach niewieścich mówię.

— Huncwot — pomyślał sobie hrabia, jak piskorz mi się wyslizguje. — Ale ja go z mańki zajdę i on się wypowiada przedemną. W ostateczności dobrać się potrafię do jego gabinetu dyplomatycznego.

• Dopięcie tego ostatniego okazało się bardzo trudnem, albowiem markiz Czeng-Ki Tong, gniazdo dyplomatyczne coraz to na innej wiał gałęzi. Tu był, tu go już nie ma. Pan Alfred z uporem właściwym takim jak jego naturom, wojażował za nim po Europie. Zapał poszukiwania owego gniazda i chęć powyciągania much z nosa ambasadorowi chińskiemu, którego podej-

rzywał o nieczyste względem Europy zamiary, posunął tak daleko, że gotów był za nim w razie potrzeby do Chin pogonić i do gabinetu jego dyplomatycznego w Pekinie się dobrać.

Gonił tymczasem po Europie. I gdzież on, podążając ku celowi nieuchwytnemu, nie był? Widziały go, zawsze w towarzystwie żony, u stóp swoich śnieżyste Alp i Apeninów szczyty, widziały lazurowe zwierciadła jezior, ubranych w girlandy róż i bluszczów; woziły hrabiostwo wszystkie wagony i dylizanse, snujące się pomiędzy morzem Śródziemnym a oceanem Atlantyckim, deptania nóg ich doznawały bruki wszystkich stolic i wielu miast Europy środkowej i zachodniej; gościnności używały im niezliczone hotele. Gdy włóczyli się za muchami w nosie markiza Czeng-Ki Tonga lat kilka, majątek szczupłał, a hrabina tyła. Kiedy utyła, dostatecznie pokazało się, że się Czeng-Ki Tong ulotnił.

„Huncwot, o! — rzekł do siebie pan Alfred — domyślił się, że go pomaleńku spowiadam i drapnął“.

To go jeszcze bardziej utwierdziło w idei wypośrodkowanej przez księdza Kochańskiego z historjografii.

„Chiny nam łupnia dadzą, jeżeli się przeciwko temu nie zabezpieczymy. Markiz Czeng-Ki-Tong nie daremnie Europę przeglądał.“

III.

Cierpliwość, w jaką się uzbroił hrabia Łopaciński i z jaką sekundował panu Alfredowi w jego o tekę walce, była doprawdy zadziwiająca. Wierzył w niego i ufał mu. Stanowiło to jego stronę mocną, którą oddał na usługi broszur sensacyjnych, ogłaszanych co kilka miesięcy, broszur bardzo kosztownych, ale mających się opłacić w przyszłości, gdy obaj hrabiowie nosić będą teki. Tymczasem na honorarja wypłacane autorom tych pisemek ulotnych, jakoteż na opłacanie autorów recenzji pochlebnych, szła niekiedy połowa, niekiedy więcej aniżeli połowa rocznego dochodu z Gajów. Pan Alfred krzywił się na wydatek taki.

— Mój hrabio kochany — brzmiała tege cierpliwego i gorliwego męża stanu odpowiedź — nie sposób inaczej. Kto chce mur przebić, musi weń taranem walić do końca, nie zrażając się tem,

że pierwsze uderzenia wydają się bezskuteczne. Skuteczność się dopiero w końcu pokaże, kiedy dziura się otworzy i wleziem przez nią, ty przodem, ja za tobą.

— Tak, to prawda.

— Otóż, nie ustawajmy jeno

Hrabia Łopaciński posługiwał się jeszcze jednym przyrównaniem przekonującym. Mur wspierał błotem.

— Wyobraź sobie, hrabio kochany — powiedział — że dostać się chcemy do ogrodu cudzego, od którego oddziela nas trzęsawisko. Zdecydowaliśmy się trzęsawisko to przebrnąć i dobrnęliśmy do środka. Cóż, mamy się nawrócić, czy brnąć dalej? Jak myślisz, hrabio?

— Oh — odpowiadał pan Alfred z dodatkiem ruchu ramionami, wyobrażającego gwałtowne podstawienie grzbietu pod ciężar, celem udźwignięcia onego.

Niekiedy jednak objeKCje czynił.

— Cóż to za broszury? — pytał.

— Przecież ci każdej po dwa dają egzemplarze

— Na to, żebym je czytał?

— Oczywiście.

— To rzecz niemożliwa.

— Tytuły przynajmniej

— Tytuły... hm?.. — zamyślił się pan Alfred.

— Tytuły bowiem — ciągnął hrabia Łopaciński — ja je sam daję, I tak, jedną zatytułowałem : „Słońce“, drugą : „Otwierajcie gęby“ inną znów : „Słuchajcie narody!“ inną jeszcze... — zamyślił się i oczy do góry wznosił. — Ot, zapomniałem, ale, o to...

— He hm — uśmiechnął się pan Alfred.

— Jednej dałem tytuł : „Psy szczekajcie“, innej : „O krakaniu wron“.

— E? — odezwał się pan Alfred z akcentem zapytania.

— Trzeba było — odparł hrabia Łopaciński — z góry wychłostać psy, co się na ideę ze szczekaniem rzucą i wrony, co będą usiłowały ją zakrakać. Nieprawdaż?

— Ano... Wiesz?... to... przemyślnie.

— Ho, ho!... Mnie nie trzeba podpowiadać, co mam robić. Nie dla formy, na nogach stoję i głowę na karku noszę. Ale mnie to kosztuje.

— I mnie kosztuje — wtrącił hrabia Alfred.

— Ciebie, mój hrabio drogi, tak, zapewne, rynie wykladasz; ja zaś... hm... ja... w mózgu grzebać muszę i z mózgu wyciągać. To nie tak łatwo, jak się zdaje. Jeszcze z wymyślaniem tytułu idzie jako tako; ale... i biją i język kołowacieje, i w gębie wysycha, gdy się przyjdzie ugadywać z tymi gałganami..

— Z jakimi?

— A z autorami... O to ci dopiero naród... o to hałastra! O, hrabio. Daję mu tytuł, na przykład: „O krakaniu wron“ Daję mu ten tytuł i powiadam, żeby w niego wszczepił ideę... On pyta: jaką ideę? Ja sam nie wiem, ale co mu do tego, proszę kogo? Owóz na tym punkcie, czyścicowe cierpię męki... oh!... męki... Ale to się opłaci, opłaci. Temi taranami koniec końcem wybijamy dziurę w murze, i przez dziurę wleziemy, ty, hrabio kochany, przodem, ja za tobą, ty z tą jakąś ideą, ja z kułakiem na żydów... O, toż będę kułakował, najprzód autorów... Zakarbowałem sobie kilku...

Odetchnął i po chwilce tak zaczął:

— Co ja mam z nimi... ah!... Męki nie czyścicowe, ale piekielne. Wystaw sobie, co mi urządzili. Gdy broszura wychodzi, oblecieć muszę redakcji dziesięć, piętnaście, ażeby zamówić recenzję, tu wierszy dwieście, tu tysiąc, jak do gazety... Wychodzi tedy broszura pod tytułem, poczekajcie: pod jakim tytułem? aha!... pod tytułem: „Kiep świat.“ Ostro napisana broszura. Pisał ją żydek, współpracownik gazety „Wiener Stern“, i ja do tej gazety nie poszedłem, ażeby recenzję zamówić. Bo i na cóż?... myślałem sobie: przecież autor sam się o to postara, aż by go któryś z kolegów pochwalił. Cóż się stało? Podczas kiedy wszystkie „posty, blatty, zeitun-

się z nim ostatecznie „po harapie“, to jest: po osiągnięciu celu tych zabiegów dla których on (hrabia Łopaciński) bruków wiedeńskich się trzymał i ulokował się na czwartem piętrze u jakiejś baby, w charakterze zwyczajnego lokatora — tych, dla których pan Alfred zbijał bruki stolic europejskich. Dlatego też pomyśleć musiał o wystąpieniu na wieczorku.

Strój odpowiedni posiadał — trochę już wprawdzie przetarty, ale przy świetle ujść za nowy mogący. Chował go, jak świętość, wraz z guzami, które, pod naciskiem potrzeby, mogłyby go nieraz podratować, gdyby raz zawsze nie zabronił sobie uciekać się do tego środka. Do stroju tego atoli potrzebne były dodatki: buty, rękawiczki, czapka świeża, etc. Myślał przytem o hrabiance:

— Ileż ona lat liczyć może?... Dwanaście... Nie... chyba więcej... Ośmnaście?... Nie... chyba mniej...

Doliczyć się na pewne nie mógł. Cofał się do dziesięciu, posuwał do dziewiętnastu — nie śmiał wymówić dwudziestu i koniec końcem, pozostawał w niepewności, ambarasującej go szczególnie we wzglądzie bukietu. Bukiet trzeba było ofiarować koniecznie, ale — inny dziecku, inny pannie dojrzałej.

— Czy ona dziecko czy panna dojrzała? Zapytanie to, mózg mu ugniało i byłby

na nie odpowiedzi nie znalazł, gdyby los nie nasunął na drodze pana Karola.

— Hrabio!...

— Hrabio!..

— Od kiedyżeśmy się nie widzieli!...

— Cztery... pięć miesięcy blisko... — rzekł pan Karol.

— Gdzieżeś sezon spędził?...

— Tu i ówdzie...

— Monte-Carlo...

— I tam zajrzałem...

— Cóż?...

— Nie najgorzej... Miłosierdzia Bożego nie nadużywam. więc sobie w łeb strzelać nie potrzebuje.

— Ja zaś... ja willeżaturowałem trochę na Węgrzech...

— Masz do węgrów fablik, hrabio..

— Tak... trochę..

— I do węgierek...

— A i do węgierek... więcej nawet, niż do węgrów...

— Temu się nie dziwię.. Dziwię się, że cię która na węgry nie przerobiła...

— Co to... to nie... — odparł hrabia Łopaciński. — Za polkami trzymam, a właśnie nam jedna przybyła...

— No?... która?..

— Twoja siostrzenica, hrabio...

— A tak... i nie lada jaka... Przed tą za lat parę będą narody klękały i dziś przysmakiem byłaby dla najwybredniejszego smakosza... cudo nie dziewczyna..

— Doprawdy?... Dziecko jednak jeszcze?...

— Spory podlotek...

— Ano... U hrabiostwa Pieckich na wieczorku się zejdziemy zapewne...

— Zajrzę do nich...

— Więc... *adieu*...

— *Adieu*...

Hrabia Łopaciński dowiedział się, o czem wiedzieć potrzebował, i stosownie do tego, przysposobił się na wieczorek.

Na wieczorek zebrało się towarzystwo dobrane: parę księżniczek, parę hrabianek, parę baronówien - wszystko rówieśnice hrabianki - z matkami; kilku ojców, kilku młodych ludzi śmietankowych, paru mężów dojrzałych, nie związanych węzłem hymenu, paru przyjaciół domu. Mężowie dojrzali z takich dobrani byli osobników, których gęby gebami się zwały, w istocie jednak, były trąbami, ogłaszającemi na wsze strony wszelkiego rodzaju osobliwości, mianowicie w rodzaju niewieścim. Gdyby Żusia była garbatą, kapryśną i posiadała małpie oblicze, nie omieszkaliby o tem zawiadomić wie-deński wielki świat; gdyby wyglądała, jak wygląda przeciętna śmiertelniczka w dobie pączka,

Żusia.

30

wykazującego pierwsze listki barwne, mówiliby o niej półgębkiem, albo nie mówili wcale; mówność ich zależała od osobliwości, na której się poznał pan Karol i stosownie do której ułożył do spółki z siostrą listę zaprosin.

Wieczorek powiódł się o tyle, że się osobliwość w całej wykazała świetności.

Hrabianka przedstawiła się niemal, jak istota w lesie pojmana i wprost z lasu pomiędzy ludzi wprowadzona. Każda inna na jej miejscu byłaby w tem położeniu śmieszna. Na niej i w niej, to, co byłoby śmiesznością, przybrało znamiona oryginalności zajmującej. Oryginalnemi i w oryginalności dzikiego jakiegoś uroku pełnemi, były jej ruchy, giesty, wejrzenia, uśmiechy, odpowiedzi. Miała minę taką, jakby się oglądała za krzakiem, za któryby się schować mogła, albo też, jakby się cofała z zamiarem rzucenia się wielkim pędem w ucieczkę.

Młodzi ludzie z wyrazem ciekawości zdziwionej, ruchy jej śledzili, a jegomościowie dojrzałym spoglądali na nią wzrokiem skrutatorów, badających każdy szczegół jej postaci, od stóp zaczawszy, na wierzchołku głowy, okrytej jedwabistym włosiem skończywszy. Sam hrabia Łopaciński wobec tego podlotka stracił kontenans męża stanu i gdy jej ofiarował bukiet, kupiony za okrawki honorarjów autorskich, za broszurę

pod tytułem „Twardy orzech“, zapomniał języka w gębie.

Zdarzają się podobne zjawiska na wielkim świecie. jak się zdarzają spadania aerolitów na ziemię.

Żusia nakształt spadłego aerolita zjawiła się w Wiedniu.

Rodzice ją pokazali i schowali.

Robi się to z osobliwościami, zabieranemi do gabinetów.

To samo ją spotkało, co spotyka osobliwości wszelakiego rodzaju. W momencie pojawienia się zyskują one rozgłos ogromny. Po złożeniu w gabinecie, rozgłos pierwotny tracą się przestając być przedmiotem ciekawości dla amatorów i zajęcia dla znawców.

Po wieczorku hrabiostwo ją schowali.

We względzie tym, poszli oni za radą wskazówkami hrabiego Karola, który zagiąwszy na siostrzenicę parol interesowny, interes prowadził systematycznie i umiejętnie. Siostra utyla, zanim się z nią co zrobić dało, puścił więc siostrę w trąbę i wziął się do szykowania siostrzenicy, rozpoczynając nastrajanie jej, od skupienia jej uwagi na przymiot, stanowiący w kobiecie pierwiastek potęgi i słabości.

— Tyś piękna, Żusiu... — powtarzał jej w oczy.

— Jaka ona piękna!... — często przy niej mówił hrabinie i panu Alfredowi.

Szeroko, z gustem, akcentem takim, jakby w tem widział chlubę własną, opowiadał o wrażeńiu, jakie Żusia na wieczorku sprawiła.

— Na wizytach nie mówi się o czem innym, tylko o niej... Księżnę Guiepsk (która nawiasem mówiąc weszła już do kategorii matron, acz chudych, ale poważnych, pali niecierpliwość zobaczenia jej,.. Baron Drajkoenig pytał mnie o nią w klubie... Sława Żusi szeroko rozbrzmiewa w Wiedniu.

Hrabiankę to zrazu zajęło i podobało się jej nawet. Komuż się nie podoba chwalba? Poczęła się sobie szczegółowo przypatrywać w zwierciadle i odezwała się razu pewnego do Justyny ;

— Powiadają, że piękna...

— Kto to pannusi powiada?... — odrzekła Justyna.

— Wujaszek..

— Pannusia taka, jaką pannusią Pan Bóg stworzył...

— Nie ładniejsza od innych?... — zapytała z akcentem przymilenia.

— W oczach Pana Boga?... — odparła nianka.

— Co to ma do Pana Boga?...

— Ba, ma... bardzo wiele... Słyszałam, jak

dobrodziej nieraz pannusi powiadał, że Pan Bóg będzie sądził ludzi, nie wedle tego, który piękniejszy, który brzydszy, ani wedle tego, który bogatszy, który biedniejszy, ale wedle tego, który lepszy, który gorszy. Czy pannusia o tem zapomniała?..

— Nie, Justyno... nie zapomniałam... Ale, dlaczegoż wujaszek ustawicznie mi o mojej piękności mówi?..

— E... bo pan Karol.. jeszcze mleko miał pod nosem, a już się dziewcząt o gładkiem liczku czepiał.. Toż, która była głupia, na wstyd jeno i na sromotę poszła... Pan Karol całe życie za tem tylko gonił.. no, i pannusia wie, a może nie wie, że pan Karol na głupie kobiety dobra swoje zmarnował, a te, co głupie nie były, słuchać go nie chciały. Toć to, że on pannusi o piękności prawi, to on to niechybnie na złe, ale nie na dobre nakręca.. I inni tacy jak on, to samo będą prawili... Niechże pannusia ludzi słucha, ale swój rozum ma...

Słowa Justyny stały się dla hrabianki ciężarkiem, przywracającym niedwerezoną równowagę. Chwiał się poczynąła i w mierze stanęła. Nastąpiło to dlatego może, że się z ostrzeżeniem spotkała na samym wstępie do bytowania w warunkach, odmiennych od tych, jakie ją otaczały w Gajach. Później możeby już nie skutkowało. „Czas płaci, czas traci.“ W porę wyrzeczone,

uczyniło ją odrazu ostrożną i niedowierzającą, czuwającą nad swoją głową i nad swoim sercem, a żyjącą w dwóch naraz światach: w wie-deńskim i w gajowskim.

Uczuciem i rozumem znajdowała się nie-jako na przełomie, na którym przechylenie się na jedną lub na drugą stronę, zależało nie od nauk księdza Kochańskiego i wskazówek pani Kaniowskiej, nie od ponęt wielkiego świata i pochlebstw gawędzi polerowanej, nie od tego co jej w uszy kładł wuj, ani od tego, co jej nianka prawiała, ale od niej samej. W grę pomiędzy dwoma światami, dwoma kierunkami, dwoma istnieniami moralnemi, indywidualność jej z gło-sem rozstrzygającym weszła. A indywidualność ta — czemże była? — młodziutkiem dziewcząt-kiem, delikatną roślinką wystawioną na mroźne podmuchy egoizmu, rozwielnionego w wiel-kim świecie, na upalne działanie zepsucia, pod-szywającego egoizm i występującego w urokach i blaskach olśniewających. Oprzeć się temu mo-gła jeno sama, jeżeli posiadała po temu siłę w so-bie, w naturze swojej, w tej wynikłości czyn-ników tajemniczych psychologiczno-fizjologicznych, co działając z pokolenia na pokolenie, ześrod-kowują się w każdej z osobna jednostce spo-łecznej.

Czy posiadała taką siłę?

Czy dla takiego dziewczątka młodziutkiego

możliwą było rzeczą zająć najtrudniejsze ze wszystkich stanowisk — stanowisko sędziego względem siebie samego?

Nie!... stanowczo nie... na drodze rozumowania.

Samo rozumowanie nie dałoby młodzieńkiemu dziewczęciu sił dostatecznych do oparcia się ponętom i pokusom, opadającym je ze stron wszystkich, uznanym przez rodziców, protegowanym przez powagi, usprawiedliwionym przez stosunki towarzyskie, potrzeby umysłowe, popędy estetyczne i skłonności sercowe.

Ostrzeżenie Justyny, acz rozumne, nie koniecznie atoli przeciwko obaleniu za pomocą krytyki zabezpieczone, sprawiło na hrabiance wrażenie. Sprawiło wrażenie i nic więcej. Mało czego jej niańka nie gadała. Wrażenie to więc byłoby przeminęło, gdyby mu nie odpowiedział grunt do przyjęcia tego ziarna padalicznego od natury przyspobiony.

Żusia na gruncie wiedeńskim znalazła się w położeniu, pomiędzy duchami ze strony prawej, a duchami ze strony lewej. Tych ostatnich plenipotentem był wujaszek Karol; tamtych reprezentowała Justyna. Plenipotencja przedstawiała się świetnie, reprezentacja boso. Jedna składała dowody praw i przywilejów kobiety pięknej, ukazując w perspektywie na drodze różami usłanej, rozkosze, trjumfy, druga przypo-

minała obowiązki. podszyte trudem i ofiarnością. Hrabianka miała do wyboru, mając za sobą ojca i matkę: ojca, którego opanowała „idee fixe” i wykierowała na fiksata, nie kwalifikującego się wprawdzie do czubków, ale w podążaniu ku urzeczywistnieniu idei owej, nieoglądającego się na nic; matkę, która z tą apatycznością, co jej naturę stanowiła, i od upadku ją obroniła, obok niej stanęła. Pozostawała dla niej ona sama, sama jedna, z zapasem skłonności, popędów i zamiłowań, złożonych w niej przez kogoś, nie dającego się zdefiniować, ani nazwać.

Ów ktoś, gdyby była pozostała w Wiedniu, oswoił by ją z zadaniami które wielki świat rozwiązuje i urobił z niej podatne dla widoków pana Karola narzędzie.

W jednym i w drugim razie, jej „ja” żadnej, albo bardzo małą miałyby do odegrania rolę.

W warunkach, w których do Wiednia przybyła, od niej samej, od nikogo innego — wszystko zależało.

Pochwały pana Karola i udzielane przezeń wiadomości o wrażeniu, jakie na spostrzegających ją ludzi wywiera, bardzo się jej zrazu podobały. Gdy z matką po raz pierwszy była w teatrze, do łoży hrabiny przychodziło w antrakcie panów dużo, i przypa trywało się z pod oka hrabiance, siedzącej z boku. Tego przypa-

trywania się nie odczuła. Znadto ją zajmowała sztuka, której się przypatrywała i przysłuchiwała na scenie, i o której po zapadnięciu myślała. Za trzecią dopiero bytnością uwagę jej zwróciły na siebie binokle, połyskujące czarnemi szklami, zwróconemi na łożę matki. Zaintrygowało ją to. Wiedziała, co znaczy celowanie lornetkowe w te atrze, i usunęła się z widoku. Zrobiło się jej gorąco — ogarnął ją rodzaj wstydu z którego sobie na razie sprawy zdać nie umiała. Nie pojmowała tego dobrze. Pojęcie nastąpiło później, kiedy ją skarcił wuj:

— Czemu się chowasz, Żusiu? — zapytał. To nie uchodzi. Teatr nie na to, ażeby spektatorowie grali w chowanego, zwłaszcza spektatorki, takie jak ty...

— Cóż ja!... — odparła zmieszana.

— Zachwycają się tobą. Wyrządzasz wielką admiratorom twoim przykrość...

— Nie oswojona jeszcze... — wtrąciła hrabina, chcąc córkę wytłumaczyć i usprawiedliwić.

— Nie wie jeszcze, że jest towarem, co się sam sprzedaje... — dodał pan Alfred.

Wyrazy ojcowskie, wyrzeczone od niechcienia, w formie żartu, będącego w powszechnym obiegu, starczyły hrabiance za długi i szczegółowy wykład. Obudziły w niej miłość własną — dumę dziewczą „Towar“. Miałabym być towa-

rem? . towarem co się sam sprzedaje? Myślała mózgu się jej czepiła, niby polip, i wstrętem ją przejmowała.

— Nie, ja towarem być nie chcę! Nie będę się na sprzedaż wystawiała.

Postanowienie to mogłoby być rzuconem na wiatr słowem, jak tyle, tyle postanowień pisanych na piasku przez młodzież, a nawet przez ludzi dojrzałych, postanowień, które najlżejszy zwiewa wiaterek, gdyby nie odnosiło się do świata, w którym się na wiatr słowa nie rzucały. Do świata onego hrabianka zaapelowała i postanowienie jej stało się punktem wychodnim, do którego zastosowała swoje kierowanie się w Wiedniu.

Wujowi, na skarcenie jego, nic nie odpowiedziała teraz i nie odpowiedziała później. Zacięła się w milczeniu w obec pana Karola, który ponieważ mu się nie powiodło z siostrą, wziął przed się zamiar zużytkowania siostrzenicy, licząc na jej młodość, niedoświadczenie i na to, że ją olśni wielki świat, zamagnetyzują blaski, pociągną złudzenia.

Zaaplikował do niej ten sposób, za pomocą którego matki córki psują. Wmawiał w nią piękność, rozbudzał próżność, podniecał pożądania.

Hrabina mu w tem nieświadomie, dopomagała, chlubiąc się córką i — jako matka —

pragnąc dla niej losu jak najświetniejszego, do zapewnienia którego w świecie, w którym się obracała, nastęrczała sposobności.

Panu Karolowi chodziło o ratowanie pozycji. Widział dokładnie podążanie do ruiny szwagra Sama przez się ruina nie rozrzewniałaby go, gdyby nie pociągnęła za sobą zerwania stosunków, na których budował ubezpieczenie bytu własnego podtrzymywanego psim swędem „Da war der Hund begraben.“ Gdyby nie to, pozostawiłby brata, siostrę, siostrzenicę własne mu ich losowi i nie dbał zgoła o nich. O co dbał, to o towarzyskie pana Alfreda stosunki, które mu mogły zapewnić stanowisko poważne, jak długo istniały, podtrzymywane kredytem w banku. Należało z czasu korzystać i szwagra wypromować. Siostra się na ten koniec nie nadała; pozostawała, a raczej nastęrczała się siostrzenica.

— Żusia się chowa niepotrzebnie przed ludźmi, powtarzał.

— Oswoi się, to się chować nie będzie — powtarzała hrabina

Dnie, tygodnie, miesiące mijały — hrabianka się nie oswoiła.

Zajęło ją co innego anizeli pokazywanie siebie.

Wzięła się zawzięcie do muzyki, do konserwatorjum chodziła, ćwiczyła się, postępy zna-

czne czyniła i możnaby myśleć, że ją świat tonów pochłonał całkowicie, gdyby nie interesował jej świat, w którym myśl i wyobraźnia, pomagając sobie wzajemnie, idą o lepsze. Dużo czytała; dużo pisała. Pisywała nie nowele, nie powieści, nie wiersze nawet, ale — listy. Utrzymywała stałą i regularną korespondencję, która się co tydzień kończyła i rozpoczynała. Po wyprawieniu listu każdego, niezwłocznie przystępowała do listu następnego. Listy owe zawierały w sobie: opisy, sprawozdania z wrażeń, poglądy jakoteż zapytania o rady i wskazówki. Były one wiernym wizerunkiem rozwoju młodego, dziewiczego umysłu, przesadzonego z gruntu jednego do drugiego. Mógł ten umysł przeistoczyć się całkowicie, zwiedńczyć się, czy zaaustryjaczyć, jak umysły tyłu, co się przekabacili, mógł się opornym okazać i żyć sokami, zabraniami na zapas z gleby rodzinnej, jak umysł Justyny, okazujący wstręt nieprzezwyjężony i nieusprawiedliwiony, do pończoch i trzewików, mógł się zhybrydyzować — stać mieszańcem, służącym jak hrabia Łopaciński dwom bogom mającym ze sobą tę jeno styczność, że kadzidla pachnące jednemu, drugiemu są wstrętne, mógł zwłaszcza, dzięki insynuacjom, podsuwanym bardzo zręcznie i umiejętnie przez hrabięgo Karola, częstszego niż bywało dawniej u hrabiostwa Pieckich gościa, ku uprawie samieczości się zwró-

cić, ku uprawie wykwitnej, eleganckiej, regulowanej etykieta, a podlewanej psychologją, pełną, absorbującą, heroizmem salonowym oblanej.

W kierunku tym pan Karol usiłował edukację siostrzenicy przeprowadzić.

„Wujaszek Karol ma mnie kochana pani, pisała hrabianka do pani Kaniowskiej — za osobliwość jakąś chyba. Jest dla mnie bardzo dobrym, usłużnym uprzedzającym, usiłującym zechcenie moje odgadywać. A jednakże usiłowania jego przykreść mi sprawiają, przykreść podwójną: raz dla tego, że się odnoszą do owej osobliwości, powtóre, dlatego, że, ponieważ im oponą być muszę, przykreść wyrządzam wujaszekowi! Osobliwością przecież nie jestem“.

Około tej tezy zawiązała się pomiędzy nią a panią Kaniowską rozmowa listowa. Pani Kaniowska zapytała jej, czy nie domyśla się ona — jeżeli w rzeczy samej pan Karol za osobliwość ją ma — jaką mianowicie osobliwość w niej upatrzył.

„Może się w tobie rozwinął talent, pisała. Dostrzegłam żeś miała zamiłowanie do muzyki i do literatury. Zamiłowanie jest zawsze poprzednikiem i zapowiedzią talentu. Hrabia Karol przeto, wedle tego może o osobliwości twojej trzyma“.

„Ah! nie wedle tego — odpowiedziała

hrabianka. — Przeciwnie. Wujaszкови, jak się zdaje nie podobają się zamiłowania moje. Wujaszek utrzymuje, że za dużo grywam i ostrzega mnie, że od uderzania o klawisze, popsuję sobie palce, które jakoby przybiorą kształt buławeczek.

Pani Kaniowska na list powyższy tak odpisała:

„Musisz się ostrzelać z dowcipami ludzi na dowcip chorujących. Choroba ta do wysokiego stopnia posunięta, manifestuje się naprzód przesadą, następnie zwracaniem ostrza przeciwko przedmiotom, posiadającym znaczenie i najbardziej szanownym i poważnym. Przedstawienie powag ze strony śmiesznej, najłatwiej się dowcipnisiom udaje. Nie bierz więc bardzo do serca porównań hrabiego Karola. Hrabia Karol jest jednym z chorujących mocno na dowcip. Powtarzam jednak dawniejsze podejrzenia moje: oto musiał w tobie jakiś talent, jakiś może talentu zarodek odkryć, kiedy — jak piszesz — nie przestaje okazywać ci względów szczególnych. To nie w jego naturze.“

„Czy wujaszek talent jaki odkrył we mnie? — pisała hrabianka. — Wątpię. Z tego, co mi sam o mnie mówi, domyślam się, że obchodzi go nie żaden talent, ale moja osoba. Była temi dniami o talentach mowa. Wujaszek wyraża się o nich z lekceważeniem, z pogardą

nawet, uznając je jeno o tyle, o ile się zużytkować dają jako środek podobania się. Odrzuca przeto bezwarunkowo talent literacki, odrzuca malarstwo i rzeźbę, a probuje muzykę, wyżej śpiew, a najwyżej taniec. Moje kwalifikacje nie idą w tym kierunku. Nie nadaję się ani na tancerkę, ani na śpiewaczkę ani na aktorkę. Muzykę miłuję, nie dla samej jednak muzyki, ale dla tego, że mi ona uzupełnia niejako wrażenia, jakie na mnie wywierają sztuki piękne i literatura nadobna. Malarstwo, rzeźba, muzyka, poezja, tłómaczą się wzajemnie w oczach moich i w mojej myśli. Utwory Chopina wprowadzają mnie w tajemniczą głębię poezji ludowej. Nie grywam atoli dla podobania się; nie byłabym w stanie z muzyki robić wystawy sklepowej i czuję, że gdyby mi przyszło wystąpić na koncercie popisałabym się jak najhaniebniej. Wujaszek o tem wie i nie namawia mnie do produkowania się na estradzie koncertowej. Zdaniem jego moje talenty, są to: rysy mego oblicza, kształty mojej postaci, mój uśmiech, moje wejrzenie i t. d. i te to talenty powinnam rozwinąć, celem podobania się i zajęcia stanowiska królowej. Kobieta piękna — słowa jego — sama sobie winna, jeżeli królową nie jest. Mnie o to ani trochę nie chodzi, wujaszekowi zaś chodzi nie o co innego. Porozumienie pomiędzy nami stało się niemożliwym, a że wujaszekowi potakują papa i mama

że mi mama parę razy o losie wspominała, że dla owego losu udziela mi wujaszek wskazówek tyczących się niektórych panów, dla tego, oh!.. tak bym rada z Wiednia balonem uciec do Gajów“.

Wzmianka o „niektórych panach“ tyczyła szczególnie jednego — jednego, ale nie byle jakiego.

Kiedy hrabianka zrzuciła z siebie obsłony podlotka i zajęła wyraźnie stanowisko panny na wydaniu, hrabiostwo otworzyli dom na ścieżaj dla wyboru towarzystwa wiedeńskiego. Tak wypadło. Kalkulacje pana Alfreda doradziły mu, celem urzeczywistnienia idei, którą w głowie piastował, chwycić się sposobu, którego — jak podają kroniki marynarskie — chwycił się pewien kapitan okrętu, gdy burza statek jego na ławę skał podwodnych, na pewne rozbitcie niosła. Kapitan ów, w obec zguby nieuchronnej kazał rozwinąć żagle wszystkie. Sposób ten sprowadził następstwo świetne. Wicher porwał statek i przeniósł go przez ławę skalną po wierzchu fali. Podobnie i pan Alfred: rozwinął wszystkie swoje żagle — dawał bale, wieczory, wieczorki, urządzał recepcje. Szwagier karty tasował i tkał mu w ręce atuty pod postacią ponętnej, uroczej, puszką świeżości pensjonarskiej okrytej panny na wydaniu.

Na jednym z balów, czy wieczorów przedstawionym jej został markiz de Travers.

Markiz — naturalnie francuz — miał na imię: Gustaw. Imię to niebezpieczne dla młodych panien. Niebezpieczeństwo atoli nie na tem polegało. Byłoby ono nie mniejszem, chociażby się wabił imieniem Błażeja, lub Bartłomieja.

Markiz, młody, elegancki, światowy w całym tego słowa znaczeniu człowiek, posiadał specjalność podbijania serc niewieścich. Specjalność ta stanowiąca specjalną i oryginalną własność francuzów, w której on pośród współziomków swoich celował, spowodowała przyłączenie go do personalu ambasady w charakterze „attaché” urzędnika, mającego za zadanie, badanie tajemnie dyplomatycznych, za pomocą podbijania serc niewieścich. Urząd to bardzo ważny, wymagający biegłości szczególnej, i zdolności niepospolitych. Markiz opowiadał mu w zupełności, odpowiadał tem bardziej, że go otaczała sława pod postacią wieńca uwitego z ofiar jego galanterji.

Uwagi jego nie mógł na siebie nie zwrócić pan Alfred, torujący sobie drogę i mający, dzięki stosunkom w wysokich sferach szanse zajęcia stanowiska wybitnego. Szukał zbliżenia się do niego. Przyszło mu to z łatwością, jak również bez trudności rozpatrzył się w sytuacji, a wzięwszy za przedmiot spostrzeżeń matkę

Żusia.

31

i córkę, poznał, że na razie punkt ciężkości spoczywa w tej ostatniej. Zwrócił się więc do niej.

— Markiz się coś do naszej Żusi przysiadła.. — zauważyła hrabina razu pewnego.

— To dobrze... — odrzekł pan Karol.

— Czyż cò z z tego wyniknąć może? Czy to partja odpowiednia?

— Odpowiednia?... Hm?... Majątkowo.. chyba nie, markiz bowiem, o ile wiem, obok pensji pobiera dochody z destylarni, założonej w zamku, nabytym przez jego ojca od nabywcy jednego z majątków skonfiskowanych. Dochody to szczupłe..

— Ale ród dobry... — wtrąciła hrabina.

— A dobry, ojciec jego był szynkarzem w Tours..

— Markiz?..

— Markizem się tytułuje od posiadłości..

— Więc? Przysiadanie się jego do Żusi? zaczęła hrabina głosem niepewnym.

— W każdym razie... rozrusza dziewczynę. Żusia zdziczała na wsi i mimo dwuletni już z górą pobyt w Wiedniu, pokostu wiejskiego nie pozbyła się jeszcze. Markiz ją rozrusza i brylant ten odpoleruje.

— Byleby ona na tem nie ucierpiała...

— Zkądże!... To ją jeszcze zaznaczy, jako przedmiot spółubiegań.

Markiz de Travers pozyskał pana Altreda całkowicie, tak dalece, że mimo wszystko — nie sprzeciwiałby się oddaniu mu Żusi, gdyby się o rękę jej oświadczył.

Francuz jednak nie oświadczał się, mimo, że tak rzeczy urządził, jakby sposobności ku temu szukał. Na sposobnościach nie brakło i bez szukania. Bale, rauty, nastęrczały okazji mnóstwo. Sezon ostatni z hrabiostwem i hrabianką częścią w Szwajcarji, w końcu w Trouville spędził.

Hrabianka nie czuła do niego wstrętu — przeciwnie: śród wszystkich młodych i starszych płci męskiej przedstawicieli, w nim jednym próżnia dzwoniła najmniej, w nim jednym odzywały się dźwięki pokrewne tym, które panny Elżbiety duszę napełniały. Rozumiał dobro, czuł piękno; rozmowa z nim wychodziła po za zakres banalności salonowych i ogólników kosmopolitycznych. Raz w Ostendzie, na grobli, zapytał hrabianki o najulubieńsze jej w okolicach Wiednia miejsce wycieczek zamiejskich.

— Najulubieńsze?.. — odrzekła — chyba jedno.

— Które mianowicie?

— Kahlenberg...

— Odwiedza je pani często?

— Dosyć częste, a obowiązkowo raz w roku: dwunastego września.

*

Francuz pytające zwrócił na nie wej-
rzenie.

— Rocznicą uratowania Wiednia przez So-
bieskiego — odpowiedziała.

— A! — odrzekł. Asystuje pani nabożeń-
stwu. W tym roku spotkam panią przed kościo-
łem po nabożeństwie.

Na naznaczone „rendez-vous“ hrabianka się
stawiła. Towarzyszyła jej Justyna. Przed kościo-
łem jednak nadaremnie się za markizem oglą-
dała. Sprawilo to jej przykrość wielką, większą
aniżeli przypuszczać mogła. Powracała do Wie-
dnia, o markizie myśląc.

Za powrotem do Wiednia spotkała ją nie-
spodzianka, która ją naprzód zdziwiła, następnie
uradowała. Zdziwiły ją zwarzone ojca i matki
miny. Pan Alfred nadrabiał powagą dyploma-
tyczną, lecz frasunku pokryć nie mógł. Hrabina,
która wiedziała o umówionej pomiędzy córką,
a markizem schadzce, nie zapytała o nią, wyda-
wała się smutną i nie swoją. Oboje hrabiostwo
zachowywali się przy stole milcząco i spożywali
podawane jadlo z akcentem zawziętości, jakby
zemstę wywierali na sztukamięsie, pieczysem,
rybie jarzynach i przyprawach. Pan Alfred du-
szkiem wino wypijał, z przyciskiem szklan-
kę stawił, a po wstaniu od stołu wyszedł. Hrabina
ujęła hrabiankę pod ramię, udała się z nią do

buduaru i tam, na dywan się opuszczając, oświadczyła jej:

— Wiesz, Zusi pojeździemy do Gajów.

— Mamo! — wykrzyknęła hrabianka głosem uradowania wielkiego.

— Musimy. Papie się tak interesy złożyły, doznał zawodów, niepowodzeń, musimy jechać...

IV.

Łatwym jest do odgadnięcia powód, dla którego hrabiostwo Pieccy musieli Wiedeń opuścić. Wyraził się on pod postacią odmowy kredytu.

— To znaczy „aus“ — odrzekł hrabia z odpowiednim dłonią gestem, gdy mu w banku bilans przedstawiono.

— Bynajmniej. My — odpowiedział mu urzędnik zwyczajnie nie mamy doprowadzać dłużników naszych do ruiny ostatecznej. Cóżby nam z tego przyszło? Możesz pan jeszcze znaleźć kredyt u żydów, jeżeli ci o zrujnowanie się chodzi; możesz z długów się oczyścić, jeżeli masz po temu wolę i kogoś, coby gospodarstwo prowadził porządnie. Gaje, to złote jabłko.

W obec takiej alternatywy, panu Alfredowi nic nie pozostawało innego, jak tylko manatki zabrać, do Gajów rejterować, a odkładając ideę na później, na czas nieograniczony, oddać losy swoje w ręce pana Kaniowskiego.

W panu Kaniowskim spoczęła całkowicie nadzieja ratunku.

Konieczność opuszczenia bruku, do którego hrabiostwo nie nie wiązało, póki panu Alfredowi ksiądz w głowie zajęczka nie ulokował, zmartwiło hrabiego, a zatem zmartwiło i hrabinę. Zmartwieni wybierali się. Zajęło to parę tygodni. Pan Kaniowski nicby o tem nie wiedział, albowiem pan Alfred zamierzał posłać mu w chwili wyjazdu dopiero zawiadomienie telegraficzne, gdyby nie hrabianka, która natychmiast do pani Kaniowskiej napisała, zaczynając list od wyrazów :

„Co za szczęście, pani moja kochana! opuszczamy Wiedeń. Smu i to mamę i papę, mnie cieszy. Dowiadując się o chorobie pani, ustawicznie mi się po głowie snuło, że obecność moja w Gajach, mogłaby się na co bodaj trochę przydać. Dziękuję panu Prokopowi za wiadomości; wkrótce je sprawdzę na miejscu*.

Wzmianka o panu Prokopie z'ąd pocho-
dziła, że od roku blisko panią Kaniowską w ko-
respondowaniu z hrabianką wyręczał. Z racji
tej, straciły ten charakter poufałości, jaki miały
dawniej. W pierwszym Prokop zawiadomił, że
matka na oczy cierpi, pisać sama nie może,
spodziewał się jednak, że to przeminie i wów-
czas list obszerny napisze. Ale czas przemijał,

a na list własnoręczny pani Kaniowska zdobyć się nie mogła.

Hrabiance to zawadzało, zawadzało pod wielu względami zwłaszcza pod tym, że krępowało swobodę wynurzeń w obec młodego człowieka, z którym, luboć był to to kaleka, i jako taki, w mniemaniu powszechnem, w rachubę nie wchodził. Liczyć się należało dla powodów znanych matce, znanych ojcu, znanych hrabiance, a nie znanych jemu samemu. O powodach tych będzie później tymczasem wystarczy zaznaczyć, że pośrednictwo Prokopa było nie na rękę hrabiance i nadzieja zastąpienia rozmowy listowej ustną wprowadziła ją w radość bardzo wielką.

Rodzice się martwili, ona się cieszyła.

Zmartwienie pana Alfreda powiększały jeszcze kłopoty, nieodłączne nietylko od wynoszenia się z miejsca, w którym się przez lat kilkanaście parafią zasiedziało, ale także i od sprawy, którą wprowadził, rozpoczął i wielką forszą majątkową popierał. Od tego rodzaju spraw odciąć się niełatwo. Dwie zwłaszcza przyczepki dały mu się we znaki. Zainterpelował go najprzód pan Karol. Uczynił to ze spokojem człowieka, wprawnego do panowania nad sobą.

— Dowiaduję się, że opuszczasz Wiedeń, rzekł tonem od niechcenia.

— A, tak Czyż się nie dosyć w Wiedniu nasiedziałem ?

— Zapewne. Cóż z ideą twoją będzie ?

— Ze sobą ją zabiorę. Niech się w Gajach maceruje.

— Zastygnie...

— Cóż robić! Paliwa mi zabrakło na ogrzewanie jej w Wiedniu.

— Znalazłoby się gdybyś poszukać chciał.

— I Gajeby z dymem poszły.

— Niekoniecznie. Żusia by dym zdmuchnąć mogła, gdyby się wydała za męża nie w Gajach, ale w Wiedniu.

— Ba, czybyś się podjął za jej wiedeńskie zamążpójście rzeczy ?

— Ręczyłbym, gdybym ojcem jej był.

— Cóżbyś zrobił ?

— Przedewszystkiem byłbym jej z Wiednia do Gajów na edukację nie przenosił. W Gajach się jej głowina zakręciła.

— Stało się... za twoją nawet poradą.

— Wykonaną precudnie. Zamiast na lat trzy, cztery, pięć najwięcej, zostawiliście dziewczynę w lesie, lat dziewięć czy dziesięć. Mniejsza jednak o to Brylanty im twardsze, tem się trudniej oszlifowują, ale uszlifują się w końcu. Namyśl się przeto... Kredyt jeszcze znajdziesz.

Pan Alfred przyjął to do wiadomości, jak

się przyjmuje zdanie, jednym uchem wchodzące, drugim wychodzące.

Trudniej mu poszło z mężem stanu, który, czując się już jako fortancerz wybrakowanym, tem mocniej trzymał się płota, grodzonego przez pana Alfreda.

Hrabia Łopaciński wpadł naksztalt pociąsku armatniego.

— Co słyszę! hrabio! — zawołał.

— Wynoszę się...

— No... no... no... jakże to!... A idea?

— Z sobą ją zabieram.

— Na Boga, hrabio, opamiętaj się.

— W czym?

— Jesteśmy już celu blizcy...

— Blizcy? — odrzekł pan Alfred. — Zbliżamy się do niego przez lat... przez lat?

— O lata właśnie chodzi. Lat tyle się pracowało dla celu... dla celu, który się okazuje tuż.. tuż... tuż... Ostatnia broszura takie silne, takie druzgocące, takie piorunujące zrobiła wrażenie... I cóż?... Ma to pójść na marne?

— Zda się na później...

— Na kiedy?

— Czy ja wiem.

— O, nie, hrabio. Tak nie można.

— Więc cóż?

— Moja praca... moje trudy... moje bezinteresowne tyloletnie poświęcenie... Tylem włożył...

— Włożyłem i ja nie mało.

— Co.. Cóżes włożył? Marny grosz.. po-
dła mamonę. Ja, jam włożył życie... życie!...
rozumiesz, hrabio?

Uśmiechnął się hrabia Łopaciński żało-
śnie.

— Zdaje się jednak, hrabio — odparł pan
Alfred — że, żyjesz...

— Taak? Ledwie się ruszać mogę. Uczci-
wego hołubca wyciąć nie jestem w stanie. Stra-
ciłem ów rozum w nogach, którym zainauguro-
wałem zwrot w dyplomacji, ów rozum, na który
się ludzie gapią, który imponuje masom i sferom
najwyższym, który... który... który... mająż wy-
siłki tego rozumu zapaść się? przepaść? zagi-
nać bez śladu?

— Pozostaną.

— Co?

— Ano... broszury przecie.

Hrabiego Łopacińskiego oblicze przybrało
wyraz złośliwy. Odrzekł z przyciskiem.

— Nie zapłacone.

— Jaktó? — wybuchnął pan Alfred.

— Nie za pła-co-ne — powtórzył z przyci-
skiem jeszcze mocniejszym.

— Żartujesz chyba, panie Leopoldzie — od-
parł hrabia Alfred, odzyskując zimną krew,
która go opuściła na chwilę. — Mam kwity
twoje.

— Tak... Kwity, a w kwitach co?

— Poszczególne wypłaty autorom, redaktorom, drukarzom i księgarzom.

— Tym gałganom autorom, tym opryszkom redaktorom, tym złodziejom drukarzom i tym rozbójnikom księgarzom... Opłacimy.

— Ja opłaciłem... — poprawił pan Alfred.

— Tak, tem lepiej... ty, hrabio. opłaciłeś gałganów, opryszków, złodziei i rozbójników, a duszę tej pracy olbrzymiej, kolosalnej piramidalnej, duszę tej pracy, jej sprężynę główną, dyrektora i inspiratora, odprawiasz, jak się odprawia — rzekł z uniesieniem -- lokaja.

— Ależ, hrabio!

-- Oh! -- uderzył się hrabia Łopaciński dłonią w piersi. — Mógłbym się podobnego za poświęcenie wynagrodzenia spodziewać?

Wyrzekł słowa te z takim rzewnym akcentem, że wzruszył pana Alfreda.

— Jakże? — zaczął. — Jakże bym się wywdzieczyć mógł?

— Jak? Mnie, hrabio, o to pytasz?

— Kogóż mam pytać?

— Sumienia, honoru własnego...

Wyrazy te w trudnem pana Alfreda postawiły położeniu. Jego sumienie i honor nie posiadały zgoła kompetencji do ocenienia poświęcenia tego rodzaju, jakiego dowody współpracownik jego

w torowaniu drogi dla idei złożył. Nie wiedział, co odpowiedzieć na to. Cóż miał począć? Czekał chwilę, ażali hrabia Łopaciński nie udzieli jakiego w● względzie sumienia i honoru objaśnienia, i po chwili wygłosił następujące przez ślinę mu na język przyniesione zapytanie:

— Ileż?

— Miljon byłby za mało.

— Miljon dać, chociażbym sobie wszystką krew wypuścić i wszystkie żyły wypruć kazał, byłoby dla mnie zawiele. Gaje mało co więcej, aniżeli połowę miliona warte, a na Gajach się Ländlerbank zahipotekował.

-- Więc cóż?

-- Więc, hrabio kochany, trzeba cyfrę obniżyć trochę.

Kłopot, w jakim się przed chwilą pan Alfred znajdował, przeszedł na hrabiego Łopacińskiego. „Primo impetu“ krzyknąć chciał: „Nie chodzi mi o podłą mamonę, ale...“ Wstrzymał się jednak. Wstrzymał się dla dwóch powodów: po pierwsze, nie wiedział, co po „ale“ powiedzieć; powtóre, ze słów pana Alfreda poznał, że nie jest on od tego, żeby dać jakieś odczepne — nie miljonowe, ale jakieś przecie. W głowie, zmieniając się z szybkością błyskawiczną, przemykać mu zaczęły cyfry: to tysięcy i dziesięć tysięcy. „Czy sto tysięcy nie za wiele? A czy dziesięć tysięcy nie za mało? Wy-

razy: za wiele — za mało wywracały czas jakiś w mózgu męża stanu koziolki i sprowadziły postawienie kwestji na gruncie targu polegającego na żądaniu kwoty tak wysokiej, ażeby zredukowanie jej do połowy, do czwartej części nawet, zapewniało byt zadowalniający. Czwartą część żądanej za towary ceny ofiarowują zazwyczaj handlarzom po miasteczkach u nas. Na tej podstawie, hrabia Łopaciński rękę podniósł, giest wyrazisty wykonał i z patosem zawolał:

— Milion za mało! stanowczo za mało!.. Ale ja, hrabio, ja... ja, com gotów był z tobą iść na życie i na śmierć, ja com zwrot dyplomatyczny z twoją żoną, z hrabiną, zainaugurował, ja, com dał inicjatywę, dołożył pracy, starań i poświęcenia, ja com moje interesy osobiste dla twojej idei zaniedbał i straty kolosalne poniósł, ja, zgadzam się na obniżenie cyfry do tysięcy... do tysiący — rzekł tonem takim, jakim się łaska oznajmia — pięćdziesięciu.

— Dobrze, odrzekł pan Alfred — tysięcy, pięćdziesiąt powiadasz?

— Pięć-dzie-siąt tylko.

— Dobrze...

Sięgnął pan Alfred w zanadrze, wyjął pugilares, otworzył, wydobył zeń banknot pięćdziesiątreńskiowy i podał takowy hrabiemu Łopacińskiemu.

Hrabiemu oblicze nieco pobladło i oczy

zamigotały. Trzymając banknot w rękę, spoglądał to na banknot, to na pana Alfreda. Zdawało się, że owdadła nim ciemnota. Przemówił jednak. Odezwał się głosem lekko drżącym:

— Co to znaczy?

— Indemnizuję cię, hrabio, stosownie do twego żądania.

— Maż to być pięćdziesiąt...

— Pięćdziesiąt tysięcy, podzielonych na tysiąc.

-- Ach! — wykrzyknął, mnąc banknot w garści i podnosząc ramię do góry — odpowiesz mi za to przed ludzkością i historją.

Wyrazy te cisnął, do drzwi się zwrócił i wyszedł.

Pan Alfred cygaro zakurzył.

Takich i tym podobnych zajęć miał jeszcze kilka, a dopiero swobodnie odetchnął, gdy po załatwieniu interesów i interesików, po pozbyciu się wizyt pożegnalnych, zasiadł nareszcie w wagonie.

— Ah! odetchnął z głębi piersi.

Hrabina łązy obcierała.

— Nie płacz, Milciu. Kaniowski zaradzi jakoś. Zresztą, w Gajach odwykniemy od Wiednia, jakeśmy w Wiedniu odwykli od Gajów, a jeżeli nie odwykniemy, to po paru latach rekolekcji, gdy nam odrośnie podskubane pierze, powrócić będziemy mogli. No!.. masz!.. — na-

gle wykrzyknął i w palce klasnął. — Zapomniałem do Kaniowskiego zatelegrafować... on o niczem nie wie.

— Więc... — odezwała się hrabianka.

— Toż jak?

— Pisałam do pani Kaniowskiej...

- Ona podobno zaniewidziała.

- Pan Prokop ją w czytaniu i w pisaniu wyręcza.

— Pan Prokop?... — zapytał pan Alfred.

— Syn..

— A.. Ano.. Więc Kaniowski uprzedzony. To i dobrze. Zatelegrafuję z Prerau, może aż z Krakowa

Do Krakowa drzemka. W kompartymencie pierwszej klasy z podróżników, oprócz rodziny hrabiostwa Pieckich, nie było więcej nikogo. I nikt w ciągu podróży przybyć nie mógł. Na kolejach austriackich jest sposób gwarantowania się przeciwko towarzyszom niepożądanym. Zależy to od grzeczności konduktorów, która kosztuje nie drogo. Gdy hrabiostwo wsiadali, pan Alfred dotknął dłonią dłoni konduktora i ten rzekł:

— Dobrze, dopilnuję.

Roztasowali się więc wygodnie. Byliby — jak to mieli w zwyczaju — wzięli wagon sypialny, gdyby nie względy finansowe, nakazu-

jące oszczędność. Pan Alfred zajął jedną ławkę, hrabina drugą.

— My się pomieścimy we dwie — rzekła ta ostatnia do hrabianki — skurczę nogi i będzie nam wygodnie.

— Niech się mama o mnie nie troszczy — rzekła hrabianka. — Ja i w ślepingach sypiać w podróży nie mogę. Przesiedzę więc, drzemiąc, noc przy oknie.

Szałem się obwinęła, umieściła się i przytuliła do materacowej poręczy, zachodzącej na szkło okna. Skronią do materaca przylgnęła i w okno się wpatrzyła.

Okno pełniło funkcję zwierciadła. Jasna szyba na czarnem tle nocy odbijała w sobie wnętrze wagonu oświetlone latarnią, a wypełnione torebkami i pudełkami, garnirującemi pułki i luki. Śród gratów widniały postacie hrabiego i hrabiny, zażywające wczasu. Hrabiny głowa w kapiszonie przedstawiała się wcale wdzięcznie. Hrabia w jedwabnym kaszkiecie podróżnym, nadęty i sapiący, wyglądał nie najgorzej. Czy hrabiankę widok ten zajmował tak mocno, że dla niego od szyby oczu nie odrywała? Czy może oczami pomagała słuchowi i muzykalną będąc, studjowała tony, na które składały się: turkot pociągu, szum wiatru, dudnienie deszczu o dach wagonu, dzwonięcie szyb deszczem sma-

ganych, i przeciągłe, przenikające, od czasu do czasu odzywanie się gwizdawki kolejowej?

Czy wpatrywała się, czy wsłuchiwała? Ani się wsłuchiwała, ani wpatrywała. Oczy jej spoczywały na szybie zwierciadlanej, ale tego, co szyba ta przedstawiała, nie widziały. W słuchu jej przelewały się szумы, huki, pluski, świsty, ale tych szumów, huków, huków, plusków i świstów nie słyszała. Zajmowało ją coś innego. Myśl jej przeistoczyła się w różaniec i ona na tym różańcu przesuwiała paciorki wspomnień, uzbieranych na nie długiej życia na wielkim świecie drodze, którą przeszła. Na drodze tej nie spotkało je nic nadzwyczajnego, luboć nie jedno nadzwyczajnością wydać się mogło, gdyby nie posiadała w duszy narządu podobnego do klapy bezpieczeństwa, który neutralizował wpływy wrażeń, o jakie się ocierała.

Na jakąż dziewczynę wrażenia nie działają — mianowicie wrażenia, pochodzące od chłopców? Sfera towarzyska niezastania przed nimi. Wędzidła wychowawcze nie zawsze skutkują i często dysymulację lub hypokryzję urabiają. Działały więc i na hrabiankę, przed której oczami przesuwały się seciny domorośłych Zdzisiów i Bysiów, jakoteż zagranicznych kawalerów, spóźzawodniczących z tenorami w zakresie poruszania serc i serduszek niewieścich.

Hrabianka uchodziła za pannę posaźną.

Wystawiało ją to na sztych. W Wiedniu, u wód, nad morzem, w wędrówkach po górach (czytaj po hotelach) szwajcarskich, towarzyszyła jej straż przyboczna, złożona z młodzieńców, pozujących na niepospolitości. Zatrzymywała uwagę raz na tym, znów na owym; podlegała wrażeniom niekiedy silniejszym, niekiedy słabszym, nigdy atoli takim, pod naciskiem których klapa bezpieczeństwa nie otworzyłaby się i nie uwolniła od nich. Wypadki podobne następowały jeden po drugim. Stanowiły one osobny rodzaj nawieszanych na różańcu paciorków, które, patrząc w okno i słuchając tego, co się za oknem działo, — w myśli przesuwawa. Przeplatały je paciorki innego rodzaju. Jeden mianowicie zatrzymała w myśli dłużej i lubowała się nim. Było to wspomnienie niedawne — z przed paru miesięcy. Ożyło ono i w oczach jej żywcem w czarnej deszczem smaganej szybie stanęło. Zarysował się w niej obraz, złożony z mgieł, skałurwisk, sosnowych borów, tęczyowych kolorów, orłów rzucających cienie na lecące chmury, skrzydeł rozwianych żałobą i z koron ze śniegu i z przebijającego się przez mgły u stóp Jungfrau słońca.

Było to na Rigi Kulm, przy oglądaniu widoku, dla którego z całej kuli ziemskiej, jak mahometanie do grobu proroka, ściągają się wędrówce. Hrabianka noc spędziła w hotelu. Z nią

i brabiostwem liczne międzynarodowe, a raczej wszechnarodowe, przybyło towarzystwo. Straż jej przyboczna składała się z dwóch spółziomków i z markiza de Travers. Na dany o świcie sygnał, rosjanie, amerykanie, Anglicy, Francuzi, Niemcy, Włosi, Hiszpani, Skandynawczycy, Holendrzy, Węgrzy, Japończycy, Indianie, Chińczycy, Turcy, Rumuni płci obojej i wieku różnego, wyszli na taras przyozdobiony dla widzów. Hrabianka wyszła jedna z najpierwszych. Zaledwie miejsce zajęła, otoczyli ją „cavalieri servanti“, i okrzyków podziwu, dających się słyszeć w tłumie, dołączali wykrzykniki znamionujące zachwyt:

— Jakież to piękne! Co za wspaniałe! Nic podobnego oglądać nie sposób!

Widowisko zasługiwało na zachwyt. Pogoda — co się nie często zdarza — dopisała, i słońce rolę swoją odegrało, jakby nie potrafił na scenie najznakomitszy popisać się aktor. Wedle programu, zapisanego w przewodnikach, wychyliło się z po za bladoróżowego rąbka jutrzynki i osłoniło mgły w dole, a w górze różowy odblask rzuciło na śniegi, odsłaniając panoramę, zdumiewająco urozmaiconą.

Piękno natury rozwinęło się w potęgę całej, za oczy chwyciło, do duszy wnikało i wywołało z ust całkiem zasłużone okrzyki, wy-

rażające się, bądź, jak powyżej, bądź też krótko :

— Oh!... Oh!... Oh!... O!... Oo!...

Niektórzy zachwyty tłumaczyli westchnieniem.

Hrabianka oniemiała. Ani odezwać się, ani krzyknąć, ani westchnąć nie była w stanie. Wpatrzona w walkę światła i cieni na tle górskiej przyrody, czucie nawet postradała, w posąg się zmieniła. Anestezja ta trwała tak długo, póki się słońce nie wzbilo po nad tuman przedporankowy i nie zmusiło cieniów nocnych do odwrotu w parowy głębokie. Wówczas usłyszała okrzyki i westchnienia znamionujące zadowolenie widzów z odegranej w ich oczach przez naturę dramatu, i w myśli stanęły jej w widomych niejako kształtach następujące wyrazy :

Ach, najszcześliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładą,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą.

Z wyrazów tych wysnuł się w jej pamięci cały od początku do końca poemat: „W Szwajcarii.“ Wyrecytowała go sobie w duchu — recytując, odczuwała wszystko, co poeta wypowiedział. W poemat ten wcieliła się niejako. Wyobraźnia prowadziła ją przez góry, doliny — zrobiła z niej przewodniczkę, pokazującą, jak

chodzić po wodach, i po niebie latać. Przewodniczkę — czyją? Ktoby z nią poszedł, aż za ciemnych skał krawędzie i leciał z łabędziami, gdzie one polecą?

Z zapytaniem tem w myśli powiodła okiem po amerykańkach, anglikach, Niemcach, Włochach, etc., powiodła okiem po wszystkich i zatrzymała wejrzenie na tych, co jej straż przyboczną stanowili.

Czy który z nich nadaje się na kierownika wędrówki po górach, dolinach?

— Czy który z nich — zapytała siebie — posiada pierś na miarę nie krawca, ale Fidjasza?

Tak się w niej objawiła kobiecość. W sposób ten wyraziło się w hrabiance to, co nauka mianem doboru naturalnego ochrzciła, z przewagą jednak strony moralnej, duchowej nad fizyczną; z przewagą ucharakteryzowaną. wyraźnie określoną, usuwającą na stronę względy takie, jak majątek, stanowisko, hołdy, błyskotliwość, przymioty cielesne; oglądającą się za czemś innym, za czemś, nie mogło się ukazać inaczej, jak tylko przez pryzmat tych myśli, tych idei, tych pragnień, tych ukochań, które wyśpiewywał poeta, proklamator skazówki, pozostawionej przezeń dla dusz młodych, skłonnych do przerobienia się w a-

niółów: „Jeśli wytkniesz sobie drogę a prostą, to choćby do słońca, dolecisz“.

— Do takiego słońca, jak to oto — mówiła do siebie — zwyciężającego ciemność, budzącego do życia, wprawiającego w ruch, odsłaniającego piękno, zaznaczającego, wyzwalającego, do słońca prawdy, cnoty, miłości.

Obejrzała się.

Dwaj spółziomkowie byli to dwaj gogowie urękawicznieni i ubinoklowani. Markiz?

W tym jednym wyrazie mieściły się wszystkie inne. Ten jeden wyraz zabarwiał przymioty, jakimi ów ex-szynkarczyk górował wśród cywilnej i wojskowej młodzieży, która dotychczas przy hrabiance pełniła funkcję nadskakiwaczy, zajętych rozwiązywaniem kwestji: „Czy warto się z nią węzłem hymenu związać?“ Markiz, zdawało się, kwestji tej nie stawiał sobie wcale, w towarzystwie zaś hrabianki smakował dlatego, że pomiędzy nim a nią zachodziło rozumienie się wzajemne. Rozmowy, jakie ze sobą toczyli, nie krążyły w sferach banalności salonowych, lecz dotyczyły przedmiotów, bądź literackich, bądź naukowych, bądź zahaczały o sprawy będące w obiegu.

Panna Piecka o wielu rzeczach od niego się dowiedziała i niejednej wiadomości jemu udzieliła. Lubiła też towarzystwo jego; przekładała je nad towarzystwo gogów, i kiedy w takim u-

roczystym momencie, jakim było dla niej objawienie się majestatu natury, powstało w niej pragnienie pójścia razem na śniegu korony, pójścia razem nad sosnowe bory, — kiedy w niej pragnienie to powstało, powiodła okiem po amerykańkach, anglikach, hiszpanach, japończykach, rumunach etc., spojrzęła po gogach, na nim najdłużej wejrzenie zatrzymała i — westchnęła.

Gdy słońce nad horyzont się wzniosło, czar pękł, a raczej rozwiął się, wraz z tumanami porankowemi.

Wspomnienie o momencie w którym hrabianka tyle i takich doznawała wrażeń, w oczach jej stanęło — odbiło się w czarnej szybie wagonu. W zwierciadle tam ukazał się jej markiz. Nie rościła sobie do niego praw, ani pretensji żadnych, a jednakże — czuła do niego żal. Miał być z nią razem na Kahlenbergu, czekała na niego w kościele, oglądała się za nim przed kościołem. Ani nie przszedł, ani się na pożegnanie nie stawił. Chciała mu dłoń uścisnąć, na podziękowanie za kilka dobrych chwil, jakich w towarzystwie jego zaznała. Czy podziękowanie to przeczuł i duma nie pozwoliła mu zgłaszać się po nie? Nie wiedziała, co o tem myśleć, i przykro jej było.

Była też to jedyna przykrość, jakiej w tej podróży doznawała. Zresztą jechała rada. Przejmowało ją uczucie, żeglarza, dobijającego do

portu, w którym czekają nań powitania serdeczne i serca bijące w jeden z sercem jej takt.

— Ksiądz Kochański nie żyje — westchnęła. Księżzowa się do Lwowa dla edukacji córek wybrała. Pani Kaniowska... biedna... chora... Pan Prokop...

Pan Prokop myśl jej zajął. Znowu na jej różańcu nowe pojawiło się wspomnienie, na którym się dłużej zatrzymała. Stały jej w oczach dwa obrazy: jeden przedstawiający panią Kaniowską grającą, drugi — czytającą. Grała i czytała dla syna, ona grała lub czytała; Prokop słuchał, i słuchając, na obliczu się i w oczach mienił. Mienienie się jego dziwnie się manifestowało, opromieniało mu bowiem niejako głowę i czyniło go jasnym. Zwykle twarz miał pospolitą, podłużną, przywiedłą, wzrok przygniony, smętny. Pod wpływem grania i czytania matki, ożywiała się stopniowo twarz, ożywiał się wzrok; od czasu do czasu z cicha odchrząkiwał, jakby ustępy niektóre podkreślał; niekiedy w oczach pojawiały się łzy, niekiedy usta się poruszały, jakby sam ze sobą cichą prowadził rozmowę. Raz hrabianka była świadkiem sceny uniesienia, nad którym Prokop zapanować nie zdołał.

Pani Kaniowska bardzo rzadko czytywała utwory prozą. Prozę Prokop czytywał sobie sam

przebiegał oczami stronicie. Robił to i z poezją; ale potrzebował ją słyszeć, potrzebował ożenienia myśli z brzmieniem, ażeby w pełni całej odczuć wrażenie piękna, wydzielającego się z rzeźby, słów, uszykowanych rytmicznie. Matka czytywała mu poetów niemieckich, francuskich i swoich.

Mimowolnie i mimowiednie nasuwało się jej na myśl porównanie pomiędzy pełnym siły i życia, eleganckim i wykształconym markizem, a niedołącznym kaleką. Porównanie to przychodziło, nie wiedzieć dlaczego. Dla francuza miała szacunek, ale nie uczuwała w sobie inklinacji, tej inklinacji, co stanowi wstęp do uczucia głębszego. Myślała o nim, jak się myśli o czemś, o czem wspomnienie sprawia zadowolenie. Nic innego nie wiązało jej z markizem — i nic osobliwszego nie ciągnęło jej do Prokopa.

Mimo to, z takim jechała uczuciem, jakby od francuza do niego śpieszyła, jakby pod jego skrzydłem osłony przed jakimś nieokreślonym szukała niebezpieczeństwem. Pragnęła corychlej w Gajach stanąć. Pęd pociągu pośpiesznego nie był dla niej dosyć pospiesznym. Do tego, tu i ówdzie zatrzymywał się.

— Brünn!.. Prerau!... Oderberg!.. wywoływał kolejno konduktor.

Hrabiankę to niecierpliwiło.

— Czego oni tak długo stoją? — powta-

rzała w duchu na stacjach. Na kogo czekają? Ktoby tam w taką noc i w taką niepogodę w podróż puszczać się chciał!

W rzeczy samej siadający na stacjach rzadko się trafiali. Żydzi nawet, wędrowce najzapamiętalsi — z powodu, że w pociągu klasy trzeciej nie było, — świecili nieobecnością. W Bernie wysiadło osób trzy, w Prerau nikt; w Oderbergu — nie zauważyła hrabianka, czy kto wsiadł czy wysiadł, sprawił jej bowiem dystrakcję ojciec. W chwili, kiedy się pociąg zatrzymał, pan Alfred, który dotychczas spał snem sprawiedliwego, zerwał się nagle z oznakami przestרחu. Oczy szeroko rozwarł, gębę otworzył i wydawał gardlane okrzyki.

— A!... ha!... ha!...

— Papo!... — odezwała się hrabianka.

— Ha! co? co?

— Coś się papie przyśniło.

— Co?

— No... Nie wiem...

Pan Alfred czoło dłonią potarł, kaszkiet jedwabny na głowie poprawił, szeroko z akcentem ziewnął, wstrząsnął się, położył i zasnął.

Hrabianka na matkę spojrzała. Hrabina z jedną nogą spuszczoną, z drugą kolaniem do góry podniesioną, spała twardo i smacznie, podsuwając pod córkę stopę nogi podniesionej. Panna Elżbieta, dla stopy matczynej usunęła się,

o ile na to miejsce pozwalało i do poręczy się przytuliła. Przebudzenie się ojcowskie przeszkodziło, jej w przesuwaniu różańca wspomnień. Do materaca przytulonej, powieki kleić się poczęły, głowa się chyliła, na sen się jej zbierało. Zatrzymanie się pociągu w Oświęcimiu obudziło ją, ale na to, ażeby następnie mocniej się zdrzemnęła i ażeby senne rojenie ukazało jej markiza i Prokopa w zmienionych rolach: pierwszy słuchał czytania pani Kaniowskiej, drugi szedł z nią (z hrabianką) ponad jeziora czarne głązy śniegi, chmury, mimo girland z orłów na błękitnym lodzie, przy słońcu czerwonym, jak krew. Szedł i ona się dziwiła: Jak on iść może po takich stromiznach, taki kaleka! Rojło się jej coś jeszcze, aż się obudziła w Krakowie.

Obudzili się i hrabiostwo.

— Kraków... a... — rzekł hrabia, wyciągając się.

— Już? — odrzekła hrabina zrywając z głowy kapiszon i ziewając.

Ziewnęła i wyprężyła się.

Hrabia okno otworzył.

— Wsiądziem — odezwał się, głowę przez okno wychylając.

Hrabina i hrabianka zajęły się przygładzaniem sobie włosów i przywróceniem porządku w odzieży, gdy tymczasem pan Alfred załatwił sprawę z konduktorem, mającym towarzyszyć

pociągowi z Krakowa do Lwowa. Porozumienie tyczące się oddziału osobnego, znów z łatwością za pośrednictwem umiarkowanego datku, zwanego łapówką, nastąpiło. Podróźni posilili się w bufecie na podróż dalszą i byliby się w nią puścili bez przesłania do Gajów zawiadomienia o przyjeździe swoim, gdyby hrabianka ojcu nie przypomniała :

— Telegram, papo...

— A, prawda! Czemuś mi w Prerau, albo w Oderbergu nie przypomniała?

— Papa spał tak smacznie.

— Spałem? Drzemałem trochę. Nocna jazda nie w „sleepingu,” to prawdziwe poświęcenie.

— Poświęca się tyle ludzi — zauważyła hrabianka.

I możeby do uwagi tej dodała komentarz, gdyby się nie nawinał ktoś ze znajomych i nie podszedł z przywitaniem do hrabiosstwa, dołączając do ukłonu zapytanie :

— A dokąd-że to Bóg prowadzi?

— Do Gajów...

— Do Gajów? — zawołał ze zdziwieniem znajomy.

— A no — bąknął pan Alfred.

— U nas tu wieści krążą, że... hrabia... tego...

— Ba... Odkładam to na później.

— Do innej konstelacji.

— Tak, hm... Wypocznę sobie trochę.

— Hrabia kochany wcale dobrze wygląda...

— Tak... hm... Tak się panu dobrodziejowi wydaje, skutkiem złudzenia optycznego.

— Ha! ha! złudzenie optyczne.

Zaśmiał się szlachcic dobrodusznie i zwrócił do hrabiny, z którą słów kilka zamienił.

Dzwonek kolejowy powołał podróżnych do wagonów. Hrabiostwo znaleźli się znów osobno w kompartymencie, w którym dojechali szczęśliwie do Lwowa, z kąd po wywczasowaniu się i posileniu w hotelu, udali się wprost do gniazda rodzinnego.

O, gniazdo rodzinne! O, „paterna rura!“
O, zapachu dymów z kominów wiejskich!

Wątpliwą jest rzeczą, czy, i o ile te rozkosze odziaływały na hrabiostwo. Wracali oni w domowe progi, niby po przegranej kampanji, przedsięwziętej bez racji i celu. Cel wprawdzie urodził się w ciągu akcji, ale pan Alfred sam dobrze nie wiedział, czy był w nim jaki sens. Chwyił się go dla tego, że się urodził i służył ku usprawiedliwieniu przed sumieniem własnem, ak pobytu w Wiedniu, jakoteż kołatania się po twiecie i trwonienia majątku. We względzie tym okazał się on wyższym od wielu, wielu zeswojej sfery, niemających na usprawiedliwienie swoje ani

nawet celu bez sensu. A jakież mnóstwo jest takich. Roją się niemi gościńce i gospody całej Europy środkowej. Na absolutnie bezcelowe szwędanie się przeszły fortuny olbrzymie, a majątki idą. Jemu się przynajmniej coś rokoło; podsunęta ideę pochwycił, sobie przyswoił, po swojemu ją urzeczywistnić próbował — naśladował Ikarą, i jak Ikarowi wosk mu się od gorąca słonecznego roztopił. Więc też nie pachniały mu zapewne dymy z kominów wiejskich, tem bardziej, że słotnym był dzień, w którym do Gajów zawitał. Deszcz rzęśisty padał, gdy jasne państwo w progi pałacowe wkroczyli.

Przyjęcie różniło się od poprzedniego. Pan Alfred o przybyciu zatelegrafował z Krakowa, nie było więc czasu przysposobić się odpowiednio. Holecki zgarnął ze służby kogo mógł i czekał na ganku, starając się miną zastąpić braki w szeregach i wyglądzie. Sam on postarzał się i pochylił. Miną nadrabiał, z oczu jednak biło mu strapienie, pochodzące ztąd, iż ani kredens nie był godnie obsadzony, ani też w kuchni nie kuchmistrz, lecz zwyczajny kucharz miał sobie powierzone ważne zadanie dogodzenia jaśnie wielmożnym podniebieniom i żołądkom. Utrapienie Holeckiego z rozpaczą graniczyło. Pocieszał się jeno myślą :

— Mam ekskuzę. Spadło to tak nagle i niespodzianie.

Z tą myślą o rozkazy hrabiego zapytał.

— Ph.. odezwał się pan Alfred — Nic ci, mój Holesiu, do rozkazania w momencie tym nie mam.

— Wedle kuchmistrza? Wedle kamerdynerów, lokai?

— Dajno mi z tem pokój.

— Ekskuza moja, nagle, niby piorun strzelił, przybycie jasnych państwa.

— No, no, idź już sobie.

— Jaśnie panie — odizekł.

Dwa te wyrazy wymówił z takim przyciskiem, odchodząc ukłonił się z taką pokorą, jak winowajca wyrażający wdzięczność za przebaczenie występku.

Hrabiostwo się rozgościli. We własnym domu czuli się zrazu obcymi. Nie szło im. Nałamywać się musieli do tego trybu życia, z którego wyszli przed kilkunastu laty.

Z panem Kaniowskim spotkali się hrabiostwo na dworcu kolei żelaznej.

— Cóż? jakże? — zapytał pan Alfred po przywitaniu się.

— Jako tako — była odpowiedź. Mogłoby być lepiej.

— Będziemy mieli ze sobą do pomówienia...

— Jestem na pana hrabiego rozkazy.

— Za parę dni poproszę pana.

Pan Alojzy skłonił się.

— Panie... słyszałam — zaczęła go hrabina.

— Dziękuję pani — odparł. Z moją żoną nie dobrze.

— O ? cóż jej ?

— Nie dobrze, pani — powtórzył, i witając się z hrabianką, słów kilka do niej przemówił.

W Gajach nie zaglądał do pałacu, aż w dniu w którym hrabianka spędziła nadwieczornych godzin parę na tarasie, sam na sam wobec widoków przyrody jesiennej. W dniu tym odbył z panem Alfredem w cztery oczy konferencję nie długą, ale doniosłą. Pan Alfred przyznał się przed nim do długów, a raczej do wyczerpania kredytu w banku, w którego filji lwowskiej składał pan Kaniowski dochody z majątku, i nie wiedział, że dochody owe nie starczą upoważnionemu do rozporządzania niemi właścicielowi Gajów. Nie wiedział, że właściciel ów czerpie z kapitału. Operacja finansowa po za jego działa się oczami. Ujrzał ją po raz pierwszy, gdy mu pan Alfred przedstawił sporządzony w biurach bankowych czysty, elegancki, wykaz, świadczący, jako hrabia Piecki wybrał z banku kwotę której wysokość dorównywała trzem czwartym

wartości majątku. Suma długu wynosiła 220,000 złr. Na widok tej liczby, pan Kaniowski brwi lekko zmarszczył i po chwili odezwał się.

— Bez mała pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

— No, tak — odrzekł pan Alfred.

— Spodziewałem się tego. Ostrzegałem pana hrabiego.

— No, tak, powtórzył pan Alfred — Ale..

Chciał się tłumaczyć, czy usprawiedliwiać.

Pan Kaniowski podchwycił:

— Powiedziało się, co do powiedzenia było. Obecnie na gadanie, na rekreminacje i żale już nie pora.

— Właśnie też trzeba coś obmyśleć.

— Obmyśleć? — uśmiechnął się. — Pan hrabia ma plan?

— To jest, hm? — odpowiedział pan Alfred, maskując miną ambaras, w jaki go zapytanie wprawiło. Plan? Niech mi pan plan przedstawi.

Pan Kaniowski wąsy rozgładził, uśmiechnął się i odrzekł:

— Kiedy bieda, to żyda. Pan, panie hrabio, odstępujesz od tej, tak szeroko i tak oddawna praktykowanej u nas reguły, kiedy się zgłaszasz nie do żydów. którzyby ci jeszcze półtorakroć stotysięcy reńskich z ochotą dali ale do mnie. Uważać to można za korzyść wyjątkową twego długiego za granicą pobytu. Na

miejscu twojem, panie, nie każdy się na coś podobnego zdobył. Mając jeszcze na sto pięćdziesiąt tysięcy kredytu i w rezerwie Monte Carlo, któżby się nie chwycił tego wybrnięcia z kłopotów pewnego sposobu?

Wyrazy ostatecznie brzmiały przekazem.

— Sameś pan powiedział — wtrącił pan Alfred — że nie pora na rekryminacje.

— Ja więc — odrzekł pan Kaniowski nie rekryminuję ale się zachwycam. Zwracasz się, panie hrabio, do mnie, do agronoma i obywatela do człowieka nauki, pracy i obowiązków, owoż, wobec tego, że spada na mnie nowe zadanie: ratowania pęknięciem zagrożonego tego narzędzia gospodarskiego które dotychczas porządnie i uczciwie funkcjonowało, nie dziw się przeto, że mieć-bym rad ze strony twojej, panie zapewnienie.

— Jakie? zapytał pan Alfred.

— Że zwrócenie się do mnie nie jest fantazją taką, jaką przed laty był wyjazd do Wiednia.

— Do Wiednia nie wrócę. Gdybym chciał w Monte-Carlo szczęścia próbować, nie przyjechałbym do Gajów.

— To prawda... Jest-to symptom obiecujący... W niemożności powzięcia rękojmi innej, to mi, panie hrabio, wystarczyć musi na teraz... Inaczej, podziękowałbym panu za służbę.

*

— Wyrządziłbyś mi krzywdę.

— I sobie — podchwycił pan Alojzy — rozstając się z Gajami, w których zaprowadziłem jaki taki ład gospodarski, oparty na wzajemności usług pomiędzy dworem a włościanami. Przyszło mi to z trudem niemałym, żal by mi więc było się z tem rozstawać.

— O tem mowy być nie może. Pomówimy o tem.

Wskazał oczami wykaz bankowy.

— Muszę pierwej, panie hrabio, pomyśleć i rozważyć. Obecnie mógłbym jeno nakreślić linie ogólne, na których plan wybrnięcia z kłopotów stosować należy.

— Jaki? zapytał pan Alfred.

— Przedewszystkiem oszczędność. Na co sobie pozwalał właściciel fortuny ośmkroć sto tysięcy, na to pozwalać sobie nie może właściciel tejże fortuny zredukowanej do czwartej części.

— Zgoda...

— Następnie. .

Zamyślił się.

— Następnie? zapytał hrabia.

— Podnieść potrzeba stopę procentową ażeby wraz z procentem, sposobem amortyzacyjnym, spłacać częściowo corocznie kapitał.

— I na to zgoda.

— Ale to się na długo rozłoży — zauważył pan Kaniowski.

— Naturalnie.

— I wytrwa pan, panie hrabio?

— Postaram się o to z duszy całej.

— Postaraj się pan. Bądź wyjątkiem i przykładem.

— No? — odezwał się pan Alfred tonem zdziwienia.

— Jeżeli wytrwasz, będzie to przypadek rzadki: szlachcica, co się upamiętał, zacząwszy majątek tracić. Najtrudniej zacząć.

— Nie byłbym zaczął, gdyby nie nieboszczyk ksiądz Kochański, który mi ideę w mózg wszczepił... Stało się jednak. Gadać nie ma już o czym. Na oszczędność się zgadzam, na amortyzację się zgadzam; będę w Gajach kołkiem siedział i do niczego się nie wtrącał. Takie jest moje postanowienie.

— Nie chcesz być, hrabio, użytecznym? — zapytał pan Alojzy.

— Chciałem, ale mi się nie udało. Czy nie dosyć, że panu przeszkadzać nie będę?

— Zapewne, ale...

Rozmowę dalszą przerwało wejście lokaja, przynoszącego na tacy depezę telegraficzną z oznajmieniem, że wieczerza gotowa.

Depesza adresowana była do pana Alfreda, który, po wyjęciu jej z koperty i przebieżeniu oczyma, odezwł się:

— Uhm, gość. Trzeba będzie jutro konie na stację posłać.

Pan Kaniowski nie na to nie odrzekł

— Więc — zaczął, wstając — pomysłu obrachunek ścisły zrobię, i za dni parę przedstawię panu, panie hrabio.

— Tymczasem zaś... wieszczę z nami zjesz.

Pan Alojzy wymawiał się; lecz hrabia mu wyperswadował, iżby musiał ze strony hrabiny gorzką znieść wymówkę, gdyby go bez wieszczę puścił.

V.

Nie masz człowieka ani absolutnie dobrego, ani bezwarunkowo złego. W śmiertelniku każdym złe i dobre łączy się częścią mechanicznie, częścią chemicznie, zapewniając przewagę tej stronie, która stronę przeciwną przewyższa, bądź to jakością, bądź też ilością jednorodnego materiału. Zastosowując spostrzeżenie to do pana Alfreda, jakoteż do pani Alfredowej, pokaże się że w nich materiał dobry górował nad złym — nie wiele górował jednak, na co na dowód niezbity służy zaufanie, jakim obdarzali pana Kaniowskiego, człowieka będącego składnikiem materiału przeważnie dobrego. Harbiostwo, jakimi byli — byli nieświadomie, instyktownie; należeli do tej szarej gromady, która stanowi większość ogromną w społecznych, wyróżniając się wśród niej tem jeno, że posiadali duże środki i dogadzać mogli zachciankom i fantazjom swoim, dopóki środki starczyły. Tą drogą kroczy osobników mnóstwo —

łummy całe. Na tej drodze piękne damy z gracją psychologiczną, nakształt heroin Bourget'a, upadają. Na tej drodze panowie, szukając ratunku w Monte Carlo, we łby sobie strzelają. Hrabina nie upadła; hrabia zamiast do Monaco, do Gajów pojechał, — dowód, że w nich materiał dobry istniał, jeżeli nawet nie przeważał

Nie o nich jednak głównie chodzi, ale o hrabiankę, jako o istotę na tym samym, co oni gruncie wyrosłą, wskutek zbiegu okoliczności, inaczej wyhodowaną. Czuwała nad nią nianka bosa; umysł jej kształtował się pod okiem ludzi będących hołdownikami obowiązku i do obowiązku, w duchu obywatelskim pojmowanego, stosujących upodobanie swoje. Hodowanie takie nie mogło, rzecz prosta, nie oddziaływać na jej serce i rozum. Wytwarzało to sytuację całkiem oryginalną, nie analizowaną przez Gypów, Maupassantów i innych, niemniej przeto tkwiącą w naturze rzeczy w warunkach, w jakich znajdował się grunt, na którym się zrodziła i wyrosła hrabianka. Grunt ów naturą swoją i warunkami różni się od tego, co tym mistrzom i mistrzyniom pióra służy do bawienia czytelników analizami urojonemi i manewrami flirtowań. Na nim przeto możliwem, a nawet naturalnem było wystrzelenie roślinki, coś innego, aniżeli urojenie i flirt w perspektywie przed sobą mającej.

Perspektywa ta ukazywała się jej wedle

tego, co na tle czarnej szyby wagonu, w przejeździe z Wiednia do Krakowa, widziała. Widziała w niej, wywołane wspomnieniami a przesuwa-
jące się niby w panoramie, sceny i osobliwości. Z pomiędzy nich dwie szczególnie uwagę jej na
sobie zatrzymały: jedna pozostała po za nią —
w otoczeniu, które ją pociągało ku sobie.

Skoro tylko w Gajach się znalazła, myślą jej najpierwszą była: pójść do pani Kaniowskiej. Uskutecznienie tej myśli zwlekła o tyle, ile czasu posiłek podróży zabrał. Wstawszy od stołu, niezwłocznie zbierać się poczęła.

— Ta deszcz pada, panniusiu — upominała ją Justyna.

— Wezmę parasol i kalosze..

— Co kalosze pomogą!.., Toć w Gajach błoto po kolana. Zapomniała panniusia?

— Pójść muszę...

— Do Grzegorza skoczę, on duchem za-
pręgnie.

— Sama pójdę, to prędzej będzie.

W kaloszach, pod parasolem, podkasawszy sukienkę, pomknęła do stajni i w niespełna kwadrans później wysiadła przed komisarją. Wy-
siadając, rzuciła Grzegorzowi wyrazy:

— Przyjedź po mnie, jak się dobrze zmierzchnie.

Na spotkanie jej pośpieszył pan Alojzy, zoczywszy przez okno wjeżdżający na podwórze

wolant. Powitanie nastąpiło w sieni, powitanie prawdziwe, nie takie jak na dworcu. Hrabianka się pogarnęła w objęcia starego rządcy, a nie mogąc w rękę, którą on usunął, w ramię go całowała, przez co zmuszonym został, pozbywając się względem niej należnego pani i dziedzicze szacunku, wycisnąć na jej czole parę serdecznych pocałunków i głosem wzruszonym przemówić do niej:

— Dziecko moje...

— A pani? — odezwała się.

— Nie wstaje z łóżka...

— To nie dobrze... nie dobrze.

— Ucieszy się tobą.. panno Elżbieto.

— Będę mogła ją widzieć, bylebym do niej chłodu nie wniosła?

— Zatrzymasz się chwilkę w bawialnym pokoju...

— O tak, zatrzymam się, chodźmy...

W pokoju bawialnym nastąpiło przywitanie się z Prokopem, który na spotkanie hrabianki na szczydłach stanął, i lewą ręką poręczy się trzymając, prawą z rozjaśniającym mu oblicze wyrazem uśmiechu szczerego, do niej wyciągnął. Nic nie mówił, głosu z siebie nie wydał: wszystko, na co by słów potrzeba, wypowiadał uśmiechem, malującym uradowanie serdeczne?

Hrabianka mu dłoń uścisnęła mocno i rzekła:

— Znów jestem z wami..

Prokop głową pokiwał.

— Po za Gajami — mówiła do ojca i syna było mi tak obco, tak obco..

— Podróżowała pani dużo? odezwał się pan Alojzy

— Tak... o, dużo...

— Podróże zajmują...

— Zapewne.. zajmują, bawią, jak rozrywka, ale nie dają zadowolenia zupełnego. W zajęciach przecie rozrywka być powinna rzeczą dodatkową, podrzędną...

Prokop z akcentem uznania głową skinął.

W chwili tej zjawiała się służąca we drzwiach z oznajmieniem, że... „pani prosi“.

— Można? — zapytała hrabianka, zwracając się do pana Alojzego.

— Proszę. Pójdziemy razem.

U drzwi sypialni, pierwszy próg przekroczył i tonem nakazującym przemówił:

— Rozalko!... Proszę o spokój!... Inaczej... cofamy się!...

— O, ja spokojna — odezwał się mięki głos z głębi. — Spokojna... Żusiu!

Hrabianka na głos ten pobiegła — na głos, wzrokiem bowiem kierować się nie mogła w pokoju zaciemnionym. Przychodząc ze światła, rozpoznać by się nie umiała w ćwierć świetle, w jakim chorą trzymano. Po głosie przeto trafiła do

łóżka, w którym pani Kaniowska leżała, i instyktownie w dłonie swoje ujęła wyciągnione do niej ręce, które do ust sobie przycisnęła.

— Spokoju! zabrzmiał głos mężki.

Na ostrzeżenie to hrabianka o krok od łóżka odstąpiła i mówić zaczęła:

— Ja spokojna, pani droga. Cieszę się, że wreszcie do was się dostała, ale spokojna. Jeżeli obecność moja panią niepokoi, cofnę się odejść, przyjdę później.

— Nie odchodź, Zusi, nie odchodź, dziecko — odparła chora. — Czemu-by obecność twoja niepokoić mnie miała! Spodziewałam się ciebie przecie. Wiedziałam, że przyjedziesz i byłam pewna, że mnie po przyjeździe odwiedzisz.. Widzieć cie nie mogę... — dodała z wyrazem żalu w głosie.

— Ciemno tu — odezwała się hrabianka, niewiedząca do jakich rozmiarów doszła u pani Kaniowskiej choroba oczu, z powodu której od czasu jakiegoś Prokop matkę w pisaniu listów wyręczał.

— Ciemno... — odrzekła. — Niestety, i ciemności tej nie widzę... Ciemność mam w sobie...

— Przecież... — zaczęła hrabianka i ucięła, poczuwszy nagle rodzaj przereżenia, jakie ją przejęło.

— Lekarze obiecują, że tak nie pozostanę

na zawsze — ciągnęła chora. — Może... Tymczasem zaś, ciebie nie widzę. A takbym widzieć pragnęła! Wyjechałaś panienką; przyjeżdżasz panną słuszną... Jakże-bym cię widzieć pragnęła!..

Wyrazy ostatnie brzmiały tonem łzawym.

Hrabiance pod powieki cisnęły się łzy, które ona tłumiała w sobie przemocą.

Na chwilę zapanowało milczenie. Przerwała je pani Kaniowska.

— Stoisz, zdaje się. Usiądź, tam musi być krzesło, na którym siaduje Honorcia.

Hrabianka usiadła.

— Siedzisz?

— Siedzę, pani droga.

— Opowiadaj-że mi. Niech głos twój słyszę. Byłaś w Szwajcarii, na Rigi.

— Opowiadać będę później... później... — odparła hrabianka, powtarzając dobitniej wyraz ostatni. Tu zaszły zmiany, o którychbym pierwszej wiedzieć chciała:

— A zaszły... Książdz umarł.

— Wiem o tem, Alem o pani nie wiedziała, Niceście mi nie napisali.

— Nie pisaliśmy, ażeby ci swobody nie mieć.

— Proszęż mnie teraz objaśnić we wszystkim, co się drogiej pani tyczy.

— Cóż, moje dziecko! Zapadłam... Nigdy,

jak wiesz, zdrową nie była, i snadź chorobliwość dawniejsza wyraziła się pod postacią paraliżu, który mi dotknął dolną połowę i w części lewą stronę ciała i ślepoty. Na paraliż nie ma podobno rady; od ślepoty prawdopodobnie operacja mnie wyzwoli. Bardzo wyzwolenia tego pragnę — westchnęła — dla Prokopa.

— Pani droga — rzekła hrabianka ze wzruszeniem.

— Ani dla niego gram, ani mu czytam...

Słowa te hrabiankę za serce ścisnęły. Dwoje tych ludzi — syn i matka — uzupełniali się niejako za pośrednictwem muzyki i czytania. Choroba matczyzna stargała ten duchowy, urokiem piękna przenikniony węzeł — węzeł, stanowiący życia ich treść i istotę moralną, ważniejszą dla nich od fizycznej, zredukowanej do stanu wegetacji prawie. Świadomość stanu takiego potęgowała tragiczną sytuacji grozę, polegającą na tem, że jedno i drugie patrzyło na zanik tego, co ukochało, czem żyło, a czego ratować nie było w stanie. O ile się to różni od strat, które ludzi o rozpacz przyprawiają: — od utraty majątku, sławy, stanowiska, i tak dalej.

Hrabianka odczuła to głęboko i wnet postanowienie powzięła. Że to jednak było postanowienie poważne, więc się z niem nie odzywała, zamierzając wyrazić je czynem w momen-

cie stosownym. W chwili obecnej zamilkła. Słuchała opowiadania pani Kaniowskiej dalej, opowiadania jaskrawo-odrzynającego się od nadziei odzyskania wzroku. Mówiła, że lekarz uprzedził ją, iż będzie to operacja bolesna, ale ona ból zniesie największy, byle mogła służyć, jak służyła :

— Jemu — wyraziła się.

— Panu Prokopowi — odpowiedziała hrabianka.

— Tak, po części — odrzekła pani Kaniowska. — rokopowi i... nietylko Prokopowi... Pokutuje we mnie grzech stary, wyklinany dziś pod mianem romantyzmu dla zmycia którego przechrzcć-by się trzeba Umiłowałam ów grzech całą starego serca mego potęgą i dla niego władzy widzenia pragnę.

Hrabianka nic a nic słów powyższych nie zrozumiała. W samej rzeczy, co za stosunek zachodzić mógł pomiędzy romantyzmem, a władzą widzenia pani Kaniowskiej? Przedstawiło się jej to pod postacią zagadki, do rozwiązania jej jednak nie kwapiła się. Rozpytywała się lekarzy, okulistę, o szczegóły operacji, początkowe symptomy choroby, o wszystko, słowem, co ją interesowało, a co się tyczyło osobistości, którą bardzo i szczerze kochała. Na rozmowie chyżo upływał czas, zdziwiła się też, gdy pan Kanio-

wski, wszedłszy na palcach, oznajmił jej, że Grzegorz przyjechał

— O? Czyż to tak późno?

— Siódma dochodzi.

— Więc, czas już na mnie.

Wstała, pożegnała się. Oswoiwszy wzrok z ciemnością, widziała postać chorej w bieli o poduszki opartą, dostrzegła nawet bladość jej oblicza a w dłoniach swoich uczuła chudość rąk, składających się z kości pokrytych skórą.

Przechodziła przez pokój bawialny Prokop czekał na nią, ażeby ją pożegnać.

— Do widzenia...

On jej śmieiej dłużej i mocniej dłoń u ścisnął.

Odwiedziny te silne na niej sprawiły wrażenie. Ta matka, cierpiąca, nie tem. co jej o sobie dolegało, ale tem, że synowi kalece służyć nie mogła, wzruszała ją sama przez się. Gdyby nie chodziło o co innego, jeno o uprzyjemnienie kalece czasu starczyłoby już to do powzięcia wysokiego o pani Kaniowskiej wyobrażenia. Chodziło jednak o coś więcej: o uprąpę piękna, o podszyty miłością macierzyńską artyzm, o sztukę w najczystszej zastosowaniu. Myśl o tem, uwielbienie w hrabiance wzbudzała. A myślała — rozważała — analizowała ten wypadek i w analizie dochodziła do punktu niezrozumiałego, wobec którego zatrzymywała się,

cofała i analizę nanowo rozpoczynała, utrzymując ją na jednej i tej samej osi, około której przedmiot swój obracała i przypatrywała się mu ze stron różnych. Za oś służyło jej, kalectwo.

Z opisów, rozpraw, powieściowych i poetycznych utworów, które czytała z kart, które jej Justyna tłómaczyła, z dorywczo pochwyconych folklorystycznych podań, urobiła sobie o kalectwie pojęcie poważniejsze, aniżeli to, które w biorących rzeczy powierzchownie sferach, w obieg weszło. Wiedziała, że natura brak zmysłu jednego wynagradza rozwojem innych. Zmysły są narzędziami uzdolnień --- przewodnikami genjuszów, same zaś zależą od warunków organicznych, ogniskujących się w ośrodkowych władz umysłowych punktach. Lud prosty pieśniarzy wyobraża sobie pod postacią kalek, zwykle ślepców. Pra-ojciec pieśniarzy, Homer, ślepy był według podania. Na tle tem rozsnuwała Żusia analizę, przystosowując ją do wypadku szczególnego, w jakim się jej przedstawiał Prokop wobec rodziców swoich.

Prokop — kaleka.

Względem syna takiego rodzice inni poczawaliby się jeno do obowiązku zapewnienia mu egzystencji chlebowej. Stronę intelektualną pozostawiliby odłogiem, chroniąc go przez to od spotęgowanej świadomości krzywdy i preten-

Zusia.

34

sji do losu, która-by go spokoju rezygnacyjnego na całe pozbawiła życie. Co najwyżej, daliby mu w ręce lekkie jakieś rzemiosło: plecenie koszyków, wiązanie siatek, klejenie pudełeczek, struganie, czy też szczerbienie figurek, czy coś podobnego, coby mu czas zajmowało i rozrywkę sprawiało. Z takim rzemiosłem, umieszczony za opłatą w starannie urządzonej domu przytulku dla kalek, mógłby Prokop żywota dokończyć spokojnie i wygodnie. I rodzice jego byliby usprawiedliwieni w oczach ludzi i przed sumieniem własnym.

Hrabianka wzięła to pod rozwagę i zapytała siebie:

— Czemu państwo Kaniowscy w ten sposób nie pokierowali syna kaleki?

Przypomniało się jej, co nieraz z ust pani Rozalji słyszała, że wartość człowieka mierzy się wartością służby jego na korzyść ludzkości. Kto tego nie rozumie — nie odpowiada jako niepouczalny; kto jednak rozumie, na tym ciąży odpowiedzialność i za postępowanie własne, i za prowadzenie dzieci.

— Czyżby oni regułę tę zastosowali do Prokopa?

Dali mu w ręce nie plecenie koszyków, nie wiązanie siatek, nie struganie figurek, ale — książki.

Dali mu w ręce książki.

— A!... — zawołała w duchu, w tym sensie w jakim Archimedes zawołał: „Eureka!“

Wydało się jej, że odgadła rodziców Prokopa, że odgadła ich względem niego intencję, tyczącą się możliwej z jego strony służby — służby głową.

Głowa Prokopa, kalectwem nie dotknięta, nadawała się do tego.

Ale...

Zachodziło jeszcze pytanie: co ta głowa o służbie myśli?

Może to głowa samoluba, który za pomocą książek wykształcił w sobie smak estetyczny, a matka mu w tem dogadzała? Może ona grywała i czytywała dla niego — dla niego samego — dla niego wyłącznie? W takim razie, co?

W punkcie tym w myślach hrabianki następował zamęt. Wydawało się jej, iżby państwo Kaniowscy lepiej może zrobili, gdyby zamiast książek, dali synowi kalece prątki, dłutka lub iglice w ręce.

Zachodziło atoli inne jeszcze pytanie:

„Czy byli oni w stanie przewidzieć następstwa? Czy nie zaślepiła ich miłość rodzicielska, miłość która, zogniskowawszy się w sercu matczynem, wprowadziła panią Kaniowską na drogę heroicznego iście poświęcenia się dla syna? I choroba ją na tej drodze powstrzymała.“

*

— Biedna matka — powtarzała hrabianka biedna! A Prokop?

Ciąg dalszy analizy sen pochłonał, oddawała się jej bowiem w łóżku, przy szumie deszczu, bijącego w szyby. Szum ją nastrajał do snucia wniosków i przypuszczeń. Około północy deszcz ustał — hrabianka usnęła.

Nazajutrz trwającą od dni kilku słotę zlu-zowała pogoda jesienna. Chmury usunęły się z nieba; na niebo wytoczyło się słońce. pod wpływem słońca obsychały powoli drzewa, pola i drogi.

Hrabianka z zadowoleniem powitała słońce, raz dlatego, że jest ono w ogóle śmiertelnikom miłsze, aniżeli widok horyzontów zasepionych, powtóre dlatego, że ją uniezależniało w ruchach zamierzonych. Ruchy te wychodziły po za pa-lac. Miała w Gajach znajomych i przyjaciół; miała obowiązki pozaciągane względem instytucji wiejskich; uczuwała potrzebę pomodlenia się w kościele i na grobie księdza Kochańskiego. Czynienie temu zadość w niepogodę łączyło się z trudami i niedogodnościami, które słońce usu-wało. Stosownie więc do zamiarów ubrała się i na śniadanie zeszła.

Przy śniadaniu opowiedziała rodzicom o sta-nie, w jakim się znajduje pani Kaniowska.

— Biedna kobieta — powtórzyła hrabina razy parę.

— Kłopot ma Kaniowski z żoną — zauważył hrabia.

— Z żoną i chłopcem.

— Ten chłopiec liczy lat dwadzieścia kilka, ale.. zdrów przynajmniej.. Wszak zdrów? — zapytał córki. •

— Zdrowo wygląda — odpowiedziała.

— Z nim więc kłopotu nie ma, a Kaniowska.. niewiadomo, jak długo męczyć się będzie musiała...

Uwaga ta przykro hrabiankę dotknęła. Po śniadaniu pośpieszyła do kościoła; w kościele krótko się, ale gorąco, na intencję chorej pomodliła i wprost do niej poszła.

— Nie naprzykrzam się? — zapytała po przywitaniu.

— Wyglądałam ciebie. Wizytę twoją zapowiedziałam Prokopowi...

— W saloniku go nie było.

— Jest w swoim pokoju: czyta... pisze.. uczy się...

— Uczy się — powtórzyła hrabianka.

Wyraz ten wymówiła z akcentem, oznaczającym podkreślenie.

— Ale ciągnęła pani Kaniowska — on tu przyjdzie. Dłużną względem nas jesteś.

— Toż jak? — zapytała.

— Wczoraj opowiadałam ci o sobie... Dziś ty o sobie coś nam powiedzieć powinnaś.

Stukanie szczudeł przerwało rozmowę i oznajmiło zbliżanie się kaleki. W chwilę później przekroczył próg, podał do uścisku dłoń hrabiance i usiadł z boku.

— Miałam od ciebie list z Rhigi...

— A tak .. pisałam do pani

— Długoś tam bawiła?

— Nie dłużej nad godzin czterdzieści, nie tyle nawet: przyjechaliśmy wieczorem, przenocowaliśmy, pozostaliśmy przez dzień cały i nazajutrz rano opuściliśmy hotel. Nocleg powtórny na moje nastąpił naleganie: chciałam raz jeszcze oglądać wschód słońca. ale się nie udało. Widowisko to rzadko się powtarza dzień po dniu... Niektórzy zawzięci widoków przyrody miłośnicy czekają na nie tygodniami całymi. Nam trafiło się szczęśliwie.

— A państwo, czybyście nie czekali?

— Takim było moje postanowienie.

— Cóż hrabiostwo?

— Myślę, że mama i papa byliby się zgodzili.

— Widok wspaniały, co?

— Zachwycający. Nie przypuszczałam, nie przypuszczałam nic podobnego. Zrobiłam jednak z niego ramy.

— Ramy? — pytającym tonem odezwała się pani Kaniowska.

— Oprawiłam w nie obraz, naszkicowany przez Słowackiego.

Przy słowach tych Prokop chrząknął i na siedzeniu się poruszył.

Pani Kaniowska chwileczkę się zastanowiła, wnet atoli znów indagację zaczęła.

— Patrząc na wschodzące w górach szwajcarskich słońce, miałaś „W Szwajcarji“ w ręku.

— Nie w ręku, ale w głowie. Powtórzyłam sobie poemat ten od początku do końca w myśli. Ani jednej sylaby jednak w głos nie wypowiedziałam, z obawy, ażeby mnie ludzie nie wzięli za warjatkę...

— My byśmy ciebie za warjatkę nie wzięli.

— Gdybyście państwo tam byli.

— Nietylko, ale... gdybyś nam tu „W Szwajcarji“ powtórzyła.

Hrabianka domyśliła się podstępu ze strony pani Kaniowskiej, a luboć miała ochotę wymawiać się, nie wymówiła się rzekła tylko:

— Jeżeli to pani drogiej przyjemność sprawi.

Chwilkę milczała i zaczęła:

„Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty“...

I tak dalej.

W miarę, jak się naprzód w wygłaszaniu utworu tego posuwała, przejmowała się harmo-

nią wierszy i głębią wszczepionego w nie uczucia. Deklamacja w ustach jej, nie popisowa, ani aktorska, stawała się odtworzeniem arcydzieła, równego sobie w żadnej nie mającego literaturze. W panującej w pokoju chorej ciemności brzmiała ona, niby sztuk pięknych zaklinanie jak się zaklinają duchy. Zaklinanie wywołało i w cudnej piękności w całość łączyło: śpiew muzykę, malarstwo i rzeźbę. Kiedy deklamatorka mówiła o tęczy na kaskadzie, o przechodzącym przez nią białym jagnięciu, o przelatującym gołębiu i o niej, co z tej tęczy wyszła, widziało się i wodospad, i taras, i jagnię, i gołębia, i tę, przed którą poeta stanął i oczy spuścił — za którą poszedł następnie „przez góry i doliny“.

Deklamacja rozlegała się w ciszy, przerywanej niekiedy mocniejszymi Prokopa odetchnieniami. I tak szła, rozwijała się, swobodnie, wyraziście, z rzetelnym rozumieniem i głębokim odczuwaniem, szła, rozwijała się, aż gdy do tego ustępu doszła, w którym poeta skarży się, że mu smutno i źle, że myśli jeno o wybraniu miejsca na smutek łaskawego, gdzieby mu księżyc tak duszę załaskotał, ażeby stęskniła się, i ocknęła i wyszła — gdy do tego ustępu doszła i zakończyła, słyszeć się i dało głębokie westchnienie wydane przez Prokopa. Westchnieniu towarzyszył jęk głuchy. wnet potem nastąpiło stukanie

szczudeł, znamionujące pospieszny na szczudłach chód. Drzwi, niecierpliwą ręką szarpnięte, otworzyły się; we drzwiach ukazała się postać Prokopa, która próg przestąpiła i drzwi za sobą zatrzasnęła. Wyszedł bez pożegnania.

Hrabiankę to zaniepokoiło.

— Prokop — odczuwała się pani Kaniowska do siebie, a po chwili dodała: Dziękuję ci, Żusiu.

— Pani, odparła hrabianka.

— Dziękuję ci — powtórzyła z przyciskiem. — Wyświadczyłaś wielkie.. wielkie dobrodziejstwo dwojgu ludziom, zwłaszcza jednemu...

— Jakie? -- zdziwiła się.

— Takie, jakie świadczyła Lilla Weneda ojcu, przynosząc mu posiłek w kielichu lilii wodnych, broniąc go od gadów graniem na harfie. Sytuacje podobne trafiają się w życiu w innych warunkach, w odmiennych formach, ale podobne, bardzo podobne... Bardzo ci dziękuję.

— Proszę mi nie dziękować... bo... oto...

— Co?

— Pan Prokop wyszedł, jakbym go wystraszyła.

— O! Jego wyjście nie to znaczy. Jego wyjście — zaczęła, namyślała się i nie więcej nie powiedziała.

Byłaby może objaśnienie stosowne dodała,

ale wsunęła się pocichu panna Honorata i obecność jej inny rozmowie nadała obrót.

Panna Honorata, w czarnej sukni i żółtej chusteczce, posiwiiała, pielęgnująca zawsze zgryzotę sumienia, tyczącą się skargi, jaką do Boga zanosła na pana Alojzego, za to że jej nad ieje lat trzydzieści kilka temu zawiódł. Skarga karę na niego ściągnęła. Owoż, chciała ona, ażeby Bóg przestał karać, uważała bowiem, że to już dosyć tego — zanadto „Tyle mu dzieci pomarło uchoowało się jeno kalekie: za cóż kara dotknęła go jeszcze w żonie tak srodze?“ Z tego punktu zapatrując się na chorobę pani Kaniowskiej, miała ją za ofiarę skargi swojej, ofiarę, którą usiłowała pocieszyć i uratować. Sposoby ratunku upatrywała w modlitwie, wzmoconej utrapieniami po których spodziewała się cudu. Modliła się więc i trapiła, pościła, suszyła, a od mawiała pacierze, paciorki, różańce, koronki do Matki Boskiej, do siedmiu mieczów, do serca Jezusowego, do kilku świętych rodzaju męzkiego i żeńskiego, wyznaczała sobie nowenny, i to wszystko na intencję odwrócenia od głowy pana Alojzego karzącej ręki bożej. Mocno on zawinił, że się z nią nie ożenił, ale:

— Panie! Panie! — z głębi duszy wołała, ja mu przebaczam: przebacz i Ty.

Wierzyła, że przebaczenie nastąpi, wierzyła tem mocniej, że od czasu do czasu wyraźnie

dostawała obietnice Z obietnic sprawę przed chorą zdawała.

Z podobnem sprawozdaniem przyszła właśnie. Ważną miała do udzielenia wiadomość: ukazała się jej Matka Boska i zapewniła, że jej prośby Ojciec Niebieski wysłuchać raczył.

— Widziałam Ją — mówiła zaledwie weszła — widziałam, kochana pani. Jaśniała, pachniała i rzekła: „Wstań, Honorato, (leżałam krzyżem), wstań, pójdź do Rozalji i powiedz jej że odzyska wzrok, a syn jej chodzić będzie o siłę własnej; wstań i udziel jej tej dobrej nowiny, służebnico moja“. Tyle mi Matka Boska powiedziała i znikła.

— Dziękuję pani, panno Honorato, za dobrą nowinę — odrzekła pani Kaniowska. Usiądź że, ale uważaj. Krzesło twoje zajęte.

— A? o? — odezwała się z akcentem zdziwienia i zmieszania.

W ciemności nie spostrzegła że nie jest sam na sam z chorą.

— Jakże... Co... Jak... — poczęła bąkać. Hrabianka ją pozdrowiła uprzejmie.

— Sługa najniższa — dygnęła panna Honorata. O! jakżem szczęśliwa. Prawdziwie. Nie wiem... Panna hrabianka.. Zaszczyt...

Nie wiedziała biedactwo, na której stanąć nodze; rzucała wyrazy, zamilkła wreście i milcząc, usiadła w kąciku.

Panna Honorata należała do rodzaju istot wykolejonych. Jak Protazy był ostatnim woźnym dawnego autoramentu, tak ona była ostatnią panną respektową, z tą różnicą, że tamten pełnił jeszcze swoją zapozwową służbę, ta zaś żadnej już służby do pełnienia nie miała i była kolatającym się w starze nowych stosunków za- bytkiem, zawadzającym i sobie i drugim. Nadej- ście jej nie pozwoliło pani Kaniowskiej udzielić hrabiance pewnych objaśnień, a hrabiankę zmu- siło do odwrotu.

— Do widzenia, do rychłego widzenia — mówiła, odchodząc.

Jakoż widzenie nastąpiło rychło — na- szajtrz.

Hrabianka uległa rodzajowi ciągnięcia ma- gnetycznego, ogniskującego się w kalece. Stał on jej w myśli w postaci zagadki — zagadki milczącej, otoczonej niejako atmosferą zagadko- wości, polegającą na stosunku rodziców, zwa- szcza matki do niego. Stosunek ów wyglądał na wielki błąd, nie licujący z praktycznym pana Alojzego rozumem. Prokop przysposobiony zo- stał do tycia w sposób taki, jakby był magna- tem, mogącym folgować smakowi i dogadzać najdelikatniejszemu ze smaków, jakim jest este- tyczny. W tym tkwiła zagadka. Co to znaczy? Matkę choroba pozbawiła możności dogadzania mu w tym względzie i stworzyła dla niego pu-

stkę ciemną, straszną, którą może lekarze za-
pełnić potrafią, ale nie stale i nie na długo.
Jakaż tego człowieka przyszłość czeka? Po nie-
jakim czasie pustka powróci i on w tej pustce,
w osamotnieniu pędzić będzie musiał dnie, aż
się ich liczba dopełni.

— I na co mu oni? myślała o państwie
Kaniowskich.

Nie mogła pogodzić się z myślą, że zro-
bili to przez prostą nieogłędność — bez żadnych
powodów.

„Jeżeli zaś powody były, to jakie?“

Z tem w głowie zapytaniem weszła do
komisarji raniej, anizeli dnia poprzedniego, i do-
wiedziawszy się od służącej, że z panią Kaniow-
ską tylko co odbyła opatrunek, zatrzymała się
więc w pokoju bawialnym. W pokoju stał forte-
pian zamknięty. Był to jej dawny dobry, zna-
jomy. Na nim dziecinne jej paluszki najpierw-
sze wygrywały gamy. Podeszła do niego, otwo-
rzyła akordów parę wzięta, i jedno z prelu-
djów Szopena przegrała. Kiedy grała, w izbie
przyległej słyszeć się dał znany jej chód na
szczudłach. Chód ustał. Gdy palce od klawi-
szów oderwała, aby fortepian zamknąć, na pro-
gu pojawiła się służąca, i w następujące do niej
odezwwała się słowa:

— Pani bardzo prosi, żeby jasna panienska
jeszcze grała.

Więc znów w klawisze trąciła i wydobyła z fortepianu utwór Szumana. Następnie jeszcze nocturn i jeden z mazurków Szopena odegrała i oderwała się od fortepianu dla odwiedzenia chorej.

Pani Kaniowska, ręce jej w dłoniach trzymając, przemówiła z akcentem szczególnym :

— Niech ci Bóg wynagrodzi.

Akcent zdziwił hrabiankę.

— Cóż pani.. — odrzekła. — Grałam trochę.

— Wiesz, co następuje na polupo deszczu, który spadnie po długiej posusze?

— Ożywia roślinność.

— Twoja deklamacja wczorajsza i twoje dzisiejsze granie, ten właśnie skutek odniosły... ten skutek — mówiła, rozstawiając wyrazy — wpływ nie na mnie... nie, ale... na Prokopa ..

I dalej mówiła tym tonem jaki do poufnych zwierzeń służy.

— On jest rolą rodzajną, potrzebującą deszczu do wydania plonu. Utwory poetyczne, głośno czytane, i muzyka, są dla niego deszczem rosą niebieską, ustrajają go, i on... i on...

— Co? — zapytała hrabianka, gdy pani Kaniowska zamilkła. Milczała i hrabianka.

Na hrabiankę wywarł on wrażenie, nie dające się określać. Wrażenia podobnego doznaje

człowiek poczuwający się do winy i dowiadujący się nagle, że wina jego nie winą, ale zasługą była — że go nie pod pręgierz na srom i hańbę, lecz na Kapitol celem okrycia chwałą, poprowadzi.

Wrażenie to tyczyło się jej osobiście. Nie umiałyby wytłómaczyć dlaczego tak było; zato w zupełności tłómaczyła i usprawiedliwiała państwa Kaniowskich. Następstwo to, które w umyśle jej błyskawicznym się sposobem sformułowało, wywołał jeden wyraz: „tworzy.“

Milczenie, jakie po wymówieniu wyrazu tego nastąpiło, przerwała pani Kaniowska:

— Nie przypominasz sobie — zapytała — wiersza, o którego autora takieś się mnie dopytywała?

— Przypominam sobie. Więc autorem wiersza tego, był?

— Prokop...

— Ah! — odetchnęła.

— Autorem jego jest Prokop. On tworzy, tworzy .. ale .. przy pomocy rosy niebieskiej, spływającej na niego pod postacią muzyki słów i muzyki tonów. Inaczej ziarna w nim kiełkują, lecz w górę nie strzelają i plonów nie wydają... Przy defekcie przewodu głosowego, który mu mówienie utrudnia, rosa pod tą postacią jest dla niego konieczną. Moje zapadnięcie, uniemożli-

wiające mi granie i czytanie, odbiło się na biednym Prokopie.

Westchnęła.

— Czy pan Prokop co więcej napisał? — zapytała hrabianka, głosem drżącym.

— Napisał nie mało.

— Przeczuwałam, domyślałam się jakiegoś tajemnicy, która mnie... mocno.. obchodziła. Że też — tonem wymówki rzekła — pani kochana przedemną to ukrywała.

— Taką była Prokopa wola.

— O, niedobry...

— Niedobry?... Nie... Drażliwy może... Namawiałam go, żeby wydał i namówić nie mogłam... Nie dowierza sobie. Spodziewałam się, że z czasem zdołam tę zamkniętą szluzę podnieść, upust jej dać i do skarbnicy poezji nowy wlać strumień, ale, o bezwładnienie na mnie przyszło... Przytem i jam się lękała... Lękałam się kompromitacji dla Prokopa. Czy matka syna sprawiedliwie sądzić może? Osądzisz ty. Komu innemu sławy i przyszłości swego dziecka powierzyć bym nie śmiała.

— O, pani — odezwała się hrabianka po chwili, tonem takim, jakby do siebie mówiła, dodała: — Więc... pan Prokop.

— Poetą jest — westchnęła pani Kaniowska — piastunem piękna, artystą słowa, kaleka. Pókim mogła służyłam mu za przewodniczkę

w tym sensie, w jakim chłopięta przewodniczą lirnikom ślepym.

— Przeczuwałam to — powtórzyła panna Elżbieta z przyciskiem.

Zdobycie tej tajemnicy wzruszyło ją do głębi Uczuła potrzebę pozostania z nią sam na sam — zdania sobie sprawy z czegoś, co ją nawiąskróś przenikło, co w jej istotę weszło i stało się jej własnością. Wrażenie oładnęło ją całkowicie.

Pod wpływem wrażenia tego spędziła dzień cały. Wieczorem na tarasie pałacowym, o balustradę oparta, patrząc na zniszczenie jakie jesień w parku sprawiła, spędziła godzin kilka. Rzekłbyś, że ją zajął zniszczenia tego widok. Ona jednak patrzyła i nie widziała, patrzyła bowiem, nie na park, nie na drzewa, nie na trawniki, nie na przesypywane wiatrem zwiędłe liście, ale w oblicze poezji,

Był to jedyny widok, co ją zajął i uwagę jej pochłonał całkowicie.

Poezja.

Przesuwali się przed jej oczyma mistrze, jedni wyniośli i dumni, jak Göthe, inni skromni, uprzejmi, jak Kochanowski i Mickiewicz, inni fanteści ekscentryczni, w siebie zapatrzeni, jak Słowacki inni skromni, jak Syrokomła, wielcy panowie, jak byron Krasiński, ci zgięci pod ciężarem dzieł, jak Lope de-Vega

Żusia.

35

lub Wiktor Hugo, tamci jednym tylko utworem wstawieni, jak Klonowicz, jak Dante, owi obsypywani względami i na rękach noszeni, jak Rindar, jak Vergiliusz, niektóry kształtami ciała Apollina, przypominający, jak Tasso, inni znów ułomni, brzydcy, jak Homer ślepy, jak Ezop garbaty, jak Tyrteusz jednooki i kulawy, jak — wreszcie Prokop. Na przeglądzie tym zjawił się wreszcie i Prokop, albo raczej, zjawił się on od początku wrosły niejako w każdego z przesuwających się przed oczyma hrabianki mistrzów słowa z osobna i we wszystkich razem.

Myślała o nim i nie myślała.

Myślała o poezji.

Co komu do tego, że on brzydki, że kaleka, że nogi ma pokrzywione, ramiona od szcudeł do góry wystawione, twarz szpetną, organ głosu rażący! Co komu do tego, że się urodził synem rządcy, że nie posiada tytułów, ani majątku.

Oparta o balustradę, stała i myślała, nie myśląc, aż ją Justyna na wieczerzę zawołała.

W dniu następnym odbyła się operacja oczu pani Kaniowskiej, Hrabianka asystować przy niej nie mogła. Spędziła przedpołudnie w niepokoju; posyłała Justynę po zasięgnięcie języka; o południu dowiedziała się, że się operacja powiodła, i chora odzyska wzrok. Ucieszyło

ją to ogromnie. Uciechę objawiła dziecinnie, albowiem na Justynę się rzuciła i swoją starą niańkę serdecznie uścisnęła.

— No, no... pannusiu... a toż czego? — zdziwiła się Justyna.

— Tak sobie — odparła.

— Powiadano mi na komisarji, że te chwizyki oczy pani Kaniowskiej rozcinali... i że ona ani pisnęła.

— Spodziewałam się tego.

— Ale ona będzie musiała najmniej dwa tygodnie leżeć w ciemnym pokoju.

— Ale będzie widziała.

Uciecha tej tak była wielka, że nie zamięciła jej przykrości, jakiej popołudniu, gdy na obiad zeszła, doznała.

Na obiad przybyli goście, po których posyłano konie na stację. Zeszła się z nimi w saloniku: jednym z nich był pan Karol, drugim człowiek młody, przystojny, nieznany jej. Z wujem się przywitała; pan Karol przedstawił jej nieznanego:

— Doktor Gustaw Kropicki.

Nazwisko nie było jej obce.

Był to niegdyś ów Gucio, syn gorzelnika co czasu onego z rodzicami i siostrą Kicią miał udział w pamiętnym obiedzie, danym przez hrabstwo oficj listom. Rozpoczął on wówczas studj; prawnicze na uniwersytecie lwowskim.

Ojciec jego w lat parę po tym obiedzie wszedł do spółki gorzelniczej i wyprowadził się na Bukowinę. Guccio studia kończył, skończył. doktoryzował się, dependował, wręście się na adwokata wykierował. W uniwersytecie, należąc do opozycji, wyćwiczył się w djalektyce dyskusyjnej, co mu się ogromnie przydało, gdy na linobronczej stanął. Uzyskał wziętość, zapewniającą mu przyszłość.

Hrabiance, gdy się o charakterze gościa nieznanego dowiedziała, strzeliło w myśli zapytanie:

„Na co wujaszek adwokata przywiózł ze sobą“.

Nie zastanawiała się jednak nad tem ani w ciągu obiadu, ani po obiedzie, mając myśl zajętą całkowicie pomyslnym rezultatem operacji, dokonanej na pani Kaniowskiej

Przy obiedzie toczyła się rozmowa bez znaczenia, podtrzymywana głównie przez pana Karola i utrzymana w tonie plotkarskim. Obejmowała ona Wiedeń, Kraków, Lwów, przerzucając się z miejsca na miejsce i czyniąc wycieczki na wieś, jeżeli wymagała tego materia w stosunkach towarzyskich czerpana. Zaprawiały ją skandale i skandaliki, dowcipnie opowiadane. Młody doktor wtrącał ciągle swoje trzy grosze w sposób świadczący, że ciętym jest w przedstawianiu rzeczy zabawnych. Bawiło to hrabinę

bawiło pana Alfreda. Hrabianka się uśmiechała, nie biorąc w rozmowie udziału żywego, raczej prawie żadnego.

Wciągnąć ją spróbował doktor Kropicki po obiedzie. Ku temu uciekł się do sposobu, jaki mu sytuacja nastręczyła.

— Jakiem-że okiem — zaczął — patrzeć musi pani na Gaje po Wiedniu?

— Po Wiedniu Gaje wydają się wcale dobrze — odparła.

— Nie wątpię... w oderwaniu... Gaje same przez się są rozkoszne... Porównanie jednak na korzyść ich wypaść chyba nie może.

— Czemu?

— Dla absolutnego braku „resursów...“ Towarzystwo, teatr, koncerty, tysiące rozrywek...

— Które na wsi zastępują należycie obowiązki.

— Nie przeczę — odrzekł, spoglądając na hrabiankę okiem, jakim spogląda sędzia śledczy na delinkwenta, którego podejrzewa o wprowadzanie go w błąd. — Nie przeczę; jednakże, obowiązki stworzyć sobie można i w stolicy, a rozrywek na wsi stworzyć nie można.

— Tworzyć nie, trzeba tego, co się znajduje samo i daje zadowolenie którego w rozrywkach poszukujemy.

W tym guście rozmowa ciągnęła się da-

lej i możeby się przeciągnęła długo, gdyby jej nie przerwało zapytanie pana Karola.

— Do kogo to w Gajach doktor Poziomski wezwany został?

— Albo co? — odparł pan Alfred

— Spotkałem się z nim wczoraj na dworcu... Spieszył do wagonu i tyle tylko miał czasu, że mi rzucił wyrazy: do Gajów!...

— Do Kaniowskiej zapewne. Miano ją dziś operować.

— Cóż się jej stało?

— Oczywiście..

— Trzeba by się dowiedzieć — odezwała się hrabina.

Wyciągnęła rękę do dzwonka, lecz ją hrabianka powstrzymała:

— Nie trzeba, mam... Jam się dowiadywała...

— I jakże?

— Operacja zrobiona..

— Pomyślnie?

— Pani Kaniowska wzrok odzyska.

— To dobrze. Tę pocziwą kobietę los tak prześladuje. . Odwiedzę ją kiedy.

— Cóż się z niej zrobić musiało — rzekł pan Karol. — Miała niegdyś oczęta ciekawe pamiętasz Alfredzie?

— Ph.. marnieje to, tak jak Honorcia pamiętasz, Karolu?

— Honorcia? — wzniosł pan Karol oczy do góry. — Nie, nie przypominam sobie... Ileż ileż to Honorciów przed oczami mi się przesu-
nęło.... Kto by je tam wszystkie spamiętał!...

— Czy żyje jeszcze?... — zapytał ad-
wokat.

— Znałeś ją, doktorze? — odparł pan
Alfred.

— Tak .. no .. z widzenia... z daleka...

— Myślałem, żeś się do niej zalecał, jak
Karol, który ją zbałamucić usiłował wówczas,
kiedy ona biedaczka z sił całych bałamuciła
Kaniowskiego.

— Nie pamiętam, nie pamiętam — odrzekł
pan Karol.

VI.

— Nie wie pannusia, po co tu przyjechał pan Karol z hadwokatem? — zapytała nazajutrz Justyna hrabiankę.

— Nie wiem... — była odpowiedź hrabianki.

— Bo ten adwokat to on ztąd, z Gajów rodem. Tatuńcio jego byli gorzelnikiem. Pamiętam go chłopcem, alem nie poznała zrazu, ta jakem go zobaczyła takiego sobie pysznego, pomyślałam, że to może pan Karol przywiózł kawalera dla pannusi.

— Ale... zkad-że!...

— Ano ztąd, że on sobie wygląda na panicza z wielkich niby panów. Ale, jakem się dowiedziała, co za jeden, pomyślałam sobie, że panusia nie wyszłaby za tak ego, co to jego tatuńcio był gorzelnikiem.

— Czemu nie?

— No... tak...

— Cóż on temu winien?

— On nic nie winien... to prawda; ale, zawsze to-by nie było przystojnie.

— Wyszłabym, moja Justyno, gdybym pokochała...

— Pannusia by nie pokochała synka gorzelniczego, jakby nie pokochała krzywego, niemego.

Na te słowa hrabianka spłonęła rumieńcem i na Justynę oczu podnieść nie śmiała. W chwili tej uczuła, iżby kulawego i niemego pokochać mogła — pod warunkami pewnemi.

Justyna na jej rumieniec uwagi nie zwróciła, ciągnęła bowiem dalej:

— Pan Karol z hadwokatem długo z wieczora w kancelarji u jasnego pana siedzieli, a dziś rano jasnie pan Holeckiego do siebie zawołać kazał i Holecki będzie w pałacu porządki zaprowadzać.

— Porządki? zdziwiła się hrabianka.

— No, takie niby, jak to dawniej bywało.

W rzeczy samej pan Alfred polecił marszałkowi dworu postawić dwór na stopie niezupełnie takiej, jak dawniej, zbliżonej jednak do dawniejszej.

— Nie możemy się zamknąć jak w klasztorze. Holesiu...

Tak umotywował polecenie swoje.

Motyw ten wypłynął z rozmowy z panem

Karolem, który na wstępie oświadczył szwagrowi, że przyjechał umyślnie, w celu ratowania sytuacji; gdy zaś ten odpowiedział, że ją uratuje Kaniowski zapytał:

— Jak?

— Oszczędność i amortyzacja.

— I będzie się to kwasilo dziesiątki lat, aż ciebie Pan Bóg i Milcię do chwały swojej powoła, a Żusia się albo staropanieństwa doczeka albo dostanie męża takiego, jak ja.

— Cóż mam robić!... Do Monte-Carlo jechać?

— Nie! Monte-Carlo dobre dla mnie, ale nie dla ciebie... Ty pchaj się do teki ministerjalnej...

— Ha ha ha! Grubo się na to śmieję — odparł pan Alfred. — Musiałeś się z Łopacińskim naradzić.

— Wystuchałem jeremiad, alem u niego rady nie zasięgał.

— Skarżyć się na mnie nie powinien. Dałem mu odczepnego.

— Ile?

— Ile sam chciał. Pięćdziesiąt tysięcy reńskich.

— Ile z niedowierzaniem odezwał się hrabia Karol. — Zkądżeś je wytrzasnął?

— Z kieszeni.

— Swojej?

— Mojej własnej.

— Jeżeli tak, to tem śmielej ciebie gwałcić będę.

— Gwałcić?

— Wszystkoś zrobił, tylko o jednej zapomniałeś rzeczy.

— Naprzykład?

— O mandacie poselskim do Reichsratu.

— Gdybyś w izbie zasiadał, oddawna-byś już piastował tekę przy zasługach swoich.

— Przy zasługach? Kpisz, czy o drogę pytasz? Przy jakich zasługach?

— Ogromnych Przysłużyłeś się literaturze niemieckiej.

— Jak? — zawołał zdumiony.

— Tyleś broszur wydał...

— Aha — mruknał pan Alfred.

— Przyczyniałeś się do bogactwa stolicy, do pomyślności środków komunikacyjnych, do ożywienia ruchu towarzyskiego, utrzymywałeś stosunki polityczne z wysoko postawionemi figurami, słowem: położyłeś zasługi ogromne na polach: literackiem, ekonomicznem, towarzyskiem i politycznem.

— Niech miie dunder świśnie, jeżeli wiedział o tem.

— To z sługi twoje podnosi. Masz prawo po nagrodę sięgać, tylko potrzeba dla formalności mandat poselski uzyskać. Zostań posłem, zo-

staniesz ministrem i długi twoje, niby mara sen-
na, znikną, nie za lat kilkadziesiąt, ale w kil-
ka godzin.

— Musiałbym się starać, kłaniać, kło-
potać.

— Zgódź się jeno w zasadzie, a staranie
zdaj na na mnie i na Kropickiego. Na tom go
przywiózł. Dwudziestu siedmiu pasibrzuchów na
postów wypromowałem, ty będziesz dwudziesty
ósmy.

— Do czegoż tu Kropicki?

— Boś mój szwagier i nie wypada mi
szczekać za ciebie. Kropicki mnie w szczekaniu
zastąpi i pod moją dyrekcją wystruga cię na
„patrem conscriptum”. No cóż?

— Ha powtórzę, com mówił w Wiedniu :
ja nie od tego, ale palcem nie kiwnę.

— Nie kiwniesz. Nie zamkniesz się jednak
w Gajach w pałacu na cztery spusty, i nie ska-
żesz na chleb i wodę ani siebie z żoną i cór-
ką, ani gości, gdy do was zawitają.

— Zapewne.

— Tego tylko potrzeba, no i gdy do wy-
borów przyjdzie sześć tysięcy reńskich.

— Zkąd je wezmę?

— Dostaniesz, ja w tem, a teraz pomówimy
z Kropickim.

Pan Karol wywołał adwokata z salonu
i konferencja odbyła się w porządku, na funda-

mencie: „omne trinum perfectum.“ Omówiono wszechstronnie przedsięwzięcie poselskie w widokach pierwszego, jakiby się otworzyć mógł, wakansu w kurji, czy to gmin wiejskich, czy miejskich, czy też wielkich posiadaczy, w obozie postępowym lub konserwatywnym.

Inaczej szczeka się do demokratów, inaczej do stańczyków — wykładał pan Karol. — Tym jedną, tym drugą kadzielnicą pod nos machać potrzeba.

— To moja metoda — rzekł pan Alfred.

— Nie twoja tylko — odrzekł pan Karol.

Na dziesięciu kandydatów dziewięciu tej metody się trzyma. Za jej pomocą wszystkie się wydrapały ekscelencje nasze rodacze. Bez niej, nie mielibyśmy pomiędzy sobą złotego kołnierza ani jednego. My przeto we dwóch bierzemy na swoje barki rzecz całą, ty ze swojej strony, dla przygotowania, gruntu spraw córce imieniny.

Propozycję tę, podkreśloną przez doktora Kropickiego słowami i wyrazistym giestem, przyjął pan Alfred z uznaniem.

Na tem się konferencja skończyła. Wskutek niej to, pan Alfred polecił Holeckiemu dwór na stopie przyzwoitej postawić, wzmocnić personel w kuchni i w kredensie, zaopatrzyć piwnicę, pouzupełniać braki.

Pan Karol i doktor w dniu następnym, po śniadaniu, odjechali: pierwszy bez oznaczone-

go we względie odwiedzin następnych terminu, drugi, zapowiedziawszy, że zaglądać będzie do Gajów, ile razy się przedstawi widok na zahaczenie interesu wyborczego.

— Jakkolwiek bowiem — słowa jego — hrabia mi dajesz „carte blanche“, nic nie pocznę bez zawiadomienia pana.

Przyjeżdżał też z zawiadomieniem po razy parę na tydzień. Na ten koniec u zawiadowcy stacji zamówił sobie bryczkę i konia. W nocy ze Lwowa wyruszał, na noc wracał.

W Gajach spędzał godzin pięć z okładem, z których parę upływało mu na konferowaniu z panem Alfredem, reszta na dotrzymaniu towarzysztwa hrabinie i hrabiance.

Hrabianki często nie zastawał; sprawiło mu to przykrość, której jednak nie uwidaczniał, przeciwnie, okazywał zachwyty, znajdując się z hrabiną sa nam sam i tocząc z nią rozmowę na tle stosunków światowych, które znał ze słyszenia, traktował je jednak, jakby się z niemi zróst. Swadą zastępował znajomość rzeczy i rolę swoją — rolę wiedeńczyka z galicyjskimi manierami — odegrywał znakomicie, ku wielkiemu hrabiny zadowoleniu.

„Cóż hrabianka? — zapytał sam siebie. — Gdzie się ona podziewa?“

Obiecywał sobie, że gdy się lepiej w pa-

łacu rozpatrzy i rozpozna, zagadka ta sama się rozwiąże.

Jakoż rozwiązała się wypadkowo.

Raz na konferencji z hrabią wytoczyła się na stół kwestja odłożenia majątku. Hrabia wspomniął o wykazie bankowym.

— Nie mógłbym go widzieć? — zapytał.

— Oddałem Kaniowskiemu do obliczenia amortyzacji. Za przyszłą pańską bytnością pokazę panu.

— Ij, na coby się hrabia miał tem amborasować. Pójdę do Kaniowskiego i zobaczę. Potrzebuję jeno okiem rzucić.

Mrugnięciem brwiami i skinieniem głową hrabia zaaprobował interwencję, i doktor Kropicki udał się na ekonomię.

Wizyta ta wypadła w dzień Wszystkich Świętych. Mrozik parustopniowy orzeźwiał powietrze. Doktor w futrze i w czapce ciepłej szybko przeszedł przestrzeń dzielącą pałac od mieszkania państwa Kaniowskich; znalazł się w ganku, w sieniach futro zrzucił, a przekropróg pokoju bawialnego zatrzymał się. Stopy jego przyrosły prawie do podłogi na dochodzące z dalszego pokoju dźwięki deklamacji, w których poznał głos hrabianki. Deklamacja jest rodzoną siostrą śpiewu, i jak śpiew też uderzyła adwokata. Stał, stuchał, słów dosłyszeć nie mógł; po rytmicznym przelewaniu się brzmień poznał,

że to poezja, i rozwiązał sobie zagadkę nieobecności hrabianki przy jego z hrabią i hrabiną posiedzeniach.

„Miłosierna dusza — zauważył w myśli. — Chorej chwili uprzyjemnia. Dobrze o tem wiedzieć, będąc prawnym doradcą właściciela odłużonego majątku, kandydata do teki ministerjalnej.“

Rozwiązanie zagadki zadowoliło go. Pozostawanie dłużej i słuchanie dalej brzmień rytmicznych nie miało dobrej racji. Cofnął się przeto do pokoju jadalnego, wszedł do sieni, a spotkawszy się tą razą ze służącą, która, stojąc nad futrem jego, rozważała, czyjeby ono było, dowiedział się od niej, że pan rządca w kancelarji.

Podczas kiedy z panem Kaniowskim adwokat o interesach mówił, hrabianka czytała. Czytała z rękopisu. Lekarze przypisali chorej półświatło, co umożliwiała czytanie przy oknie, trzymając rękopis lub książkę w smudze jasnej, przeciskającej się przez żaluzje. Przy oknie tedy, z półarkusza, na którym strofy szykowały się, wygłaszała hrabianka utwór, pełen harmonji, siły i wdzięku. Czystość języka, subtelność porównań i przenośni, bogatwo rymów, głębokość myśli i przenikająca to wszystko po tęga uczucia, gromadziły się w tym utworze tak swobodnie i tak naturalnie, że zdawało się, jak-

by go napisał, nie człowiek, lecz sam ów oskrzydłony geniusz, pod którego postacią ludziom poezję wyobrażają sobie.

Autorem utworu tego wszakże był, nie geniusz skrzydlaty, ale szczudłami oskrzydłony, w ciemnym kącie ze zwieszoną na piersi głową siedzący Prokop. Z oczu mu na powykrzywiane kolana krople łez jedna po drugiej spadały. Gdy oddychał, przez gardło jego przechodziło kiedy niekiedy zachlipywanie się ciche i tłumione. Siedział i słuchał w milczeniu.

W milczeniu też, kołdrą okryta, o poduszki oparta, z oczyma zasłoniętymi, słuchała pani Kaniowska; słuchała w milczeniu, zdradzając jeno wrażenie drganiem, od którego się od czasu do czasu poruszały okrywające jej ciało osłony.

Czytanie hrabianki wywierało wrażenie ze względu i na czystość kryształową głosu, i na tłumaczenie myśli autora z uczuciem i z tem rozumieniem, które wykonawcy daje pomazanie artystyczne. Skutkiem tego rozumienia artyzm zdobywa stanowisko na deskach scenicznych i na estradach koncertowych. Hrabianka je posiadała w wysokim stopniu i dlatego czytanie jej na na dwóch słuchaczach, z których jeden był autorem, drugi matką autora, silne wywierało wrażenie.

Czy wrażenie to na dobre pani Kaniowskiej
 Żusia.

wychodziło? Było to pytanie, którego nie zadawano lekarzom. Sprawiało jej ono zadowolenie, sprawiało rozkosz, oddziaływającą na jej cierpienia nakształt balsamu gojącego — a może nakształt owych narkotyków, które rozkosz każą opłacać rozstrojem nerwowym, skracającym życie.

Scena, na którą się niechcący natknął do ktor Kropicki, powtarzała się często, dzień po dniu niekiedy. Bywały jednak przerwy parodniowe. Pochodziły one z nawału gości, których napływ od czasu bytności i pana Karola, wskutek pooddawanych przez hrabstwo wizyt, przybrał charakter stały. Jedni odjeżdżali, drudzy przyjeżdżali; niektórzy przywozili swoje panie i panny, zaglądali or z i wietrzący kawalerowie. Dla gości musiała hrabianka nieraz po parę dni nie odwiedzać pani Kaniowskiej, której stan zdrowia obchodził ją i niepokoił, raz się jej bowiem polepszało, znów pogorszało, a wyzdrowienie zupełne wątpliwość wzbudzało.

Chora tego nie czuła. W powrót do zdrowia — do zdrowia względnego — wierzyła mocno.

— Wyciągnę — mawiała — Alojzego na jeden duży dla mnie wydatek... Kupić mi musi wózek ręczny... Gdy wiosna nadejdzie będę po ogrodzie w wózku paradowała.

Nadzieją wiosny się ucieszyła, tymczasem

gdy ją raz na fotel ułożono, tak nagle osłabła, że musiano lekarza wezwać. Niepokoiło to hrabiankę. Odwiedzała ją, o ile mogła, najczęściej, dlatego mianowicie, że obecnością swoją wносиła pomoc chorej matce i pocie kalece. Udzielała się im, zaspokajając przedewszystkiem tę wrodzoną człowiekowi skłonność, którą chrystjanizm podniósł do znaczenia zasadniczego pod nazwą „miłości bliźniego“, następnie, ulegając pociągowi silniejszemu, aniżeli miłość bliźniego i altruizm, bo wydzielającemu z pośród ludzkości całej, ludzi dwoje, dla których z rozkoszą oddałyby siebie na usługi, na własność, na ogrzewanie ich swoim ciepłem, osłanianie sobą, zmienienie się dla nich w pomost, ułatwiający im kroczenie naprzód.

Niecierpliwio ją, ile razy musiała gości bawić.

Adwokata nie uważała za gościa. Korzystała nawet z przyjaźni jego, i gdy on z ojcem konferował, wymykała się do chorej na dłużej. U pani Kaniowskiej czuła się bardziej u siebie, aniżeli w pałacu. Czas z chorą upływał jej, raz na rozmowie tylko, znów na czytaniu, często na rozmowie i czytaniu, poczem, na odchodem, do fortepianu siadała, sztuk kilka odegrywała i do pałacu wracała, unosząc z sobą w głowie rojeń i myśli pełno — rojeń i myśli zaczerpniętych z utworów kaleki.

Prawie nie czytywała nic innego, tylko utwory Prokopa — piękne same przez się i nabierające w jej oczach tem więcej uroku, że oślaniała je tajemnica. Do niedawna nikt, z wyjątkiem państwa Kaniowskich, nie wiedział o nich.

Do tajemnicy przypuszczoną została ona trzecia, a przypuszczoną w charakterze lektorki matki, w roli kapłanki Znicza, gorejącego w piersiach poety i wymagającego pieczołowitego czuwania.

Podnosiło i uzacniało ją to w jej własnem mniemaniu — namaszczało niejako.

W dniu, w którym doktor Kropicki zagadkę rozwiązał, pani Kaniowska czuła się o wiele zdrowszą. Ostatni Prokopa utwór wzruszył ją mocno. Wzruszył on i hrabiankę, jakoteż słuchacza najbardziej zainteresowanego. Prokop ujrzał siebie samego w świetności, w blasku, w potędze.

Wzruszenie okazał, jak okazywał zwykle, z większym jeno przyciskiem; po wygłoszeniu wyrazu ostatniego, szcudła pochwycił, zerwał się, i mocno drewnianemi drągami o podłogę stukając, wyszedł. Wyglądało to na ekscentryczność czy chimeryczność. Nie podziękował na wet czytelniczce. Szedł przez pokoje, trzaskając za sobą drzwiami. Wreszcie trzaskanie ustało i pani Kaniowska odezwała się:

— O, Żusiu!...

Hrabianka westchnęła.

Chwilkę panowało milczenie, które ona przerwała:

— Co za siła!... co za polot!... — rzekła.

— W ciele takim nędznem... — odparła matka.

— Co tam ciało!...

Znów zapanowała milczenie, które tym razem przerwała pani Kaniowska.

— Uspokój go, jeżeliś łaskawa i jeżeli ci się nie spieszy..

— Nie spieszy mi się.. — odrzekła, wstając. — Papa konferuje z adwokatem, a po konferencji... ten pan bawi się wybornie z rodzicami, którzy się z nim nie najgorzej bawią...

Pochyliła się nad panią Kaniowską, w ramię ją pocałowała i w parę minut później domek rządzczości rozbrzmiał muzyką, w której tonach odzywał się ton świeżo pomyslanego utworu.

W ciągu gry hrabianki, do saloniku wszedł Prokop, zdala usiadł, głowę na łokciu wsparł i w hrabiankę się wpatrzył. Wzrok jego przybierał wyrazy rozmaite. Raz z oczu strzelała mu słodycz i szczerłość, znów złośliwość, niekiedy czułość, niekiedy w źrenicach jego przeblyskiwały takie światelka, jakie przesadność przypisuje wejrzeniom bazyliuszka. Wejrzeniami temi oblewał kibić dziewczyny, wyrastającej niejako z taboretu, jak topola wyrasta na urwisku. Ręce

jej biegały na klawiszach; grała — grała — grała, od klawiatury ręce oderwała, na taborecie się wykręciła i ze słodkiem, wyrazistym uśmiechem na Prokopa spojrzała.

To spojrzenie, ten uśmiech, przeraziły niejako młodzieńca. Powieki to spuszczał, to podnosił, oczami migotał — zerwał się w końcu i na szczydłach wsparty, taką przybrał postawę jakby przemówić chciał; wydał nawet z gardła odgłos załęknięcia chrapliwego; lecz nie rzekł nic — brwi zmarszczył, głowę spuścił i ku drzwiom się zwrócił

Kiedy przez próg szczydła przestawiał, hrabianka, oczyma za nim idąc posłała w ślad za oddalającym się cicho, ale dobitnie wymówione wyrazy:

— O tyś... o mój!.. poeta!

Dziwna rzecz — ten kaleka, ten niedołęga ten człowiek, który charczy gdy przemówić chce, ten brutal, co za świadczone mu, jeżeli nie dobrodziejstwa, to usługi, odpłaca impertynencjami, ten chimeryk i fantasta, istna postaci człowieczej karykatura, wydawał się jej bez porównania większej pod każdym względem wartości, od młodzieńców, będących ozdobami salonów, od kandydatów na wielkości, od Endymionów we frakach i mundurach, od tenorów wszelakiego rodzaju.

„Poeta!”

Wyraz ten grał jej w duszy dźwiękami harfy

Dawida i upiękniał, upotęźniał niedołęgę, czynił go rodzajem półboga starożytnego, za którym oglądały się nimfy leśne. Może-by jej tak nie zajął, gdyby był człowiekiem normalnym. Może działało w niej prawo kontrastów. Jest to przypuszczenie, które jako takie przyjąć należy, zaznaczając fakt zajęcia się pięknej, wysoko postawionej panny młodym człowiekiem.. brzydkim brutalnym, ułomnym, chimerycznym i w służebnej tkwiącym sferze.

Zdarzały się wypadki — nawet w niezbyt oddalonym od hrabiostwa Pieckich sąsiedztwie — że panny z tej mniej więcej, co hrabianka, kondycji, rozkochiwały się w prostych ludziach i wykradały się dla nich. Ale wypadki podobne do innej należą kategorii do tej mianowicie, do której zaliczają się córki i małżonki lordów angielskich, romansujące z groomami, lub dżokejami. W tym względzie podniety idą z krwi, z popędów częstokroć chorobliwych, które w odniesieniu do hrabianki nie odegrywały roli najmniejszej. Jeżeli co o chorobliwość w niej obwinić-by można, to pociąg do piękna, do piękna przeżywanego „tendencyjnym,” które, wyłonione z duszy kaleki, drogę jej zastąpiło.

Dla piękna tego, dla służenia mu na ten koniec, ażeby ono ze swej strony służyło za wskazówkę ku dobremu, za chłostę złego, za pobudkę, w tem, co rozumne i szlachetne, za pacierz co pła-

cze i piorun co błyska," dla piękna tego jak mogła najczęściej, zabiegała do państw. Kaniowskiej. Ułomność wytwórcy onego nie zrażała jej ani znikła dla niej — nie istniała. Istniał poeta. Nad nim czuwać-by pragnęła w każdej dnia i nocy chwili.

Justyna nie domyślała się, co głównie wychowankę jej na ekonomię ciągnie. Gdyby rozumować i psychicznie w przyczyny wnikać umiała, doszłaby może, że do ciągnięcia tego przyczyniła się niemało ona sama swojemi bajkami, kazkami, piosnkami, swoim przykładem, swojemi bossemi nogami, że z tego wszystkiego uprzedła się nitka mocna, którejświatowość zerwać nie mogła. Nie domyślała się jednak tego i w przekonaniu, że „pannusie“ jej obchodzi szczególnie i wyłącznie chora rządczyni, pomagała hrabiance w jej wycieczkach.

Pomaganie nie przedstawiało wielkich trudności. Hrabiostwo podzielało przekonanie Justyny — nie przeszkadzali córce, uważając jej interesowanie się chorą za „niewinne.“

— Oh, pannusiu... — odzywała się niekiedy Justyna — ta biedna pani Kaniowska wygląda tak, jak by się niewiele należało.. Co bez niej pocznie pan Kaniowski!... a ten Prokopek?... Ha! wola Boża... wzdychała.

Chodziła też na ekonomię często; pomoc zaś jej na tem mianowicie polegała, że zawiadamiała

hrabiankę o nadjeżdżaniu gości i ułatwiała jej w ten sposób znikanie z pałacu. Goście wysiadali przed gankiem z jednej strony od podwórza; hrabianka ze strony przeciwnej wymykała się przez park. Justyna nie ostrzegła jej jeno w takich razach, gdy się trafiali kawalerowie, myślała bowiem o tem, że jej „pannusi pora za mąż.“ Nie przypuszczała, ażeby pomiędzy nimi nie było chłopców „co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcu.“ Nie przypuszczała że o chłopców tych pannusia troszczyła się jak o śnieg przeszłoroczny. Wynikło ztąd pomiędzy nią a hrabianką nieporozumienie — nieporozumienie nie groźne wprawdzie, wyrażające się atoli w pewnych względach, przez to, że co jedną cieszyło, to drugie przykrość sprawiało.

Cieszyła naprzykład, Justynę myśl o imiennach, do których się przygotowania na wielką, czyniły skalę. Hrabianka na przygotowania krzywem patrzyła okiem. Stara niańka traktowała, sprawę małżeńską pupilki swojej, wobec nieznanego jeszcze tej ostatniej narzeczonego, mniej więcej tak jak niańka Żuliety wobec Romea. Roiała dla niej o Romeu — paniczku. Nie mogłaby się zgodzić na to, ażeby się kulfonowi jakiemu dostać miała. Liczyła na imienniny, że się kawalerowie zjadą i pomiędzy nimi znajdzie się „sądzony“.

Nie przeliczyła się, co do zjazdu — kawalerów mianowicie — kawalerów zwłaszcza, z po-

wodu fatalnej pogody, jaka się trafiła 18 i 19 listopada, t. j. w wigilję i w dzień św. Elżbiety, królowej węgierskiej, wdowy, patronki hrabianki. Zawieja śnieżna powstrzymała w znacznej części transporty pociągów pięknej. Kilku obywateli poważnych nie chciało narazić swoich osób na stawianie czoła zawierusze i wystawianie nosów na mróz. Młodych nie mogły powstrzymać względy podobne, zwłaszcza wobec panny zaopatrzonej, bogato we wdzięki i w dużo obiecujące sperandy. Obok tego, z bliższego sąsiedztwa nie brakło prawie nikogo. Jedni własnymi przyjechali, pojazdami; po innych trzeba było na stację kolei żelaznej posyłać. Dziesięcioro sani krytych i niekrytych, częścią dworskich, częścią pożyczonych, przez oficjalistów lub najętych u włościan, przywiozło dwoma zawrotami kontyngens gości, poważny liczbą i dobozem.

Pomiędzy wysłanemi na stację saniami znajdowały się sanie pana Alojzego, parę tęgich zaprzężone koni. Przywiozły one pana Alojzego, który przed stacją się zatrzymawszy, do biura zawiadowcy wszedłszy, i nie otrzepując się ze śniegu, co go od stóp do głów obsypał, zapytał:

— Pociąg idzie?

— Idzie... — była odpowiedź.

— Nie spóźni się?...

— Nie, zdaje się. Wiatr śnieg z toru znosi i niesygnalizowano dotychczas zasypów... Są tu

dwa do dziś rana odebrane do pana dobrodzieja telegramy, których nie wysyłałem umyślnym, spodziewając się, że z Gajów na pociąg ktoś się dowie ..

Pan Kaniowski telegramy oczyma przebiegł, do kieszeni je wsunął i rzekł:

— To dobrze...

— Jest tu przytem telegramów ze dwadzieścia do pałacu — odezwał się zawiadowca.

— To dobrze... — powtórzył, wychodząc na podjazd kolejowy.

Wiatr świstał, szumiał wył, niósł tumany białe: on nieuważał na to; uwagę całą zwrócił na pociąg, co miał przybyć, oczy mrużył, patrzył — czekał. Czekanie minut kilka czasu zabrało. Wreszcie pociąg się pokazał. Dysząc ciężko, niby spocona, lokomotywa wtoczyła się powoli i stanęła. Z wagonów wysiadać poczęli płci obojej podróżni, którzy w miarę jak wysiadali, ku dworcowi spieszyli i z przeciwnej strony siedzenia w czekających na nich saniach zajmowali. Pan Alojzy puszczał ich mimo siebie patrząc na wysiadających okiem wyczekiwania. Wreszcie poskoczył ku dwom jegomościom, co się jeden po drugim z drzwiczek wysunęli:

— Konsyljarzu!... — zawołał.

— A!... — odezwał się jeden z nich, człowiek w latach podeszłych. — I cóż tam?... jakże?... — zapytał.

— Jedźmy!... Proszę panów... — była odpowiedź.

Poszli razem wprost ku saniom pana Alojzego.

W saniach siedziało już dwóch panów.

— To miejsce zajęte... przemówił pan Alojzy do nich.

— Jedziemy do Gajów... do hrabiego... — odpowiedział jeden z nich.

— Proszę do innych wsiąść sani...

-- Przecież to sanie Kaniowskiego, a Kaniowski jest u hrabiego rządcą...

— Proszę do innych wsiąść sani!... — powtórzył dobitnie.

Jeden, coś pod nosem mruczając, wysiadł; drugi jednak, młody, chuderlawy, z najeżonymi wąsikami blondynek, rozparł się i odrzekł:

— Ja nie wysiadam .. *J'y suis et j'y reste...*

W tejże chwili wyleciał. Pan Alojzy za kołnierz go od futra pochwycił, w powietrzu wywinął i w śnieg cisnął.

— Proszę panów... — rzekł, przyprowadzonym przez siebie jegomościom miejsce wskazując.

Stary jegomość, gdy wsiadł, przemówił:

— Cóż pan dobrodziej dobrego zrobił?... Toć to młody Olgierd, księżę Swiatopełk Gamajda.

Pan Alojzy nic na to nie odrzekł; obok fur-

mana miejsce zajął, lejce i batog w ręce ujął, na konie huknął i cwałem je z miejsca puścił.

Z wiatrami w przegony poszły sanie pana Kaniowskiego, a wyprzedziwszy te, co gości do pałacu wiozły, niebawem w tumanie śniegowym zniknęły.

Te ostatnie podążały jedne za drugimi. W tych, co szły na końcu usiadło kilku panów. Mimo wiatru, co szumiał i niosącej śnieg zamieci, żywa pomiędzy nimi toczyła się rozmowa, o oburzającym wypadku jaki się zdarzył obecnemu wśród nich młodemu księciu.

Na sucho ta sprawka ująć nie może... — perorował jeden. — Piecki dać musi satysfakcję. . satysfakcję, jaką?... nie inną, jak tylko: rządcę niezwłocznie wypędzić.. Postawimy mu to jako *ultimatum* .. Wóz albo przewóz.. Odmówi, *adió!*... Pożegnamy dostojne gospodarstwo i piękną solenizantkę i zaimprovizujemy kulig, czyniąc najazd na Julka...

— Julek już w Gajach być musi... — ktoś się odezwał.

— Chyba, że nie... — odparł inny. Mieszka o milkę... wybierze się więc pod wieczór...

— Proszę o głos!.. zawołał siedzący w tychże saniach doktor Kropicki. — Zdać raczcie, panowie, sprawę tę na mnie... Za satysfakcyę z góry ręczę...

— Natychmiastową?...

— Natychmiastową o tyle, że hrabia Piecki dziś się zobowiąże Kaniowskiego oddalić ..

— I dziś mu to oznajmi!...

— Trudny warunek...

— Konieczny i nieodbity...

Usiłowania doktora, mające na celu złagodzenie warunku, nie zdało się na nic. Z dyskusji wypadło, że natychmiast po przybyciu, doktor Kropicki, w towarzystwie niejakiego Bysia, poproszą pana Alfreda o chwilę rozmowy i Bysio przedstawi mu ultimatum, doktor zaś je umotywuje. Takie zapadło postanowienie

Jak postanowiono, tak się stało.

Pan Alfred ze zdziwieniem niejakim poprowadził tych dwóch panów do kancelarj i swojej, i tam, ku większemu jeszcze zdziwieniu, wysłuchał następującej z ust Bysia przemowy:

— Naprzód, mam zaszczyt oświadczyć hrabiemu że księżę Olgierd przyjeżdża w intencjach, następnie, oświadczam mu, że ze strony oficjalisty hrabiego spotkała go zniewaga, za którą żąda niezwłocznej satysfakcji. . .

— Wyzywa mnie?.. — zapytał pan Alfred.

Doktor Kropicki zabrał głos i wyjaśnił rzecz.

— Ph... Kaniowski lat trzydzieści kilka gospodaruje w Gajach, więc... żądanie księcia, ażebym go dziś odprawił... jakoś ..

— Nie chodzi o odprawienie dziś podchwycił doktor — ale o zanotyfikowaniu odprawy!

— O zanotyfikowanie?... hm?... — pomyślał (myślał o intencjach księcia, o wyborach, o skandalu jakiby nastąpił w razie, gdyby się goście rozjechali) i odrzekł: -- dobrze...

— Napiszę; hrabia się podpiszesz... — zaoferował się doktor.

W chwilę później gotów był list, udzielający formalną „imć panu Kaniowskiemu“ dymisję. Bysio z listem tym wyszedł, a wróciwszy niebawem, oznajmił, że księżę przyjmuje go jako satysfakcję zupełną.

W czasie nieobecności Bysia, doktor wytłumaczył hrabiemu, że dymisja dziś udzielona, może być jutro lub później trochę cofniętą.

— To się tak robi przy satysfakcjach tego rodzaju... Ministrowie. .

— Wiem o tem.. — przerwał pan Alfred.

I dlatego zapewne, podpisując się pod listem, podpisał się z dodatkiem następującym: „Uważa j to za kpiny.“

Awantura przeto, jakiej się pan Alojzy przy dworcu kolei dopuścił nie wywarła na biesiadę imieninową wpływu ujemnego. Goście przybywający składali powinszowania solenizantce która powinszowania przyjmowała z uśmiechem, maskującym smutek, jaki w jej oczach świecił, a pochodził ztąd, że jadąc na kolej, pan Alojzy do pałacu zajechał, życzenia Żusi od siebie, żony i sy-

na złożył, a zapytany przez nią o zdrowie pani, odpowiedział :

— Nie dobrze...

— Wczoraj, kiedyś była u niej, zdawało się, że...

— Od wczoraj pogorszyło się .. — przerwał. Wczoraj jeszcze wezwałem naszego lekarza; czuwa nad nią, zażądał jednak konsylium.. Telegrafowałem do Lwowa.. Jadę na kolej po lekarzy .. Przywiozę albo dwóch, albo przynajmniej jednego ..

Westchnął głęboko.

Hrabianka pozostawała pod wrażeniem tej wiadomości, gdy do tych gości, co w wigilję imienin przyjechali, przybywać poczeli nowi.

Justyna przeistoczyła się w gońca. Krążyła ustawicznie pomiędzy pałacem a ekonomią i nosiła wieści. Wieści brzmiały wciąż jednakowo, z wyjątkiem jednej, tyczącej się zażądania przez chorą księdza.

— Wyspowiadała się, pannusiu, całkiem przytomnie — mówiła — i po spowiedzi zaraz się jej lepiej zrobiło. Niby ręką odjął .. Może i doktorów nie trzeba będzie...

O przybyciu lekarzy lwowskich hrabianka wiedziała pierwej, nim goście z kolei tłumnie za-jechali.

Pocieszyło ją to i pomogło do maskowania wobec ludzi przejmującego ją niepokoję.

Pięknej kobiecie we wszystkim do twarzy. Spostrzeżenie to, stwierdzone wiekami, sprawdziło się na hrabiance. Tych wdzięków, w jakie ją natura przystroiła, nie ujmował jej niepokój. przeciwnie, nadawał im urok szczególny, akcentował ją, uwydatniał. Gdy od czasu do czasu w oczach jej pojawił się wyraz strwożenia, to z wyrazem tym, w balowej białej sukni, ubranej w girlandy pączków różanych wyglądała jak istota ze świata mytów, co się w róże zaplatała, przelekła się i do pierzchnięcia się zbiera. Jej rysy, kształty cera, kolor jej źrenic i włosów jej ruchy, giesty, wejrzenia, uśmiechy, były mówiące. Przemawiały językiem poetycznym, wywierającym urok na pozytywistów najbardziej chłodnych. W salonach jaśniała blaskiem uroczym, ściągała na siebie oczy i odbierała hołdy, które z jej czoła nie spędzały troski, świadczącej że myślą i duszą solenizantka gościła — nie na parkietach pałacowych ani wśród pań i panien, co ją analizowały nie wśród panów z których jedni żalowali, że ich lata młodzieńcze przeminęły, inni że się pierścieniem małżeńskim skuli; nie wśród młodzieży, która, gdy muzyka, przy wtórze huczącej nazewnątrz pałacu burzy zimowej, hasło do tańców dała, cisnęła się do niej i chwili jej odetchnienia nie dawała.

Żusia.

37

Po konferencji pana Alfreda z adwokatem i Bysiem, pan Alfred, zszedłszy do salonu, słów parę do ucha hrabinie szepnął. Hrabina spojrziała na księcia Olgierda i uśmiechnęła się, spojrziała następnie na córkę i uśmiechnęła się. W chwil kilka później, mimochodem, do ucha jej następujące wsunęła wyrazy:

— Sprawdza się podejrzenie, jakieśmy w Ostendzie powzięli.. Książę Olgierd w wyraźnych przyjechał intencjach...

Książę ten „high-life“ zagranicznym pełnił funkcję komety, mającej swój ogon w postaci obszernych kluczów.

Wiadomość ta nie spędziła troski z czoła hrabianki. Co pół mniej-więcej godziny wymykała się z salonów do Justyny, która jej wieści z ekonomii zносиła. Po zamienieniu wyrazów kilku, Justyna na ekonomię, hrabianka na salony wracała. Powtarzało się to regularnie wśród tańców. Pierwszy jednak kadryl dłużej hrabiankę zatrzymał. Spoglądała ku drzwiom, z poza których służba przypatrywała się widowisku tanecznemu, a skoro się skończyło, Żusia pędem ruszyła na górę. Justyna na nią czekała.

— Cóż? — zapytała, ciężko dysząc i wachlarzem oblicze sobie chłodząc.

— Lepiej, pannusiu... lepiej, Bogu dzięki...

— Lekarz?...

— Nie odstępuje...

— Idź-że .. idź i prędko wracaj, moja Justyno... moja droga... — przemówiła tonem błagającym.

— Zaraz idę. ino buty inne zazuję, tamte przemokły. — odpowiedziała Justyna. — Pannusia niech do gości wraca i spokojnie się bawi na zdrowie, na szczęście .. Co kawalerów... hej!...

— Idź już!...

— Idę... idę... ino buty.. Pani Kauiowskiej lepiej..

Wyraz „lepiej“ po dwóch jeszcze powtórzyła powrotach. Powtórzenie powtórne wypadło przed szykowaniem się taneczników do drugiego kadryla, do którego hrabianka umówiła się z księciem Olgierdem. W salonie odbywał się ogólny wypoczynek. Lokaje roznosili orszadę limonadę, soki, wody gazowe. Do hrabianki, która miejsce nieopodal matki zajęła, przystąpił książę; obok niej usiadł i zawiązał z nią rozmowę. Treści do niej nastreczyła burza, szarpiąca pozamykane z zewnątrz okiennice.

— Gdyby — mówił — burza okiennice wyrwała i z nami do kadryla stanęła, cobyśmy w razie takim zrobili?...

— Miejsca byśmy jej ustąpili.. — odparła.

— Jabym był innego zdania...

— Naprzykład?..

— *Un vrai chevalier ne désarme pas* .. Był-

bym za tem, ażebyśmy tańczyli z wichrami społeczeństwem...

— *Bien dit...* — odrzekła.

Rozmowę przerwało hasło, wzywające do szeregów. Pary się uszykowały do figury pierwszej. Po pierwszej nastąpiła druga, po drugiej trzecia, czwarta. Przy trzeciej hrabianka poczęła na drzwi wejrzienia zwracać; po niej jednak usiadła i z tancerzem swoim swobodnie frazesy zamieniała. Swobodnie stanęła do czwartej, w środku której nagle się zaniepokoiła i poszła w kierunku nie tym, w którym pójść była powinna.

— Pani... upominał ją tancerz.

Poprawiła się, w roztargnieniu dokończyła figury, a po skończeniu, zamiast usiąść do rozmowy z młodym księciem, pośpiesznie z salonu wyszła.

Powodem roztargnienia jej i wyjścia, było ukazanie się we drzwiach Justyny. Justyna czekała na nią w jej pokoju na górze.

— Cóż .. — zapytała, wbiegając.

— Żle... — zabrzmiała odpowiedź.

Coś jeszcze Justyna mówiła, ale hrabianka nie słuchała. Z pośpiechem gorączkowym chustką sobie głowę obwijała.

— Pannusiu!... zawołała nianka głosem, w którym trwoga zabrzmiała.

-- Chodźmy! — była hrabianki odpowiedź.

— Gdzie?... jak?... co?... Tak, nie można!..

— Chodźmy!... — powtórzyła z mocą, zwracając się ku drzwiom.

Justyna jej drogę zaskoczyła.

— Pannusiu!... serce!.. lubciu!... — zaczęła błagalnie. — Tam burza.. tam ciemno... śniegiem miecie, wiatr do kości przejmuje...

— Puszczaj... — krzyknęła, potrącając Justynę.

— Toż tak nie puszczę!... — odparła ta ostatnia.

Rzekłszy to, pochwyciła hrabiankę za rękę, w tył ją ku kanapie popchnęła i gdy ta usiadła, dodała:

— Nie puszczę bez berlaczków i futerka!...

Hrabianka przemocy uległa. Obucie jej w berlacze, podpięcie trenu sukni bałowej, odzianie w futerko i obwiniecie w chustkę ciepłą zabrało czasu minut kilka zaledwie. W sali bałowej na piątą figurę kadryla czekać trzeba było, jeszcze, kiedy przez park dwie postacie kobiece, niby dwa cienie w ciemnościach nocnych, przez wiatr pochyłone brnąć w śniegu, przebierały się do drogi, i gdy się na drogę wydostały, śpiesznie, biegiem prawie, sunęły dalej.

W dziesięć, we dwadzieścia najwięcej minut, dwie te postacie przebiegły przestrzeń dzielącą ekonomię od pałacu.

Na komisarji nie spano. W pokoju jadalnym świeciła się lampa na stole. W domu panowała

cisza. Gdy hrabianka z Justyną do sieni weszły, spotkały idącą za palcach ze światłem w ręku służącą, którą Justyna zapytaniem o stan chorej zaczepiła.

— Kona... — odpowiedziała zapytana.

Hrabianka w jadalnym pokoju szybko z siebie odzież wierzchnią, śniegiem osypaną, zrzuciła i na progu salonika, w którym światła nie było, zatrzymała się. Serce jej mocno biło. Przycisnęła serce obiema dłońmi, oczy do góry wzniosła, jakby o odwagę wzywała, westchnienie w piersi stłumiła, a przeszedłszy pociemku przez pokoje następne, wynurzyła się w sypialni p. ni Kanio-wskiej, oświetlonej, oprócz lampy nocnej, blaskiem gromnicy, w trzymaniu której chorej pomagała panna Honorata. Oczom jej przedstawił się widok taki: u stóp, z rękami na piersiach skrzyżowanymi, z oczyma w blade oblicze żony wlepionymi, stał pan Alojzy? od strony odsuniętego od ściany łóżka, panna Honorata, szepcząc pacierz za konających, czuwała nad gromnicą; u wezłowania, z głową w dół zwieszoną, siedział Prokop.

Gdy hrabianka weszła, wszyscy na nią oczy zwrócili; chora się do niej uśmiechnęła.

W sukni balowej, w kwiatkach, jasna, piękna, wonna do tej komnaty żałobnej weszła, niby anioł, spływający z nieba na towarzysza przewodnika duszy ulatającej w lepsze światy, na po-

cieszyciela tym, których po sobie na ziemi do Boga odchodząca pozostawić miała.

Weszła, przy łóżku się na kolana usunęła i na chorej oblicze spojrzała.

Pani Rozalii powieki, niby senne, raz opadały, znów się podnosiły, pierś jej powolnie i leciuchno pod bielizną się poruszała co raz to bardziej słabnącym oddechem; od blisko już pół godziny nie mówiła.

— Żusiu... — odezwała się, gdy hrabianka uklękała.

Przemówiła cicho, ale z takim akcentem rzewności i serdeczności, że hrabianka, dłonie do niej złożone wyciągając, zawołała:

— Pani!... pani!... bądź o niego, o syna twego spokojną!.. Ja mu służyć... ja nad nim, nad poetą, czuwać będę!.. Będę dla niego matką, siostrą... żoną — wyraz ostatni wymówiła dobitnie i po przerwie krótkiej, dodała: — On mnie nie odepchnie!..

Wypowiedziała to i wpatrzyła się w chorą. Ta milczała. Po chwili ce twarz uśmiechem się opromieniła i chora, silniejszym, aniżeli po przednio głosem rzekła:

— O! Żusiu...

Było to słowa jej ostatnie. Po wymówieniu ich zamilkła na wieki.

Milczeniu jej wnet odpowiedziały: głośna panny Honoraty modlitwa i płacz syna. Prokop

łkał, przycisnąwszy do czoła pięści w kulaki zaciśnięte. Hrabianka czoło na pościeli umarłą okrywającej oparła i cicho płakała.

Pan Alojzy, po skonaniu żony długi jej na czole i na rękach pocałunek złożył, wyszedł niebawem jednak powrócił i, hrabiankę pod ramię ujmując, przemówił do niej;

— Proszę.. kobiety tu wnet przyjdą i zajmą się przybraniem ciała nieboszczki... Przeszkadzalibyśmy im...

Hrabianka z klęczek wstała i bezopornie wyprowadzić się dała.

W saloniku pan Alojzy się odezwał:

— Kazałem dla pani założyć konie...

— Na co?... — zapytała żywo.

— Niech pani do pałacu wraca . rzekł tonem prośby.

— Do pałacu? .. na bal?... w takiej chwili?... odparła. — I pan mi to mówisz?... Nie!.. do pałacu nie wrócę... Moje miejsce tu.. przy pańskim synu... na służbie!...

W pałacu, po zniknięciu jej, zrobił się rumor wielki. Wypadek się nie odrazu wyjaśnił, a raczej nie wyjawił się aż później. Na razie zabrakło w kadrylu pary w piątej figurze i głucha wśród gości wieść, rozniesiona częścią przez służbę, częścią przez panie ciekawe, rozeszła się, że hrabianki w pałacu niema. Gdzież więc?

Z zapytania tego strzelił wniosek, który się wnet w pewnik zamienił.

„Wykradła się!”

Damy pomiędzy sobą szeptały; panowie przy winie i wincie przez nos czmychali i głowami kiwali; młodzież gromadziła się około księcia Olgerda, który wyglądał nie ciekawie, a dla nadania sobie kontenansu. rzecz w żart obracał, powiadając, że hrabiance brak zmysłu pozytywnego, kiedy do wykradzenia się wybrała noc, nie majow nie księżycową, ale taką listopadową burzliwą.

Hrabia i hrabina, mimo chłodnego swego temperamentu, z wielką trudnością pokrywali przykrość, jakiej doznawali. Usiłowania ich nadrabiania miną obracały się w niwecz. Gościnność nie wywierała wpływu. Bal, co się miał zakończyć białym mazurem w godzinie wschodu słońca, skończył około pierwszej po północy. Goście niby spać poszli i nie spali. Po gościnnych pokojach gadaniny przeciągały się do dnia białego a nazajutrz przed dziesiątą rano wszyscy się rozjechali.

Wypadek wyjaśnił się później, — a najpierw dla hrabiostwa Pieckich. Sprawił on, że dla hrabiego speranda na tekę ministerjalną, na krzesło poselskie i na perspektywę urzędystwianienia idei ulokowanej mu w mózgu przez księdza Kochańskiego, przepadła bezpowrotnie. Przyjął jednak tę stratę filozoficznie, a z nim i hrabia filo-

zoficznie ją przyjęła. Córce która po balu do pałacu wróciła, wymówki czynili, nie nader jednak gorzkie, pomimo, że nie rozumieli powodów, które ją do pokochania kaleki skłoniły.

Powody zrozumieli inni. W tak zwanych „sferach miarodajnych,“ w których szeroko o wypadku rozprawiano, nadano im miano „deprawacyi smaku“ i utyskiwano, że się ona z dołu ciśnie do góry, zarażając zastępy przewodnie.

Kto zaś najmniej był w stanie wypadek zrozumieć, to Justyna — ona, która go głównie i przeważnie sprowadziła.

K O N I E C.

INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 43



F
1279

F
1279